DZIEŁA ZBIOROWE
SEWERYNA
GOSZCZYŃSKIEGO.

DZIEŁA ZBIOROWE

SEWERYNA
GOSZCZYŃSKIEGO

WYDAŁ
ZYGMUNT WASILEWSKI

NAKŁAD KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WE LWOWIE.



S. GOSZCZYŃSKI
według akwaforty A. Reichana, 1836 r.

DZIEŁA ZBIOROWE

SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO

TOM I

POEZYE LIRYCZNE

WYDAŁ
ZYGMUNT WASILEWSKI

NAKŁAD KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WE LWOWIE.

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ
W KRAKOWIE.

SPIS RZECZY TOMU I.

UWAGA. * oznaczamy utwór, który pierwszy raz wcielony został do zbiorowego wydania pism G-o, lub też wszedł tutaj ze zmienionym przez autora tekstem.

Wpijałem się w mą Polskę i ciałem i duchem,
Żyłem jej życiem, drgałem każdym prawym ruchem,
Dzieliłem mej Ojczyzny wszelkie przeznaczenia,
Przejmowałem jej wszystkie czucia, krom zwątpienia...

Odszukać Goszczyńskiego w archiwach i zbiorach czasopism i wydać w całości jego dzieła było obowiązkiem naszego pokolenia, odkąd uporało się ono z grubsza z poetami pierwszorzędnymi epoki romantycznej. Historya literatury musiała ze szczytowych punktów rozkwitu poezyi (od Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego) zejść w badaniach swoich do podstaw owego pasma wyżyn, ciągnącego się przez stulecie aż w dni nasze. I uczyniła to nie z pietyzmu jedynie dla epoki, lecz z potrzeby gruntownego jej zbadania. S. Goszczyński właśnie dlatego, że nie ginie nam z oczu, jak śnieżny szczyt w chmurach, że trzyma się bliżej ziemi, właśnie dlatego jest podatniejszy do badań historycznych i, jako świadectwo epoki, miarodajniejszy.

Poeta ten trzymał się ziemi wszystkiemi włóknami duszy, wiernie wyrażał nastroje i dążenia epoki. Na pismach jego badać można uwarstwienia ducha czasu, jak on się wyrażał w jednostkach przodujących czy na Rusi w latach młodości G-o, czy w Warszawie w czasie rewolucyi, czy za pobytu G-o w Galicyi, czy też wreszcie na emigracyi w Paryżu. Żywot Goszczyńskiego obejmuje od 1801 do 1876 r. trzy ćwierci stulecia — i to w dziejach kultury polskiej nie byle jakiego. Odbywał się w tych okresach lat dal-

szy, coraz bardziej przyspieszony proces wewnętrznego przerabiania się społeczeństwa polskiego na typ nowożytny. Poeci nasi w tym procesie społecznym, znajdującym swój równoważnik psychiczny w formującej się samowiedzy zbiorowej narodu, odgrywali rolę wybitną. Patrząc wstecz, mamy wrażenie, że to duchowe przekształcanie się narodu odbywało się pod kierunkiem poezyi, jako czynnika życie kształtującego. Poeci wyrażali tylko epokę, ale właśnie dlatego historya poczytywać musi ich pisma za dokument dziejowy pierwszorzędnej wagi. Do badań historycznych w dziedzinie kultury narodu potrzebne są przedewszystkiem dzieła poetów szczerych, jak Goszczyński, którzy całą duszę w twórczość kładli, nie tylko zdolność pisarską.

I.

(1801—1829).

Seweryn Goszczyński był synem Józefa i Franciszki z Gurowskich, ludzi szlacheckiego pochodzenia, co w ich środowisku miało swoje znaczenie, ale ubogich. Była to sfera oficyalistów rolnych, półinteligencyi, szukającej chleba po dworach, nierzadko zdemoralizowanej zależnością służbową od ludzi i niepewnością jutra. Józef Goszczyński pochodził ze szlachty mazowieckiej, służył wojskowo pod Józefem Poniatowskim i Kościuszką, brał udział w bitwach pod Zieleńcami i Dubienką. Po wystąpieniu z wojska, szukał służby na Wołyniu i na Ukrainie w wielkich dobrach Sanguszki. Był gorzelanym w Ilińcach (pow. lipowiecki), kiedy przyszedł na świat pierwszy syn, Seweryn. Stało się to 4. listopada (nowego stylu) 1801 r.

Przyszły poeta chował się dość dziko przy rodzicach, którzy co kilka lat zmieniali miejsce służby i wiele mieli kłopotów. Grono rodzeństwa jego powiększało się szybko; wychowało się ośmioro, parę umarło. Rodzice oddawali chętnie chłopca do Sławuty pod opiekę dziadkom Gurowskim, tam też pod okiem babki spędził Seweryn większą część dzieciństwa i tam się przygotował do szkoły. Po krótkiej nauce w szkółkach elementarnych w Sławucie i w Zasławiu, oddano chłopca do szkół pijarskich w Międzyrzeczu Koreckim (1810), ale po roku odebrano go stamtąd, gdy ojciec dostał służbę na Podolu. Zanim się zdecydowano, gdzieby Seweryna dalej uczyć, zeszły trzy lata na bardzo niestarannej nauce domowej. Dopiero w r. 1814 chłopiec znalazł się w gimnazyum w Winnicy, a po roku (w zimie 1816) znowu z powodu przenosin ojca — w szkole bazyliańskiej w Humaniu. Przyjęto go w Humaniu w 15. roku życia do klasy drugiej. Wiek nieco spóźniony według naszych dzisiejszych pojęć, wówczas jednak dzieci naogół później zaczynały się uczyć.

W szkole humańskiej, bardzo renomowanej wśród szlachty z powodu rygoru i dobrych postępów młodzieży, kształcił się Goszczyński lat cztery. Spotkał się tam i węzłem przyjaźni na całe życie związał z Bohdanem Zaleskim, Józefem Mianowskim, Janem Krechowieckim, Michałem Grabowskim, Józefem Chrząszczewskim i in. Szkoła musiała istotnie być dobra, skoro młodzież, jak tego dowodzą nazwiska wymienione, dostawała się stąd na wyżyny życia intelektualnego. Z biografii ich wiemy, że już w klasie drugiej ten i ów poczynał marzyć o karyerze poety. Sprzyjały skłonnościom w tym kierunku

usiłowania nauczycieli wymowy i poezyi, dla których pisało się wypracowania literackie, nawet wierszowane.

Pobyt w szkole Humańskiej wpłynął decydująco na losy życia Goszczyńskiego: tu się określił kierunek jego ambicyi literackiej i charakter jego, jako przyszłego bojownika w interesie zbiorowości. Szkoła ta, pozostając pod wpływami Wilna i Krzemieńca, stała się — może mimo woli kierowników — wybitnem ogniskiem życia umysłowego ówczesnej Polski i wydawała na świat literatów oraz działaczy narodowych. Przedostawały się tutaj prądy literackie przez czasopisma wileńskie i warszawskie, przez stosunki osobiste młodzieży ze światem, przez książki wreszcie, jakie przywozili zamożniejsi — a za prądami literackimi przyszły powiewy natury politycznej, które dawały bogatą treść uczuciową marzeniom romantycznym. Wiadomości o związkach tajnych nastrajały lepszą młodzież konspiracyjnie, porozumienie tajemne wprowadziło do współżycia znamienne w tych czasach hasła wyboru i przyjaźni, a do stosunków szkolnych pierwiastek rewolucyjności.

Znaczny wpływ na literackie upodobania Goszczyńskiego wywarł stosunek z Zaleskim, który uzupełniał go charakterem i kulturą. G-i wszedł do szkół w stanie surowym; Zaleski miał staranniejsze wychowanie domowe, oswojony był z książkami. Tamten miał mięśnie, ten — nerwy, tamten energię, dzielność charakteru, ten — kobiecą wrażliwość i chwiejność.

Imponowali sobie wzajemnie i zamieniali się darami dusz swoich. Zaleski wprowadził G-o w świat literatury. Czytają razem „Iliadę“, tłumaczą Horacego, a jednocześnie studyują „Pa-

miętnik Warszawski“ i „Dziennik Wileński“. Przez naśladownictwo i emulacyę G-i pracuje nad rymem dopóty, aż spotyka go w szkole marzony tryumf, gdy przekład jego (drukowany później w „Dzien. Wil.“ w r. 1820) ody Horacego „Do przyjaciół“ zyskuje uznanie. Pod wpływem „Iliady“ zamierza pisać sam epopeę o Kościuszce (r. 1817), potem poemat „Sobieski pod Wiedniem“. Z książek, przeczytanych w Humaniu w porządku chronologicznym czyniły na G-m wrażenie powieści: „Gonzalw z Korduby“ i „Numa Pompiliusz“ (J. P. Claris de Florian), „Historya o Magellonie“, dzieło Buffona (w przekładzie Staszyca), pisarze z XVI. w.: Janicki i Orzechowski, „Nocy“ Edwarda Younga, Tymona Zaborowskiego „Dobremir i Aniela“, dzieła Łomonosowa. Tak było do r. 1818. Po wakacyach tego roku (klasa piąta) zajęcia literackie nabrały bardziej określonego charakteru. Przybyły do Humania przed wakacyami Michał Grabowski wiąże się teraz z Zaleskim i Goszczyńskim w tryumwirat: „Za-Go-Gra“. Jest już plan wydawnictwa peryodycznego, przybywa zacięcie publicystyczne w miarę wdrażania się młodych ludzi w ruch literacki bieżący.

Tryumwirat wczytuje się w organ Szubrawców wileńskich „Wiadomości brukowe“, w rozprawę Brodzińskiego „O klasyczności i romantyczności“, w przekład jego „Barratonu“ Ossyana, a wreszcie w głośną aferę literacką między Dyzmą Bończą Tomaszewskim, autorem „Jagiellonidy“, i Mickiewiczem, który „Uwagami“ nad tym poematem, ogłoszonymi w „Pamiętniku Warszawskim“, przyśpieszył rozłam obozów literackich, klasycznego i romantycznego. Cały tryb życia, nie tylko myślenia, tej grupy młodzieży przesiąknięty był ro-

mantyzmem: nauka, próby pisarskie, lektura, narady, wycieczki, zabawy, marzenia — wszystko miało na sobie piętno reformatorstwa starego sposobu myślenia i czucia, a odradzania życia. Był to czas szkolny sprzyjający wszechstronnemu rozwojowi umysłu. Nowe prądy szły nie tylko przez książkę, ogarniały całą istność. Książkowość znajdowała kompensatę w umiłowaniu przyrody, marzycielstwo — w hasłach jednoczenia się ze zbiorowością, nowiniarstwo w zwrocie do historyczności. Duch czasu nastrajał na wysoki ton romantyczny, ale utrzymywał dusze w równowadze, sprzyjał szybkiemu rozwojowi wszystkich władz ducha i, wysuwając na czoło zadania uczuć i woli, normalnie umysły organizował. Umysły, w tych warunkach puszczone na współzawodnictwo, mają wiele szans wydania z pośród siebie jednostek genialnych, jak się to stało z Mickiewiczem w Wilnie. Te znowu w takich czasach stają się naturalnymi wodzami pokolenia i, ze względu na wpływ, — jego współtwórcami.

Goszczyński w porównaniu z innymi romantykami tego pokolenia, znanymi w literaturze, tem się odrazu odznaczał, że z urodzenia i wychowania bliższy był ludu, niż inni. Pisarze nasi tego czasu pochodzili ze sfer starannie wychowanej inteligencyi, mniej lub więcej blizkiej najlepszym tradycyom kultury szlacheckiej. G-i nie dziedziczył we krwi żadnych predyspozycyi literackich; w atmosferę książek i sztuki wszedł dość późno, a upodobania poetyckie wchłonął z otoczenia nie tyle z naturalnego popędu, ile — rzec można — z karnego dla ducha czasu posłuchu, z tej dobrej a silnej woli, która była jego cechą najistotniejszą całe życie.

W literaturze umysły ówczesne widziały syntezę życia duchowego. Ona wyrównywała różnice między ideałem a rzeczywistością, odległości między życiem wewnętrznem w poezyi a życiem realnem w czynie, ona zbliżała młodych do przyrody, jako skarbniczki „duszy wszechświata“, przejawiającej się w poezyi. Stosunek ten do przyrody dzięki specyalnym warunkom szkoły humańskiej, zaakcentował się w życiu duchowem młodzieży literackiej bardzo wybitnie. Była tam Zofiówka, skupiająca z artystyczną intensywnością wszelkie powaby przyrody, znanej z Walter Scotta — istny poemat ziemi. G-i na Zofiówce uczył się poetyczności pod przewodnictwem egzaltowanego Zaleskiego. Ale, wychowany na łonie przyrody, miał poza sobą już z lat dziecinnych głębszą, niż Zaleski, jej znajomość. Miał więcej — znajomość ludu, który inni z książek poznawali, a nadewszystko — prawdy życia, którą tchnie rzeczywistość do duszy temu, kto się z nią styka bezpośrednio.

G-i daleki od konwencyonalności, surowy, gotów wszystko brać na próbę mięśni i uporu, traktujący wszystko poważnie — od dzieciństwa miał skłonność przerabiania spraw ducha na swoje wartości moralne. Było przeznaczeniem tego temperamentu, nawskroś czynnego, aby reprezentował w literaturze dążność moralno-społeczną do czynu i szorstkość bezpośrednio wyczuwanej prawdy.

Młodzież literacka w Humaniu za szybko żyła. Ramy szkolne stawały się jej za ciasne, rygor zbyt uciążliwy. Doszło między nią a prefektem Skibowskim do zatargu, który się skończył dobrowolnem opuszczeniem szkoły przez G-o i Zaleskiego. Grabowski już poprzednio to uczynił.

Goszczyński porzucił szkołę w zimie r. 1819, będąc w klasie V na kursie drugim (miał przed sobą jeszcze klasę szóstą). Na tem skończył edukacyę systematyczną. Wszystko, co potem zyskał z wiedzy, było dziełem samouctwa*). Ten brak wykształcenia podstawowego należy uwzględniać przy ocenie dzieł G-o, choćby dlatego, aby ocenić dostatecznie jego pracę samoistną nad sobą, która dała tak znakomite rezultaty.

Lata 1820—29 G-i spędził na Rusi z dwiema przerwami. W r. 1820—21 bawił w Warszawie, w r. 1828 podróżował z M. Grabowskim do Wiednia. Zresztą wędrował, jak człowiek bezdomny, między domami przyjaciół.

Po odzie Horacego, wydanej w „Dzienniku Wileńskim", pierwszym utworem drukowanym G-o („Wanda", 1821) była „Duma o Stefanie Czarnieckim", rozpoczynająca w niniejszem wydaniu dział powieści. Naśladował Niemcewicza, ale podzwania już struna własna. Wiatr, uderzający w lutnię, to reminiscencya Ossyana; z niego również wziął uderzające w późniejszych utworach zamiłowanie do ostrych kontrastów w grze cieniów i świateł, do złowieszczych krajobrazów z księżycem wśród chmur i czarnych, podłużnych cieniów północnych. Śladem nie tyle miłostek, ile mody literackiego sentymentalizmu salonowego są ówczesne sonety i tryolety, drukowane w „Wandzie". W latach 1823 — 24 zaczyna się zaznaczać w poezyach G-o właściwy charakter romantyczny. Dzieje się to pod wpływem poezyi Mickiewicza.

*) Młodość G-o od dzieciństwa do chwili wystąpienia ze szkoły szczegółowo opracowałem w studyum „Narodziny poety-romantyka". Ob. „Od romantyków do Kasprowicza". Lwów 1907. Tow. Wydawnicze, str. 8—91.

Podczas bytności w Warszawie (1820—21) G-i zaznajamia się pierwszy raz z Byronem, czyta Walter Scotta i Chateaubrianda (w przekładach); ale literatura nie wystarcza mu, rwie się do życia politycznego. Tutaj, w Warszawie, wstąpił do tajemnego związku Wolnych Braci Polaków, do chorągwi, noszącej miano Rejtana. Policya wpadła niebawem na trop tego związku. Stąd ukrywanie się G-o przez lat szereg. Zamierzał wprost z Warszawy udać się do Grecyi, aby tam wziąć udział w walce o wolność, ale z powodu braku środków zaniechał, będąc już w drodze do Odessy, dalszej podróży.

Po tej wycieczce czuł się w domu jeszcze gorzej. W domu była bieda, brak środków uniemożliwiał swobodę ruchów, a w dodatku ścigała go policya. Ojciec wiecznie poszukiwał posady, matka z ośmiorgiem dzieci chroniła się w ciasnem mieszkaniu, z łaski wypożyczonem. Nie miał w domu kąta, gdzieby się podziać z poezyami i dumaniami, a pokazywać się w dzień na dworze było niebezpiecznie. Całe miesiące mijały, jak więźniowi. Pracował w spiżarni przy świecy, a wychodził w nocy i błąkał się, słuchając „wiatru muzyki różnotonnej".

Z natury dobroduszny, napawa się żółcią i z powodu niedoli życiowej i — co ważniejsza — z mody literackiej. Wczytuje się w Ossyana, tłumaczy Jounga, przejmuje się rolą Tassa, poczyna patrzeć na świat oczyma Byrona. Czuje się samotny i skłócony ze światem.

Lata 1823—24 wskutek ciągle wykrywanych związków (w Humaniu i na wsi) są dla G-o pod tym względem najgorsze. Twórczość jego liryczna, szybko się wzmagająca, płynie dwoma nurtami: liryk, w których wynurza marzycielsko-

filozoficzną miłość swoją do przyrody, a z drugie strony liryk treści społeczno - politycznej. Znać już po r. 1822 wybitny wpływ Mickiewicza, liryki stają się programowo romantyczne. Znika regularność klasyczna wiersza; myśl, puszczona wolno na los nastroju i uczucia, wyraża się w wierszu rozczochranym. Dotąd stosunek G-o do przyrody sprowadzał się do biernego ulegania jej powabom, pod którymi jego „ja" poetyckie roztapiało się w nieokreślonej tęsknocie; teraz poeta staje przed nią, jako myśliciel, jako świadomość, mieszcząca w sobie centr świata przyrody. Najwybitniejszemi lirykami z tego czasu są — nieznane dotąd z wydań — „Ostatnia przechadzka" i „Noc w Zofiówce". W pierwszej z nich tak formułuje pogląd swój na przyrodę:

O, wy, dumni życia darem,
Nie zaprzeczajcie czucia istot reszcie:
W s z ę d z i e j e s t d u s z a, wszędzie życie — wierzcie!

a stosunek ludzki do przyrody:

> Szczęśliwy, czyje niezepsute serce
> Obcować z dzikiem przyrodzeniem zdoła!
> Szczęśliwy, kto potrafi na drobnej iskierce
> Unieść się między światów gorejące koła,
> Widzieć naturę, całym jaśniejącą blaskiem,
> W zwierciedle porannej łezki
> I pojąć wielki majestat niebieski
> W ruchu mrówki.....

Liryki polityczne G-o wyrażają ogólny nastrój rewolucyjny spisków, udzielający mu się przez związki tajne, a zaprawione są nadto goryczą osobistą z powodu prześladowań. Liryki, jakie nas doszły z r. 1824, pisane pokryjomu w spiżarni przy świecy, stanowią najjaskrawszy w literaturze polskiej wyraz rewolucyonizmu społeczno-politycznego: „Klątwa sumienia", „Modlitwa wol-

nego", „Rejtan", „Larwa niewoli", a zwłaszcza „Uczta Zemsty". G-i napomyka w pamiętniku, że krążyły w odpisach daleko dobitniejsze wiersze jego, piętnujące szlachtę, kler i rządy, ale zaginęły, oryginały zaś spalił ktoś z obawy.

W tych czasach G-i snuć począł pomysł „Zamku Kaniowskiego", wykończony w r. 1826 w Leszczynówce. Wątku do poematu zaczerpnął G-i z żywej tradycyi, z opowiadań ludzi starszych z pośród ludu, w które się wsłuchiwał jeszcze będąc uczniem w Humaniu; koloryt zaś i tendencyę dały poematowi wszystkie powyżej zaznaczone pierwiastki, składające się na samowiedzę artysty i człowieka, a więc rewolucyjne pojmowanie sprawy socyalnej, walterskottowskie poczucie natury i bajronowskie — człowieka. A w całym akcie twórczym wielkie znaczenie miał bodziec programowy czynienia przewrotu w literaturze, dający odwagę artystyczną. Dziełem tem G-i stworzył sobie odrazu wybitne miejsce w piśmiennictwie. O to miejsce dla niego walczyli z klasykami przyjaciele Mochnacki Maurycy i Grabowski Michał. Opinia literacka w Polsce zawrzała.*) Indywidualność poety zarysowała się energicznym konturem.

W zamku Kaniowskim G-i przetrawił po swojemu to, co w obcych poetach uderzało go jako nowość, potrafił wtopić w materyał historyczny przeżyte osobiście dzieje (Ksenia) i stworzył dzieło świeże, surowe w rysunku i w tonie, ale indywidualne, a w odróżnieniu od maszynowych wytworów intelektualistycznego estetyzmu klasycznego tem wybitne, że wprowadzające w grę namiętności, jako czynnik twórczy. Śmiałość

*) Ob. M. Mochnacki, Pisma, poraz pierwszy edycyą książkową objęte. Lwów, 1910 r. B. Połoniecki, od str. 179.

ogólnej kompozycyi i szczerość epizodów pokryła braki kultury artystycznej, które, owszem, wyróżniając dzieło, dodawały mu wdzięku oryginalności. Bo tej zalety nie umniejsza fakt naśladownictwa, gdy wzory cudze czynią przewrót w całej umysłowości poety i stają się przeżyciem na równi z życiem realnem.

Od innych poetów z wyższą kulturą artystyczną G-i odróżniał się nadewszystko brakiem wysubtelnionej wyobraźni wzrokowej. Malując obraz nie z bezpośrednich odczuć artystycznych, ale z wyobrażeń ogólnych, paru zaledwie zasadniczemi tonami, starał się wydobywać silne kontrasty, uderzające wyobraźnię czytelnika; wszystkie inne znaki i cieniowania obrazu G-i wypełnia pojęciami z dziedziny wyobraźni słuchowej i ruchowej, dającej żywszy obraz jedynie przy stałej personifikacyi przedmiotów opisywanych. Stąd zapewne pochodzi wrażenie Mochnackiego, że „Zamek Kaniowski" nie jest rzeczą malarską, ale raczej „res statuaria".

Wszystkie dzieła G-o cechuje pewna pierwotność wrażliwości estetycznej, nie zdolnej do przerabiania wrażeń na wartość artystyczną wzrokową, co w wyższej kulturze staje się niemal koniecznością. Ze wszystkich liryk od początku widać, że wyobraźnia G-o nie znajduje wyrazu na wzruszenie, dopóki nie skojarzy wrażenia z poczuciem wiatru, w którym jest i głos i ruch i wrażenie życia przyrody. Ten tryb odczuwania rzeczy, bliższy życia ustrojowego, jest, zdaje się, cechą kultur świeżych, nie zaprawionych do bezwiednego intelektualizowania odczuć w wyobraźni wzrokowej. Tem się tłumaczy w scenery i G-o częste używanie nocnego pejzażu, bo w nocy ucho jest panem sytuacyi, a ono dawało

G-mu największy zasób odczuć; dwubarwny zaś pejzaż księżycowy upraszcza pamiętanie obrazu, czyniąc go przytem fantastycznym i pełnym kontrastów, jak w schematycznych obrazach Ossyana.

Rok 1826 podczas pisania „Zamku Kaniowskiego“ należał, według zeznań samego poety, do bardzo ważnych w jego wykształceniu literackiem. Pracował w Leszczynówce pod Humaniem w domu przyjaciela, Jana Krechowieckiego. Tam obeznał się z literaturą angielską (Szekspir, Byron, Walter Scott, Moor), z polską (Mickiewicz, Malczewski). „Był to czas — pisał G-i w pamiętniku — w którym życie moje rozwijało się w pełności i wszechstronnie, jak nigdy, a nadto byłem szczęśliwy, jak nigdy. Wszystkie moje potrzeby materyalne i moralne miały ciągłe i zupełne zaspokojenie. W kwiecie wieku, pełen życia, zapału, nadziei i miłości, pływałem — że się tak wyrażę — w atmosferze życia i miłości. Na niczem mi nie zbywało, nawet na miłości kobiet. I nie zmarnowałem tego czasu, wyciągnąłem wielkie moralne korzyści z mego położenia, spieszyłem się bez zdawania sobie sprawy z mojego przeczucia, że czas ten przygotowuje mnie do jakiejś ważniejszej kolei życia i wkrótce przeminie.

„Najkorzystniejszy dla mnie stosunek był z Michałem Grabowskim, który mieszkał wtedy w swoim majątku Aleksandrówce (pow. Czehryński). Pierwszy on przyjechał do Leszczynówki. Była to dla mnie wielka radość; nie widziałem go od r. 1821, kiedyśmy się rozstali w Warszawie. Odnowiliśmy i podnieśliśmy nasz dawny szkolny stosunek. Wtedy utworzyliśmy we trzech ognisko literackie. Razem w Leszczynówce żyliśmy

w atmosferze literackiej, jedynej niezawodnie podówczas na Ukrainie. Rozdzieleni, żyliśmy przez listy, które ze strony Grabowskiego pełne były dowcipu, sądu, jaki rozwinął później w swoich pismach krytycznych".

W r. 1828 Grabowski, zmuszony udać się do Wiednia na operacyę, wziął ze sobą w tę podróż G-o. Poznał wtedy poeta nasz trochę świata, oglądał w Wiedniu zbiory sztuki, słuchał Paganiniego, ale, co najważniejsza, w drodze powrotnej poznał Kraków. „Kraków poruszył nas — pisze we wspomnieniach — i rozrzewnił niewypowiedzianie. Wspomnienie Wiednia nie gasiło jego wielkości pogrobowej". Trzy tygodnie przepędzili w Krakowie, byli na mogile Kościuszki (po czem pozostał ślad w poemaciku lirycznym) i na Warszawę wrócili do domu. W Warszawie zatrzymali się trzy tygodnie. „Były to dla mnie — wspomina G-i — dni wielkiej radości. Jestem znowu w tej Warszawie, którą przed siedmiu laty pożegnałem. Pełno wspomnień, pełno znajomych. Między innemi: Bohdan Zaleski, podówczas nauczyciel przy synu gen. Szembeka, Józef Chrząszczewski, pracujący w redakcyi „Monitora Warszawskiego" pod dyrekcyą Chłędowskiego, Antoni Chrząszczewski w artyleryi polnej. Przybyły nowe znajomości, a głównie Maurycy Mochnacki, Bogdan Jański i Michał Podczaszyński, wyjeżdżający właśnie do Paryża. Postąpiłem w sferze literackiej warszawskiej. „Zamek Kaniowski" wyszedł właśnie z druku i zrobił wrażenie. Znalazł stronników zapalonych i złośliwych przeciwników. Dmochowski Salezy puścił w obieg wierszyk przeciw niemu. Pamiętam dwie zwrotki:

Nad rozmową dwóch puszczyków
Dziwi się zgraja krytyków.

Obraz Szwaczki i Nebaby
Ma dla niej dziwne powaby;
A mistyczny pan Mochnacki
Dowiedzie w stylu mistrzowskim,
Ze przy tym Zamku Kaniowskim
Trembecki pójdzie pod placki.

„W rzeczy samej Mochnacki zaczął już grać rolę najważniejszą w krytyce polskiej. Miałem go za sobą“.

G-i powrócił do Warszawy na wiosnę r. 1830, zanim jednak to nastąpiło, przebywał na Ukrainie w domach przyjaciół. Podróże i ruchliwa korespondencya wiązały się z ciągłymi planami wydawniczymi. Koło Nowego Roku 1830 w Aleksandrówce powstała myśl założenia czasopisma w Warszawie, na co Grabowski ofiarował fundusz. G-i w celu zgromadzenia większego kapitału jeździł do Kijowa na kontrakty, naradzano się w Leszczynówce. Na tem zeszło do maja. Rocznicę 3 maja obchodzono w Aleksandrówce (zaznaczył ją poeta wierszem), a wkrótce potem nastąpił wyjazd do Warszawy — już bez powrotu do gniazda.

II.

(1830—1842).

Projekt wydawania czasopisma spełzł na niczem. Grabowski pokłócił się z całą kolonią literacką w Warszawie i opuścił stolicę, G-i pozostał i całą duszę oddał Warszawie. I znowu dwoma szlakami szła robota: literacka i polityczna. Ale ta druga bierze górę i porywa.

Zachęcony powodzeniem „Zamku“, przygotowuje dwa tomy poezyi do druku: w tomie pierwszym miały pójść poezye liryczne (już były ocenzurowane), w drugim — dwa poematy „Po-

lak w jasyrze“ i „Wernyhora“; te kończyć miał właśnie poeta. Ale wydanie to nie doszło do skutku. Fala robót politycznych zniosła te ambicye gdzieś w zapomnienie i rękopisy nawet zaginęły. Wolny czas trzeba było poświęcić na zarobek, trzeba się było podjąć pracy tłumacza w przedsiębiorstwie stereotypów, ale, co ważniejsza — co pochłaniało i czas i duszę całą — zaczęły się roboty spiskowe.

Przez Józefata Ostrowskiego, u którego mieszkał, G-i zawarł stosunek z Piotrem Wysockim. Wraz z L. Nabielakiem i Ksawerym Bronikowskim spotyka się z wojskowymi, planuje powstanie (na połowę października). Dalszy bieg spraw znany. G-i jest w rdzeniu całego ruchu, zarówno w czasie przygotowań, jak przy wybuchu pamiętnej nocy 29 listopada i w czasie działań wojennych. W niniejszych dziełach G-o mamy całkowity opis Nocy Listopadowej, który jednak jako źródło biograficzne traktować należy z oględnością, całe bowiem oświetlenie moralne rzucone jest na ten epizod życia ze stanowiska późniejszego (religijnego), ze stanowiska ekspiacyi za ziemskie traktowanie zadań w przeszłości. W tym to schyłkowym okresie w jednym z listów (r. 1873) G-i streszcza karyerę swoją wojskową w rewolucyi w tych krótkich słowach:

„Wojskowy mój zawód począł się 29 listopada 1830 r. Mianowany kapitanem przez jenerała Chłopickiego, dowodziłem drugą kompanią Gwardyi honorowej; po jej rozwiązaniu byłem jako ochotnik w korpusie jen. Dwernickiego; potem, wezwany przez jen. Morawskiego, naówczas ministra wojny, pełniłem przy jego boku obowiązki adjutanta przez cały czas trwania naszej walki. Otrzymałem dymisyę na kilka dni

przed wejściem do Prus, dokąd szedłem z korpusem jen. Rybińskiego"*).

Rewolucya użyła G-o jednocześnie jako poetę do niecenia w społeczeństwie zapału patryotycznego. Poezye jego, drukowane po czasopismach, wyszły w Warszawie w tomiku „Pobudka" nakładem ministerstwa wojny.

W dniu 8 września 1831 r. kozacy moskiewscy krążyli już po ulicach Warszawy, kiedy Goszczyński, zwlekający do ostatniej chwili, dostał się szczęśliwie do mostu praskiego, aby się połączyć z armią. Biła właśnie godzina 10 rano, gdy ruszano z Pragi, kierując się przez Jabłonnę i Nowy Dwór różnemi drogami, jak dymy z pogorzeliska gnane wiatrem wschodnim.

Jak wiadomo, plany dalszych działań nie były podówczas w Rządzie Narodowym i w wojsku zdecydowane. Ustępowano z Warszawy z nadzieją dalszej walki. Na radzie wojennej w Słupnie pod Płockiem 23 września odwróciła się ostatnia karta rewolucyi. Uchwalono większością głosów zakończenie walki, uznając ją za daremną. Można było w tym stanie rzeczy uniknąć sromotnego aktu poddania wojsk carowi jedynie przez wymarsz z granic Królestwa. Najbliżej było do Prus.

W papierach Goszczyńskiego jest ślad, że pod Płockiem podał się do dymisyi. Była to niewątpliwie protestacya przeciwko małoduszności władz naczelnych, a zwłaszcza ministra Morawskiego, który był za poddaniem się carowi i wysłaniem deputacyi do Petersburga, jak tego sobie życzył Paszkiewicz.

Co żyło rewolucyą, uchodziło na zachód. Za-

*) Z. Wasilewski. „Z życia poety romantycznego. Seweryn Goszczyński w Galicyi, 1910, str. 4.

łobny był to pochód, tem żałobniejszy, że dusze nurtowała bądź rozpacz, oparta na przeświadczeniu, iż wszystko stracone, bądź zgryzota sumienia zbiorowego, że nie dociągnęło się obowiązku do wymagań chwili; tem żałobniejszy, im hałaśliwszym i lekkomyślniejszym humorem pokrywano w szeregach prawdę z junakieryi, udanej tężyzny, a najbardziej — niestety — z płytkości ducha obywatelskiego.

Goszczyński trzymał się na uboczu od kompanii oficerskiej. Towarzyszami broni byli mu zawsze pobratymcy z ducha; a z tej sfery, gdzie właśnie poczynała się wszelka rewolucya czy zbrojna, czy literacka, widziało się rzeczy z wysoka, bardzo pogłębione. Towarzyszyli mu w podróży galicyanin Józef Tetmajer, z którym już miał ułożony plan osiedlenia się w Galicyi, ks. Puławski, z którym walczył również w szeregach na początku powstania, i paru innych co bliższych. W sferze tej rozpacz znana było tylko z literatury i to nieco dawniej — z Tassa, Byrona; w życiu widziano sprawy w twórczym biegu, nadawanym przez niezmożoną wolę ludzką, jak w „Odzie do młodości“: łam, czego rozum nie złamie, mierz siły na zamiary.

Zwłaszcza Goszczyńskiego nie opuszczała nigdy wiara w niezmożone ramię ludzkości: rewolucya wraz z upadkiem Warszawy była dla niego jeno jednym aktem sprawy nieskończonej. Ustępował niezłamany, ale bardzo smutny. Na granicy pruskiej, na noclegu w chacie włościańskiej, może już w Brodnicy podczas kwarantanny pięciodniowej napisał wiersz „Wyjście z Polski“, który wyraża, jak łkanie, jego smutek i żal za krajem.

W tym pierwszym utworze porewolucyjnym,

rozpoczynającym okres emigracyjny, mamy dokument nastroju, z jakim uchodziły z nieszczęśliwego terenu walki lepsze jednostki: dążą w świat daleki, ażeby stamtąd sprawę odrobić, wyjarzmić Polskę. Nie jest to jakieś oświadczenie obchodowe, które potem przez lat dziesiątki w każdą „listopadówkę“ odbijać się będzie niesłuchanem echem po zebraniach uroczystych. Goszczyński za nikim myśli tej nie powtarzał, on ją właśnie tworzył w drodze z placu boju. A poeta ten nie kłamał nigdy uczuć ani myśli, był to bowiem poeta szczery, dochodzący do koncepcyi drogą tak głębokich przeświadczeń, że każde takie przeświadczenie, rodzące się w jego dziewiczo prostej duszy, wzruszało go jako artystę, zniewalając do wypowiadania się w piśmie.

Był to człowiek mężny, panujący nad sytuacyą, pewny sił, dumny swą rolą, wierzący w swoją wartość nie z pychy osobistej, ale z obowiązku wierzenia w swoje pokolenie i w sztandar sprawy, który ono na nowo, jakby ze zbiorowej improwizacyi, wyniosło wysoko ponad głowy społeczeństwa. Oni to, ich gniazdo romantyczne, na poły literackie, na poły rycerskie, powiedzieli w rewolucyi ostatnie słowo, zaostrzyli myśl ruchu i nadając mu ideowo tło demokratyczne, unowożytnili; do nich należały rządy w opinii. Kampania przegrana, ale — wierzył w to Goszczyński — zacznie się nowa, z nowemi siłami, które trzeba przygotować, poruszając ku sprawie wszystkie warstwy narodu. Polska nie kończy się na Królestwie Kongresowem, ani na niem zaczyna. On wie, co się już robiło dla sprawy polskiej na Rusi i na Litwie; stamtąd od Humania i Wilna on i jego rówieśnicy przynieśli zarzewie tego ostatniego ideału nowej Polski, marzo-

nego bezkształtnie w szkolnych związkach tajnych, przeczuwanego w pierwszych poezyach.

Gdy jedni decydowali się napowrót do Królestwa, licząc na amnestyę, a drudzy podążali tłumnie do Francyi, Goszczyński kieruje się do Galicyi. Po kilku dniach kwarantanny wyruszają z Brodnicy pieszo: on, Józef Tetmajer, Bruno Kozłowski i Jan Nepomucen Janowski. Goszczyński przebyć ma granicą z Tetmajerem, który miał swój paszport, jako jego służący nazwiskiem Gacek.

G-i przebywał w Galicyi do r. 1838. Losy jego osobiste w tych latach wiążą się ściśle z dziejami polityczno-narodowemi Galicyi i z dziejami jej piśmiennictwa, a w tem, co działał, było wiele krwi i ducha narodu całego. Spędził on w Galicyi najlepsze lata życia, lata wieku dojrzałego. Był to szczytowy punkt jego wzlotu, najpełniejsze objęcie całokształtu dążeń narodowych w twórczości poetyckiej i w czynie, dźwigającym społeczeństwo z upadku. W osobie jego na terenie galicyjskim ziszcza się ideał ówczesny Polski bezkordonowej i jej pracy wewnętrznej, pracy podziemnej a górnej, na długą przyszłość obliczonej, pracy demokratycznej, wszystko na pozór od nowa poczynającej, a jednak historycznej, organizującej wszystkie klasy w jednoduszny naród.

Okres ten życia G-o lepiej jest stosunkowo znany z publikacyi historycznych i biograficznych, niema więc potrzeby w treściwem objaśnianiu, jakie ma na celu ta przedmowa, wdawać się w szczegóły. Istnieje z tego czasu fragment autobiografii poety w jego późniejszej książce „Dziennik podróży do Tatrów“ (lata 1832—33); krótki pamiętnik z lat 1832 do 1842

i listy ogłosiłem w książce „Z życia poety romantycznego“ (Lwów 1910); tam powołuję się też na inne źródła.

Skromny uczeń humański, poczynający swój żywot polityczny w źródełku marzeń poetyckich, ożywia ówczesne pokolenie galicyjskiego społeczeństwa, porusza — choć zawsze bezimienny i ścigany — wszystkie związki tajne od Giewontu po Lwów, a pracą swego wielkiego charakteru i hartownej woli pokonywa w kraju okres depresyi duchowej i reakcyi, jakie po upadku powstania nastały. Dzięki takim emigrantom, jak Goszczyński, źródła romantyzmu narodowego, gdzieś na Ukrainie otworzone, zasiliły schnący potok życia w Galicyi, umożliwiając jej dalszy rozwój polityczny przez wyrobienie Smolków, Grocholskich, Ziemiałkowskich i in.

Pomimo wysilonej pracy w stowarzyszeniach politycznych i ciągłego niepokoju, Goszczyński wiele pisał. Od wyjścia z Warszawy do chwili przełomu religijnego (1842) z pod jego pióra wyszło około 70 utworów lirycznych i poematów epicznych. Pozatem napisał w Galicyi „Sobótkę“, inne części „Kościeliska“, „Proroctwa ks. Marka“; powieści prozą (te już we Francyi): „Król zamczyska“, „Straszny strzelec“ i „Oda“, wielki poemat „Annę z Nadbrzeża“ (1840). W Galicyi przygotował materyał do wydanego później „Dziennika podróży do Tatrów“, a wreszcie pisał wiele rozpraw, artykułów politycznych, krytyk, satyr. W r. 1835 w „Powszechnym Pamiętniku Naukowym“ zamieścił obszerną rozprawę: „Nowa epoka poezyi polskiej“, przedmowę do wydawnictwa, cztery sprawozdania literackie z nowości, cztery artykuły krajoznawcze. W roku 1839—1841 w samym „Pszonce“ Goszczyński

ogłosił pamfletów satyrycznych i artykułów z górą 30. W innych czasopismach demokratycznych na emigracyi znalazło się nadto 10 jego rozpraw politycznych i literackich.

Najlepiej wykończonem dziełem poetyckiem G-o z tego czasu jest „Sobótka“, część większego poematu niedokończonego „Kościelisko“, z którego parę fragmentów innych w tym zbiorze podajemy. Z tychże czasów galicyjskich, ale w parę lat później od „Sobótki“ począł G-i pisać „Proroctwa ks. Marka“, umieszczone w tym zbiorze w końcu t. I. (rzecz znaleziona już po wydrukowaniu części pierwszej dzieł). Na pierwszy rzut oka widzimy różnicę nie tylko rodzaju pisarskiego, ale natchnień. „Sobótka“ pisana była jeszcze, jak „Zamek kaniowski“, pod wpływem Walter Scotta, „Proroctwa zaś zapewne pod wpływem „Dziadów“ Mickiewicza. Na ten zwrot w sposobie odczuwania ojczyzny należy zwrócić baczniejszą uwagę, bo tu zaczyna się nowy peryod poezyi polskiej, który można nazwać emigracyjnym ze względu na stanowisko duchowe poetów. Na ułamkach „Proroctw“ robić można studya w celu zbadania, jak rozrastała się dusza ówczesnego poety pod wpływem wypadków w kraju i oddalenia od miejsc rodzinnych, a zarazem jak łączyły się w jeden związek psychiczny pierwiastki poetyckie, znane z dawniejszych utworów (umiłowanie przyrody i religijny stosunek do wszechświata, pociąg do rodzimości i historycyzm, uczucie patryotyczne i demokratyczność) z rodzącym się na emigracyi podziwem dla Polski i mogilnym, acz nie beznadziejnym, żalem po upadku sprawy.

Na poezyi z tego czasu śledzić możemy głębię i naturę wezbranych wówczas uczuć narodu,

oraz falowanie wytrąconej z równowagi myśli. W takich chwilach chyba dopiero po wyjściu z kraju, na obczyźnie można skupić rozbitą świadomość rzeczy i dać wyraz artystyczny swojej samowiedzy. Potrzeba było wtedy czasu pewnego i oddalenia, albo szczególnych warunków, jakie miał Goszczyński, aby tłum wzruszeń i myśli po katastrofie dostatecznie zobjektywizować i widzieć obraz rzeczy, zwłaszcza poetycki. W kraju, jak zwykle po klęsce, była depresya umysłów, ciemność i bezruch woli, a co z tem idzie w parze, szukanie zewnętrznych środków zagłuszenia bólu. W Galicyi — jak pamiętniki świadczą — bawiono się, hulano, co mogłoby dowodzić nikczemności społeczeństwa, gdyby się nie wiedziało, jak tragiczne bywają powody bezradności i pustoty.

Nasi emigranci unosili z sobą w duszy, jak w arce przymierza, tajemnicę ducha narodowego — klucz poetycki, przy pomocy którego odcyfrowywać będą i formułować oniemiałą duszę narodu. Trzecia część „Dziadów" była pierwszą księgą tej nowej epoki życia duchowego (1832). Przeznaczeniem Mickiewicza było tworzyć nowe formuły, zaczynać epoki. On był jądrem tej wielkiej komety, która przeszła nad Europą w tym czasie, a zwała się emigracyą polską. Goszczyński „na Łomnicy" gorzał jako poeta światłem Mickiewicza, który był już w Paryżu. Tak samo było z początku twórczości jeszcze w Humaniu na Ukrainie, gdzie zapalały się talenty od mickiewiczowskiego światła w Wilnie.

G-i przebył tylko kordon, był między swemi, podczas gdy Mickiewicz pisał „Dziady" w Dreźnie. Ale i on był oddalony. Umiał zawsze w największym gwarze życia oddalać się w samotność

dla sztuki. Było w nim dwu ludzi: poeta i działacz praktyczny. Oddalił Goszczyńskiego od terenu katastrofy narodowej już sam wyjazd do Galicyi, ale najbardziej oddaliły go góry. Tego człowieka nizin, którego nęciła i porywała nowość i tajemniczość gór, Tatry poruszyły do głębi. Wyniósłszy poetę nad padół, ożywiły jego wyobraźnię w kierunku ogarniania całości nieskończonego widnokręgu — całości narodowej. Owo orłowe odbicie się od ziemi poruszyło przytem w tej nawskróś lirycznej naturze nostalgiczne uczucia. Pierwiastek ten odgrywa w poezyi emigracyjnej decydującą rolę, tu jednak napływ jego był nagły i wiązał się z obrazem realnym oddalenia. Wrażenie ustrojowe, doznane w Tatrach, musiało być głębokie, skoro Goszczyński pamięta je żywo i po przyjeździe do Lwowa w r. 1833 pod wpływem „Dziadów“ zużytkowuje je jak muzykę liryczną do „Proroctw ks. Marka“.

Goszczyński miał w sobie wszystkie elementy ks. Marka gotowe. Z „Podróży do Tatrów“ znamy jego nastroje oraz idee w górach, dyskretnie (pod cenzurą) opowiedziane. Z pieśni patryotycznych, ogłoszonych w r. 1831 w Warszawie, wiemy jak żywo niepokoiły jego wyobraźnię zagadnienia narodowe i polityczne. Z liryk jego, zwłaszcza z poematu „Noc w Zofijówce“ pamiętamy głos tej liry, na której w samotności i w rozmarzeniu wyśpiewywał tajemne rozmowy swoje ze światem i z duszą własną. Te same struny duszy brzmią tutaj, tylko tony głębsze i uroczystsze. Trudno dać wiary, że z tej skromnej liry ukraińskiej wydobyć można było tyle patosu uczuć narodowych, dantejskich widzeń i wieszczego gestu.

Dokonało się w tym momencie wielkie podniesienie ducha poetyckiego Polski.

G-i w tym okresie galicyjskim wyrobił się na działacza i pisarza politycznego z określonemi dążeniami, zawsze dotąd organicznie rozwijającemi się z zarodków, ujawnianych już w twórczości i działalności młodocianej. W zbiorze tym mamy niemal wszystkie jego pisma polityczne z tego okresu. Należy więc choć w paru słowach wyjaśnić ewolucyę jego poglądów demokratycznych i politycznych.

Patryotyzm był zasadniczem uczuciem społecznem pisarzy naszych romantycznych; z niego wyrastały dążenia ich polityczne i społeczne. Demokratyzm Goszczyńskiego, jako zasada polityczna, tutaj miał swoje korzenie. Poglądy i dążenia demokratyczne tego poety, manifestowane w poezyach od lat najmłodszych, tworzyły rys znamienny na jego obliczu, jaskrawo wyróżniający go z pośród rówieśnych. Syn proletaryuszów, zbliżony od dzieciństwa punktem obserwacyjnym do chłopskiego kąta widzenia spraw społecznych, porywany urokiem tradycyi ukraińskich, opiewających bunty chłopskie — odznaczał się w młodości radykalizmem społecznym, który był obcy innym spółczesnym pisarzom naszym. Dobitny wyraz poglądów jego rewolucyjnych widzieliśmy już w utworach z r. 1824. Ze swoich dążeń radykalnych, przypominających żywo wzory rewolucyi francuskiej, zasłynął Goszczyński w r. 1830, gdy „Nowa Polska“ ogłosiła jego „Modlitwę wolnego“ i „Ucztę zemsty“. Znalazłszy się w Galicyi, przeszedł do praktyki. Tutaj wybić się musiał moment polityczny działania. Organizowano całe społeczeństwo do nowej walki. Liczyć się trzeba było ze wszystkimi

żywiołami narodowymi, jakie się ku temu mniej lub więcej nadawały. Nad poglądami filozoficznymi, popędami humanitarno-społecznymi zagórowała jedna idea: stworzenia z narodu siły politycnej, przedewszystkiem zbrojnej, przeciwko wrogowi zewnętrznemu.

Emigranci w Galicyi, — werbownicy siły zbrojnej, agitatorzy rewolucyi, w świetle historycznem stoją przed nami dzisiaj jako organizatorowie całego społeczeństwa galicyjskiego, wynarodowianego przez lat dziesiątki umyślnym systemem polityki austryackiej. Goszczyński wybił się z pośród nich na czoło, jako twórca polskiej myśli politycznej i organizator opinii narodowej w najcięższej dla naszego narodu dobie.

Wyrabiał się stopniowo. W r. 1833, jak widzimy z pamiętników, nie umiał jeszcze ocenić krytycznie planu Zaliwskiego i całą swoją gorącość temperamentu oddał tej sprawie na usługi. Potrochu dojrzewała w nim myśl, zyskana doświadczeniem, że o zdobyciu niezawisłości nie można myśleć, zanim się całe społeczeństwo nieodbuduje od podstaw na nowych zasadach demokratycznych. Był jednym z tych w Polsce porozbiorowej, którzy hodowali z zarodka historycznego program polityki demokratyczno-narodowej.

Jak wyglądał w poezyi demokratyzm Goszczyńskiego? W r. 1835, zaczerpnąwszy tematu z motywów rynku krakowskiego, pisze w wierszu p. t. „Muzyka wojskowa“:

Słychać przygrywek do pieśni dziękczynnej
Dla wiosny polskiej, dla wiosny rodzinnej,
Że przez jej twórcze, dobroczynne dziwy
Na nowo polskie zmartwychwstają niwy...

Ucichło granie, bębny zawrzały —
I jakby jedna bojowa dusza

Weszła w tłum cały, pchnęła tłum cały:
Tłum cały krokiem bojowym rusza.

Jak się tu oprzeć tej żywej fali?
Porwany wspomnień i przeczuć szałem
Sercem i nogą jej się poddałem;
Płynąłem z tłumem duszą i ciałem –
Panowie w miejscu zostali...

Niewiara w panów odpowiadała zupełnemu zaufaniu poety do ludu:

Do mnie tu, bracie kowalu!
Do mnie tu, bracie góralu!
Do mnie tu, barki żelazne,
Serca wiary, boju pięście,
Oblicza, surowe cnotą,
Biednem odzieniem hołoto —
Przeszła wielkość, przyszłe szczęście!
Do mnie tu, ludu serdeczny!
Ja brat tobie, ja twój wieczny!
Stańmy, o, tak, bok przy boku,
Idźmy — o, tak — krok do kroku —
Tylko razem, tylko zgodnie,
A, gdzie nam trzeba, zajdziem niezawodnie!

I wiary tej Goszczyński nie tracił, pomimo najtrudniejszych warunków, jakie praca narodowa spotykała wśród prześladowań ze strony rządu, a wśród obojętności warstw, w niewoli nadpsutych lub niedojrzałych. W r. 1839, już na obczyźnie, wygłasza z tą samą brawurą „Pieśń wiary“:

Mało nas, bracia — nieliczny nasz chór,
Ale wielka w nas potęga,
Bo myśl ludu olbrzymiego,
Bo olbrzymia dusza jego
Nasze dusze w jedno sprzęga,
Dusze i ciała sprzęga w boży mur.

Szersze uzasadnienie haseł demokratycznych Goszczyńskiego znamy z powieści: „Król Zam-

czyska", „Straszny Strzelec", z „Dziennika Podróży do Tatrów", a zwłaszcza z artykułów, jakie ogłaszał później w r. 1842 w „Demokracie polskim". Całkowitego poglądu na sprawę socyalną Goszczyński nie miał, rozwiązania tej kwestyi nie kładł nigdy za cel działalności, podporządkowując ją całkowicie palącemu zadaniu wyjarzmienia Polski. Uzasadniając sympatyę swoją do ludu i swoje na niego nadzieje, wywodził zgodnie z poczuciem poetyckiem gminną zasadę wyższości duszy ludowej nad duchowością warstw wyższych. Dopóki szlachta w dawnej Polsce trzymała się bliżej ludu, dopóty była silną; utraciwszy w wiekach późniejszych dopływ żywotnych soków ludowych i przeciwstawiwszy się ludowi, stała się wrogiem demokracji i żywiołem wstecznym dla rozwoju narodowego. Lud jest źródłem wiedzy niezgłębionej. „W jego rozumie źródło rozumu narodowego. Nam nie jego uczyć, ale uczyć się od niego." (Ob. „Główny żywioł demokracji polskiej.)"

Poglądy filozoficzne i społeczne nie różniły go wielce z Towarzystwem; jak widzimy, po przybyciu do Paryża pisuje w jego czasopiśmie, nie krępowany w swoich zapatrywaniach. Zaznaczyły się wszakże różnice w zapatrywaniach co do działalności politycznej w kraju.

Między emigracyą a życiem kraju zawsze muszą istnieć nieporozumienia. Życie umysłowe w kraju ulega innym prawom psychicznym; w ogólnej wypadkowej dąży ono zawsze po jakiejś przekątnej praktycznej między teoryą a koniecznością życiową. Na emigracyi zaś doktryna ma wolne pole przed sobą i nie daje się łatwo korygować wskazaniami praktyki. Poza tą zasadniczą okolicznością istniały historyczne. Emi-

gracya polska trafiła w Paryżu na prądy rewolucyjne europejskie, które ją porwały swym urokiem i kombinacyami. Podczas gdy Goszczyński w Galicyi nie miał nic koło siebie krom sprawy polskiej i ludowej w zagadnieniach, narzucających mu się praktycznie do rozwiązania, — myśl polska na obczyźnie skalkulowała się z myślą ludów, która we Francji miała swe słońce.

W Paryżu główny podział między emigracyą dokonywał się odrazu na takiej podstawie: na kogo liczyć ma sprawa polska: na ludy, czy na rządy? Powstały dwa zasadnicze obozy; jedni wierzyli w miłość czynną ludów, drudzy w pomoc państw. Pierwsi byli demokratami, drudzy arystokratami. I było to zgodne całkowicie z psychiką emigracyjną wogóle, a z duchem czasu w szczególności. Zawiązane 17 marca 1832 r. Towarzystwo Demokratyczne orzekło wprost w manifeście z tej daty: „Przyszłość Polski zależy od przyszłości innych europejskich ludów. Ich to jest powinnością podnieść ją i zapewnić jej istnienie“.

Oczywiście owa pomoc ludów mogła być Polsce okazana w drodze rewolucyjnej; to też Tow. Demokr. z całą energią rozpoczęło walkę z arystokracyą, a na jej czele stojący ks. Czartoryski, jako wyznawca interwencyi dyplomatycznej u wrogich ludom rządów, stał się głównym celem pocisków. W. Heltman o złudzeniach demokracji z owego czasu pisał w lat kilka: „Rozumieliśmy, że misyą naszą jest przewodniczyć ludom w ich walce przeciw ujarzmieniu. I byliśmy gotowi przelać krew naszą za każdą wolności sprawę. Powiedzieliśmy więc sobie: przez ludzkość dla Polski.“

Otóż demokraci, którzy w kraju pozostali i tam

między ludem działali, — nie ulegli tym bałamutnym wyobrażeniom. Oni, trzeba to uznać, ocalili polską ideę demokratyczną od ciężkiej niemocy emigracyjnej i zguby. Wielka w tem zasługa przedewszystkiem Goszczyńskiego. Podczas gdy zawiązkowi Tow. demokratycznego groziło zagubienie się w kosmopolitycznych doktrynach socyalno-rewolucyjnych, gdy obóz przeciwny demokracyi czynił dyplomatyczne zabiegi o ratunek dla Polski, podczas gdy w druku i na zebraniach emigracyjnych toczyły się walki zacięte o wyższość tych lub owych doktryn — demokraci w kraju dorabiali się ciężkiem doświadczeniem jedynie zbawiennej zasady — liczenia na własne siły narodu.

Myśl, w kraju dojrzewająca, oddziaływała na emigracyę. Działo się w rezultacie odwrotnie, niż sobie na emigracyi zakładano. Tow. demokratyczne uznało się za organ kierowniczy wszelkich robót, dokonywanych w kraju w celu przygotowania nowego ruchu zbrojnego; wysyłano do Galicyi emisaryuszy, którzy mieli decydująco na bieg spraw wpływać; zaszczepiono z emigracyi organizacye spiskowe „Młodej Polski“ jako odłamu „Młodej Europy“: wszystkie te jednak usiłowania przybierały w kraju odmienną postać, zlewając się w jedno łożysko działalności praktycznej, zastosowanej wyłącznie do warunków realnych. Tow. zaś demokratyczne, wobec zmieniających się w Europie warunków, ostygało w uczuciach dla ludów i mimowoli, ulegając konieczności zachowania z krajem stosunków, poddawać się musiało wpływom demokracyi, działającej stale w kraju.

Dosyć porównać manifest Tow. demokratycznego z r. 1836 z pierwszym, z przed lat czte-

rech, aby spostrzedz, jak uzdrowiła się myśl polityczna na emigracyi, a zdziałała to wpływem swoim demokracya krajowa. Robota krajowa uzdrowiała umysły na emigracyi, nie zaś odwrotnie, jak się wydawało wówczas na emigracyi i potem historykom. W znacznej mierze było to dziełem G-o.

Okres życia, o którym mówimy, jest dla G-o dobą najwszechstronniejszego rozwoju literackiego. Oprócz poezyi i powieści oraz rozpraw politycznych napisał wtedy, jak widzimy, wiele szkiców, studyów i sprawozdań literackich. Sądy jego, jako krytyka, wiążą się również ściśle z podstawowem założeniem jego poglądów, a ten punkt wyjścia był zawsze narodowo-gminny. Poezja — według niego — przeznaczona z natury swojej do wyrażania istoty ducha narodowego, musi być, jak naród, związana z ziemią ojczystą. Im bliższe natchnienie gleby ojczystej, tem prawdziwsza jest poezya, prototypem więc poezyi literackiej jest pieśń gminna. Stąd krok jeden do kultu pieśni ludów słowiańskich, pobratymczych, a nie odgrodzonych cywilizacyą od naturalnych źródeł natchnienia. Jest w tem Brodziński, tem tłumaczą się słowianofilskie dążenia literackie Bielowskiego, Siemieńskiego i G-o we Lwowie. Na tem właśnie polegały demokratyczne tendencje romantyzmu, że lud był pośrednikiem w poezyi między „duszą świata“ a poetą. Poezya bowiem według filozoficznej teoryi G-o — jest żywiołem, rozlanym w przyrodzie, poeta zaś organem jej, przez Boga obranym. Łaski tej dostępuje człowiek, który umie wniknąć w duszę przyrody i współżyć z nią. „Utwory poetów — pisze G-i w „Nowej epoce poezyi polskiej“ — są nie indywidualnem uświęceniem indywidualnych

uczuć, ale wcieleniami boskich prawd, których mąż natchniony jest składem i częstokroć ślepem narzędziem.“ Pogląd ten narzucał się G-mu zabobonnie od najwcześniejszych liryk w młodości. Nie była to wiara przelotna; leżała ona na dnie ducha czasu, potwierdzała ją filozofia ówczesna i tylko na podstawie tego artykułu wiary romantyzm spopularyzował poezyę jako religię narodową, poetów uczynił kapłanami, wieszczami, przewodnikami narodu. Na gruncie realnym współżycia z narodem — w kraju — poezya tchnęła zdrowiem, odżywiała się bowiem istotnie ziemi i ludu tchnieniem, które jest życiodajne; na emigracyi duch, poezyą żywiony, wyrodniał, a wiara w duszę świata przeradzała się w sekciarstwo takie, jak Towianizm. Czekało to i G-o, na razie jednak, póki starczyło związku duchowego z ziemią ojczystą, i sam tworzył i cudze twory osądzał; mierzył zaś rzeczy według owego stosunku twórcy do ducha narodowego, tak właśnie pojmowanego. Stąd wiele sądów nazbyt surowych, stąd wiele nieporozumień w krytykach; dla studyów jednak nad epoką są to wynurzenia wielkiej wartości, odsłaniają bowiem umysłowość wieku wśród czynności teoretyczno-krytycznych, od której żadna epoka, nawet epoka „czucia i wiary“, nie jest wolna.

Przyszła chwila, której nie mógł już odroczyć G-i przy całej swojej odwadze, zaciętości i konspiratorskiej przebiegłości, — kiedy trzeba było opuścić Galicyę. Struna niebezpieczeństwa ze strony policyi Austryackiej nazbyt była naciągnięta. Z żalem opuścił Galicyę, kierując się do Francyi, gdzie znalazło już przytułek tylu towarzyszy powstania. W początkach sierpnia 1838 r. był już we Francyi.

Punktem oparcia mogło być dla niego Tow. demokratyczne, rezydujące wówczas w Poitiers. Miano go tam za swego, a jednak G-i trzymał się od Poitiers zdala. Memoryał, tutaj w dziełach jego ogłoszony, a zdający sprawę z doświadczeń, jakie w Galicyi poczynił na terenie sprawy politycznej, wiele w tym względzie wyjaśnia. Zawadziwszy tylko o Paryż, przenosi się w r. 1839 do Neilly nad Marną i wchodzi do redakcyi wydawanego w Strasburgu „Pszonki". Tutaj wyszły dwa tomiki „Trzech strun", w których, uwolniwszy się od cenzury austryjackiej, nareszcie mógł ogłosić poezye treści patryotycznej, tutaj pisze cały szereg satyrycznych artykułów do „Pszonki", biorąc w ten sposób bardzo żywy udział w życiu politycznem emigracyi. Nikt, nawet sam Goszczyński, nie przeczuwał, że zbliża się koniec jego twórczości na podstawach założonych w młodości, koniec realnej, świeckiej pracy; tworzył w przyspieszonym tempie, coraz wprawniej, zmuszony do wysiłku pisarskiego potrzebą zarobkowania. Na obcej już ziemi między 1839 a 1842 r. napisał szereg powieści, mnóstwo rozpraw politycznych („Pszonka", „Demokrata polski").

I wtem, wśród tej pracy ożywionej, gdy już osiadł w Paryżu, coś zawiodło w hartownej organizacyi; dążące dotąd po prostej linii istnienie zachwiało się, straciło przyciąganie do ziemi i oderwało się od świata realnego.

III.

(1842—1876).

W r. 1842 nastąpił całkowity przełom w umysłowości G-o. Stało się to za sprawą nauki Towiańskiego, której się oddał za namową Mickie-

wicza. Zasłyszał o tej nauce, gdy pracował w „Pszonce“, jeszcze jako umysł realny, szydzący z mistycyzmu. Ale widocznie pierwotny, religijny z natury umysł poety poczuł w niej powiew owej „duszy świata“, która w kraju dawała mu się czuć jako mowa ducha ziemi ojczystej, bo, porwawszy się do Paryża, studyuje nową naukę, aby w niej znaleźć lekarstwo na rodzącą się chorobę duszy.

Jeszcze przed wstąpieniem do koła Towiańskiego pisze w modlitwie: „Boże, Ty wiesz najlepiej czego mi potrzeba. W to wierzę. Ale oto jestem samotny, opuszczony, biedny, bez rodziny, bez serdecznych przyjaciół, bez wsparcia od ludzi, bez pociech ziemskich... Do kogóż mam się udać w tym ucisku, jeżeli nie do ciebie?“...

Mamy w tym urywku wyjaśnienie całego zwrotu. Dla natur budowy etycznej i tak czynnych, jak G-i, stawało się wprost potrzebą psychiczną znalezienie nowego świata na miejsce utraconej Ojczyzny, świata, któremuby cała dusza nadal służyć mogła. On tę duszę żywił swoim stosunkiem służebnym do narodu; stamtąd miał podniety, inspiracye, czar życia. Był człowiekiem zdrowym ustrojowo i społecznie; jak widzieliśmy, przyroda—lud naród były mu glebą, z której wyrastał, a w której elementów tych nie umiałby rozgraniczyć, tak zlewały się w jeden żywioł władającego nim środowiska. Nie mogło mu tego środowiska zastąpić życie polityczne i towarzyskie na emigracyi. Musiał szukać dla siebie żywiołu. Mickiewicz, duch od niego kompletniejszy, ale podobny w budowie, też męczył się i szukał koło siebie żywiołu narodowego, ratował się odtwarzaniem artystycznem

kraju (w „Panu Tadeuszu“); Goszczyński, skarżąc się przed Bogiem, był mniej intuicyjny, wymieniał bezpośrednie ludzkie bóle: czuł, że jest samotny, opuszczony, bez rodziny, przyjaciół; ale tak samo wszystek żal duszy streszczał się w jednem: „bez Ojczyzny“.

Dusza zbyt żywotna, aby jej wystarczał emigracyjny surogat życia, utraciwszy łączność z ziemią, wypadła z orbity. Dla dusz typu religijnego, a uczuciowo-czynnego, nałamanych do czynienia ofiary ze swojej osobowości na rzecz życia szerszego, gdy tak wypadną z orbity, pozostaje służba bezpośrednia na rzecz „duszy świata“, dokonywana „w duchu“. W taką służbę dla „Sprawy Bożej“ oddał się G-i.

Moralną miarą (nie wyobrażeniową) wielkości Boga jest własna małość. Zasadniczą więc pracą dążeń do uzupełnienia się w uniwersalności Bogiem jest wyzbywanie się wszystkiego, co było zasadą wielkości człowieka na ziemi, jest przekreślanie wszystkiego, co było jego dziełem doczesnem, jego pychą, chwałą u ludzi, ambicyą ziemską, pojmowaniem spraw życia jako cyklu, zamkniętego w sobie.

Z tego stanowiska uniwersalizmu religijnego nie tylko człowiek, ale naród sam jest jedynie przejawem myśli bożej. To też teoretycznie i misya narodu inaczej stąd się przedstawia; ma on, tak jak i człowiek, do spełnienia jedno zadanie: dojść do harmonii z duchem bożym w drodze ofiary.

Potrzeba to było w paru słowach zaznaczyć, aby wyjaśnić radykalny zwrot u G-o, tak uderzający w jego pismach, podanych w naszym zbiorze na końcu poezyi lirycznych i w dziale prozy „Po przełomie religijno-moralnym“. Z tego

punktu widzenia zadań — wszystko odwraca się na opak. To, co było w młodości i wieku dojrzałym ambicyą i dumą G-o, tutaj staje się przyczyną skruchy, żalu i pokuty. „Noc Belwederska“ jest spowiedzią korzącego się grzesznika; „Posłanie do Polski“ jest psalmem pokutnym, hymnem człowieka nawróconego.

W tych warunkach, wbrew późniejszym teoryom Towiańskiego, pieśń staje się słowem tak odzmysłowionem, że o sztuce nie może być mowy. Przechodzi ona do dziedziny „czynów wewnętrznych“, gdy naturą sztuki jest wyjawianie duszy w mowie zmysłów. Tem się tłumaczy w takim okresie wogóle zanik poezyi.

G-i pozostał Towiańczykiem do końca życia. Zajmował w Kole Braci wybitne stanowisko, pewien czas jako zastępca mistrza, kiedy Mickiewicz odstąpił od niego, wyjeżdżając do Rzymu. Trzydzieści przeszło lat końcowych (od 1842) spędził poza światem interesów realnych, a jednak któż pokaże duszę człowieka światowego, którąby tyle przez ten czas się napracowała wewnętrznie, którąby miała tyle przeświadczenia, że dokonywa dobrej dla ludzkości sprawy?

Było to ciekawe zjawisko psychologiczne — ten Goszczyński w Paryżu, jako asceta i biczownik. Organizm bujny i zmysłowy, „hajdamaka“ z małą kulturą dziedziczną, uczynił z nauki mistrza kult religijny i trawił się w samoudręczeniu i mistycyzmie. Ks. Z. Feliński, który go widział około r. 1848, tak o nim pisze:

„W życiu nie spotkałem człowieka, którego powierzchowność w tak rażącej zostawałaby sprzeczności z zewnętrznem usposobieniem duszy. Goszczyński nie tylko nie wyglądał na poetę, ale nawet nie miał miny porządnego ekonoma;

co najwięcej wziąćby go można za gumiennego, tak pospolitą miał postać. Średniego wzrostu, średniej tuszy, bez zarostu, a mocno ospowaty, przytem mało i chłodno mówiący, robił przy pierwszem spotkaniu tak niekorzystne wrażenie, że chciało się podejrzywać gospodarza (Karola Sienkiewicza) o jakąś żartobliwą mistyfikacyę. A jednak była to dusza prawdziwie poetyczna i charakter równie dzielny, jak szlachetny...“

Trudno nie podziwiać jego charakteru, kiedy się pomyśli, że ten romantyk całe życie spędził w niesłychanej nędzy. Najspokojniejsze z ostatnich kilkudziesięciu lat życia były dla niego lata 1872—76, spędzone we Lwowie, dokąd go, już starca, przyjaciele siłą niemal sprowadzili. Przedtem dni jego były pasmem trosk o kawałek chleba w dosłownem znaczeniu. Aby uprzytomnić sobie to życie Goszczyńskiego, przyjrzyjmy się notatkom, które do pamiętnika kreślił. W roku 1854 pod. d. 20. maja czytamy: „Wpadłem znowu w bardzo ciężki niedostatek. Od 9 miesięcy muszę się obywać żołdem (pobierał niewielki żołd od rządu francuskiego.) Zrobiłem wiele długów. Obietnice mnie zawodzą, stosunki z księgarzami w kraju przerwane, tu zarobek prawie niepodobny. Nie mam, jak łaskę Bożą; jeżeli ona mnie nie wesprze, bieda moja przyjdzie do ostateczności... Myśl rozbita, ciało ociężałe, pióro z ręki wypada...“

Pod. d. 22. lipca: „Od kilku dni żyję znowu chlebem i wodą; wczoraj wydałem ostatnie 3 grosze, dziś jestem bez grosza, bez nadziei pożyczenia, dostania gdziekolwiek. Nie wiem, co dzisiaj będę jadł. U braci (Towiańczyków) żadnego ratunku — jedni nie mogą, drudzy niechętni. Oto wielka część mojego życia we Fran-

cyi, największa od czasu, kiedy wszedłem do Sprawy Bożej, kiedym zrobił rozbrat ze światem. Nie mam siły do pracy, mogę tylko modlić się. Praca w tym stanie jest niepodobna; już to nie troska pogańska o przyszłość pochłania wszystkie myśli inne, ale cierpienie z głodu obecnego, — osłabienie ciała odejmuje wszelką władzę. Piszę to ot tak, aby tylko coś pisać, coś robić. Boże, zlituj się nademną!"

Nazajutrz: „...Jestem spokojny, swobodny, silny, chociaż wczoraj nie jadłem, jak koło wieczora kawałek chleba... Po tej próbie czuję, że człowieka osłabia nie liche jedzenie, — ale brak rezygnacyi, — ale smutek, że nie ma, coby zwyczajnie mieć powinien... Cały dzień pracowałem nad „Bogarodzicą"...

W roku 1855, w maju, Goszczyński zapisuje: „Cały dzień zeszedł na szyciu chustek ze starej koszuli; podklejałem kapelusz zużyty, naprawiałem trzewiki... Zresztą czułem się na duchu bardzo dobrze". Skądinąd wiemy o głodzie, jakiego Goszczyński doznawał podczas oblężenia Paryża w r. 1870; nie mógł już wówczas nawet skreślić notatki do pamiętnika — blizki był śmierci. Pod d. 18. października zanotował jeszcze g. $9^1/_2$: „Silna kanonada od południo-wschodu". Nazajutrz wieczorem — to samo, „strzały co kilka sekund", do godz. $11^1/_2$ w ciągu pół godziny naliczył tych strzałów 150. Potem już niema notatek, zabłąkała się tylko luźna uwaga: „Nie boję się bomby pruskiej. Dla mnie każdy dzień jest, jak bomba — może mnie zabić głodem".

Gdyby nie Agaton Giller, który go uratował w r. 1872, byłoby się na tem skończyło: poeta nasz zginąłby z głodu. W d. 8. kwietnia Go-

szczyński sprzedał swoje ruchomości za... 35 fr. i wyjechał do Lwowa.

Jakby na powetowanie przebytych dni głodu, w Krakowie powitano go ucztą wspaniałą; uczt tych poświęcano mu potem nie mało, a na nich wygłaszano wiele mów w imieniu narodu. Zmarł we Lwowie 25. lutego 1876 r.

Tyle o autorze tych pism. Co do wydawnictwa samego nadmienię, że zebrałem w niem — z małymi wyjątkami — wszystko, co się dało odszukać z puścizny G-o. W porównaniu z najpełniejszem dotychczas wydaniem lipskiem z roku 1870 zbiór niniejszy jest trzy razy większy. Samych liryk podaję 154. W nich znaczna część była nieznana lub w odmiennej podawana redakcyi. Najmniej zmieniło się w dziale powieści. Pierwszy raz wcielone są do wydania: „Dziennik podróży do Tatrów“, wszystkie pisma literacko-krytyczne, polityczne, satyry i moralno-religijne. Na końcu zbioru podaję chronologię twórczości poety z adnotacyami, aby uzupełnić niniejszą przedmowę i dać bibliografii perspektywę historyczną. Pominąłem w tym zbiorze większe przekłady, dalej to, co nie miało przeznaczenia druku, jak urywki pamiętnika, listy, notaty, wreszcie drobniejsze artykuliki z czasopism.

Całość zbioru — pomimo usterki, jakie się w nim znajdą — posiada dla piśmiennictwa wartość niepospolitą: i jako lektura, i jako materyał historyczny. Na rzut oka widać w tej księdze, że wyłoniła się z mroku dziejowego nowa postać, jakby wyłamany z pokładów skalnych wielki blok człowieka, odmienny od posążku,

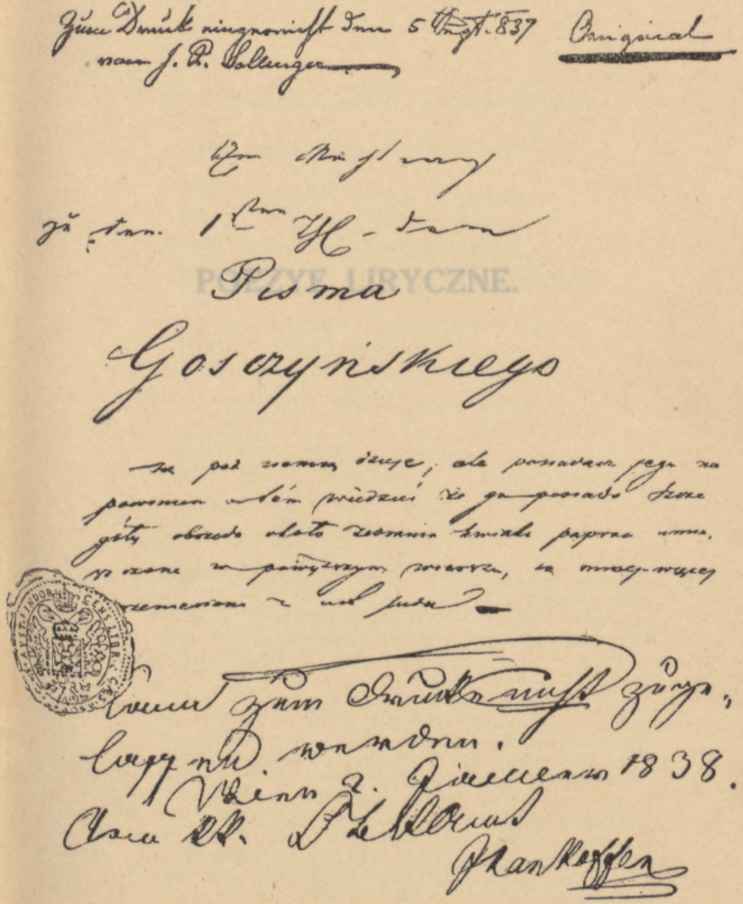
w jakim wyobrażaliśmy G-o na podstawie jedynie „Zamku Kaniowskiego“ i „Sobótki“.

Mamy przed sobą od stóp do głowy całego człowieka: wrośniętego w ziemię, z głową w obłoku, z atletycznymi ramionami, ale z tragicznem wejrzeniem siwych oczu:

> Syn rodzony swego ludu
> I przez wspólność pochodzenia,
> I przez spólne przeznaczenia,
> I przez spólne zawinienia...

Zygmunt Wasilewski.

Lwów, listopad 1910.



Zum Druck eingereicht den 5 Aug. 1837 Original
von J. P. Sollinger

Pisma
Goszczyńskiego

Wien 21. Jänner 1838.

Cenzura austryacka w r. 1838.

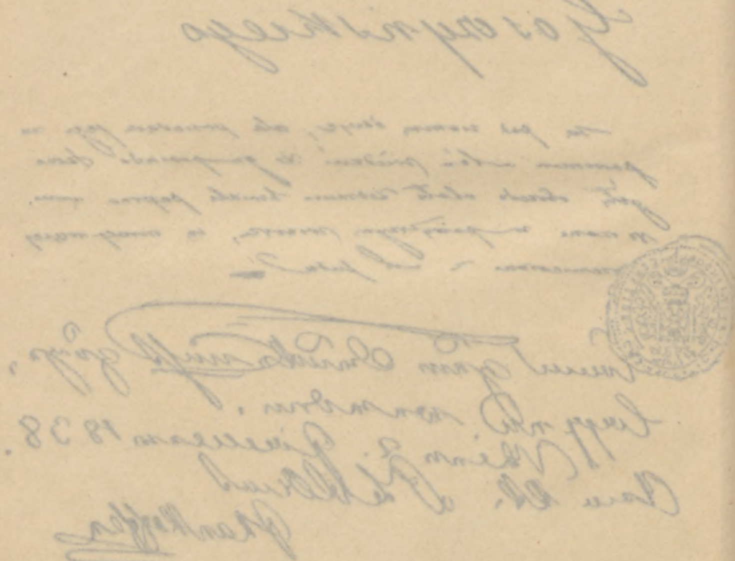
w jakim wyobrażaliśmy G-o na podstawie jedynie „Zamku Kaniowskiego" i „Sobótki".

Mamy przed sobą od stóp do głowy całego człowieka, wysmukłego i silnego, z głową wysoko, z mistycznymi ramionami, z wnętrznem wejrzeniem siwych oczu:

> Syn rodzony swego ludu
> I przez wspólność pochodzenia,
> I przez spólne przeznaczenia,
> I przez spólne zawinienia.

Zygmunt Wasilewski

Lwów, listopad 1910.



Cenzura austryacka w r. 1838.

POEZYE LIRYCZNE.

1. CZASY MŁODOŚCI (1818—1829).

DO MŁODEGO POETY.[1]

Śmiało, śmiało, młody wieszczu,
Skoro w harmonijnym dreszczu
Gra dusza twoja pod geniusza dłonią,
I struny dźwiękiem własnej duszy dzwonią!

Byleś do tonów twej duszy
Struny poezyi nastroił —
Granie ich echa niebieskie poruszy,
Niebieskiem echem będziesz ziemię poił.[2]

Jest u nas ptak tajemniczy:
Pióro anioła dziedziczy.
Po takiem piórze w ranne jego pienia
Hymnów anielskich zlewają się brzmienia.[3]

---

[1]) Liryki, podane tutaj na czele zbioru, mają znaczenie programowe dla ówczesnej epoki. Należy je czytać z zainteresowaniem historycznem, jako proklamacye ducha romantycznego. Wiersz niniejszy (napisany r. 1826, ogłoszony jednak po raz pierwszy r. 1837 w „Słowianinie" Jaszowskiego) narzuca się do porównania z „Romantycznością" Mickiewicza.

[2]) Żeby zrozumieć motywy tych pojęć, przeczytać należy poniżej w dziale prozy rozprawę „Nowa epoka poezyi polskiej" (z roku 1835). „Poezya — czytamy tam — jest to strefa niewidzialna pomiędzy materyą a duchem... poezya jest żywioł istoty anielskiej, rozlany we wszystkiem, co wyszło z rąk Stwórcy... Twórcza mądrość obmyśliła przewodników moralnemu płynowi poezyi — stworzyła poetów. W poetę przeto wpływają niejako myśli wszystkich istot tak organicznych, jak i nieorganicznych... dusza poety porozumiewa się bezpośrednio z ich duszami. Siłę, za pomocą której poeta wydobywa z łona przyrody poezyę — zowiemy natchnieniem".

[3]) W wierzeniach ludu polskiego i rosyjskiego rozpowszechniony jest motyw tajemnego porozumienia się ptaków z aniołami. Gdy cherubiny (lub koguty rajskie) zatrzepocą na zaraniu skrzydłami, na ziemi pieją koguty.

Zatop się w twoje uczucie,
A będziesz, jako ci ptacy,
A Przedwiecznego anielscy śpiewacy
Ziemskiemu sercu ozwą się w twej nucie.

Utoń w sobie, obejm siebie —
Nic w tobie nie jest powszedniém;
Ty cząstka bóstwa, tyś Bóg w twojem niebie,
I świat przed tobą odkryty, jak przed nim,

I taki wielki, jak przed nim.
Jedna uczuć iskiereczka
Świat w sobie nosi, jak niebios gwiazdeczka;
Wszystko w tobie jest wielkiem — nic nie jest
powszedniém.

1826.

ORZEŁ.

Wrzały burzą niebios głębie.
Na strzaskanym od burz dębie
Król ptaków się dąsał.
Patrzałem:
Wokoło niego chmury, kłąb przy kłębie,
Wrony i kruki, nawał za nawałem
Widziałem.
On tylko skrzydła zjeżone potrząsał.
Naraz ujrzałem: —
Przez wrony i chmury
Pada promień z góry
Na ptaków króla...
Niebieskiem światłem oczy mu olśnęły,
Niebieskim wiatrem skrzydła się rozdęły —
Wrony się zbiły, chmura się stula,
A on, na krzyżu skrzydeł rozpięty,
Przez wron chmury i chmur męty,
Po jasnym niebios promieniu
Dąży ku nieba sklepieniu.
Wrzawa i grzmoty wrą wkoło niego —
On się nie puszcza szlaku swojego.

A ziemia coraz niżej,
A niebo coraz bliżej.
I ot — pod orłem już chmury,
Pod orłem wrzaskliwe chóry.
Patrzałem, słuchałem —
A na podniebiu całem
Cisza i jasność. Orzeł w słońcu zginął...
Jeden śpiew tylko na ziemię spłynął:
Śpiew to zwycięzki w orlej dziedzinie.
Tylko w mojego ducha głębinie,
Jak echem śpiewu, zadrżałem.
To echo ducha na orła śpiewanie;
I, jak zabrzmiało, tak brzmi nieprzerwanie.
Gdy mię chór troski zagłuszy,
Ono budzi letarg duszy,
I w ślad orli w orle kraje
Nieść mię nie przestaje.

1827.

POWOŁANIE.[1]

Na toż się wznoszą geniusze
W bytu, w życia zawierusze,
Aby, błysnąwszy kometą,
Zagasły potem bez śladu?
Możnaż, aby twórca ładu
Bezcelną zamknął je metą?
Oneż się tylko marnie zatracą
Tutaj, gdzie pyłek jest świata ogniwem,
Z całą wieków pracą,
Z plemion podziwem?
„Chwała mądrości i cnocie!
Hańba złemu i ciemnocie!“ —
Zawoła szkielet przeszłości,
Groźny stróż, anioł mądrości,

[1]) Wiersz ten nosił w paru wydaniach zbiorowych tytuł: „Przeznaczenie geniusza“, albo „Powołanie geniusza“.

Zwracamy uwagę, że zarówno wiersz ten, jak wiele następnych, podajemy w formie odmiennej od dotychczasowych wydań, mianowicie uwzględniamy poprawki, jakie w nich poczynił poeta (po r. 1870) do nowego wydania, którego nie doczekał się. W dodatku, na końcu, znajdują się teksty w redakcyi pierwotnej.

Wielki prorok z doświadczenia,
Który nad wieków prochami
Liczy chwile kolejami
Bytu i zniszczenia.
Kto obecność pojąć pragnie,
Ku przeszłości ducha nagnie;
Ledwo drobny świat człowieka
Zaczął swój obrot w światów kołowrocie,
Lubo ożywiony bóstwem,
Już, obłąkany w ciemnocie,
Od wytkniętych dróg z daleka,
Zachwiał się pod złego mnóstwem!
Przecknęła mądrość w twórcy osobie
I spostrzegła, że duszy potrzebne jest wsparcie,
I tchnęła z boskich piersi, i geniusz w tej dobie
Do świata duszy wstąpił otwarcie.
I odtąd, wiek po wieku,
Gdy pod nocą tego świata
Promienie bóstwa ciemnieją w człowieku,
I ciało duszę ugniata —
Wcielony geniusz zlata
I, zapaśnik ludzkości, ludzkości imieniem
Walczy z nocą i spodleniem,
Aż wrogów duszy obali!
A świat pomyka się dalej;
Chwała wam, męże, wyższego natchnienia,
Że dusza żyje przez wasze zjawienia,
Jak biciem krwi ciało żyje —
Że przez was, wśród tego cienia,
Zegar mądrości idzie i bije!

1827.

BŁĘDY GENIUSZU.

Czy skrzeczy rozum poziomy,
Czy szydzi zawiść złośliwa,[1]
Zdaj się na ducha, który cię porywa,
A ten przeniesie nad bezdna i stromy![2]

---

1) Reminiscencya podobnie zaczętej liryki Puszkina.
2) Otchłanie i urwiska.

Zdanie prostego czucia niechybkie,
Święta klątwa na duszy bezstronnej sumienie;
Duszy daj wiarę: twoje dzikie pienie
Przeniosło ją w niebios kolébkę;
Dotknij czucia: jak zadrżało!
W płomieniach twego zapału
Słońce rodzinne jemu zajaśniało,
Niepomału, niepomału!
Zostaw chętnie zawiści, kiedy jej z tem błogo
Krążyć bitą, ziemską drogą.
Ani czcza bojaźń obłędu
Niechaj nie ciąży w geniuszu polocie;
Sam obłęd jego zapędu
Rozpromieni wieków krocie,
Kiedy rozumy płaskiego rzędu
Zagasną w pyle i pocie.
Wzbijaj się, wielki poeto,
Z poddaniem twemu natchnieniu,
Z pełną wiarą w jego mocy,
Zawsze po duszy promieniu:
On cię łączy z twoją metą.
Jeszcze krok na twej drodze, już tam niema nocy.[1]

LUTNIA SURY.[2]

W przestrzeni, co granic nie ma
Siedzi na wieków stolicy
Sura w szatach z błyskawicy,
A na łonie lutnię trzyma
I przygrywa.

A na czarodziejskie tony
Dźwiga się ruch nieznużony,
Życie wiecznością przepływa —
A pod majestatem
Duchy światów, duch za duchem,
Niepomieszanym, niewstrzymanym ruchem
Przetaczają świat za światem,

[1]) Porów. wyżej 1 i 2 przypisek do wiersza „Do młodego poety"
[2]) Myśl podań perskich. *(P. P.)*

Wiek po wieku, ród po rodzie,
W harmonijnym krążą chodzie:
Bo muzyka Sury
Wiecznością i życiem natury.
Niechże na chwilę ustanie,
Wnet ustanie życie świata,
A cichość i noc lodowata
Zalegną mętne otchłanie.
I strun nie ma lutnia Sury,
Lecz, kiedy słońce słońców przytoczy się ku niej,
Ona ją wtedy podnosi do góry,
Aż promieniami jego się ostruni.[1]
Wy, co, bezstrunną lutnią obdarzeni,
Chcecie nam przesłać dźwięk wyższych pieni,
Choć harmonijne natchnienia słońce
Nie rozpromienia waszych dusz strunami —
Przestańcie walczyć z martwemi tonami,
Rzućcie narzędzia, niezgodnie brzęczące.
Żelazna struna próżno się porusza,
Wasza łza zimno po sercu przepłynie,
Wasz uśmiech szczery nasze usta minie;
Ani wasz smutek rozczuli,
Ani pociecha utuli,
Bo duszy świata potrzebuje dusza.

1827.

DO NADZIEI.

Tchnienia twoje rajem wieją,
I na klęczkach ciebie witam,
Ale, skądeś rodem, pytam:
Z raju — czy z piekła, nadziejo!
Zaczarowanych ogrodów tyś pani,
I, gdybyś czasem nie zaszła nas z niemi,
Biedni tułacze obiecanej ziemi
Legliby, piaskiem pustyń zasypani.
I me łzy k'tobie goreją,
I ogniem ich ciebie witam,

[1]) Lutnia pozyska struny z promieni słońca.

Ale wątpię, ale pytam,
Skąd jesteś rodem, nadziejo!
Rozpacz wybucha z moich ran tysiąca,
I ot, zjawiasz się, zdrowiem się mi śmiejesz, —
Już ci ślę dzięki... ty się cofasz, mglejesz,
I nagle znikasz mi z oczu, szydząca!
Kiedyś mi w żywota dzbanie
Zdrowia dało czuć słodycze,
Rzucasz mię, widmo, zwodnicze!...
Precz, nadziejo, precz, szatanie!
A teraz wszystko, a wszystko mię myli:
Miłość i przyjaźń i rozum i cnoty;
W przesycie życia, pod chłostą zgryzoty
Wlepiam wzrok tylko w noc ostatniej chwili.
Aż nagle z cieniów żałoby,
Jasna wieczności porankiem,
Przystrojona śmierci wiankiem,
Zjawiasz mi się ponad groby,
I, jak obłoczek, przetkany gwiazdkami,
Na zwierciadlanym blasku twego oka
Promieni wieczność, spokojna, głęboka...
Nadziejo! Bóstwo! Zostań wiecznie z nami!

1827.

TĘSKNOTA.

Smutne nad ziemią błękitne pola;
Posępnym blaskiem słońce w ziemię strzela,
Jak z łez litości oko przyjaciela,
Kiedy dniom drogim grozi niedola.

Niszczący powiew jesiennej doby
Z lica przyrody wdzięk po wdzięku zmiata,
A nowa troska i nowa utrata
Wypełnia kielich mojej żałoby.

Na chorą ziemię padam raz jeszcze,
Jak na kochanki konające ciało,
Śledzę, przenikam, gdzie życie zostało,
I pozostałe ogrzewam, pieszczę.

I sam moc tracę przez trud bezpłodny
I sam omdlewam; szumi myśl drzew szumem,
Czasem wiatr liścia zarzuci mię tłumem,
Czasem na lice pryśnie deszcz chłodny!

Kiedym się w kwiatek życia rozwijał,
Kiedy uczucia w pączkach jeszcze spały,
Strumyk tęsknoty czysty był i mały,
Rajskie widziadła na dnie odbijał,

Pokornie płynął, a, jeśli wylał,
Chętnie skąpałem serce w jego wałach;
Wybrnąłem we łzach, jak w rosy kryształach,
Łzami, jak rosą, życiem umilał.

Ach, cóż się stało z owemi dniami?
Strumień tęsknoty, jak potok, się ciska;
Źródło dla niego — trumny i zwaliska,
Krwią się zapienia, przybiera łzami,

A żadnej schrony za mną, przede mną.
Popatrzę w życie — widzę w krąg pustynie;
Puszczę się myślą — myśl, jak oko, ginie;
Chcę naprzód lecieć — jak w piekle ciemno;

Chcę nazad wrócić — tam grobów strona,
Tylko w jej słońca połyskach ostatnich
Miga mar kilka, kilka duchów bratnich:
Przeszłość i przyszłość równo zginiona.

Pojrzę na siebie — jam kwiat opadły,
Drżący, samotny śród zgubnej powodzi;
A tutaj fala po fali nadchodzi,
Bliżej i szerzej warczy wir zjadły.

Przyszła ci kolej upaść z korzenia!
Jak rozburzyły niesłychane klęski
Moją pierś młodą, mój świat czarnoksięski:
W rozpaczy tylko szukaj zbawienia.

Rzucam się w potok bez woli, siły,
Składam w krzyż ręce i oczy zawieram,
W jedną myśl martwą wszelkie myśli zbieram,
Niech mię tak niesie, choć do mogiły.

O jakbym jemu pobłogosławił,
Gdybym aż w świata drugiego przeźroczy
Musiał otworzyć te dłonie i oczy,
Gdyby mię w życie wieczne tak spławił!

DWA ANIOŁY.

Już wieją pierwsze jesienne chłody,
Powracające ciągną żórawie;
Nim pierwszym lodem ranek zaszkli wody,
Krążący rybitw muska się w stawie,
I dla bagnistej czajka ustroni
Brzmiącemi skrzydły pożegnanie dzwoni.

Przez nieprzejrzane, zblakłe pastwiska,
Na pajęczyny wątłym kobiercu
ońce ostatkiem skarbów swych połyska;
Przy konającej lilii sercu
Więdnący motyl skrzydełko schyla,
Zastyga rosa, łezka dla motyla.

Wychyl się, słońce, wychyl w błękity!
Zadzwoń, o wietrze, przez jar ustronny,
W pożółkłej trzciny upierzone kity;
Zadzwoń, śpiewaku mój jednotonny,
Niech temu światłu, niech tej piosence,
Zabytek lata, wspomnienie poświęcę!

Gdy kir chmur śnieżnych zwiśnie nad ziemią,
I wichrowate tchnienia zamieci
Kwiatami mrozu okna mi zaciemią,
Czemże się wtedy świat mój rozświeci?
Kto mię śród nudów i wycia burzy
Błogiemi snami lepszych dni odurzy?

— Ja — rzecze praca — ja cię obłokiem
Swojego świata przed zimą skryję.
A wyobraźnia: A ja cię urokiem
Swojego tańca zimie odbiję. —
I, jak bliźnięta, objęte w poły,
Zleciały w moją duszę dwa anioły.

Witajcie, gońce dobrego nieba!
Niewyczerpane są wasze dary,
Tylko was godnie ugościć potrzeba.
Za przeżegnaniem anielskiej pary
Napojem życia duszy naczynie,
Napojem chwały przez wieki popłynie.

Pod skromnej chatki poddaszem nizkiem,
Gdzie założycie gospodę waszą,
Przed wieśniaczego kominka ogniskiem
Myślą się wieków skronie opaszą,
I milionom za miliony
Stanie samotnik, przez was poświęcony.

ROZSTANIE.

Zaszumiał wiatrem wierzch drzewa zielony,
Po cichych wodach błękit się rozlewa;
Już to nie błękit ukochanej strony,
Nie lubych wspomnień wiatry to i drzewa.
Spłynęłyście, spłynęły ode mnie daleko
I bez powrotu przeszłości rzeką!
A tu, na przodzie, tak pusto, ciemno,
A świat tak wielki, nagi prze demną.
Że wzrok mój po nim tonie dokoła,
Jak wzrok pchniętego do piekieł anioła.
I was-że po tym nie ujrzę rozdziele,
Mojego serca wierni przyjaciele?
Ciche uciechy dobranej drużyny
Mnież nie zadzwonią już wasze godziny?
Gdy mi to wszystko uderzy do głowy,
Wtedy łza szczęścia, przeszłości sierota,

Nabrzmiała smutkami, spłynie
W obecności jad żółciowy,
I w potwornej mieszaninie
Tak zmąci puhar żywota,
Że, łamiąc dłonie, wołam, jak bóstwo, syn ciała,
Gdy mu napój podano, śmierci spragnionemu:
„Czemuż mię, o mój ojcze, opuściłeś, czemu!?"
Ale słońce wciąż świeci i zasłona cała.

GWIAZDY BLIŹNIĘTA.

Witam was, moje gwiazdy! Jak płyną, tak płyną:
Wiecznie światło ku światłu, i promyk z promykiem;
Wśród zamieci stworzenia, między światów szykiem
Nie rozłączą się jednak, ani sobie zginą.

Witam was, tajemniczej miłości drużyno!
Jeszcze uczuć młodzieńczych zakarmiany mlekiem,
Bełkocący od serca piastunki językiem,
Lubiłem brnąć za wami błękitną głębiną.
I straciłem was potem w żywota zawiei,
By, straciwszy na niebie, znaleźć u kobiety,
Gdyście z serca kochanki weszły na jej oczy.

Dzisiaj znowu błyszczycie w błękitnej przeźroczy;
Dziś was znowu spotykam i witam, niestety,
Już na niebie — jak godła tęsknot i nadziei.

ZIMOWA POGODA.

Igraj w zadumaniu cichem,
Igraj, samotnika serce,
Z posępnym zimy uśmiechem,
Na każdej śniegu iskierce —
A wy precz, troski-morderce,
Precz ode mnie, niepokoje!
I świat zmienia szaty swoje —
Jest blask wesela i w zimie.
Ot, ziemi kształty olbrzymie

Błyszczą w sukni uiskrzonej,
Niby w stroju narzeczonej.
Z bezładnego chmur posłania
Wychyliło się i słońce,
I w połowie rozdrzymania
Z podziwem ku ziemi skłania
Oko, pół-czujne, pół-śpiące.
O, bodaj został wyklęty,
Kto staje pośród biesiady,
Jak potępionego mara,
I do spólnego puhara
Własnych łez przylewa jady!
Bodaj sam wypił te męty!
Dalej, serce, dziel biesiadę,
Dziel ją rade, czy nierade!
Smutek ciężko dni przewleka —
A może i tak daleka
Godzina, co nam odsłoni
Nieprzerwanych snów kolébkę.
Radości, twe skrzydła szybkie!
Roztocz je i nieś mię do niej!

KLĄTWA SUMIENIA.[1]

Przeżyłem ja siebie!
Czuję to w sobie, po sobie całym,
Żem trup, odziany żyjącem ciałem,
Że przeżyłem siebie.
Potępione losy moje!
Żyję na świecie, jak w grobie —
Wszystko przestraszam, wszystkiego się boję.
Z dolą upiora, w śmierci żałobie,
Z cierpieniami pokutnika,

[1]) Wiele liryk G-o z r. 1823—1824 nosi wybitne piętno melancholii. Życie poety nie było wtedy łatwe (zatargi polityczne z policyą, kłopoty w domu rodzinnym), ale na twórczości jego znać przedewszystkiem wpływ poezyi obcej, którą wtedy czytał: Younya, Ossyana i Tassa (Marzenia). Melancholia ta, właściwa G-mu i w późniejszych utworach, była pierwiastkiem składowym ogólnego nastroju romantycznego.

Po nieswoim świecie idę.
Gdzie stąpię — napotkam biédę,
Co miłe — to się umyka,
Co gorzkie — to mię opada.
Ale nad wszelkie cierpienia
Jest owe widmo sumienia,
Co, jak nagi koścień duszy,
Wszędzie drogę mi zasiada,
Targa ciągle za wnętrzności
I ciągle krzyczy mi w uszy:
— Cierp, cierp, synu nikczemności,
Życiem bez życia dręcz siebie,
Kiedy nie śmiałeś umrzeć w potrzebie
Z pożytkiem bliźnich, a swoją chwałą!
Los cię postawił w obec tyrana,
Niebo uczucia wyższe ci dało:
W sercu jęczała ludzkość znękana,
Przed narodu kajdanami
Oczy zachodziły łzami,
Serce piersi rozrywało,
Słyszałeś jego konwulsyjne bicie...
To chwila czynu wielkiego biła!
Nowe dla ciebie rodziło się życie!
Może mogiła — lecz wolna mogiła
Byłaby sławnem łożem twojej chwały!
Już ci tryumfu wieńce zakwitały,
Wdzięczność ludu zbawionego
Już gotowała oklaski i hymny —
A tyś poskąpił życia lichego,
Mimo cel przeszedłeś zimny,
Głos mój w duszy zatłumiłeś
I powinności twojej nie spełniłeś.
Cierp-że i z sobą samym się bij!
Życiem bez życia dręcz siebie,
Gdyś nie śmiał umrzeć w potrzebie,
I, nieżywy, żyj!

Humań 1824 r.

PRZEBUDZENIE.

Czekaj, ach, czekaj choć chwilkę jeszcze!
Niech się nasycę chwilką bezcenną!
Tak rzadko ciebie, tak krótko pieszczę...
Tylko co była — i już jej niéma,
A ja goniłem za marą senną
I tylko utonąłem w ciemności oczyma,
I tylko drżąca ręka drżące serce trzyma.

Wzrok obłąkany, słuch obłąkany
Walczą naprzemian z bałwanem cieni.
Dziki wiatr, wyjąc, obiega ściany,
Trwożnie połyska świeca gasnąca,
Cichym snem dyszą wkoło uśpieni.
Mnie tylko ciągle budzi krew, mózgiem burząca,
W moją tylko pierś tęskną tęskne serce trąca.
O, mego serca duszo jedyna,
Czegoż mnie we śnie odwiedzasz mojem?
Czy moich cierpień sroga godzina
Równe cierpienia budzi i w tobie?
Czy i twoje sny w kłótni z pokojem
Stawiają ci u łoża o tej samej dobie
Moją duszę cierpiącą w mych uczuć żałobie?

Nie takie były ubiegłe chwile,
Kiedy nadzieją, kiedy miejscami
Złączeni w jedno, łechtani mile,
Mniej zważaliśmy, że życia burze,
Że losów gromy były nad nami.
Urągaliśmy wtedy grożącej nam chmurze,
Byliśmy sobie wszystkiem — w obcej nam naturze.

A dziś me oczy i sen rozkleja,
Bo, jak dogasa ta oto świéca,
Gaśnie na zawsze moja nadzieja,
Bo w rozbolałej duszy stęsknienie
To smutne wycie wiatru podsyca,
A serce, skołatane, żądne nieskończenie,
Wywołując pamiątki, rozbliźnia cierpienie.

ZDANIE SIĘ.

Nie, tak dłużej być nie może!
Lot każdej chwili czuć w dreszczu trwogi,
Widzieć się nadto, gdziem był kiedyś drogi,
Miąć we snach groźnych wypraszane łoże,
Błagać niegodnych, aby mię żywili — —
Nie — tak dłużej być nie może![1]
Srogość się losów przesili.
A może, nim się przesili...?
I cóż stąd, że mię przemoże?
Czyż i to już nie jest chlubą,
Tak zatrudnić swoją zgubą
Złe losy, przed których siłą
Tyle się ludów zwaliło?
Wytrwałość, duszo, wytrwałość!
Póki ci prawda w pełni swojej pała,
Póki zwątpienie, póki zniewieściałość
Twego blasku nie skalała —
Póty wierzmy, że wygramy,
Czy to zwyciężyć, czy poledz mamy.
Kogo na zgubę czyste cele wiodą,
Tego śmierć będzie bez plamy,
A święta chwała nagrodą.

Kajetanówka na Ukrainie 1823 r.

PUSTELNIK.

Noc chmurna, świat, jak w całunie,
Wicher wichry przepędza,
Chmura za chmurą sunie —
Tylko nie widać, jak tu grom runie:
Same tu strachy, sama tu nędza!

W pustyni świata ja żyję;
Samotny mój szałasek —

[1]) G-i błąkał się wtedy po Ukrainie między domami przyjaciół i rodziców, ukrywając się przed okiem policyi, która go ścigała za rozpowszechnianie wierszy patryotycznych. Stąd skargi na los.

Zewsząd burza nań bije:
Ni go dąb wzniosły przed deszczem kryje,
Ni go przed wiatrem zasłania lasek.

A nawałnica się wzmaga,
A w niej piorunu żmija
Coraz się częściej zwija,
I coraz bliżej, i coraz flaga
O dach się wątły silniej obija.

Opuszczony ja, zginiony,
Bo pomoc na pustynie
Zktórejże przyjdzie strony?
„Stamtąd, gdzie mieszka w każdej godzinie!"
— Świsnęło wichrem w chatki szczelinie.

Razem chmury się rozdarły,
Śmierć zaryczała w gromie:
Pustelnik legł umarły,
Szałasek jego płomienie zżarły,
A on już mieszka w pokoju domie.

1824, paźdz.

TOPIELEC.

Sprzecznych mię wieków uniosła burza,
I w gorzkich losu bałwanach zanurza;
Tonie, tonie moja łódka.
Serce tylko mam przy sobie,
I tylko śpiewam w żałobie:
O, jakżeż ciężka ta żegluga krótka!

A kiedy wybrnę ze słonej fali
I ciężar śmierci z westchnienia się zwali,
Śpiew topielca znowu stęka —
I tak ciągle, dzikim tonem,
W echu burzy zamąconem,
Jedna a jedna kwili się piosenka.

I ot, nad mętne życia otchłanie
Zbiegli się słyszeć biednego wołanie:
Ale śpiew, za głuchy w tłumie,
Zanadto przerazi w ciszy —
A i nie każdy, co słyszy,
W swojem go sercu, jak trzeba, zrozumie.

Tamtych pioruny, błyski spłoszyły —
Tych odprowadził tęczy uśmiech miły;
Odbieżonych mnogą zgrają,
Zostało się już niewiele,
Którzy wytrwale i śmiele
W mojem jęczeniu wróżby swej słuchają,

Stanu smutnego serca znajomi.
Żaden z nich głosu smutnego nie zgromi,
Bo w rozstrojeniu żałoby,
Gdzie czucie tępo przyświeca,
Jak w nocy oko księżyca —
Któż ma czas chwytać barwione ozdoby?

Ofiary spornych losu wydarzeń,
Oni nie zechcą potępić mych marzeń,
Oni mię, słysząc, pojęli,
I pójdą w sobie zamknięci,
I westchną po mej pamięci,
A łza topielca i z ich oczu strzeli.

1824, 3 paźdz.

POŁUDNIE.

Samo południe. Uroczysta chwila!
W równi się ważą skrzydła wyobraźni.
Z za listka, co go czasem wiatr uchyla,
Barwiony promyk źrenicę podrażni —
W błękitnej przeźroczy,
Przez drżącego światła fale,
Słońce wspaniale,
Cicho się toczy.

Cicho się toczy ponad ziemi ciszą,
Gra jednostajnie polny trel konika,
Rzadko wiatr płochy, gdy inne snem dyszą.
Przez czujne listki trwożnie się wymyka;
Dalej brzęczy mucha,
Dalej słowika pieśń kona,
A wkoło głucha
Wrzawa, zmącona.

Ty, coś do lutni melodyjnej brzmienia
Życia natury harmonię stroił —
Ty, coś żyjący obraz przyrodzenia
Zgodnemi tęczy falami napoił —
Daj mi poznać, Boże,
Jak jedno dzieło twych ręku
Różnić się może
W tym zgodnodźwięku!

Cóż stąd, że wszystko pięknie gra dla duszy,
Gdy się rozstraja wichrem jej zamieci?
Cóż stąd, że niebo tak pogodnie świeci,
Kiedy mgła duszy blask jego zaprószy?
Niepojęte nieba!
Nacóż waszych cudów roje,
Gdy komu trzeba
Mieć serce moje?

Wielki mój twórco, twórco przyrodzenia!
Jeźli we wszystkiem i ja cię obchodzę
I w chwalnych pieniach miłeć dziękczynienia —
Albo więc przestań być wielkim tak srodze
I odbierz mi czucie,
Albo objaw na osłodę
Mojej pokucie
Kres i nagrodę!

1824.

MOJA PIOSENKA.

Zegar życia bije,
Spływają lata, jak woda cicha,

Świat wesoło żyje,
A moja pierś wzdycha;
I kiedy wszystko wszystkim się uśmiécha —
Mnie żałoba wszystko kryje.

Innych przyjaźń pieści,
Śmieją się innym usta kochanek;
Ja w głuchej boleści
Wiodę życia ranek,
Na mojej skroni schnie miłości wianek,
Nikt mię w sercu nie pomieści.

Nie mnie życia kwiaty,
Nie mnie się wdzięczy dzień złotem czołem:
Smutne grobu szaty
Wcześnie naciągnąłem.
Niesmaki życia są moim żywiołem,
Moim światem—lepsze światy. 1824.

PODROŻ JESIENNA.

Noc ciemna, burzliwa,
Ziemię okryły tumany,
Wiatr chłodny powiéwa,
Szumi deszczyk przerywany.

Zimno i ponuro.
Ponad ziemię i tumany,
Otulony chmurą,
Błądzi księżyc nadąsany.

Nie ustawajmy w podróży:
Choć przeziębli, choć zmoczeni,
Przebędziem przykrość jesieni —
Cierpmy krócej, cierpiąc dłużej!

Wiatr świszcze, mgły biją,
Szum tłumiony las obiega,
Widma burzy wyją.
Fala bełkoce u brzega,

Dokoła strach srogi:
Ziemia głucha i świat niemy.
My nie wiemy drogi
I nie wiemy i idziemy,

Bo mimo te wszystkie tamy,
Mamy motykę grabarza;
Z nią zajdziemy, gdzie zajść mamy:
Do gospody śród cmentarza.

Tuman się przesuwa:
Krzyż — na krzyżu blask księżyca...
Nad czem księżyc czuwa?
Cóż on tutaj nam oświéca?

Odźwierny wieczności
Kamień grobu nam okrywa:
Tu nikną ciemności,
A wschodzi jasność prawdziwa.

Precz więc, trosko i mozoło!
Nie wyrzekajmy na Boga:
Już-to nie najcięższa droga,
Gdy się kończy tak wesoło...

Samhorodek, 1825.

ŁZA TAJEMNICZA.

O, któż człowieka odgadnie!
U mnie łza nie spływa snadnie;
Już mi się nieraz zdarzało
Stać pośród śpiewów żałoby,
Przy trumnie drogiej osoby,
Ze źrenicą skamieniałą.
Wieleż to związków zerwanych,
Wieleż oczu zapłakanych
O głaz czucia się rozbryzło!
Wieleż to godzin boleści
I grotów losu, bez wieści

Lodem duszy się prześlizło!
Wieleż to własnej niedoli
Odbyłem źrenicą suchą!
Więc, jak w grobie, w duszy głucho,
I — jak trupa — nic nie boli?
Więc nigdy rany bliźniego
Moich współczuć nie zażegą?
Ten sąd obmowy zabawie,
Ten sąd potwarzy zostawię.
Bo i któż się tu ustrzeże,
Że go głupstwo nie oszczeka;
Ale któż się przyzna szczerze,
Że pojął tajnie człowieka?
Nad niczem płakać nie mogę,
Jednakże w cichym wieczorze,
Gdy świat dumania otworzę,
A, w kraj wyższy wziąwszy drogę
Z poziomych uczuć zamieci,
Dusza swobodnie uleci —
Wtedy powietrzna muzyka
Niepojęta, czarująca,
Dokoła dźwięki zamąca,
Nowy byt we mnie odmyka
I, od serca powtórzona,
Gwałtem płynie z mego łona.
I póty się leje, mąci,
Już po serca grając chęci,
Aż jakimś tonem go trąci,
Że się łza w oku zakręci...
Jaka to łza, jakie granie?
Pojąć serce któż jest w stanie?
Co za czucie od tej łezki!
Za najpiękniejszy z gwiazd wianek
Nie oddałbym jej promyka!
Musi to ojciec niebieski
Rosić duszami niebianek
Spiekłe serce śmiertelnika.

Al..., 1827, listop.

PODRÓŻNY.

„Trochę daléj, tylko żwawiéj!
Nie padaj, wędrowcze, w nuży,[1]
Praca się pobłogosławi,
Trochę dalej kres podróży.
Patrzaj, gdzie przemyka chmurka
Po zielonem czole wzgórka:
Spoczynek na jego szczycie
Wynagrodzi cię obficie.
Jak tam wkoło kraj szeroki,
Jakie tam wkoło widoki,
Jakiemi tam dumaniami
Twa się dusza ukołysze,
Gdy przed chciwemi oczami
Rozwiną się w całej pysze,
W całym blasku i ogromie
Na nieprzejrzanym poziomie,
Nieb lazurem powleczone,
Zwierciadlane wód przestwory —
We wstęgach niwy zielone,
W różnobarwnych szatach bory!"

I — upragniony widoku! —
Wędrowiec przyspieszył kroku.
Nieraz usterknął w znużeniu
I pył drogi krwią pokropił,
Ale się przyszłości opił;
Spieszy i już w wysileniu
Coraz, coraz bliżej mety.
Już jej dosiągł — już pod górą —
Już na górze; lecz, niestety,
Pod opadłej nocy chmurą
Zagasł świat i wdzięków tyle,
Zapłata prac wędrownika;
A blask od zorzy promyka
Tylko drażnił go niemile.

---

[1]) W znużeniu.

Nasz to los, o przyjaciele,
Nasza to podróż, o ludzie,
Kiedy konającym w trudzie
Blizkie osiągnienia cele
W półcieniach grobu rozświéca
Jutrzenka trumny — gromnica.

Aleksandrówka, 1827.

SZCZĘŚCIE.

Odbierasz ciało i życie,
Wychodzisz na świat, jak dziécię,
Czarują ciebie natury dziwy,
Wszystko się tobie uśmiecha wokoło,
Wszyscy witają wesoło —
A ty odpowiadasz płaczem.
Czegoż to płaczesz, sam nie wiedząc, za czem?
Będziesz, widać, nieszczęśliwy...

Wstąpiłeś w młodzieńcze lata,
Czujesz cały powab świata:
To wietrzny mędrzec, to wietrznik tkliwy —
Sama się rozkosz za tobą ugania,
Piękna, jak anioł kochania,
Chce, jak szczęścia, serca twego.
Za czemże wzdychasz i tęsknisz do czego?
Nie jesteś, widać, szczęśliwy.

Stanąłeś na stopniu męża,
Wiek namiętności zwycięża:
Stłumiłeś zapał płochy, burzliwy,
Wiesz, co ci trzeba—co trzeba, posiadasz,
Wielkimi skarbami władasz,
Okrytyś wielkich zaszczytem —
Czegoż to dumasz, czegoż wzdychasz przytem?
Jeszczeż nie jesteś szczęśliwy?

Choroba wieku niemiła
Zgarbiła cię, wyniszczyła —

Ostyga życie pod szronem siwym,
Aż i śmierć znamię rozwija pogrzebu.
Czegoż pojrzałeś ku niebu,
Wyjaśniwszy wzrok ponury?
Szepnęła dusza, wskazując do góry:
„Tam, starcze, będziesz szczęśliwy!“

1828.

ZAGADKA TKLIWEGO.

Czego zadumany chodzisz
I kładziesz rękę na bijące łono
I po bladych gwiazdach wodzisz,
Z cichem westchnieniem powiekę zroszoną?
Czy chcesz wyczytać na niebie,
Skąd te, bez celu puszczane, westchnienia?
Skąd te płacze bez cierpienia?
Chcesz się odgadnąć? Ja odgadnę ciebie.

Ziemia, jak trumna, spoczywa;
Żałobne pienia nucą jej puhacze,
Noc ją, jak wieko, przykrywa,
Miesiąc nad śpiącą, jak nad zmarłą, płacze.
Takiej potrzeba mi pory,
Aby się dobrze twą zagadkę zgadło.
Niesiemy tylko zwierciadło:
Idziem na góry, nad stepy, nad bory.

Czy widzisz, jak obrócone
Ku księżycowi lustro go spotyka?
A teraz patrzaj na stronę:
Widzisz błysk jego? Czy widzisz, jak zmyka,
Jak przelatuje skwapliwie
Przez lasy ciemne, przez dzikie urwiska?
Chwilę na wodach połyska,
Chwilę na wonnej wstrzymało się niwie,

Wreszcie ku gwiaździstej górze
Z posępnej ziemi pędzi całą siłą:

Już przegania po lazurze,
Już przy księżycu — już się z nim złączyło.
Otóż w tym nizkim pobycie
Tak niespokojnie dusz tkliwych dni biegą,
Otóż i gadka tkliwego:
Księżyc był bóstwem — on bóstwa odbicie.

NAD PŁACZĄCEM DZIECKIEM.

Jeszcze pół mżące w anioła objęciu,
A już łzy leje, tak gorzko, tak wcześnie!
Może to ziemia cuci tak boleśnie?
Może to człowiek przyśnił się dziecięciu,
I zmora bytu w te pierwospy życia,
Odkrywszy jemu nagie swe ponęty,
Bólem powlokła pieszczoty powicia,
Łzami zalała śmiech nierozwinięty?
O, niechaj płacz ten, przyjęty w daninie,
Przewodnią strugą przed tobą popłynie,
Najprzód kupując przejście, i niech razem
Nasiewa drogę twej pielgrzymki kwiatem!
Aleź bo trzeba grobowym być głazem
I patrzeć okiem trupa lodowatem,
By się, choć obce, serce nie zabiło
Całą miłości macierzyńskiej siłą,
Że, wywabiona na gody żywota,
Ufna, bezbronna, półrajska istota,
Pośród nadziei i żądz oblubieńca
Uczuwa żądło cierniowego wieńca —
I w pierwszym kroku znosić musi tyle,
I dla tej tylko lichej szaty ciała,
Kiedy już wieczność przeszłości przespała,
Czy to w kolebce światów, czy w mogile.
Skłońcie się jednak z tem skarżącem czołem,
Skłońcie się w modłach przed jego aniołem:
Niech te kropelki w swoje łono zbierze,
Niech tam, jak źródłem zamknięte, jaśnieją,
By w skwarach życia były mu nadzieją,
Były ochłodą; a módlcie się w wierze,

Iż prośby wasze mimo nie prześlizną —
Bo nie masz może, prócz łez za ojczyzną,
I boleśniejszych i czystszych na ziemi,
Jak łzy rodziców nad ich maleńkiemi!

MATKA PRZYRODA.

Na przyjaźni zawiedziony,
Z kochanem sercem skłócony,
Gdy mi dogryzie złość ludzi,
Gdy mię wrzawa świata znudzi,
Gdy mię ciężar życia strudzi,
Jeszcze na rozpaczy drodze
Ulgę i życie znachodzę.
Przyrodo błogosławiona!
Wtedy, jak pieszczone dziecko,
Garnę się do twego łona,
Aż mię przytuli, ukryje...
Darmoby tam oko czyje
Wyśledzało mię zdradziecko!
Choćby łza słońcem błyszczała,
To w rąbku ze mgły utonie;
Choćby szatan ryczał w łonie,
Burza-by go nie wydała.
A tak, po krótkiej pociesze,
Spłakane oko w blask żywszy,
Usta w uśmiech przystroiwszy,
Znowu między ludzi spieszę,
A gmin woła: — „To są dziwy!
Jaki on zawsze szczęśliwy!“

BURZA.

Dzień pobladł, powietrze ścichło,
W dalekości rosną chmury,
Jakoby nocą odziane góry.
Ciemno i głucho. Nierychło, nierychło
Zawył wichrów świst ponury
I razem wszystko ucichło.

Ale w zasępionej dali
Głucho pioruny hurkocą;
Za chmurnych zasłon grobową nocą
Długim się migiem błyskawica pali,
Aż rozdęta piekła mocą,
Rozlała się kręgiem w fali.

I w krąg się burza rozpięła,
Noc i trwoga wszystko zdjęła:
Tylko za każdym błysku rozświtem
Trupią bladością natura olśnęła,
A z każdym gromem rozbitym
Niebo ozwało się zgrzytem.

Jakaż to chwila straszliwa,
Gdy ma konwulsye natura!
Czyż dusza wtedy nie zadrży która?
I któreż czucie wtedy nie omdlewa,
I dłoń się nie wzniesie czyja,
Gdy zegar kary wybija?

A tyż, niezlękniony, czemu
Dumasz sobie tak spokojnie
W zgrozie natury w żywiołów wojnie,
Kiedy śmierć widna zagraża wszystkiemu?...
Ach, kto wyrósł w serca wojnie,
Pioruny niestraszne temu!

DO WIOSNY.

Tajemniczy ogień czuję,
Ogień, co duszę przejmuje,
Zmysłom żywego wesela,
Sercu miłości udziela!
Twoja to, wiosno, władza
Ten ogień z nieba sprowadza.
Z błogosławionym oddechem wietrzyka
W środek on ziemi przenika:
Zapala kolory tęczy,
Skrzydło motylka, wieniec kwiatka wdzięczy,

Przemawia w pieniu słowika—
W zawoju świeżej róży się rumieni,
We łzach poranku farbami się pali.
Wspaniale błyska na drzemiącej fali
I sieje gwiazdy po zmarszczkach strumieni.
Lecz, kiedy, całą istność przejąwszy,
Świat odnowionym zmysłom wyprowadzasz nowszy,
A świeższym wdziękom otworzą się oczy,
A zdrój ognistych uczuć żywszą krew potoczy—
Ach, jakież farby, jakie odcienia
Wydadzą siłę twego płomienia!
Z czemże go zrównam, o wiosno?
Czy z tą rozkoszą miłosną,
Co żądnem obłąkaniem duszę nam zachwyca,
Kiedy, wdzięku anielskiego,
Pełna skromności dziewica
Wyda się trwożnem spojrzeniem
Ze wzajemnym płomieniem
I uścisk mimowolny przyłączy do tego?
Nie, wiosno! I ja kochałem,
I nie gardzono moim zapałem.
Znam ja miłości rozkosze:
Dzisiaj twoje pojąłem i twoje przenoszę!
Tam jest niepokój, tam cierpkie żądze,
Tam, lękliwy o przyszłość, przeszłości żałuję;
Tam, śród uniesień szczęścia, bojaźń straty czuję;
Tam, używając, cierpię — unosząc się, błądzę;
Tam z niebem piekło spojono,
Z rozkoszami anioła potępieńca bole:
Wolę ciebie, wiosno, wolę!
Skoro mię twoje tchnienia owioną,
Skoro twą duszę przyjmę w me łono —
Między innego świata rozkosze
Odrodzony się przenoszę
I, upojony czuciami wyższemi,
Żegnam gorycze ziemi!

1826.

WIECZÓR.

Widok to wielki! Rozkosz czarodziejska —
Ta okolica, ta w czasie godzina,
Gdy innem życiem ziemia żyć zaczyna,
Ta niemiejąca w dali wrzawa miejska,
Te mdłe światełka w mieszkaniach człowieka,
Jak skry rozpierzchłe niepewnej nadziei,
Ten oddalony, grożący szum kniei,
Co żywą duszę ostrzega z daleka,
Że tajemnice, zbronne ludzi oku,
Mają się począć w północnym jej mroku —
Ten księżyc pełny, to dziecię wieczora
Ze śmierci cerą, z spojrzeniem upiora —
Te światy światów, w iskrach rozsypane
Nad cichą ziemią śród ciszy i cienia,
Jakby promyki przeznaczeń stworzenia,
Ukradkiem trwożnej ziemi objawiane —
Te ziemi, nieba, nocy, światła dziwy...
O, jakże ciemny, o, jak nieszczęśliwy,
Kto pełnem sercem uczuć ich nie umie!
Jedna to rozkosz w ziemskich uciech tłumie,
Co zawsze nowa i na pogotowiu,
A nie zależy całkiem od nikogo,
Kiedy tak wszystko opłacamy drogo
Na spokojności, na szczęściu, na zdrowiu...
Tu dość chwil kilku — i kilka łez czystych.

1824.

DO MOJEJ WIERZBY.

Wierzbo, dobry wieczór tobie!
Ale proszę ciebie wcześnie,
Niech twój listek nie szeleśnie,
Tak cicho niech drzemie sobie!...
Bo usnęło serce moje,
A zbudzić je tak się boję!
Jak miło w tem uciszeniu!
Żaden powiew nie oddycha,

Po cichem nieba sklepieniu
Senny księżyc stąpa z cicha.

Och!... Nędzny, co ci się stało?
Westchnąłeś!... Jedno westchnienie
Przerwało serca uśpienie,
I wzburza naturę całą.
Księżyc mgłami się zachmurza,
Liściami potrząsa burza—
Aż tu i marzeń mych roje,
Co wśród gałązek usnęły,
Opadły na piersi moje
I do serca się przypięły.

Więc dobranoc, wierzbo, tobie!
Czcze spokojności żądania,
Moje mnie serce ugania.
Szum ty cicho, szum w żałobie,
Ja sobie dalej odchodzę,
Deptać po ciernistej drodze,
Szukać szczęśliwej uboczy,
Gdzie głos wiecznego uśnienia
Czujne me serce przytłoczy,
Gdzie usną same westchnienia.

1824.

ROZMOWA ZE SŁOWIKIEM.

Jakże luba ta altana,
Ocieniona żywopłotem,
Chłodzona wiatrów przelotem!
Ach, w twojej ciszy, moja kochana,
Powierniczko mego łona,
Czucie ziemskości do reszty kona!

Wśród grających fal światłości,
Wśród rzeźwego bytu wrzawy,
Jak płomyk mogił bladawy,
Przyćmiona dusza w marzeń cichości

Innem życiem tutaj dyszy:
Zaledwie widzi, zaledwie słyszy.

Któż mię z tego snu ocucił?
Ha — to słowik usiadł blizko,
Zahuśtał liści kołyską,
Zwrócił się ku mnie, tęsknie zanucił,
I śpiew, chwilkę postrojony,
Śpiew swój słowiczy w ludzkie zlał tony:

„Tam nad kwiatkiem brzęczą pszczoły,
Tam ptaszyna za ptaszyną
Ślizga się giętką krzewiną —
Tu porze wiatry motyl wesoły...
Wszystko igra śród użycia,
Wszystko cię nęci, wzywa do życia,

A ty leżysz, jak zmartwiały,
Nic cię z dumań nie poruszy!
Czegoż trzeba twojej duszy?"
Nic jej nie trzeba, mój ptaszku mały,
Ni od ziemi, ni od nieba —
Tylko swobody, swobody potrzeba.

OSTATNIA PRZECHADZKA.

1.

Wzgórza Kamionki skaliste,
Raz to ostatni wasze echo słyszę!
I szum, co w Turowie dysze,
Raz ostatni słyszę!
I raz ostatni kłócę waszą ciszę,
Brzegi Okniny urwiste![1]

---

[1]) Poeta żegna się w tym poemacie z okolicą Stawek (pow. Olhopolski), gdzie bawił dłużej u kolegi swego Teodora Wołoszynowskiego. Okolica malownicza i dostatecznie dzika dla romantyka, który właśnie czytał wtedy pierwszy raz „Panią Jeziora" Walter Scotta (w przekładzie Sienkiewicza). Las Turowski, rzeka Oknina, Kamionka, Chrystyszcze — to miejscowe nazwy topograficzne.

Skądże to serca nużące drganie?...
Czemuż nie bije, jak biło,
Gdy to źródło, w perłowej igrające pianie,
Pieśni dumań go uczyło?
Serce zadrzało, źródło buchnęło —
Ucichło źródło, serce stanęło,
Dają sobie pożegnanie.

Ogniu, płonący tu, w oku,
Ustąp z oka sile mroku,
A przepłyń cały w duszy głębinę!
Niech, nim porzucę na zawsze te strony,
Pieszczotom duszy rozwinę
Świat przeszłości zachmurzony!

2.

Spadł z gałązki listek suchy,
Porwał się ze snu wiatr głuchy,
Zagrał z cicha w zwiędłe liście,
Zakręcił się w przykrym świście,
I tajemniczą mową zadzwonił mi w ucho:
— „Witaj mi! Spieszę z otuchą,
Piastuję natury władzę;
Ściślej twą duszę z jej duszą spoję,
Cuda piękności do oka zgromadzę,
Słuch zachwycenia tonami upoję,
Zapory wieków rozgrodzę,
Granice życia uprzątnę na drodze,
Samej natury władzą cię uzbroję!"
— Skończył, pożegnał
I leci dalej. Tu powietrze przegnał,
Osłonione mgłą żałobną —
Tam z szat zimy ciepłym dmuchem
Strząsnął na śniegi łzę drobną —
Tam zakłócił liściem suchem,
A tam pożeglował znowu
Przez ślizkie marszczki potoku,
Zawsze bliżej ku Turowu,
Coraz niknąc oku.

Pędź, pędź, dobroczynny wietrze!
Oby twe skrzydła jeszcze były letsze!
Drzewo, pieszczone tuląc zawiązki,
Smutno ku tobie klaszcze w gałązki,
I murawa, z pod ciężkich śniegów wychylona
Splątanemi w nieład kosy,
O duszę woni błaga dla łona,
Dla stroju o kroplę rosy —
I ściętych strumieni fala
Pod lodami się użala —
I dzień, na śnieżne łany
W iskrach rozsypany,
Ciebie tylko wygląda, by w wiosny uśmiéchu
Na sinej lilii błysnął kielichu:
Jakby usłyszał prośby, pospieszniej przewiewa
Między krzaki, między drzewa—
Już go dąb, szumiąc, pożegnał ostatni,
Ostatni, co się uniósł w jego ślady, listek
Już padł nazad, drżący wszystek,
Na łoże, co mu z braci usłał cmentarz bratni.
O wy, dumni życia darem,
Nie zaprzeczajcie czucia istot reszcie!
Wszędy jest dusza, wszędy życie, wierzcie!
Pierś pod tęsknoty stęka mi ciężarem,
Zamglone oko podpływa łzami,
Gdy lato, jesieni przetrawione mgłami,
Z pod coraz cięższej korony
Wlecze po bledszej coraz przestrzeni
Oko ospałe, trwożne, bez promieni,
Jak rozkoszami młodzian przesycony.
Zachmurzam lice ponuro
Nad ubarwioną posępnie naturą—
Płaczę, gdy, tkliwej matce podobny,
Kąpiącej łzami konające dziécię,
Wieczór ostatnią rosą zwilża świat obficie —
Wydycham odgłos żałobny,
Skoro, zimą strwożony, zawyje bór dziko,
A nad najpierwszą ściętą lodem rzéką
I łzy, co w mojem oku zawrzały,
Jak nieruchome słupieją kryształy!

3.

Szczęśliwy, czyje niezepsute serce
Obcować z dzikiem przyrodzeniem zdoła!
Szczęśliwy, kto potrafi na drobnej iskierce
Unieść się między światów gorejące koła!
Widzieć naturę, całym jaśniejącą blaskiem,
W zwierciedle porannej łezki
I pojąć wielki majestat niebieski
W ruchu mrówki, błądzącej między lotnym piaskiem.
Ze szczęśliwych najszczęśliwszy,
Komu natura nagi wdzięk odsłania —
Ale i ten szczęśliwy, kto światy wygnania
Anielskiego, nie zasłużywszy,
Ustroił w tęskne dumania.
O, wy, nadbrzeżne Kamionki zarośle,
Wy, skały, majaczące wśród krzewin wyniośle,
Garbate wzgórki, poplątane jary,
Swarliwe Okniny zdroje,
Ciemny, zarosły Turowie stary —
Zaludniły was dumania moje!
Wieleż chwil, ociężałych rozpaczy niemocą,
Ponurzyć w nurty Dniestru, woda ta uniosła!
Wieleż razy witałem od pociechy posła,
Tych dzikich pustyń odzianego nocą!
Nieraz, gdy serce od cierpień krzepło
I oko w kroplach kamieniało łzawych,
Jeden strzał słońca po głazach chropawych,
Źrenicy światło, sercu wrócił ciepło!
Naturo dzika! Niema boleści,
Którąby w serce tyle się wżarła,
By cię na chwilę odparła,
Skoro go silne twoje objęcie popieści!

4.

Ale po raz ostatni echo wasze słyszę,
Wzgórza Kamionki skaliste,
Turowa dęby wieczyste!
Po raz ostatni pragnieniem tu dyszę,

Wody Okniny przejrzyste!
Po raz, po raz ostatni zakłócam tę ciszę!
Aby smutek roztargać, napróżno się wsunie
Narzędzie brzmiące pod niechętny palec:
Ożyje w każdej cząstce smutek, jak padalec,
I harmonię ulgi skłóci w każdej strunie.
Ciało wzrusza się bez siły,
Oczy światło utraciły,
Myśli upadły w splątaniu
Przy bolesnem pożegnaniu!
Bo jak tu zwabić wszystkie szczęścia chwile,
Jak razem objąć lubych wspomnień tyle!

5.

Zadrzemała wśród krętych jarów zima biała,
Na śnieżnych zaspach zimy i mgła zadrzemała.
Ciszej! Spi mrozów królowa.
Blask słońca śniegów nie drażni;
Trefiona mrozem dąbrowa
Ledwie tchem przytłumionym postęknie w bojaźni.
Wszystko nieme, wszędzie głucho!
Wietrzyk nawet nie trąci o krzewnię suchą.
Skrzypiących mrozów jakie przykre dreszcze!
Lecz przykrzej, tak, przykrzej jeszcze
Temu, co pośród obecnej goryczy
Bolesne bicia serca za przeszłością liczy —
Którego dusza cierpiąca
Na promieniu wieszczego światła się przeciska,
Gdzie przyszłość, jako chmura z burzą się roztrąca
O dzikie przygód zjawiska,
A rozjaśnione łzami lśni za niemi życie,
Jak za szkłem wody nieba odbicie.

6.

— „Odchodźmy już, odchodźmy!“ — rzekł anioł tęsknoty,
Co mi się podjął przewodzić w podróży.
Leniwe są, aniele, westchnienia podloty,
I pospiechowi twoje skrzydło nie usłuży!

Tem lepiej dla mnie. Pozwól, niech się zwrócę
I wsteczne wejrzenie rzucę.
Te same, jeszcze uśnieżone wzgórza,
Ten sam wokoło bór się zachmurza,
I nadbrzeżne, młode gaje,
I ogromne głazów składy,
I te, co po nich drapią się śmiało
Rozległe Chrystyszcz osady:
Wszystko przede mną tosamo staje,
Czasami w słońcu, czasem za mglą białą.
Jeszcze stanąłem... Nim się oddalę,
W oku i uchu cały się zgarnąłem:
W przepaścistych jarach, dołem,
Mruknęły Okniny fale —
Skłócone kundlów głosy w Chrystyszczach zawrzały —
Razem ucichło...
Wrzasnęły echa nierychło,
Ucichły skały;
W głuszy Turowa słychać wycie wilka,
Skonało w gęstwinie;
Zbity ze szlaku huknął po dębinie,
Huknął razy kilka,
I wszystko w martwej cichości zaległo —
A me oko raz jeszcze dokoła przebiegło.
Bo już brzęku waszego więcej nie usłyszę,
Okniny wody przejrzyste!
Nie usłyszę i szumu, co wami kołysze,
Turowa dęby wieczyste —
Ani już więcej zakłócę wam ciszę,
Kamionki brzegi urwiste!

1823.

NOC W ZOFIÓWCE.

Źle mi w złych ludzi tłumie.
Płaczę — a oni szydzą,
Mówię — nikt nie rozumie,
Widzę — oni nie widzą.
Mickiewicz.

A więc ją znowu ujrzę i ujrzę za chwilę,
Tyle się nabłąkawszy i przeniósłszy tyle!

Po dzikich uniesieniach, żebraczej wędrówce,
Znów się ponurzę w mojej Zofiówce, [1]
Co tak rozkwita urocznie, dziewiczo,
Między surową krain tych dziczą,
Jak niebiański rumieniec, kwiat świętej wieczności,
Na umarłego lica bladości,
Co straż trzyma przy mego dzieciństwa edenie,
Jak cherub, uwieńczony w pamiątek promienie.
O, powiej, maju mojego wietrze!
Przeszłość, co w twoim odetchnie oddechu,
Pierworodnego nie znająca grzechu,
Z długiego nasępienia wzrok pokutny przetrze,
Skalaną szatę duszy odnowi
I pielgrzymiemu wytchnie kosturowi
I pielgrzymowi.
Wierny mój kiju, przyśpieszmy kroku!
Już czuję tchnienie jej czarodziejskie,
Jûż miejskie gwary, już światła miejskie
Przepadły w nocy obłoku,
I szum jej lasków, zdaje się, dolata,
A moje serce, słyszysz, jak kołata,
A piosenka powitania
Gwałtem z niego się wyrywa
I bezładna, niecierpliwa
Sama siebie pochłania.
Tędy, mój kiju, ścieżkami dzikiemi!
Jeszcze roztrzepaniec młody,
W chwilach dziecinnej swobody
Lubiłem błąkać się niemi.

---

[1]) Słynny park pod Humaniem (gub. Kijowska), założony 1795 r. przez Szczęsnego Potockiego (kosztem podobno 15 milionów złp.) dla żony Zofii. Z poematem G-o porównać należy, jako przeciwstawność klasycyzmu do romantyzmu, utwór Trembeckiego p. t. „Zofiówka“. „Noc w Zofiówce“, nie ogłoszona za życia G-o, powstała 1824 r. w Humaniu. Młody poeta chronił się wtedy przed policyą w domu rodziców i wychodził tylko w nocy, którą najchętniej spędzał w Zofiówce. Poeta znał ją dobrze z lat szkolnych (uczył się w Humaniu), teraz odświeża w sobie wspomnienia i rozmawia niejako z przyrodą, z którą pozostaje w tajemnem porozumieniu. Poemąt ten nie jest zupełnie wykończony. Jako dokument do dziejów romantyzmu ma wielkie znaczenie.

Jakiegoś szczęścia szukałem...
Zgubne proroctwo, sprawdzone srodze,
Gonić za szczęściem po niezwykłej drodze!
Tu ja dzisiejsze życie zaczynałem—
Bodajbym tu mógł i skończyć! [1]
Jednak straszna dla mnie zmiana,
Zimna, ciemna, nadąsana,
Pierwiastków życia piastunka miła
Kołysała mnie, pieściła,
Wyższą miłością karmiła marzenia,
A dzisiaj cmentarz, wspomnienia!
Chodź..., chodź..., mój kosturze
........(Nie ostatnie)... podróże;
.... smutny, choć kraj niemy,
Zawsze tu przeszłość znajdziemy:
Choć w przeszłości odżyjemy!
Patrz tu dla nas zima biała
Puklami szronu ubrała —
I miesięczne światło blade
Rozjaśnia nocy biesiadę;
Znajdziemy tu życie, znajdziemy.

Patrz, zadumana brzoza prostowłosa
Uroczystem okiem wróżki
Zagłębiła się w niebiosa;
Smukłe topole, jak młode drużki,
Z całą cześcią dla matron i wieku, swawolą:
Kiedy niekiedy, po cichem szeptaniu,
Sklasnąć w gałęzie sobie pozwolą —
A groźna sosna w ponurem ubraniu
Pomruka jednotonnym głosem pustelnicy
Czy północne modlitwy,
Czy zaklęcia czarownicy;
A tutaj płoche iskier gonitwy:
Te się po wzgórzach rozsypały zgrają,
Tamte się bawią ze śronów kołyską,
Te przebiegają przestrzeń lodu ślizką,
Lub tępemi księżyca promieńmi strzelają.

[1]) Odtąd kilkanaście wierszy w rękopisie pozakreślonych lub nieczytelnych.

Duch wody w pętach lodu użala się głucho,
I skała ludne echem nastawiła ucho.

Ale tam dziwniej w ustroniu zaspanem,
Za tym przejrzystym tumanem,
Gdzie lampa nieba bledziej połyska.
Tam nieziemskiego kształtu kupią się zjawiska:
To pośród innych groźne widziadło,
Jak olbrzymia mgli się skała:
Suknia je z wody oblała,
A co klejnotów mrozu na skronie nakładło!....

Rozgarnia kosę z brzozowych warkoczy,
Spojrzeniem z tęczy wkoło zatoczy,
Ozwie się szumem znanej wody,
I mary zewsząd stanęły widome,
Wszystkie znajome!
I śpieszą ku mnie w zawody!...

Precz, obecności żałobna,
Chwile przeszłości, skupione w tym poczcie!
A wy, mary, wy, do mnie! Bliżej mię otoczcie!
Niech każdą ścisnę, popieszczę z osobna!
Ty, z wiecznie świeżym, modrzewiowym wieńcem,
Ty zawsze byłaś moim pieszczeńcem!
Czy ty strzeżesz i teraz tę wielką jaskinię?
Pokaż-no mi serce swoje!
W niemiłych przeczuć godzinie
W jego kryjówki zamknąłem
Skarb. Cały, dzięki tobie! Tak, to imię moje;
A te najdroższe obwiodły je kołem. [1]
Jak je chowałaś, i nadal dochowuj,
A mech starości piękniej cię ulepi,
Świeższy gaj w boki się wszczepi,
Bujniejszy zarośnie powój,
Źródło urroczniej zabrzęczy,

[1]) W Zofiówce były sztuczne groty. Uczniowie humańscy zostawiali na ścianach swoje nazwiska. Poeta odnalazł swoje i kolegów imiona.

Wnętrza twego mrok się zgęści,
Smutek zagości w nim częściéj,
I pocieszenie słodsze go uwdzięczy
O, lepiej, tysiąc razy lepiejby mi było,
Żebym, jakiego czarodziejstwa siłą
Zasklepiony w mej pieczarze,
Nie rozpuścił mej woli po świata obszarze!
Poznawszy, ulubiwszy ustronia świat mały,
Chęci, jak dziatki, przy mnieby igrały...
Blaski szerokiego świata
Olsnęły je, oślepiły ;
Szedł ból za bólem, za stratą strata —
Zebrać je dzisiaj nie mam już siły!
Ale możnaż było, proszę,
Nieświadomemu, wykląć pierwotne rozkosze
I wytrwać z widmem zwodniczem
W szponach szatana, ze szczęścia obliczem,
Skoro, raz duszę opętawszy czułą,
Zbłąkało żądze, czucia zatruło?
Wszak ty sama byłaś świadkiem
I moich marzeń rozwiązania,
Tym pierwszym związku naszego zadatkiem!
I wiele to obietnic, jakie nalegania,
Aby mi twoje zacisze obrzydzić!

Kiedy los raz mi jeszcze pozwolił was widzieć
I rzucić się z ufnością między lube mary,
Niby ojcu z dróg wielkich na rodziny łono,
Przyjmcież w połowie serca ciężary,
Nim inne wiatry dalej mną powioną,
Nad mego serca zapłaczcie powieścią!

Przekleństwo temu, kto, smutny, z zamiarem,
By kilką westchnieniami łono rozkołysać,
Z kilką ozłoconemi łzami się popisać,
Stęka pod urojonej niedoli ciężarem!
Oby prawdziwej doznał, kto igra z boleścią!
Pamiętam, tutaj byłem: burze się zbierały,
Wiatry ponuro wyły po szczelinach skały,

Plątał się po jej czole warkocz powojowy,
Głucho szumiały sosny na wierzchu jej głowy;
Olbrzymy wichru, strojne żółtem liściem,
W dzikich zakrętach pląsały przed wniściem;
Pijane drzewa, chwiejąc się ku ziemi,
Przyklaskiwały gałęźmi nagiemi:
Konającego roku biesiada!
Przy samotności chwile tajemnicze.
Nieobaczna dusza, rada,
Mniemała cichej doli pić wtedy słodycze —
A to była tylko zdrada!
Wróg, błędów moich i żalów spragniony,
Wzdychał dawno do tej chwili,
A pewien, że ponętą miękką ócz nie zmyli,
Natarł na mnie ze słabej przez moc samą strony.
Sława, ojczyzna, swoboda,
Przejrzały z pod jego zasłony:
Piorunem dusza spłonęła młoda,
I już nic jej nie wstrzyma!
W ślad za pokusy gnałem oczyma:
Gdzie śmierć — tam rozkosz; piękność — gdzie przygoda!
Kiedy mię nagle dźwięki doleciały,
Dreszcz duszy znaną powitał mowę—
To mojej ziemi śpiewy narodowe!
Tam się kierujmy! Tam, w bojach dojrzały,
Kwitnie ród mój, pełen chwały! [1]

. . . .

Czy to bladego zachodu blask cichy
Czyste błękity zalewał —
Pod banderą swobody, pełen świętej pychy,
Nieobejrzane morza jam przepływał!
Czasem po przestworzu złotem
Przemknie się z wiatrem chmurka wędrująca...
Już jej dosiągłem myśli polotem:
Jedna to z wysep tysiąca,
Archipelagu rodzina,
Zaczarowana przez nowe zdarzenia
I dźwięki dawnego pienia.

---

[1]) Brak, zdaje się, w rękopisie kartki = 2 stron.

A tam coś w głębi mglić się poczyna:
Mącą się jasne lazury,
Pną się na chmury połamane chmury...
Ziemia, ziemia! — zawołam. — To Grecyi góry!
Tu się bezpieczą mścicielów domy,
Tu się gnieżdżą wolne gromy,
Skąd błyskawica kary na ciemiężców błyska
I w niezliczonych rojach zjawiska
Przed moją duszę z burzą się wysnuły:
Niebo pałało od błysków,
Od gromów chmury się pruły;
Śród ognia burzy, śród wichru pisków
Widziałem bój zacięty:
Przez urwiste skał zakręty
Spływały po rotach roty,
Ziewały działa, bronie się paliły,
Rozbijały się grzmoty,
A rozdrażnione echa szczekały i wyły —
Aż póki złudzeniami dusza upojona
Nie przelała do krwi łona
To szaleństwa uniesienie,
To tryumfu upojenie,
Jak na żywej walki scenie!
Niestety, wszystko marzeniem było,
I wszystko się przemarzyło!
Rzeczywistości straszydło
Zaszło mi drogę w połowie zawodu,
Wykrzywiło szyderskim śmiechem twarz obrzydłą
Objęło serce rękami z lodu,
Dmuchnęło tchnieniem zatrutem —
I świat się zapadł pod czczości zasłoną,
A zimnem, wówczas uczutem,
Dotąd zastyga drętwiejące łono —
I słabo nawet wierzę w nadzieję,
Że się kiedyś rozegrzeję!... [1]

---

[1]) G-i miał zamiar dostania się do Grecyi, aby walczyć z nią o wolność. Był już w drodze, ale wrócić musiał z powodu przeszkód materyalnej natury (których nie zaznał Byron). Opisuje tutaj swoje o Grecyi marzenia i rozpacz swoją, że projekt się nie udał.

A to co w górze przelata
Szumem zwiędłego listeczka?...
O, żądany aniele mej przeszłości świata,
Gdzież to cię niesie wiatru ucieczka?
A dźwięk przeczucia witał cię z daleka!
Spuść-że się trochę, spocznij na tem łonie:
Tu, w rodziny twojej gronie,
Rodzinny uścisk ciebie tu czeka!
Powiedz mi o naszej stronie:
Jak tam pagórek mój ma się?
Moja dąbrowa zawszeż w jednej krasie?...
Na chwilę-m nie zapomniał, przez wiek nie zapomnę,
Jak mi tam cicho, jak mi tam miło
Płonęło życia ognisko skromne,
Zaczem się burzą losów roziskrzyło!
Zaświeć mi tęczą, o dniu godowy,
Gdy, długich cierpień pokutą
Zmiękczywszy dolę lutą,
Powrócę do was, moje śmilańskie dąbrowy! [1]
Jakiemi zapłynę łzami,
Stanąwszy pomiędzy wami!
Na każdy kwiatek, do każdego ziółka
Palące usta przytulę!
Jak mię tam będą witały czule:
Echo — przyjaciel, woda — przyjaciółka!
Stąd wola na mnie znajoma kukułka —
Po wpół zarosłej drożynie
Biegnę na zdziczały wzgórek,
A tu, z pod mglistych poranku chmurek,
Wody przezierają sinie.
Z poza dąbrowy słońce się wytacza,
Ożyła wioska czuwaniem i pracą;
Trzoda poryka, jarzma kołacą —
Znam to wołanie oracza,
Poznałem śród kurów piania.
To wrzaskliwe kundlów granie —
Dzikie, dzikie ich zmieszanie,

[1]) Rodzice poety w latach 1815—18 mieszkali w Chłystynówce w pow. Czerkaskim, nad Olszanką w t. zw. Śmilańszczyznie. G-i tutaj odebrał pierwsze wrażenia przyrody ukraińskiej.

Lecz słodkie budzi dumania,
Tak, jak niestrojne śpiewki niańczyne
Kołyszą snami dziecinę.
Ot, i fiołek koło mego pieńka!
To moich marzeń dawny polubieniec:
Już nowej wiosny na nim sukienka,
Z promieni rosy nowy na nim wieniec.
Padam ku niemu, całunek mu niosę!
Drogi, aż rozigrał rosę,
Z takiem wita mię weselem!
Bo my, jak dzieci, zgadując się, znamy,
Jak ich wzruszenia i nasze bez tamy.
Zawsze ja, zawsze byłem twoim przyjacielem:
Odtąd już się nie rozdzielem!
Jakże mi odtąd swobodnie i błogo!
Wolny, jak wicher, błądzę szumu drogą
W mroku gęstwy, w jarów cieśni,
Po ról zieleni, nad wód kryształem;
Tam się kochałem przy słowika pieśni —
Tutaj gwizdaniu kosa wtórowałem —
Z upartą wilgą tam zawiodłem zwadę —
Z echem nieprzegadanem tu miałem biesiadę;
Tu, jakbym oko puścił słońca kołem,
Tyle krainy razem ogarnąłem.
Pozdrowienie ci, pozdrowienie,
Zaczarowana strono!
I woim ciemnym laskom, co toną
W ciemniejsze jeszcze przestrzenie —
I niwom, rozesłanym zapadłą doliną,
I pagórkom, co jej strzegą,
I skromnym nurtom, co ich łonem płyną,
Mieszkańcom ustronia tego,
Powietrzu, co tak swobodne,
Niebiosom, co tak pogodne!
Niech skowronkowi skowrónek
Poda je w swojej piosence!
Niechaj płynie, jak w sercu kochany całunek —
Niechaj niem wszystko roznęcę,
Niechaj niem wszystko umilę!...
Otożem znowu na mojej mogile!

Oko serca błyskawicą
Prześlizga fale Olszanki:
Tam w dali tak wyraźnie białe ściany świécą,
Tam oko świeci kochanki.
Oto jej droga na tle zieleni
Złoci się piaskiem wyraźnie:
Otóż i ona!... Nie — pustka w przestrzeni!
Marami tylko wzrok drażnię!...
Jednak już i blizka pora,
Aby, jak sobie przysięgliśmy wczora,
Zejść się w niedalekim lesie.
Czy się jeszcze raz omylę?...
Ta chmura pyłu coś niesie!...
To jej powóz błyska w pyle! [1]
Witam cię, z miejsca się chwytam —
Żegnam cię — a za godzinę
Pod lipą bliżej przywitam
I za obłokiem drzew ginę.
I zgasł, bo dzisiaj gdzie ja, a gdzie on...
Wszystko, prócz jej, widziałem, prócz z nią —
byłem wszędzie!
Było i nie jest, nie jest i nie będzie...
Moja gadka wyłożona —
I, jakby struny wszystkich uczuć pękły,
W tak przykrym zadrżały jęku.
Gdzież pierzchasz, duchu przelękły?
Wrócił, na ostatnim dźwięku
Wrócił, i ja po tej drodze
Do wspomnień drogę znachodzę.
Ale na przeszłości świecie
Ponurość, burza, zamiecie,
Zawiewa śniegami zima;
Po dąbrowie drzew szkielety —
Ja po zaspach brnę bez mety,
Aż póki mię nie zatrzyma
Listka wpół żywego skarga.

[1] Poeta wspomina tutaj Petronelę Rembertowiczównę (z Białocerkwi), którą widywał na wakacyach w Chłystynówce. Była to jedna z jego pierwszych miłości. Miał wtedy 15—16 lat.

Niekiedy w szumie zamieci
Jęczenie do mnie przyleci —
Przysparzam kroku, śledzę oczyma:
To wicher młodą gałązkę targa;
Wryły się kroki przykute,
Jak gdyby grzesznej duszy rozdzielać pokutę,
I wyroku w tych jękach słuchać mi kazano!...
Niekiedy stanę przy zacisznym dębie —
A tu nade mną falą rozhukaną,
Z wichrów szumem, z drzew łoskotem
Ocean burzy przepływa pokotem!
I tak się w jego odmęty zagłębię,
Aż słupem wzrok pójdzie proroczy
I przyszłość widma wytoczy!...
Spełniły się burzy przepowiednie!
Dostrzeżone w zamętu bezednie,
Przywabione z za świata granicy,
Zaszczepione w rdzeń bytu,
Śród miłosnego z pustynią zachwytu,
Plemię moje — niewdzięcznicy,
Wykołysani serca burzą
Coraz i coraz głębiej szpony we mnie nurzą!...
Patrzcie: po obrazie życia,
Strojne martwemi księżyca kolory,
W znajomych tonach wilcze wiodąc wycia,
Patrzcie, jak suną potwory!

O, wierna przyjaciółko, co w lustrze Łokietka [1]
Muskasz oblicze — ty miałaś ziółko,
Co snami rozkosznemi czarowało z letka:
Dotknij mię niem, przyjaciółko!
Niech te widma, ci morderce,
Uwolnią oczy i serce!...
Odeszły wreszcie za twoją przysługą!
Ach, żeby tylko niedługo!
Oto i księżyc w promyków pasemku,
Niby zabłądził po ciemku,
Trwożnie szczelinami wpada —

[1]) Woda przed grotą Łokietka.

A tutaj niegdyś dla mnie z przyjacioły
Nie w takich barwach igrał dzień wesoły;
Słońcem dziś dla mnie ta jasność blada,
Bo od przeszłych dni różnicą
Dni to obecne tak świécą!
Rozstrzeliły się pomału
Serca, tyle z mojem zlane,
A od siebie odciągane,
Powlokły strunę rozdziału,
Przytwierdzoną do ran duszy.
Najlżejszy przelot marzenia
Strunę tę dźwiękiem, duszę bólem wzruszy:
Wieczna muzyka, wieczne cierpienia!
Stąd to, o przyjaciele, moje o was pienia![1]

Jakież to dźwięki w zdroju zaśpiewały?
Rozbryznęły się kryształy,
I postać nadziemskiej urody
Wyrosła z rozstępów wody.
Strząsnęła mokre perły ze mglistej sukienki;
Potoczyły się krople po szybie rozlewu,
I znowu zabrzmiały dźwięki,
Niby echo pierwszego śpiewu,
A rozkosz ulgi niezwykła
Objęła duszę zwątpiałą.
To kropla tylko prysnęła na ciało
I wszystkie żyły przenikła!
Kto jesteś, czarodziejko, z tą pociechy siłą?...
Ach, i ciebież od razu poznać mi nie było!
Ta harmonia, co ci towarzyszy,
Podobna szmerowi wietrzyka,
Kiedy po ślizkich falach się przemyka,
By spocząć w gajów nadbrzeżnych ciszy —
Ten czysty obłok, co cię osłania,
To ta zwyczajna, mglista opona,
Którą nakrywasz wdzięki pół sennego łona
Przed rozpalonem wejrzeniem zarania,

---

[1]) Życie przyjacielskie bardzo było rozwinięte wówczas w szkołach; G-i miał wielu przyjaciół w Humaniu.

Mieszkanko morza Słodkiego —[1]
Witam cię, witam, królowo jego!
Ta sama jesteś, te samy powaby!
Wyjaśniła się mgła przypomnienia,
Roziskrzył się promień słaby
Minionego zachwycenia,
Jakie-m wysysał oczami kochanka,
Kiedy wschodu blask różany,
Zawieszony po drzewach, po wzgórkach rozlany
Zlewał na ciebie barwy poranka —
Gdy pożegnana ode dnia,
Ostatkiem jego rumieńca spłoniona,
Kołysałaś w igraszce łona
Światełka, które zorza ciemności poprzednia
Spuszczała drżącemi strzały
Na niespokojne kryształy.
Weź, drogie widmo, nocne, letnie szaty,
Uwieńcz się w gwiazdy, jak w ogniste kwiaty,
Niechaj w żyjącem zwierciedle twojem,
Jak z czary światła, jasność ich blada
Srebrnemi kroplami spada!
A ty z powagą groźną, tchnąc wkoło pokojem!...
To tryumf twojej urody!
On mi obecność czarodziejskim wpływem
W rajskie przeobrażał gody,
On mi na przyszłość burzliwą i mętną,
Cierpienia przycisnął piętno!
Bo jakiż łańcuch dziwa za dziwem
I błędów za błędami splątał krótkie życie,
Gdy w pierwszych pieszczot zachwycie,
Odsłoniwszy najskrytsze marzone ponęty,
Odepchnęłaś mię w brudne powszedniości męty!...
Ileż doznanych przygód, pokonanych ile!
A jakie przebyte szlaki,
A utracony czas jaki!
Bym dognał wdzięk marzony, iść dalej nie w sile!...
O, kochanko snów moich, bóstwo mej ułudy!
Długoż mam znosić te szukania trudy?

---

[1]) Mowa o jakimś klasycznym posągu.

Gdzież ja ciebie znaleźć mogę?
Kiedyż trafię na twą drogę?...
Co ty takiego? Czy wspomnienie z życia,
Co nas wypieszcza przede łzą powicia?
Czy obietnica szczęścia w przyszłości zagrobnej?
Czy ty może i tu jeszcze,
Na tej dolinie żałobnej
Objawisz się, tęsknoty zaspokoić wieszcze?...
Ktokolwiek jesteś, na ziemi, czy w niebie,
Niech ciebie poznam, niech posiądę ciebie,
Niech ciebie poznać, posiąść mam nadzieję,
A ta obłędna, ciemna wędrówka,
Jak gwiazdą przewodniczką, tobą rozjaśnieje!
Bez łzy strapienia, bez skargi słówka
Pójdę ochotniej, niż, dotąd i śmieléj
Szukać mojego anioła!
świat się dla mnie zapełni dokoła;
Gdzie śród kwiatów rosa strzeli,
Gdzie wiatr odezwie się z liści,
Gdzie się gwiazda z mgłów oczyści,
Gdzie niebo spłonie uroczniéj,
Gdzie jaśniejsze przejrzą zdroje —
Tam, bijące serce, spocznij!
Tam cię, marzona, znajdę, albo ślady twoje!...
O, kochanko snów moich! Nie próżneż to mary,
Opatrzności mądrość prosta,
Co nas popędza, jak łagodna chłosta,
Byśmy łatwiej przy mecie złożyli ciężary

Cyt! Dźwięk się ozwał daleki i głuchy:
Jak uroczyście, jak on ponuro
Na nocnych wiatrach brzmi górą.
Czy to jakie hasło, duchy?
Wokrąg trwożne pomięszanie,
A mary we mgłach znikają powoli.
Czy je przegania skarga niedoli?
Czy dźwięk, co blizkie wyśledził świtanie?

Więc mi bądźcie, mary, zdrowe!
Bądźcie mi zdrowe, godziny,

Ubiegłe śród ich drużyny!
Przede mną znowu drogi jałowe...
Jeszcze się jedna ze mną została:
Skromna, samotna, nieśmiała,
Ustronnych opok mieszkanka.
Można ją poznać siedzącą
Pod gęstwiną wierzb, płaczącą,
Po dzikiej róży u wianka...
Raz ją zszedłem niespodzianie
Przy wodzie powiernicy
Na szeptanej tajemnicy.
Było to pierwsze poznanie,
Ale samotnym trzeba czasu mało,
By się wywnętrzyć z ufnością całą:
Dziś nas kochanków łączy przywiązanie!
Poczekaj, utęskniona, za kochanym głazem:
I ja zmierzam w twoje strony,
Poczekaj, pójdziemy razem!

Od sióstr twoich odbieżony...
Zdarzyło mi się podobnie,
Gdym wędrował nad brzegiem rodzinnym Horynia.[1]
Szumiała wkoło sosnowa pustynia,
Kapłanka dziczy hukała żałobnie,
Ustronna rzeki zatoka,
Wygładzona i głęboka,
Rozlewała się modrem tłem przede mną.
Prócz świetlika, co drogę rozpromieniał ciemną,
Wszystko było tak sępne, takie tajemnicze,
Jak moje myśli, zabiegłe
W chwile dzieciństwa odległe —
Jak wzrok, utkwiony na wody oblicze.
Już, zadumania urokiem ściągnione,
Niewróconego wieku godziny
Zaczęły mi majaczyć w przezroczach głębiny;
Już się nad jasną podniosły zasłonę,
Już w powietrznych pląsach tłumnie
Gromadziły się ku mnie...

[1]) W dzieciństwie G-i chował się lat kilka u babki w Sławucie nad Horyniem. Wybrzeża tej rzeki były miejscem jego zabaw.

Jedna łza, niestrzeżona, upadła z powieki:
Drgnęła ze wstrętem pierś rzeki,
Skruszyło się wód zwierciadło —
I wszystko w głębiach przepadło!...

Tędy skierujmy się jeszcze,
Na tę dziką wstąpmy ścieżkę:
Jeszcze odwiedzę jedną towarzyszkę,
Jedną pamiątkę popieszczę!
Wszakże to ona, podobno,
Pośrodku lodów siedzi na kamieniu,
W półśmiertelnem odrętwieniu! [1]
Zasępiła twarz nadobną,
Słucha, jak cisza okolic głucha
Zbłąkany powiew niesie jej z daleka,
Psów nocnego wycia słucha,
Księżyc, zachodząc na burzę,
Krwawym ją blaskiem powleka.
To wybrnie z chmury, to utonie w chmurze;
Już całkiem ukrył twarz rozpłomienioną.
Zaczem ostatnie promienie spłoną,
Przez nagie wzgórki, przez milczące gaje
Jeszcze, raz jeszcze żegnać się ją zdaje,
Szląc na wietrze burzliwym chmurkę zakrwawioną.
Jak dzikie w gońca spojrzenie topi,
Badające, niespokojne!...
To nie to oko, co, słońcem strojne,
Gdzie się obróci, mgłą kolorów kropi,
Gdy czarodziejka, bywało,
Strzeli z pod głazu kibicią wspaniałą
W sukni z drobnych mgły perełek,
W koronie żywych światełek,
Z plecionym w tęcze warkoczem...
A tu do wszechwładnej pani
Z darami pokornej dani
Błyski dnia skaczą wody przeźroczem,
Przeganiają wiatrów skrzydłem
Słowiczego hymnu tony;

[1]) Mowa również o posągu.

Osiedlony w kwiatach rój niedostrzeżony
Podlata z kwiatów kadzidłem!...
Zwiększa się trwoga, w twarzy jej wyryta,
Ciekawiej chmurkę ciemniejszą pyta...

Nagle zgasł księżyc ponury,
Psy zawyły,
Zapiały kury,
Świsnął wiatr niemiły —
I wszystko przeszło. Idźcie, duchy, zdrowo!
Byłem, jestem i będę samotny na nowo,
Tylko pode mną i z boku
Zimny kamień, naga róża,
W lodach głuchy szmer potoku,
W rozigranych myślach burza —
A w oku? Ani łzy w oku!

Humań, luty, 1824.

DO PRZYJACIÓŁ.

Dziękuję wam, przyjaciele,
Że z miłosierdzia wasza dłoń podchwyta
Zabłąkanego rozbita, [1]
Gdy go już miały pochłonąć topiele —
Ale, com stracił na przeszłości rafie,
Tego odzyskać nigdy nie potrafię.
A więc niewczesnych pocieszeń ukróćcie
I fal igraszkom znowu mię porzućcie!
Och, bo strat moich już nie powrócicie,
A bez nich ciężarem życie!

Że mam w losie przeciwnika,
Żem z burzami życia w wojnie,
Że mię świat nie zna albo unika —
Zniosłem i zniosę spokojnie.
Lecz mieć do chwały, do wieków prawo
I tak się rozstać z czasem i sławą!...
I cóż stąd, choć geniuszu lot przed sobą czuję,
Choć mi się jego niebo zdala ukazuje?

[1]) Dla rymu, zamiast: rozbitka.

Ociężałe me skrzydło ku ziemi się zważa,
A blask niebieski tylko przeraża,
A czucie straty i jej poznanie
Tylko serce rozrania,
Jakbym, wygnaniec z własnego mieszkania,
Przywłaściciela widział w niem mieszkanie.
I pocóż było przez przysługę srogą
Tam słabe kroki naprawić,
Dokąd zdążyć już nie mogą,
I tak je między ziemią a niebem zostawić!

Wiek młodości, wiek zapału,
Przekwitał wiek najpiękniejszy,
Zimniejszy w duszy, w pojrzeniu chmurniejszy.
Odwykałem pomału
Od szczęścia ludzi i ponęt życia —
Drętwiałem pomału
Na tajemnicze w żywszem sercu bicia,
Na niepojętych uczuć wzruszenia,
Na to nawet spokojny, że mego płomienia
Nikt nie odbił okiem łzawem,
A i to życie tak spokojnie niosłem,
Jak gdyby było innego posłem
I zwiastowało rzucić mię niebawem.
Kto wie! Może fal kilka,
Może jeszcze jedna chwilka,
A, wszystko utraciwszy, nie czułbym tak wiele,
Nie znając tego, co tracę.
Dzięki wam jednak, moi przyjaciele,
Za wasze daremne prace! 1829.

WIANEK PRZYJAŹNI.

Chodźmy jeszcze na to wzgórze, [1]
Powitać się z naszą brzozą!

---

[1]) W poprzednich wydaniach wiersz ten zaczynał się od słów: „Chodźmy, Janie"... My tutaj uwzględniamy teksty poprawione przez poetę później do nowego wydania. Mowa tu o Janie Krechowieckim, u którego w Leszczynówce (pow. Humański) poeta bawił w r. 1826. Tutaj zaczął pisać „Zamek Kaniowski".

Sunie jesień w mglistej chmurze,
Goniec zimy świszcze łozą,
A przy samym wierzchu drzewa
Szkielet wianuszka powiewa.

Czy pamiętasz ten spoczynek,
Gdy, biesiadując w tej stronie,
Wiązały go nasze dłonie
Przyjaźni na upominek?
Czy pamiętasz jego farby
Przy letniego słońca blasku?

Jak zmieszane światła skarby
W czarodziejskim tęczy pasku,
Tak płonęły jego farby.
A jak płeć trupiego lica,
Taka zimna, taka blada
Jasność nieba dziś przyświéca,
Na szczerniały wianek pada.
Westchnij, patrząc, co się dzieje
Z pięknym przyjaciół wianuszkiem!

Kiedy nad śmiertelnem łóżkiem
Światło gromnic zajaśnieje,
Kiedy anioł skonu niemy
Zamgli źrenicę chorego —
W milczących twarzach niesiemy
Smutki ostatnie dla niego.
Głucho, lecz jak tam czujemy
Po proroczem serca biciu,
Że ubywa węzłów życiu!
Pękają ziemi ogniwa,
Łańcuch bytu się rozrywa!
Czucia ten łańcuch składają:
Gdy się mnożą — rośnie życie,
Że przemija — czujem skrycie,
Kiedy czucia przemijają.

Przerwijmy smutne marzenie,
Chodźmy na zżółkłe zielenie,

Na spłowiały nasz pagórek.
Z błędnym kręgiem błędnych chmurek
Po przeszłości myśl ma lata —
Niechaj pobuja w swobodzie,
Pamiątką szczęścia bogata:
Jak to skrzydełko motyle,
Ręką wiosny malowane,
Wiatrem jesieni porwane,
Po tumanach i po chłodzie
Krąży jeszcze jakąś chwilę —
Niechaj krąży, a my siądźmy,
Jeszcze łzy szczęścia dobądźmy!
Niechaj łzy szczęścia promieniem
Cień mego smutku umilę!
Kiedy nam rzeczy niestałość
Gotuje w przyszłości żałość —
Uganiajmy za wspomnieniem!

Jakby żałobną zasłoną,
Brzoza, tumanem odziana,
Jak źrenica zapłakana,
W zimnej rosie listki toną
I z wiatrami złośliwemi
Rozsypują się po ziemi.
W podobnych łzach i żałobie
Widziałem oblubienicę,
Jak po stracie oblubieńca
Zmartwiała na jego grobie,
Puszczała na okolicę
Listki ze ślubnego wieńca.
Jak boleśnie po jej oku
W płacz się rozlał śmiech wesela!

Używajmy chwil, co płyną,
Używajmy, nim przepłyną!

Patrz jednak: on był kwitnący!
Ja korzystałem z widoku...
A ty słuchaj przyjaciela:
Jutro... w godzinę... w minutę...

Może się zejdziem — niechcący;
Jutro... w godzinę... minutę...
Mogę już być przykrym tobie.
Możem się zimno przywitać,
Możem zimno ścisnąć siebie —
Możem o siebie nie spytać!...
Gdy więc przyjdzie, że dla ciebie
Dłoń ma będzie bez płomienia,
Bez duszy mojej spojrzenia,
Bez uczucia moja mowa —
Niech się przynajmniej wychowa
Pamięć tego posiedzenia.

Leszczynówka, 29. września 1826.

MOJE NABOŻEŃSTWO.

1.

Po co mi drzemać w kościele
I modłami Boga nużyć?
Mnie potrzeba tak niewiele,
Mnie tak łatwo życia użyć!

2.

Szczupły a wieczny pieniążek,
Świeża, pieszcząca kobieta,
Pióro w ręku, kilka książek,
Polska i rzeczpospolita —

3.

Otóż są wszystkie rozkosze,
Które świat zrobią mi rajem;
Otóż wszystko, o co proszę
Boga moim obyczajem.

4.

Dla własnej na przyszłość chatki,
Żadnej pracy się nie zlęknę;
W cześć przyszłej synów mych matki
Wielbię każde oczy piękne,

5.

Zresztą gotow-em do bitwy,
Skoro ojczyzna zawoła.
Oto są moje modlitwy —
Na cóż mi do nich kościoła? —

GOŁĄBEK Z POSŁANIEM.

Z której to lecisz, gołąbku, strony,
Z takim ciężarem, taki znużony?
Jakież cię ręce puściły srogie
W tak przykrą drogę?

— I Pan, co nami rządzi wszechwładnie,
I, o, ten ciężar, co na nas kładnie,
I kraj, skąd lecę, i kraj gdzie stanę,
Wszystko mi nieznane!

Choć wiem, to mało z pana igraszki:
Do ptaszki tęskniąc, lecę do ptaszki;
Wzdychając ku mnie, czeka mnie miła,
Smutna, jak mogiła.

Ciężar, co niosę, przykry, jak ciało —
Trudną, jak życie, mam drogę całą;
A w słotach, w biedzie żadnej ochrony
Nad ciężar włożony.

Gdyby już prędzej brzemię nad siły
Złożyć na łonie tęskniącej miłej
I spocząć sobie w krajach, gdzie gości
Spokojność wieczności!

STRASZNA CHWILA.

Nie wierz blaskowi, co te chmury złoci:
To czarnej burzy osłona;
Nie wierz tym nagłym uśmiechom dobroci:
Kryją one piekło łona.

Gdy ciemne lica niemi się powloką,
Ty, jedna dla mnie jednego,
Nie patrz w mą duszę — przez moje oko
Nie puszczaj się na dno jego!

Ta chwila mija; ale, nim przeminie,
(Sam się jej potem ulęknę),
Com kochał, pieścił, com wielbił,
Wszystko święte, wielkie, piękne.

Tak stanie wówczas przed wzrokiem pojęcia.
Jakby obrzydłe widziadła,
Jakby ojczyzna swem słowem wyklęcia
Szpetność śmierci na nie kładła.

Ty sama nawet... ale wyrzec chciałem,
Czem w tej chwili sam się trwożę.
Daruj, że moje wyznania urwałem:
Czarna to chwila być może.

. . . .

DO WIDZENIA!

Obłąkany, zasępiony,
Ze skamieniałą od bólu źrenicą,
Jak nad wieczności stoję granicą
I ciągle patrzę w te strony,
Gdzie mój anioł opuszczony.

I tylko serca tętnieniem
Liczę stąpania czasu, co srogo
Wlecze me życie tęsknoty drogą
W niemej boleści cierpieniach,
Bez pociechy w twych spojrzeniach.

A dola jeszcze surowa,
I cios po ciosie mierzą wyroki.
Ledwom cię rzucił, muszę bez zwłoki
Przesłać tobie straszne słowa:
Wieczne, wieczne „bywaj zdrowa!“

Gdybyż w czasie rozłączenia
Była nam dana sam na sam chwilka —
Twój pocałunek, twoich łez kilka
Dałyby mi moc znoszenia
Choćby męczarń potępienia.

Lecz gdy się pierś bólem zsiadła,
Tyś mi westchnieniem nie odebrzmiała;
Próżno w mych oczach łza się skradała
Do łzy, coby z twoich spadła,
Jakbyś tylko moją zgadła.

Sam dźwigałem ciężar cały!
Nie módz się ścisnąć w wiecznym rozdziele,
W smutku wieczystym udać wesele...
Aż teraz łzy mię zalały,
Choć teraz ulgę mi dały.

I te czas otrzeć z powieki,
By nawet mary nadziei przegnać,
By raz ostatni ciebie pożegnać...
Jakto? Pożegnać na wieki?
A grób może tak daleki!

O, szczęścia mojego duszo!
Dla ciebie zniosę męki rozstania;
Ale wiecznego myśl pożegnania!...
Nie! Tego żadną katuszą
Losy na mnie nie wymuszą.

Z ostatkiem dopiero tchnienia
Wieczne: „bądź zdrowa!“ może wyrzekę —
Lecz dzisiaj — dzisiaj ono dalekie!
Niema dla nas rozłączenia!
Do widzenia! Do widzenia!

PRZY KROSIENKACH.

Na tem miejscu, w tem okienku,
Ostatnia przeszła rozmowa:

Oko w oku, ręka w ręku,
Na ustach konały słowa.
Nie wiem, jak mą pracę zrobię.
Chcę patrzeć — tylko się łzawię;
Chcę dziergać — tylko się krwawię.
Muszę wytchnąć sobie.

Chmurny wzrok był u kochanka,
Kiedy się miał żegnać ze mną;
A gdy koń zarżał u ganka,
Twarz mu zaszła nocą ciemną.
Trzeba do roboty wrócić —
Nużby spadł tu niespodziany,
A proporczyk nie zdziergany:
Mógłby się zasmucić.

Wychodził — i wyjść nie zdołał,
Stał, jak posąg nad mogiłą.
Skoczył — „ojczyzna" — zawołał
I zniknął — łzy mu wstyd było.
O łzo, jakaś uporczywa!
Czy chcesz zrosić kwiatki szycia?
A te kwiatki są bez życia...
Łza nie słucha — spływa!

DO...
(PORADA.)

Miłe twe oko, jak niebo pokoju!
Jak słońce patrzy z cichego zdroju,
Tak ciche życie z twych óćz połyskiwa,
A po jagodach bojaźliwie, skromnie
Lotnemi chmurki rumieniec przepływa...
Ty na mnie patrzysz, uśmiechasz się do mnie.

Czekajże, piękna! Posłuchajże chwilę!
Gdyby twe oko, co patrzy tak mile,
Mojemu oku tak odpowiedziało...
Cobyś ty chciała, co ci mam dać wtedy?

Weź sobie rozum... Czyż tego nie mało?
Szału miłości będzież on wart kiedy!

Lecz weź go sobie; weź i życie jeszcze,
A ja raz tylko, raz jeden popieszczę,
I niechaj potem szaleję, niech ginę!
Stanie, ach stanie to pocałowanie
Za tę rozumu, tę życia godzinę!
I ty się zgadzasz?... Czekaj!... A niebianie?

Czyż taka rozkosz ujdzie nam bezkarnie?
Niechaj się niebo do ciebie przygarnie,
Bo cisza nieba twoją pierś nasyca,
A we mnie — słyszysz? — jakie burze wyją!
Jak rajskie źródło, czysta twa źrenica;
Z twojej źrenicy anieli niech piją!

Nie bierz mi serca, nie oddawaj swego!
Odwróć się, odwróć od spojrzenia mego,
Pokąd szanuję niewinnej swobodę,
Póki trwam jeszcze w dzikiej cnoty szale;
A za jedyną mych cierpień nagrodę
Bądź srogą dla mnie, zapomnij mię wcale.

1824.

SONETY.

1.

Dosyć już twoja dręczy mię niełaska,
Dosyć tej wzgardy, jużem dość zniżony;
Dłoń, co budziła miękczące cię tony,
Niezręczną lutnię dłoń ta wnet potrzaska.

Lecz mej boleści, mej rozpaczy mało:
Zginę; czy słyszysz? Czekam jeszcze chwilę.
Dziś moje życie w twych wyrzeczeń sile.
Ozwij się! Milczysz? A więc już się stało!

Więc patrz, o Anno! O, szczęście bez tamy! [1]
Spojrzałaś tylko, i już się kochamy —
Spojrzałaś, a tym jednym ócz przelotem

Cieszę się życiem, pieszczę sercem twojem.
Odtąd więc będziesz mych pieśni przedmiotem,
A twa źrenica natchnień moich zdrojem.

2.

Gdy się słońce w świat wytoczy,
A ogniem jego po łące
Błysną rosy krople drżące —
Anno, to są twoje oczy.

Ale jeszcze twa źrenica
Jakąś w sobie moc ukrywa;
Ta, tylko tobie właściwa,
I przenika, i zachwyca.

Kiedyśmy bowiem, nieśmiali,
Wejrzeniami się spotkali,
Serce mi nagle zadrżało,

Spłonąłem lubym zapałem,
Dreszcz przejął żyły i ciało —
I już cię, Anno, kochałem.

3.

Nie te zapały, które tchnie Apollin,
Ni mię uniosły Hipokrenu wody.
Czuję moc wejrzeń, moc śpiewam urody:
Anna to miła, jak strumyk wśród dolin.

Żywa pięknością, jak farbami tęcza,
Jak ta, w kolory, w powaby obfita;

[1]) „Sonety“ niniejsze i następne „Tryolety“ należą do pierwocin poetyckich G-o. Mowa tu o Annie Jelonkowskiej (miłość uczniowska).

Młodość i skromność na licach rozkwita,
Żywym zórz blaskiem źrenice uwdzięcza.

Nie pączek-że to ci wylewa wonie?
Ogniem to życia koral ust jej płonie,
Tak czarujący, jak pogoda cicha.

Cień się zatoczył wkoło nad oczyma —
Zgubna dla czułych, kiedy się uśmiécha;
A jej głos? Głos jej nic równego niema.

1819.

TRYOLETY.

PYTANIE:

Niechaj mi odgadną,
W czem ładną kobiéta,
W czem najwięcej ładną?
Ach, wszyscy odgadną,
Bo to bardzo snadno,
Choć ta rzecz ukryta.
Niech mi więc odgadną,
W czem ładną kobiéta?

ODPOWIEDŹ:

Otóż moje takie zdanie:
Serce — jej piękność prawdziwa.
W niem tylko wiecznie zostanie
(Takie moje o tem zdanie)
Dobroć, czułość i kochanie,
Co w sercu tylko przebywa.
Otóż moje takie zdanie:
Serce — jej piękność prawdziwa.

1819.

ISKRA BOŻA.

Jakto, duchu mej ojczyzny,
Moja ty matko anielska?
Czyż marna wartość tego cielska

Wparłaby już serce moje
Na takie życia mielizny?
Czyż tułactwa niepokoje
Takby mię już rozstroiły,
Że nie miałbym dosyć siły,
Ja, twój syn, dla ciebie, matki,
Wylać w ofiarniczem pieniu
Chociażby duszy ostatki?
Miałbym unieść na świat drugi
W wypogodzonem sumieniu
Niespłacone tobie długi?
O, nie! Niech wicher szalony
Kupiących się burz tysiąca
Tarza ciałem w różne strony,
Na wsze strony myśl roztrąca —
Mam ja jeszcze, mam kotwicę
Niezerwaną, niewzruszoną:
Kiedy ją spuszczę w burz łono,
Kiedy potężną jej szponą
Samo serce burzy schwycę,
Urągam wam, nawałnice!
Wasze, tak dziś groźne, wały
Będą mi, jakby igrały,
I, jak koroną, osłonię
Moim żywotem ich skronie.
Świeci tu, w ducha przeźroczy,
Moja gwiazda, iskra Boga;
Żadna burza, żadna trwoga
Nie zgasi jej, nie zamroczy.
Jeszcze ja tem światłem drogiem,
Jak wiecznem słońcem, zaświécę
Przez mego ludu ciemnicę,
Jak słońce, wznijdę nad wrogiem:
O, jeszcze ja nim rozpalę
Stos ku twojej, Polsko, chwale!

POKRZEPIENIE.

1.

„O Kościuszko! O Puławski!
Lechickiej wiary męczeńskie dusze,
Ziem lechickich geniusze,
Rzućcie dziś na mnie światłem swej łaski!

2.

„Mrok i bezład, jak zamętu,
Zawaliły mi szlak życia prawy:
Niechże wasz promień łaskawy
Da mojej duszy hart dyamentu!

3.

„Raczcie mię wesprzeć, nim padnę!
Tu jawne tamy, tam kręte drogi,
Tutaj ponęty, tam trwogi
Rzuciły zewsząd swe sidła zdradne.

4.

„Zmieszać mię z tłuszczą nikczemną,
Spodlić mię pragną hańby zesłańce:
Stańcież, chwały wychowańce,
Stańcie jej wiecznem słońcem nade mną!

5.

„Niech wschodnie jego zarzewie
Spłoszy z dróg moich zwodne straszydła;
Niech roztoczę moje skrzydła
W słońca waszego wschodnim powiewie!“—

6.

Takem wołał w ciężkiej chwili,
Gdy nizkość ziemska grozi lub nęci —
I nie darmo: moi święci
Swojem mnie słońcem znów oświecili.

7.

A rój pokus i straszydeł
Pierzchły, jak nocne przed świtem mary,

I wszystkie ziemi ciężary
I pęta ziemi spadły ze skrzydeł.

8.

A przed duszą, co podrosła
I nad powszednim buja poziomem,
W ucieleśnieniu widomem
Stanęła cała przyszłość — tak wzniosła.

9.

Droga do niej długa, krwawa,
Przez tysiąc skonów, przez lądy, morza,
Ale promienna, jak zorza —
Ale ponętna, jak czysta sława!

10.

Znów ziemią i oceanem
Wolna mi ziemia, cały świat wolny;
Do ofiar życia znów zdolny,
Całego siebie znów jestem panem.

OBJAWIENIE SIĘ OJCZYZNY.

1.

Jakaż to lubość rzeźwiąca
Wieje przez ciężką południa spiekę?
Obłoczek, jak mgła, wstrzymał się u słońca
I żary jego odział, jak w powiekę:
Z lekka — uroczo, jak to omdlenie,
Co śród rozkoszy przymracza spojrzenie.

2.

Serca kwiatów tchnęły wonią —
Zatrzepotały liściami drzewka,
Każde, jak ptaszek o skrzydeł tysiącu,
Jakby się chciały unieść gdzieś pogonią;
Obłoki muszek zagrały w słońcu,
Każda swym dźwiękiem, jak osobna śpiewka,

3.

Wcielona, oskrzydlona głosem.
Odkryłem głowę, usta otwarłem —
Pij, głowo, ulgę, pij ją każdym włosem!
Piersi spalona, pij ją całem gardłem,
Bez odpoczynku, za jednem tchnieniem,
Chociażby napój miał buchnąć płomieniem!

4.

Dziwne tchnienie eterowe
W piersi i w głowę żarem spłynęło.
Jak liść, ożyły czucia pogrobowe,
Serce woniami swobody westchnęło,
Myśli zagrały w owadów chórze,
Patrzą ku górze i lecą ku górze.

5.

Bo tam, po falach powietrza,
Wróżka przemyka w łodzi obłoku;
Jej twarz od twarzy konającej bledsza,
Lecz uśmiech w ustach i światło w jej oku,
To sen, co wróżbą szczęścia się wdzięczy;
Nad łódką płynie chorągiewka z tęczy.

6.

O wróżko, Polski rodzico!
Gdybyś ty kiedy, jak mnie w tę chwilę,
Błysła przed ludu twojego źrenicą,
I onby może poczuł się w swej sile,
I onby może, znów oskrzydlony,
W nowy lot puścił swoje miliony!

NA MOGILE KOŚCIUSZKI.[1]

1.

Otóż już w sercu tej świętej mogiły
I prochy braci zamknięte;
Prochy wielkie, prochy święte,
Pola Racławic dotychczas płodniły.
Duchu Kościuszki, aniele tej ziemi,
Bądź ich aniołem, prosimy za niemi!

2.

Ojcowie kwiaty w tych prochach posieli,
Posieli kwiatów zarody,
Co na tryumfach swobody
Zwycięskim wieńcem ustroją mścicieli.
Duchu Kościuszki, aniele tej ziemi,
Bądź ich piastunem, prosimy na ziemi

3.

Dopóki Wawel skargami boleści
Będzie jęczał w burzy tonie,
Niech dopóty na ich łonie
Oko księżyca rosy nie popieści!
Duchu Kościuszki, aniele tej ziemi,
Kryj je przed światem, prosimy na ziemi!

4.

Aż, kiedy drobna gwiazdeczka ostrzela
Wnętrzną mogiły ciemnicę,
To przyjdą nasze dziewice
Po kwiat tryumfu, ze łzami wesela.
Duchu Kościuszki, aniele te ziemi,
Pozwól im kwiatu, prosimy za niemi!

5.

Wezmę ja dzisiaj do mojej zagrody
Szczyptę ziemi tej w zarobku,

[1]) Utwór ten powstał najprawdopodobniej w r. 1828 podczas podróży z M. Grabowskim do Wiednia, a może dopiero w roku 1832, już na emigracyi.

Zaczem święty głaz nagrobku
Zostanie naszej ołtarzem swobody.
Duchu Kościuszki, aniele tej ziemi,
Czuwaj nad nami i modły naszemi.

DOBRANOC Z ODDALENIA.

Spływa dzień przecie — i za godzinę
Zapłynie gdzieś tam, w światów bezedno;
Sen uspokoi troski, rodzinę
I życie niejedno.

A tylko mojej duszy tęsknica
Od utulenia, od snu daleka;
W nocy mię smuci blaskiem księżyca,
W dzień skwarem dopieka.

Nie tak nad Wisłą, jak tu u Buga,
Nie tak mi ciężko biły godziny;
Czas tam dogadzał, jak stary sługa,
Śród serca drużyny.

Ale kazano wichrzyć po świecie —
Trudno się oprzeć wyższej potędze.
A wy spokojni, wy nie czujecie,
Jakie dni tu pędzę.

Może to dla was i dla mnie lepiéj,
Jednak na zachód czasem pojrzyjcie,
A gdy obłoczek słońce zasklepi,
Pomyślcie — westchnijcie!
Będzie to moje o was wspomnienie —
Lecz oto słońce już, jak w otchłani;
Wkoło noc pada, z nocą milczenie...
Dobranoc, kochani! 1828.

ZAMCZYSKO.

Jakich to wiatrów szemranie
Po zwisłych listkach brzeziny?

Jakie to szeptanie
Po zaroślach trzciny?...
Cyt — to wieki upłynione
Zabłąkały się w tę stronę
I nad gruzami zamczyska
Jęczą w tajemniczej mowie...
Znają ten język tylko wieszczowie,
Tylko wieszczowie widzą te zjawiska.

Głuchoż tu dzisiaj i smutno!
Dzieła ludzi, wieków dzieła,
Jak pajęcze płótno!
Jak trud pająka, praca lat minęła.
Cóż to za ogrom, rażący zdala,
Wzniósł się nad wody, nad pola, nad bory?
Płomienistemi kolory
Dzień okna jego zapala —
Wiatry igrają z chorągwiami jego —
Jak błyszczące posągi, szyldwachy go strzegą;
Róg strażnika chrypi,
Brzęczą mosty, brama skrzypi,
Od zgiełku tłumów powietrze kipi.
Znużony drogą, wędrowiec, usiadłszy,
Z dalekiego wzgórza patrzy,
Słucha z dalekiego wzgórza
Wrzawy, co wiatry zaburza.

A dzisiaj gdzież się podziały
Trwałe i sławne ogromem gmachy,
Wieże ze lśniącymi dachy?
Gdzie ich blask rozgorzały,
Co słońce drażnił, raził spojrzenia?
Gdzież te krużganki, gdzież ta ich białość,
Widna ponad okolice?
Gdzież się przenieśli dziedzice,
Gdzie ich dworu okazałość?
Gdzie zgiełki zgromadzenia?
Wszystko zamilkło, wszystko przeminęło
Bo praca wieków, jak pajęcze dzieło.

Gruzy — ślady cudów świata,
A zapomnienie — twórcom ich zapłata!

Dalekim wiatrem szumi głucha puszcza,
Kogut pieje w dali —
Z przeraźliwym świstem
Dwaj się krogulce o łup spotkali;
Szumiącem skrzydłem jastrząb się opuszcza.
W ustroniu cienistem,
Na dębie, co go gromy rozorały,
Zadumał się orzeł wspaniały,
A pod nim pełza ród mrówek drobniutki —
A wieszcz na wale, owcy dziś dostępnym,
Poziera wzrokiem posępnym,
Jak z kawałkiem papieru mądre jego smutki
Wiatry unoszą za sobą.
I nic więcej z pomnika nad wieków przepychem?
O, wielkości ziemskiej dolo!
Czyż takie zawsze twoje koleje,
Że cię śmiertelny potem i krwią zleje,
By niebawem opłakał w zadumaniu cichem?...

1828.

ODBLASK WODNY.

1.

Wygładzona od pogody
Lśni woda, jak nieba zwierciadło;
Na pogodnem niebie wody
Spokojne się słońce układło.
Niechże lada wietrzyk dmuchnie,
A z niebios, co na dnie sinieją,
Milion skrytych gwiazd wybuchnie,
I pożarem się rozleją
Przez ciche dopiero wód łono.

2.

O bracia, o towarzysze!
Podobnie z ócz waszych kryształu,
Przyodziane w lica ciszę,

Tli święte ognisko zapału:
Niechże lada myśl je trąci,
A płomień ofiary czynnej,
Odblaskiem dusz się zamąci,
Pójdzie po ziemi rodzinnej
I naród, jak pożar, ogarnie.

Leszczynówka, 1826 r.

ŻEGLUGA POETY.

1.

Co za nieznośna południowa spieka!
Ten obraz brzegów, co się szkłem wody powleka,
Tak tu czaruje, zachwyca,
Jak uśmiech spłakanego niewinności lica.
I nie ten tylko wdzięk tu jedyny:
Ta wioska w głębi, ten lasek zielony,
Ten brzeg, pasmami wzgórków pogarbiony—
Wszystko to oczom wdzięk miły!
Ale spieka południa odbiera mi siły,
I moja brzoza o zwisłym warkoczu
Po rozlanej Bereźny milczącem przezroczu
Omdlałe rozsiewa cienie —
I mojego wiatru tchnienie,
Co mię tak zawsze bawi szumem tego drzewa,
Jakimś skwarem dzisiaj ziewa.
Jednakby trzeba już było
Z takim nieznośnym oswoić się stanem ;
Czyż mi to się raz zdarzyło
Z piekłem rozpaczy w piersiach, z okiem obłąkanem
Biedz za ochłodą i, po obiegu,
Nowe, przy dawnych, znaleźć męczarnie!

2.

Zbliż się, czółenko, do brzegu!
Wczołgaj się tutaj przez miękkie darnie
I na staw cichy nieś mię pomału!
Rzeźwiejszy wietrzyk tam może powionie,
I lżej odetchnę pośród wód kryształu.

W kłosów złocie, w wody łonie
Ogień słońca cicho płonie,
Wygładza zwierciadła fali:
Daléj, moja łódko, daléj!
Niechaj choć woda, o twój bok pluszcząca,
Tę uroczystą ciszę zamąca!
Kiedy nas wieczność z gajów snu wywodzi,
Szczęśliwi jeńce pieluchy,
Chowańce błogiej otuchy,
Nierozmyślnie, w kruchej łodzi —
Na ciszę życia tak się zdajemy:
Nieme serce — i świat niemy!

3.

Daléj, moja łódko, daléj!
Co to? Wietrzyki powiały:
Tu, obok, jeden pierzchnął po fali,
A tam, na brzozie, ocknął się mój mały;
A ten z pieśniami żniwiarek
Leci nad łąką, przez jarek,
I wzlatuje i ustaje —
A śpiew przybliżać się zdaje...
Dalej, dalej, moja łódko!
Ty, wiosło, pluskaj cichutko,
A ty, wietrzyku doliny,
Leć tu z piosneczką dziewczyny!
Otóż i ona płynie z fali kłosów,
W długim promieniu rusawych włosów:
Na jej koszuli, co rażącą bielą
Do połowy ją osłania,
Kwiaty, jakby wiosny tkania,
Po obojem ramieniu pękami się ścielą
I wyniosłe wieńczą łono;
Wyżej kolana, niżej kolana,
Po ciemniejszem tle stroju koła obwiedziono,
Wszystkie żywej tęczy wdzięku
Mienionemi farby płoną —
Pod niemi nóżka biała i lekka, jak piana,
I pęk bławatków w jej ręku.

4.

Tuż się nad wodą dziewczę sadowi:
Bierze kwiatek po kwiatku,
Przeplata je trawką miętką
I zręcznie i prędko
Zbliża koniec ku końcowi,
Spaja obadwa w ostatku —
A gdy już wieniec gotowy,
Chce go przymierzyć do głowy;
A gdy nad lustro wody się nachyli,
Wiatr dmucha, wianek spada; wiatr dmuchnął —
po chwili
Wianek daleko, daleko...
Ona wstaje, spoziera na mię,
Z cichym bolem ręce łamie,
Ciche łzy ściska powieką.

5.

„Poczekaj, poczekaj, dziewczyno!
„Obetrzyj ze łzy źrenicę:
„Fale z wiankiem nie upłyną,
„Pośpieszę czółnem, wianek uchwycę,
„Wrócę go tobie, dziewczyno!"
Wołam i śpieszę, jak mogę.
Cóż to za dziwna istota?
Na uśmiech zamienia trwogę,
Patrzy na wianek, na mnie w milczeniu,
Daje znak w ręki skinieniu —
I tonie śród kłosów złota.

6.

Ach, ona taka piękna, jak moje marzenia!
Kwitła moja nadzieja, jak kwiatki jej wianka.
Przeszły marzenia, jak dziewicy pienia,
Nadzieja odkwitła, jak z kwiatów wiązanka.
I zacóż moje szczęście ma takie zawody,
Gdy szczęście wszystkich tak mię mocno wzrusza?

Przebyłem tyle nadziej, a tak jeszcze młody!
A jednakże moja dusza
Podobna do gładkiej wody:
Najlżejszy komar niechaj po niej pierzchnie —
I już zmąci jej powierzchnię.
I zacóż moje szczęście ma takie zawody?

7.

O, błogosławione chwile
Młodości geniusza!
Świat mu goreje, jak jego dusza.
Myśl jego lekka, jak skrzydło motyle;
Wolna od więzów ziemskości,
I od ziemskości zepsucia
Czerpa serafickie czucia
W ognistym zdroju pierwotnej światłości;
Jak wtedy, czuła i żywa,
Wszystko pojmuje, wszędzie się rozléwa!
Śród harmonijnej światła i dźwięków powodzi,
Rozgorzała miłością serca dziewiczego,
Chce miłości od wszystkiego
I we wszystkiem ją znachodzi —
I, w źródle swojem cała tonąca,
Jak w tych wodach ten krąg słońca,
Przechodzi przepaść życia spokojnie, wspaniale,
Jak to słońce przez te fale.
Lecz cóż jest nasze istnienie?
Oto kropelka rosy u kwiatów dzbanuszka:
Otrząśnie ją lada tchnienie,
Pochłonie ją lada muszka!

8.

I jego człowieczeństwo niebawnie pokona:
Zatrze się obraz Boga na przezroczu łona,
Zgiełk zamętu go zagłuszy,
Harmonia światów, niebianów śpiewanie
W dźwiękach wieszczych brzmieć
przestanie, —

Utraci duszę duszy!
A gdy brudna mgła życia po osłabłem oku
Bielmo zepsucia roztoczy,
Już mu się nie uśmiechnie gwiazda z za obłoku
Ni z łez wieczora przezroczy
Piękność ku niemu nie skoczy,
I jutrzenka być jemu przestanie rumianą,
I wdzięki bladych nocy pieścić go przestaną,
I błyszcząca iskra śniéżku
Nie odbije jego wdzięku —
I w tajemniczym gajów zaciszku
Ogłuchną pienia miłosne,
Lub w smutnych wiatrów powtórzą się jęku.
Jak wtedy wszystko nieme, jak wszystko nieznośne!
Idzie się błąkać przez martwe światy,
Podnosi skargi, płaczące straty,
I ciężka boleść śmiech obudza w tłumie;
Wielu słuchać go nie chce, wielu nie rozumie.
A więc, nieszczęściem pijany,
Wirem żywota porwany,
Reszty niebieskie puszcza na bałwany.
I śpieszy, gdzie — sam nie wie, w szalonej ochocie,
I błogo jemu w tym duszy zawrocie.
Lecz biada temu, stokroć temu biada,
Kto, czując stratę, wspomnień nie postrada!
Taki, jak bóstwo, co żyło z nami,
Dni ma łez pełne i śmierć z mękami.

9.

Czarna chmura pole cieni,
Silny wiatr ciągnie przez jary,
Zaszumiały nawisłe brzozy mej konary,
I już po całym zaszumiało lesie —
A my od brzegu tak oddaleni!
Powracaj, powracaj, czółenko!
Próżnobym robił zmordowaną ręką:
Chmura chmury, wiatr wiatry niesie.
Próżno się wiosło opiera:
Wały powstają, nieba się chmurzą —
Więc poigram z burzą.

Tak Luzytanów śpiewak bohatera:
Gdy burzą przeciwnych losów
Walka żywiołów szaleje,
Słyszę pieśń jego śród grzmotu odgłosów,
Widzę go w połyskach gromu,
Jak, z tego nocy poziomu,
W zagrobnych krain zamęcie,
Nieśmiertelności widzi się nadzieję.
Taki świetny, a taką pomroką odziany,
Na rozchwianym stoi okręcie.
Pośród wichrów dzikiej wrzawy
Szturmuje morze do nawy —
A on, niezlękły, spokojny,
Jak gdyby słuchał tryumfalnych pieni,
Z brzmiącą w pewnej ręce struną,
Wlepił oko w burzy łuno,
Jakby we tle tych płomieni
Widział zwierciadło swej chwały —
Jakby w tej gwiazdzie, co lśni nad obłokiem,
Kiedy go piorun rozdwoi,
Widział spojrzenie kochanki swojej —
Jakby te gromy jego chwale grały!
Z spokojną piersią, z niezmrużonem okiem
Unosi się, okazały,
Ponad śmierć, ponad zniszczenie.
O, tajemnicze wieszcza zachwycenie!
A niebo ryczy, morze się pieni —
A on spokojny, niezlękły.
Buchnął obłok przykrym blaskiem,
A, jakby nieba całe opadły,
Z takim piorun runął trzaskiem;
Dziką rozpaczą wnętrza statku jękły,
Boki się jego rozsiadły —
I schłonęły go otchłanie,
I cichość na oceanie.

10.

Kogoż-to kornie unosić się zdaje
Pobielona fali grzywa?

Tak czczy duch tylko, wiatrami, przepływa
Oniemiałe śmierci kraje.
To ty, wieszczu, tak wspaniale,
Z tą chwałą dążysz do brzegu:
Posłuszne, w burzliwym biegu,
Zdają ciebie falom fale.
Nieba podnoszą chmurną zasłonę,
Z czystych błękitów tryska jasna zorza —
Blaskiem jej skały olśnione
Przyjmują wieszcza śród morza.
A wieki, jak listki laurowe,
Uwieńczają jego głowę.

11.

Chwała mu, kto przez życia burzliwe głębinie
Do swego portu dopłynie!
Chwała mu, kto, tak trudne przebywszy zawody
Spocznie w koronie nagrody!
Ale, kto morza swojej podróży
Nie widzi granic, ni stanowiska —
Ale, komu pośród burzy
Gwiazda geniuszu nie błyska,
A tutaj ciągła dokoła zawieja —
Jakaż takiego popieści nadzieja,
Jakaż tego moc utrzyma?
Ten, komu niebo ciemne, czyliż może śmiele
Brnąć w zgubne chwały topiele?
Więcże temu zawodu i nagrody niéma?
Nie. W prawości cała siła,
W poświęceniu się nagroda cała:
Kogo ojczyzny miłość zapaliła
Niech jej miłością jego gwiazda pała —
Niech śmiało stroi ton śmiały,
Gdy nie dla szczęścia kraju, przynajmniej dla chwały.
Bo przyjdą kiedyś te chwile okropne,
(Bodajbym skonał, nim to wymówię!)
Bo przyjdą kiedyś te chwile okropne,
Gdy do szczętu pognębieni,
Gdy, zarzuceni, jak stare obuwie,
W odgłosie tylko szlachetnych pieni

Przypomnim siebie dalekim wiekom:
Czułemu sercu żal niemy,
Łzy wyciśniemy czułym powiekom —
I przyszłości poświadczemy,
Jakimi Polacy byli
Ostatni, w ostatniej chwili.

Samhorodek, 1825.

DO PRZYJACIÓŁ.

(Wolny przekład pieśni XIII z Horacyusza księgi „Epodon"). [1]

Niebo wokrąg posępne nawałnice kryją,
Zagrzmiały z strasznym trzaskiem ogniste obłoki;
W dłoni gniewnego Boga pioruny się wiją,
Lecą śniegi, lunęły deszczowe potoki,
Wśród głuchych borów trackie akwilony wyją,
Ryczy wzdęty wichrami ocean głęboki,
Zniknął złoty krąg słońca, ziemia obumiera,
Wszędzie głuchą posępność burza rozpościera.

W dniu dzisiejszym spocznijmy na rozkoszy łonie!
Niechaj się umacniają drżące starca nogi.
Młodości, uwieńcz wiekiem poorane skronie!
Dajcie wina, Torkwata czasów pomnik drogi!
Polejcie na się wdzięczne Achemena wonie,
I wdziękiem boskiej lutni słodźmy smutek srogi,

[1]) Pierwszy drukowany utwór poetycki G-o. Pod własnoręczną kopią tego wiersza, w późnej starości sporządzoną, poeta skreślił następującą notatkę: „Ogłosił go (wiersz) „Dziennik Wileński" z r. 1820 za miesiąc marzec z mylnym podpisem Józef (późniejszy Bohdan) Zaleski, dlatego może, że przez niego otrzymał tę poezyę. Zapisałem go tutaj jedynie jako pamiątkę, bo jest on utworem z roku 1818, a więc pierwszym prawie, który śmiał wyjrzeć na publiczność, a w szkole Humańskiej, której naówczas byłem uczniem klasy IV, zrobił mi wielki rozgłos poety między mojemi spółuczniami, a nawet nauczycielami; stąd poszły pochwały, zachęty, a następnie ośmielenie do puszczania się w dalszą drogę poetycką. Nie potrzebuję tu mówić, że przekład ten nie daje wyobrażenia o Horacyuszu. Podziwiam tylko gościnność „Dziennika Wileńskiego", że dał mu miejsce przy swojem ognisku".

A o resztę nie dbajmy! Może się złe skróci,
Gdy je do swego źródła Bóg łaskawy zwróci.

Tak śpiewał Achillowi Centaurus wsławiony:
Młodzieńcze, zadrżą Trojan przed tobą narody;
Śmiertelny, z nieśmiertelnej Tetydy zrodzony,
Pod twoją włócznią runą Assaraha grody,
Lecz musisz spełnić Parki wyrok niecofniony
Tam, gdzie Skamander toczy zapienione wody.
Ale ty czarne myśli, zgryzoty i troski
Oddal winem rozkosznem, Achillesie boski!

1818.

CERKIEW ŚW. ANDRZEJA.

Wstąpię ja tutaj i siądę na górze,
Gdzie się tak śmiało drą te święte mury.
Po świecie nocne osiadają chmury —
Kijów zalega podnóże,
Dniepr przedemną, a wkoło i jary i góry.

Witam cię, witam, czarodziejska ciszo!
Ludzie, światową wrzawą ogłuszeni,
W twojej niemocie, pośrodku twych cieni
Nic nie widzą, nic nie słyszą,
Bo ich oczu niebieskie światło nie promieni.

Noc dla nich śmiercią, trwogą nocy dziwa.
Jednakże komuś biją te zegary,
Kogoś wicher ugania przez jary,
I ptak mogił komuś śpiéwa,
I tej cerkwi nie same trzęsą się filary.

Skoro noc przyjdzie, zjawiskami żywa,
Skoro chrypliwe zagrają zegary,
Skoro szum wiatru puści się przez jary,
I grobowy ptak zaśpiéwa,
I moc tajemna wzruszy olbrzymie filary,

Przybądź, tajemnic odwiecznych ciekawy,
Gdy twych ócz gnuśnych sen ciężki nie skleja,
A wieszczych plonów zwabia cię nadzieja,
I ośmiela umysł prawy;
Przybądź skrycie, samotnie, pod cerkiew Andrzeja!

Przybądź, ktośkolwiek, niech z tobą podzielę
Wszystko, co ujrzę, wszystko, co mię zdumi!
Oto dzwon bije, wiatr gwałtowny szumi,
Puhacz huczy na kościele..
I puhacz i dzwon ucichł i wicher się tłumi...

Któżto, podobny do burzy olbrzyma,
Omglony płaszczem ze śnieżnej zamieci,
Wielki, jak chmura, jak cień chmury, leci?
Słup żelazny w ręku trzyma —
Jak miesiąc w martwych lodach, tak mu oko świeci.

Wiem, wiem, kto jesteś — północy zjawisko!
Ty duch Polaków, strzeżesz ich granicy.
Słupiec Chrobrego trzymasz w swej prawicy,
W głębiach Dniepru twe siedlisko,
Dumania narodowe niesiesz mej tęsknicy.

Leci, by natchnąć śmiałością me pienia.
Coraz go bliżej Dniepru wiatr pogania.
O, pośpiesz, pośpiesz rozwiązać dumania!
Co znaczy ten znak milczenia?
Poco palec na ustach śpiewać mi zabrania?

I lód przestrachu ściął wieszcze zapały,
I duch uleciał za zasłonę ziemi.
A ja was pytam: Zgadnijcie, zdumieni,
Czy pienia słabe być miały?
Czy my jeszcze nie warci narodowych pieni?

Kijów, 1825.

PIEŚŃ WULKANU.

Nim się zawieruszy licho,
Zaczem burza świat przewróci,
Wulkan piosnkę sobie nuci,
Nuci sobie, ale cicho:
Biedaż moja, wielka biéda!
Gniotą, że się ani ruszę;
Skarga na nic się nie przyda —
Cóż więc robić? Milczeć muszę,
Muszę być kornym panów mych sługą
Bóg wie, jak długo — może nie długo.

Czasem zajdą tu wędrowce
I napomkną dzieciom ziemi,
Że ogniami tajemnemi
Wulkanowe tlą manowce.
Nie słuchajcie! Czcze to strachy.
Bądźcie tu, jak w swoim domu.
Osiadajcie, stawcie gmachy —
Co ja mogę zrobić komu?
Ziemia mnie ciśnie wagą swą całą.
Budujcie śmiało, żyjcie tu śmiało!

Ale oto niespodzianie
Bije chwila ma najświętsza,
Aż ryknęły ziemi wnętrza.
Świat w płomienia oceanie,
A dym niebiosa zaciemia.
Z pęt wulkanu rzeka lawy,
Pod perzyną cała ziemia.
Gdzież wy dziś? Gdzie wasze sprawy?
To nie ja tyle strachu narobię —
Jam to tak tylko zanucił sobie.

Na postrachy nie zważajcie,
Żadnej się nie bójcie zdrady,
Sadźcie sobie rajskie sady,
Nowe grody zakładajcie!

O swobodo! Patrz, swobodo,
Jacy mądrzy, jak szczęśliwi,
Że ich plany im się wiodą!
Ha, niech świat się sobie dziwi,
A my tymczasem, nucąc nawiasem,
Wieniec zwycięstwa wijmy tymczasem!

1825.

Z PROROCTW IZAJASZA.[1]

1.

PRZECIW PRZEŚLADOWCOM IZRAELA.

Biada ludowi mnogiemu,
Jako morze rozległemu,
Szumiącemu, jako wody,
Biada, biada, biada jemu!
Zaszumią nad nim narody,
Jak wzbierające bałwany:
Najdą go, zbiją, rozproszą,
Jak pył, na górach porwany,
Wichry przed sobą unoszą.
Wieczór — trwoga ich przestraszy,
Rano — już nie ma żadnego:
Taki dział zdziercy naszego,
Niszczyciela ziemi naszej.

2.

PRZECIWKO IDUMEJCZYKOM.

Przystąpcie, ludy i słuchajcie w ciszy —
Niech słyszy ziemia, niech świat cały słyszy!
Zwiną się nieba, jako drugie księgi,
Zlecą zastępy niebieskiej potęgi,
Będą padały, jak figowe listy,
Gdy chłodne wiatry powieją,
Bo już pijany miecz mój płomienisty
Goreje nad Idumeją.

[1]) Poezye biblijne pod tym tytułem powstały r. 1829 w Mrozowiczach pod wpływem miejscowego księdza i lektury, jaka się tam znalazła. Sceptycyzm religijny G-o z r. 1824 uległ zmodyfikowaniu.

Za mego ludu pobicie
Krwią, krwią pijany miecz mojej kary
I utuczony obficie,
Bo w Bosra ofiar bez miary.
Biada, biada, krwi pogańskiej!
Zbliża się dzień pomsty Pańskiej
Wody Edomu popłyną smołą,
W siarkę się zmienią Edomu pyły,
Aby go pożar objął wokoło.
Dzień i noc łuny będą tam biły,
Dzień i noc dymy będą się wiły,
Aż się wypróżni z grzesznego rodu,
Aż nie zostanie ścieżki przechodu;
Posiędą jego bąki i jeże,
Iba go i kruk za dom obierze,
Ciernie wyrosną w mieszkaniu,
Pokrzywa ściany opasze,
Smok znajdzie ustroń ku spaniu,
Struś niezbronną znajdzie paszę,
Jędza w pokoju doleży,
Zbłąkanemu czart zabieży,
A kań zbójeckie gromady
Będą się zlatać do rady.

3.

PRZECIWKO MOABITOM.

Cisza w Moabie. — Padł zburzony w nocy...
Cisza w Moabie. — Padł mur jego mocy.
Dibon wstąpił na wyżyny,
Płacz Moaba słychać z Nabo,
Zawył Moab nad Medabą;
Na wszystkich głowach łysiny,
Ogolona każda broda —
Wedle rozdroży worami się kryją,
Płaczą po dachach, po ulicach wyją.
Ich jęk Hezebon ku Jasie poda.
Bolesne, donośne wycie,
Jak trzyletniej jałowicy!
Pójdą, pójdą po Luicie

Ze łzą ciężką na źrenicy,
Na Oronaimskim szlaku
Wstrzymają się z jękiem skruchy,
Bez pociechy, bez otuchy,
A dokoła ich orszaku
Ni świeżości, ni zieleni:
Za grzech ciężki wypędzeni!
Płacz krąży dalej moabską granicą,
W Galim, nad Elim krynicą.
Woda Dibonu krwią się zapieni,
Bo tam ostatki tych legną,
Którzy przed zębem lwa zemsty zbiegną.

4.

STRĄCENIE LUCYFERA.

Starty bezbożny mocarz; starty już, złamany
On, co, w zapędach niepohamowany,
Słabe narody zwyciężał,
Zwyciężone uciemiężał.
Odetchnął na to świat cały,
Rozradował się w żałobie.
Jodły i cedry libańskiej skały
Radosnym szumem dały tę wieść sobie.
Piekło ode dna rusza całą zgrają,
Zachodzi drogę i wita —
Książęta ludów ze stolic powstają,
Każdy z podziwieniem pyta:
— I ty więc, jak my, zraniony?
I ty do nas przybliżony? —
Pycha w piekielne otchłanie,
Cielsko wpadło do mogiły.
Z molów dano ci posłanie,
A robaki cię nakryły,
A tyś mówił, złością mocny:
— Wstąpię na niebo, nad gwiazdy boże
Stolicę moją założę;
Przy świętej stronie północnej
Górę zakonu osiądę,
Najwyższemu rówien będę. —

Cóż cię do grobu zawlekło?
Cóż ciebie wtrąciło w piekło?
A kto nadejdzie, nachyli oblicze
I drwiącą wzgardę będzie wynurzał:
— On-że to trwożył ziemię, królestwa zaburzał?
On-że te miasta walił, świat zamieniał w dziczę?
A nigdy nie otworzył jeńcowi więzienia?
Wszelki król zasnął w sławie swojego plemienia:
Ten, jak parość bez pożytku,
Wyrzucony z ojców dołu,
Bez grobowego powitku
Gnije z bydlęty pospołu. —
Nie, nie będziesz z królewskich grobów użytkował,
Boś pohańbił swoją ziemię,
Boś ludy swoje mordował.
Zginie aż do imienia złośliwego plemię.
Na śmierć, na śmierć jego syny,
Dla krzyczących ojca zbrodni!
Nie posiędzie ród grzeszny swych ojców dziedziny
Ani grodami ziem nie zapłodni.
Powstanę przeciw niemu i Babilon zgładzę,
Płód ludów babilońskich w zarodku wyniszczę,
Ziemię zaleję bagnem, jeżami osadzę
I miotłą zagłady oczyszczę.

REJTAN. [1]
WIDZENIE.

W głuchym, bezludnym gmachu Radziwiłłów,
Co leżał, jak trup, śród pleśni i pyłów,

---

[1]) Wiersz ten dotyczy r. 1821, kiedy G-i podczas pierwszej bytności w Warszawie wprowadzony został do związku Wolnych Braci Polaków. Tajna ta organizacya patryotyczna dzieliła się na chorągwie; G-i wszedł do chorągwi Rejtana. Przyjęcie go na członka odbyło się w pałacu Radziwiłłowskim (później Paca) na ulicy Miodowej, w mieszkaniu jednego ze związkowych, Zegrzdy. Przyjęcia dokonał Wąsowicz, urzędnik w komisyi wojny. Moment ten był zwrotnym dla G-o. Odtąd zaczęła się działalność jego patryotyczna w określonym kierunku politycznym. W przypisku jednego z wydań autor nadmienia, że szczegóły obrzędu w tym wierszu są wiernem oddaniem rzeczywistości.

Któremi pustek odziały go lata,
Kryje się ciemna, ustronna komnata,
A w niej, na schadzkę związkową zebrana,
Wolnych Polaków chorągiew Rejtana.
Cisza i nagość w tajemnej komnacie,
Tylko milczące związkowych postacie
W czarnej odzieży, z twarzą pod kapturem,
Przykute do ścian półkulistym chórem,
Czarnych posągów rzędem być się zdały.
Godło grobowej, wiecznej tajemnicy,
Stała na stole Chodkiewicza głowa:
Trzy lampki słabem światłem z niej błyskały,
Trzy zorze w bytu polskiego ciemnicy.
Przede mną leżał nagi miecz przysięgi
Znamię jedynej skrzywdzonych potęgi.
Skończyłem właśnie mej przysięgi słowa,
Lecz dusza, nową wiarą oskrzydlona,
Rwała się w takiej prośbie z głębi łona:
— „Przéz to grobowe mdłych świateł pałanie,
Przez trupią czaszkę po dzielnym hetmanie,
Przez ten miecz przysiąg wzywam cię, Rejtanie
Wstąp w moją duszę, polski męczenniku!
Oto mię widzisz w twych wyznawców szyku:
Nowy zaciężnik twojego znamienia,
Czekam od twojej łaski poświęcenia.
Niech siła twoja w moją duszę spłynie,
Bym szedł twą drogą w uczuciach i w czynie.“—
Zaledwie słowem ostatniem westchnąłem,
Myśli się wichru zakręciły kołem,
Jak pajęczyna, pękły ciężkie stropy,
Ściany opadły, jak cichnące wały,
A wzrok, skrzydłami ducha rozbujały,
Puścił się w nieba błękitne zatopy
I pędził, aż się spotkał z dziwną chmurką:
Jako śród ciszy krąży lekkie piórko,
Tak ona krąży — a cała jest z duchów —
A duchy piękne niewypowiedzianie,
Pięknialy coraz w ustawnej przemianie
Wirującej chmurki ruchów —
A ich spojrzeń krzyżowanie

Snuło dokoła tęcz krocie.
Gdy się ów obłok wahał tak w swym locie,
Zabrzmiały pieśnią czarownej rzewności,
Jak, żeby grały skrzydła z strun arfianych
Miłość ojczyzny i miłość wolności.
Po chwili wszystko znikło w światła toni,
A z wiru duchów, w jedno światło zlanych,
Mąż się wynurzył: miał chorągiew w dłoni —
Chorągiew była niby krwi płomykiem,
Tylko błysk biały przemykał się po niej
I piorunowym wężykiem
Nazwisko Rejtana pisał,
A obłok coraz niżej się kołysał —
Wreszcie nad mojem zatrzymał się czołem.
Mąż objawienia lice ku mnie skłonił,
A gdy ja głowę pokornie ugiąłem,
On ją sztandarem osłonił.
Nie wiem, jak długo w tym zachwycie stałem,
Bo w nieskłóconej tajemniczej ciszy
Wciąż pieśń ta brzmiała — a ja słuchałem,
A choć ucichła, dotąd ją słyszy
Dusza w swej głębi. — Odtąd całe życie
Śpiewam ją sercem. Przez nią, bracia mili,
Zawsze mnie takim ujrzycie,
Jakim byłem w owej chwili.

1824.

MODLITWA WOLNEGO.

1.

Precz z Bogiem, co w dłoń zabobonu
Powierza sztandar swej sławy,
Co z piorunowego tronu
Gnębi świat krwawemi prawy!
Precz z nim, precz z opieką jego!
On nie jest Bogiem wolnego.

2.

Ty, istoto niepojęta,
W której oczach miłosiernych

Niema niewiernych i wiernych,
Co tworzysz człeka bez pęta,
Jedna godna wolnych cześci,
Ty się użal ich boleści!

3.

Przez empirejskie zasłony
Obeślij wzrokiem swym ziemię
Patrz, jak obraz twój spodlony,
Jak zgniecione twoje plemię,
A wszystko, zbrodnio bez miary —
Pod chorągwią twojej wiary!

4.

Patrzaj – w imię twej dobroci,
W poświęconej ci świątyni,
Co bezczelna zbrodnia czyni! —
Tu nas rozumu despoci,
Tutaj sumienia tyrany,
Tu ciała dręczą kajdany!

5.

Myż jeszcze będziem wierzyli,
Jak nam wpaja przemoc sroga,
Że to są ołtarze Boga,
Któremu jesteśmy mili,
Że oni jego kapłani,
I że prócz nich są szatani?

6.

Twoja wiara inna, Panie!
Jej opoka tu, w sumieniu:
W cnotach, w czynach jéj wyznanie;
Kościół — w całem przyrodzeniu
Twym obrazem — duch wolnego,
A ty jeden — Bogiem jego.

7.

Boże nieskalanej wiary,
Znieważono twą potęgę!

Anioł kary zamknął księgę,
Zadrzymały gromy kary,
Ty sam, wzywany niegodnie,
Zdajesz się uświęcać zbrodnie!

8.

Pomścij się, pomścij, o Panie,
Nad świętokradzcami tymi!
Niechaj po zgnębionej ziemi
Okrzyk radości powstanie,
Że jeszcze twoja opieka
Czuwa nad szczęściem człowieka!

Humań, 1824 r.

OJCZYZNA MATKA.

Synu obywatelu, mój wierny, mój miły,
Twoje piersi westchnęły, łzy się z ócz puściły.
Ciężko tobie, źle tobie: ścigają cię króle —
To chodź do mnie, mój synu, a ja cię przytulę.
Matce miło podzielić cierpienie dziecięcia;
Najsroższy ból wolnieje śród matki objęcia;
Przygoda znika, kiedy matki wzrok zapłonie;
Niebiański balsam życia czyż nie w matki łonie?
Chodź tutaj, biedne dziecię, spocznij w mem ściśnieniu!
Niech łza moja da ulgę twojemu cierpieniu,
Niech cię ta pierś posili, a rąbek zasłoni
Od wściekłej twoich wrogów i losów pogoni.
Igraj tutaj bezpiecznie z wiarą i nadzieją —
A oni, co, jak burza, za tobą szaleją,
Wyszumią się w szaleństwie i przejdą, jak burza.
Czyż nie widzisz, jak niebo, ot tam, się rozchmurza?
Tam patrzaj ciągle: stamtąd, po nawałnic zgiełku,
Wyjdzie twoja gwiazdeczka w maleńkiem światełku
I otworzy ci pole swobody i chwały!
Lecz dzisiaj łono matki dla ciebie świat cały.
Oddal więc niepokoje i łzy i westchnienia,
A tu, przy mnie, doczekuj twej gwiazdy błyśnienia.

Humań, 1824.

UCZTA ZEMSTY.

1.

Wielkie gody, straszne gody!
Śpieszcie, sieroty swobody!
Zemsta wzywa was na gody,
W zemście nasze dziś nadzieje,
Zemsta dziś bożyszcze nasze.
Patrzcie, oto trzymam czaszę,
Patrzcie, łzy w nią najprzód leję.
Patrzcie, teraz krwią je mącę —
Oto napój naszych godów!
Niewoli wieków tysiące
Ze serc i oczu narodów
Kropelkami je sączyły,
By zemstę kiedyś uczciły.
Śpieszcie! Zemstę dziś uczcimy:
Łez i krwi się napijemy.

CHÓR.

Wielkie gody, straszne gody!
Śpieszcie, sieroty swobody!
Śpieszcie, zemstę dziś uczcimy,
Łez i krwi się napijemy.

2.

Do koła, uczty drużyno,
Ze sztyletem i puharem!
Burza, burza! Skrzydłem karem
Chmury za chmurami płyną —
To na ucztę! — Słońce zgasło,
Ciemność błyskawicą pała;
Piosnka piorunów zagrała —
To hasło — to uczty hasło!
Zajęczał głucho świat drżący,
Ziemia do dna się rozdarła,
Piekło buchnęło z jej gardła —
Baczność, sieroty swobody!
Piekło pośpiesza na gody —
Dzwońmy w puhar witający!

CHÓR.

Tutaj, piekło, tutaj, z nami!
Ze wszystkiemi tu larwami!
Czekamy cię z puharami,
Z puharami, sztyletami!

3.

Któż to wyleciał z płomieni podziemnych
I pędzi ku nam w kłębach dymu ciemnych?
Błyszczy, jak niebo, gwiazdami u łona;
Kryje go szata, jak we krwi zmoczona,
W prawicy berło, na głowie korona,
A piętno czerni się z pod niéj,
Jak piętno skazanej zbrodni.
Ha! To pan ludów, to ludów morderca!
Puhary w górę! Sztylety do serca!
Kto się przystroił w bohatera postać,
Aby złudzoną ludzkość pychą swą wychłostać,
Skąpać się we krwi słabszych, wznieść się nad słabszemi —
Kto swą wielkość zasadzał na nieszczęściu ziemi—
Kto się otaczał blaskiem władzy dyademu,
Aby nim olśnić oczy gminnego rozsądku —
Kto swe prawo wywodził z boskiego początku,
Aby milczenie nakazać prawu wszelkiemu,
Zmienić na prawo królewskie zbrodnie,
I łupić ludzkość swobodnie —
Kto wziął dla tego pomazanie boskie,
Aby uświęcić swe życie łotrowskie —
Ten jest godzień wypić z nami
I zakąsić sztyletami!

CHÓR.

Krwi i łez po czaszy krańce!
Zemsta za schłostaną ziemię!
Na śmierć, piekła pomazańce,
Uwieńczonych zbójów plemię!

4.

Niebo ciemniej się zaburza,
Piekło jaśniej się rozchmurza.
Cóż to za orszak płynie w błyskawicy
Przez tę powódź nawałnicy?
Szata ich biała, jak anielska szata,
Głowa, korona czartem rogata,
Klucz doczesnego, klucz wiecznego świata —
Na lud-bydło kij pastuszy,
Powróz dla ciała i duszy —
Ha! To tysiąca Bogów namiestnicy!
Hej! Do sztyletów, do czasz, biesiadnicy!
Kto pod pokorą Chrystusową cichą
Nadymał serce Lucyfera pychą,
Kto wpełzał w duszę, by ciału przewodził,
Kto zjadał Boga, a szatana płodził,
Kto myśli piekieł niebem ubierał,
Kto obiecywał rajskie słodycze,
Aby z dóbr ziemskich ludzkość obdzierał,
Kto swiętą szatą krył noże rzeźnicze,
Kto w imię boskiej miłości
Wylał tyle krwi z ludzkości —
Ten godzien wypić jej z nami
I zakąsić sztyletami!

CHÓR.

Uderzmy w zemsty puhary!
Zemsta za ołgane ludy!
Śmierć fałszerzom świętej wiary!
Niech zginą larwy obłudy!

5.

Grubszą się chmurą niebo powlekło,
Ognie na nowo buchnęły z ziemi;
Cóż to za tuman wyszedł nad piekło
I pędzi ku nam wiatrami wszystkiemi?
Zbłocone czoła, złociste szaty —
W barwie ubiorów — służalstwo,
W oczach — spodlenia zuchwalstwo.

Ha! Obskuranty, arystokraty,
Cała oprawców ludu drużyna!
Sztylety w rękę, w czasze zemsty wina!
Do nas tu, do nas, ohydne larwy!
Wy to, pod piętnem królewskiej barwy,
Wlekliście ludy królom na tortury,
Chłostali braci za tarczą purpury!
Zakamieniali oprawce despoty,
Apostołowie jarzma i ciemnoty,
Wyście tyranów bydłem zostali,
Ażeby zmienić narody na trzody —
Ażeby zdeptać, splugawić ludy,
Wy głowy wasze chętnie ciskali
Pod nogi królów, w tronów kałuże!
O — czyje barki wzniosły tron przemocy,
Kto z plugastwami piekielnej nocy
Opadł na ludzkość w szarańczej chmurze,
Aby ją pożarł, zmienił w plugastwo
I tuczył swoich panów tą pastwą
Dla nikczemnego ich uczty okruszka,
Dla przywileju pierwszego podnóżka —
Kto na chorągwi swojej wywieszał
Ucisk ludzkiego rodu i spodlenie,
Kto go nikczemnił i tem rozgrzeszał
Szatańskie swoje sumienie —
Ten jest godzień wypić z nami
I zakąsić sztyletami!

CHÓR.

Pijmy, pijmy bez litości!
Zemsta za spodloną ziemię!
Śmierć, śmierć pijawkom ludzkości!
Niech zginie służalców plemię!

6.

Niebo rozsuwa burzy oponę,
Słońce pogodnem licem się uśmiécha —
Wypróżnione, upojone
Piekło zagasa, ucicha.

Panowie świata, świata dziedzice
Zalegli wokrąg ziemię już nie swoją —
W gruz zamienione trony i bożnice
Nad ich grobami, jak pomniki, stoją,
A przy nich cały świat stary,
Cały świat zbrodniczy kona.
Jeszcze krew starej zbrodni w puhary!
Niech żyje ludzkość oswobodzona!
A teraz skruszmy sztylety i czary --
Biesiada zemsty skończona!

Humań, 1824 r.

LARWA NIEWOLI.

Dreszcz przebiega wszystkie żyły,
Jakbym się dotknął skonania czary.
Dokoła widma, poczwary,
Jakby się groby wieków otworzyły.
Strach tajemniczy ścina lodem duszę.
Odwracam oczy... Próżno — patrzyć muszę.
Cisza... Wtem północ wieków uderzyła,
I oto zmarłej przeszłości mogiła
Wychodzi z ziemi, podrasta powoli,
Wre, szumi, ryczy, jak wnętrzności piekła —
Pęka z łoskotem zwalonego świata,
A z jej czeluści wylata
Larwa piekielna, larwa niewoli.
Zawyła, głodem w wieków wściekła;
Twarz jej ciemniejsza od gradowej burzy,
Krwawe potoki buchają oczyma.
Gdzie spojrzy — niebo się chmurzy,
Gdzie stąpi — ziemia się zżyma.
W jej tchu klęsk wszelkich igra zgraja mętna,
W warkoczu gwiżdżą sposoczone knuty,
Na czole — mordu krwawiące się piętna,
Brzuch sztyletami zemsty popruty,
A usta, czarne pragnienia spieką,
Ponad rozdartą z głodu paszczeką,
To konwulsyjnie drgają, to opłyną
Wiecznych konwulsyi śliną.

W ślad jej przelotów wicher wieków miecie,
Gasną bożego stworzenia ozdoby:
Całe narody więdną w życia kwiecie,
Całe krainy zmieniają się w groby,
Ród ludzki niknie, ziemia pustoszeje,
Zmienia się cała w wielką, pustą knieję,
A w głuszy pustyń, w więzień ciemności
Tylko ryk zwierząt i jęk ludzkości.
U jakiejże to wody jestem brzega?
Cóż to za miasto gruzem go zalega?
Noc je odziała w żałobę milczącą,
Tylko ostatnie westchnienia ją mącą.
Tylko, gdy wszystko skonało lub kona,
Płomyk śród ruin błyśnie, zaszeleszcze
I, jak kadzidło, krew ciepła jeszcze
Buchnie obłoczkiem z trupiego łona.
Świeża pożoga niebo odymia,
Bije o niebo łuna olbrzymia,
Gnie się po chmurach skrwawioną tęczą
I, jak pochodni blask, opłomienia
Całą dziedzinę zbrodni i zniszczenia.
A pod tym blaskiem — tu kajdany brzęczą,
Tu katowski miecz przyświéca,
Tu rusztowanie, tam szubienica,
Tu dogasają drgające ofiary —
A nad tem wszystkiem chrypi kruk kary
Tryumfalny hymn zniszczenia...
Precz mi z oczu, piekieł mary!
Ale, niestety — nie są to złudzenia,
Moi to bracia, ci męczennicy;
Ten gród — stolica, a pośród stolicy
Włada larwa niewoli. — Czemuż tak ryknęła
I najzjadliwszym oddechem swym tchnęła?
Ona wolnego we mnie zajrzała.
Zrywa się, pędzi, rozjadła,
Szaleństwo kręci jej okiem czartowskiem;
Gdyby mię w takiej wściekłości dopadła,
Rozsiekałaby mię włoskiem —
W pyłby mię zżarła ogniem swego tchnienia!
Lecz próżne, larwo, twoje wysilenia,

Próżno gonisz mię i szukasz:
Jakokolwiek się rozfukasz,
Szydzę z twego rozbestwienia.
Ja twoim duchem prześladowczym będę;
Ja w twojem oku, jak bielmo, osiędę,
W sercu zamieszkam gniazdem padalców,
Zmienię je na wieczną bliznę;
Dam się uchwycić — i z pomiędzy palców
Strzałką światła się wyśliznę.
Męską mą rozpacz na łzę przeleję —
Tę łzę rozpalę w iskrę niezgaszoną
I będę wiecznie piec nią twoje łono —
W twem wnętrzu moje wykarmię nadzieje.
Twój ból, twa wściekłość spotkają mię wszędzie —
Lecz dla twej zemsty nigdzie mię nie będzie!

Humań, 1824 r.

KORAB WOLNOŚCI.

1.

Niedola rośnie w potopu bałwanach,
Słońce owrzało chmur krwawych powodzią —
Gwiazdy tryskają promieńmi krwawemi,
Niebieskie stropy, jak pierś w świeżych ranach.
Ach, nowy potop, potop ducha ziemi
Walczy z ducha łodzią!

2.

Jak okiem zajrzeć, martwych fal pustynie!
Tylko obłoczek korabiu wątłego
Pomiędzy piętra wałów się przedziera:
Przodem łódź czasu prześlizga głębinie —
W jej ślady korab, a na masztach jego
Oświaty bandera.

3.

Trudna i dziwna podróż wolnej łodzi:
Jako sny wschodzą i zachodzą światy.
Nadzieja, miłość — żagle z losów gonią:

Niekiedy czyny nad ciszą powodzi,
Jak przez opatrzność rozstawione czaty,
Dobrem hasłem dzwonią.

4.

A wiara głosem gołębicy grucha:
— „Żeglarze, śmiało! Choć w tej czasów nocy
Gwiazdę przyszłości kryje tuman gruby,
Żeglarze, śmiało! Dla wolności ducha
Wiek to męczeństwa — dla ducha przemocy
Wiek zwycięstw i — zguby.“

Humań, 1824 r.

1830—1841.

[illegible]
[illegible]
[illegible]

[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

1830—1841.

POWSTANIE 29. LISTOPADA.

HYMN.

Stańmy chórem i śpiewajmy —
Śpiesz się, Warszawo, Polsko, śpiesz!
Ciesz się, Warszawo, Polsko, ciesz!
Jednym chórem zaśpiewajmy,
Niech się dowie ziemia cała,
Jaka jest nasza radość i chwała,
Jaka Polska zmartwychwstała!

Długośmy, długo takich dni czekali,
Wieleśmy, wiele łez wylać musieli,
Abyśmy dzisiaj pieli, godowali;
Wieleśmy w ciężkiem jarzmie wyjęczeli,
Aby świętować w powstania niedzieli.
Ach, pamiętamy tę przeszłość niedawną,
Ach, pamiętamy tę przeszłość niesławną,
Gdy pieśnią były — więzionych marzenia,
Kiedy dniem święta był — dzień uwięzienia;
Litość lękliwa — cierpiących nagrodą,
Sen dni dzisiejszych — jedyną osłodą.
Dziś więc pociech używajmy!
Śpiesz się, Warszawo! i t. d.

Przez lat piętnaście nad czołem tej góry,
Przez lat piętnaście nad temi, ot, mury
Ciężał ciemięzców orzeł rozbójniczy;
Z gromami w szponach, ze skrzydłem rozpiętém,
Czyhał na resztę skrwawionej zdobyczy,
Zagrażał resztom naszej ziemi świętym.
Obecność jego, jak brzydkie widzenie,

---

[1]) Wiersz ten należy do szeregu utworów patryotycznych G-o, wydanych r. 1831 w Warszawie kosztem Komisyi Wojny w książeczce p. t. „Pobudka“.

Szpetnością trwogi barwiła nam lice;
Jak całun jaki, jego skrzydeł cienie,
Błogosławioną sępiły ziemicę.
Zapały serca mroził on, jak zima,
Ciężył on myślom, jakby zawrót głowy,
Ciału i duszy, jak sen letargowy —
A dzisiaj, patrzcie — już go niéma, niéma!
Więc radości wolę dajmy!
Śpiesz się, Warszawo! i t. d.

Prysnęła chmura i dżdżu obfitością
Z pięknych stron nieba zaryła się w ziemi:
Spadł orzeł Moskwy — spadł i własną złością
Rozpękł się, rozlał pod stopy naszemi.
Własne pioruny w pierś jego strzeliły,
Własne pioruny na proch go spaliły.
Jakże wspanialszy, o, jakże świetniejszy
Ten ptak, co wybrnął z dymów i płomieni!
Niebo błysnęło w szacie błękitniejszej,
Słońce złocistszym połyskiem się mieni,
Obłoki bielsze idą jakby w taniec.
„Ach, to nasz orzeł, to nasz orzeł biały!"
— Przez całą Polskę głosy zawołały —
Kochanek chwały, chwały wychowaniec!
Rodzinne góry — to kołyska jego,
Rodzinne pola — jego igrzysk szranki,
Rodzinne ludy — jego kochanki,
Znają, witają ptaka świętego.
I my go też powitajmy!
Śpiesz się, Warszawo! i t. d.

Bielszy, groźniejszy nasz orzeł młody,
Że się przerodził na zbójcy zwłokach;
Czystszy i trwalszy nasz dzień swobody,
Że się wychował w niewoli mrokach:
Młodzieńczym wdziękiem wszystko umaja,
Cudownym blaskiem wszystko przystraja.
Jak oko zajrzy — niwy i góry
Świąteczną szatą pysznić się zdają;
Jak ucho sięgnie — skrzydlate chóry

Piosnkę wolności, zda się, śpiewają.
 I my pokłon jej oddajmy!
 Śpiesz się, Warszawo! i t. d.
Srebrny nasz orle, już ty nam nie zginiesz!
O, dniu swobody, już ty nam nie miniesz!
O, ptaku cudzy, już do nas nie wrócisz,
Rąk nam nie zwiążesz, serc nam nie zasmucisz!
O droga Polsko, o ojczyzno droga,
Nie jękniesz więcej pod stopami wroga!
Póki Bóg w niebie, póki my na ziemi,
Będziemy ludem, będziemy wolnemi,
Bośmy też mocno tego zapragnęli,
Bośmy też długo i ciężko cierpieli.
 Więc dłoń wolną sobie dajmy
 I pieśnią wolnych śpiewajmy:
 Śpiesz się, Warszawo, Polsko, śpiesz!
 Ciesz się, Warszawo, Polsko, ciesz!
 Niech się dowie ziemia cała,
Jaka jest nasza radość i chwała,
 Jaka Polska zmartwychwstała.

POBUDKA PÓŁNOCNA.

1.

Głęboka ciemność objęła ziemię,
Sen pokrzepienia zaległ świat pracy—
Sen i spoczynek nie wam, Polacy,
Bo jeszcze w grobie ojczyzny brzemię.
 Wstawajcie, cyt!
 Zbrodnia usnęła;
 Śpieszcie do dzieła
 Nim błyśnie świt,
 A cyt, a cyt!

2.

Bóg obłokami gwiazdy przygasza,
Obiegł posłuchem powiew ponury;
Pieśń tajemniczą zawiodły kury —
Oto północna pobudka nasza.
 Wstawajcie, cyt! i t. d.

3.

Północ jęknęła zegaru biciem:
Godzina duchów — nasza godzina.
Smętarzem dzisiaj polska kraina —
Żyjemy dzisiaj grobowem życiem.
Wstawajcie, cyt! i t. d.

4.

Polska wychodzi z mogiły cieniem,
Okiem księżyca synów swych szuka,
Lekkim powiewem w okna ich puka,
Śpiewa w szczelinach wiatru jęczeniem.
Wstawajcie, cyt! i t. d.

5.

Pod stropy nieba, nad światów głuszą,
Noc wywiesiła sztandar kirowy:
To dziś Polaków sztandar bojowy!
Kupmy się przy nim ciałem i duszą!
Wstawajcie, cyt! i t. d.

6.

Z okiem ku gwiazdzie rodzinnej wiary,
Ręką i myślą silnie spojeni,
Śpieszmy do pracy, pod sztandar cieni,
Wrogi nas wezmą za nocne mary.
Wstawajcie, cyt! i t. d.

7.

Bo znów ze świtem ockną się zbrodnie:
Knuty zaświszczą, więzy zabrzęczą,
Głosy ojczyzny znowu zajęczą —
I tę noc jeszcze spali wygodnie.
Wstawajcie, cyt!
Zbrodnia usnęła —
Śpieszcie do dzieła,
Nim błyśnie świt,
A cyt, a cyt!

1830.

MARSZ ZA BUG.[1]

CHÓR.

Uderzcie w bębny, zagrajcie nam w rogi:
Za Bug, za Bug, za Bug!
Niech lotne serce nie wyprzedza nogi,
Uderzcie w bębny, zagrajcie nam w rogi
Dla naszych serc, dla naszych nóg!
Za Bug, za Bug!

Już tam nie jeden z zabużańskich braci,
Uchem przy ziemi każdy tentent ima,
Tysiąc go razy i schwyta i straci —
A nas jak niéma, tak niéma!
A posiodłane, pokiełznane konie
Strzygą uszami, rżą do naszych koni —
A ostre szable i nabite bronie
Brzęczą nutą naszej broni!
CHÓR: Uderzcie w bębny i t. d.

Piękne siostrzyce, Rusinki, Litewki,
Jak zakochane, już nas upatrują —
Polskim ułanom szyją chorągiewki,
Polskie kokardy gotują.
Że nas zobaczą, żywiej oko płonie,
Drżą ręce najprzód, że nas uściskają,
A serce, prorok, skacze już im w łonie,
Że nas wkrótce kochać mają.
CHÓR: Uderzcie w bębny, i t. d.

Warczy próg Dniepru, pomrukuje Dźwina,
Bo cudzy język polską wodę chłepce;
Wyje stepami polska Ukraina,
Bo koń cudzy step jej depce;
Dyszy niechęcią bagniste Polésie,
Burzami grożą naddniestrzańskie skały —

[1]) Utwór ten odśpiewany był na obchodzie publicznym 29 czerwca 1831 r. Muzykę do niego napisał Józef Dobrzyński. *(P. P.)*

Lesista Litwa dąsa się i ćmi się
  Na nasz pochód opieszały.
CHÓR: Uderzcie w bębny, i t. d.

Wodzu nasz, Janie — białe orły żebrzą
Ogniem Grochowa i Wawru napadem:
Niech się co prędzej brzegi Buga srebrzą
  Tryumfującem ich stadem;
Niech postrzelony ten potwór dwugłowy
Po ziemi polskiej dłużej się nie słania!
Wypuść ostatni pocisk piorunowy
  I skróć mu męki skonania!

CHÓR.

Uderzcie w bębny, zagrajcie nam w rogi:
  Za Bug, za Bug, za Bug!
Niech lotne serce nie wyprzedza nogi —
Uderzcie w bębny, zagrajcie nam w rogi
  Dla naszych serc, dla naszych nóg:
    Za Bug, za Bug!

Warszawa. Kwiecień 1831 r.

SKOWRONEK POLSKI.

Końskie kopyta pod Wawrem orały,
  Zagony działami ryto —
To też na niwie trupów okwito.
Przez niwę wiatry kwietniowe powiały,
Ocknął się w skibie skowronek radosny,
Powitał wiosnę pierwszy śpiewak wiosny,
  Skrzydełkami zatrzepotał,
  Wił się w górę i szczebiotał:

„Co to za wiosna, że rola tak zryta?
  Ani kwiatów, ni zieleni!
Młoda murawa krwią się czerwieni,
Błonie blademi trupami zakwita.“ —
— Śliczna to wiosna, o ptaszyno miła,
Gdzie przez lat tyle taka zima była. —

Ptaszek w skrzydła zatrzepotał,
Krążył, krążył i szczebiotał:

„Dziwna to, dziwna tutaj gospodarka:
Orzą pole płomieniami,
Krwią polewają, nawożą kościami
I zasiewają ołowiane ziarka.“
— Zdziczały były, ptaszku, te zagony,
Taki siew tylko wyda bujne plony. —
Ptaszek raźniej zatrzepotał,
Pędził w górę i szczebiotał:

„Lubię ja skibę, gdzie mam samkę moją —
Ale wolę, ale wolę
Tych gospodarzy, co roszą swe pole
Krwią złych sąsiadów, a kośćmi ich gnoją.
Zato ich zboże wybuja dorodniej,
Skowronki będą mieszkały swobodniej.“ —
I w skrzydełka znów trzepotał
I podlatał i szczebiotał:

„Polecęż teraz przez polską ojczyznę,
Aż po Dnieper, aż po Dźwinę —
I będę polską nauczał rodzinę,
Jak rolę sprawić, by plony mieć żyzne
Braci skowronków toż to uweseli,
Że w gęstszem zbożu będą mieszkać śmieléj!“—
I utonął w nieba sine.
Boże, błogosław ptaszynę!

Warszawa. Kwiecień 1831 r.

DUCH KOSYNIERA.

DUMA.

Drugie kury już zapiały,
W pustkowiu huka sowa,
A Stachowej sen zabrały
Pogłoski z pod Grochowa.

Srogie tam było spotkanie:
Bitwa, jak nigdy, krwawa —
Padali tam Podlasianie,
Jakby pod kosą trawa.

Więc, nad kołyską schylona,
Płacze łzą piołunową,
Nad sierotą, co u łona,
Nad sobą, biedną wdową.

W izdebce coraz się mroczy,
Dogasa szczepka smolna,
I zmęczone płaczem oczy
Zasklepiły się zwolna.

Przecież, choć snem ciężkim dyszy,
I oczy śpiące miała,
Wszystko widzi, wszystko słyszy,
Jakby wcale nie spała.

Trzeci kogut północ wypiał,
Mignęło przed okienkiem,
Czujny odźwierek zaskrzypiał —
Wchodzi Stach z brzękiem, szczękiem.

Zrzucił czapkę, siadł przy stole,
Miło patrzy na żonę —
Błysło z pieca: krew na czole,
Całe piersi skrwawione.

Ujął kosę i krwią z rany
To ją czasem opryskiwał,
To ostrzył, to na przemiany
Do żony się odzywał:

— „Moskal w skronie kulą chlusnął,
Krew trysnęła oczyma,
I kosynier lekko usnął;
Nad sen taki nic niéma.

„Olcha gęsta, bagno skrzepło,
Trup kołdrą, trup poduszką —
Miękko, zacisznie i ciepło!
Niema, jak moje łóżko.

„A kosynier, żołnierz prawy,
Choć śpi pod olchą nagą,
Jednak pilnuje Warszawy,
Jednak czuwa nad Pragą.

„Zawsze tam na warcie stoi
Jego oko wywrócone
Najzuchwalszy kruk się boi
Rozpiąć skrzydeł zasłonę.

„O północku miecie srodze —
Więc dalej tłumem naszym,
Dalej po, Grochowskiej drodze,
I ruskie czaty straszym.

„Dzień i noc wartując tajnie,
Na stanowiskach trwamy
I przez bagna, przez rozstajnie,
Moskala odpędzamy.

„Kosynier gospodarz skrzętny,
O domu nie zapomina —
Idzie do swej żonki smętnej,
Idzie nauczyć syna.

„I krwią ze swojego czoła
Kosę jemu nastala,
By kiedyś, jak kraj zawoła,
Miał czem rąbać Moskala.“ —

Stachowę rozpacz objęła,
Jękła bolem i trwogą,
Chce biedz ku niemu — przecknęła —
Lecz nie było nikogo.

ANTYCHRYST WOLNOŚCI.[1]

— „Rozprósz się, nocy ucisku!
Wejdź nam, nowych światów błysku,
Wejdź nam, słońce naszej ziemi,
Zaświeć, o wolności droga!“ —
Tak z więzami skruszonemi
Zawołał lud głosem Boga —
A chmara ciężkiej żałoby,
Łzami niewoli nabrzękła,
Niema dotąd, jako groby,
Nad Belwederem rozpękła
I lunęła dżdżem Sodomy.
Jest Bóg czuwania i cudu,
W potędze ludu widomy,
Słyszany w wyrokach ludu:
O bracia, jego to gromy
Wypadły z waszej prawicy —
Jego dziełem wasze dzieło:
A więc dalej, zapaśnicy!
Niech się kończy, jak się wszczęło!

Próżno Antychryst wolności
Zbrodniczą przemoc wysila:
Przyszła strasznych sądów chwila,
Chwila zbawionej wieczności —
Grom wasz dzielny, niespodziany,
Uderzył w ludów kajdany,
Uderzył w ludów tyrany.
Patrzcie na lice zbrodniarza,
Co osiadł lodów stolicę
I szczęściu świata zagraża —
Patrzcie w jego serce, lice:
Nim wasz piorun mocy boskiej
Zagrał jemu dzikim zgrzytem
W echu, o piekła odbitem —
Myślał on w duszy czartowskiej:

---

[1]) Wiersz czytany na zgromadzeniu Towarzystwa patryotycznego 29 grudnia 1830 r. *(P. P.)*

„Moja ziemia, mój świat cały!
Ziemia słaba, nieba ciche —
Byle mi piekła sprzyjały,
Nasycę carską mą pychę!
To święcone pomazanie
Na cesarskiej mojej skroni,
Te miliony zbójczej broni,
Co na każde zawołanie
Obmyć się, skąpać gotowe
We krwi, choć najdroższej sobie,
To moich zbrodni pokrycie!
Zechcę — a pół świata w grobie —
Oszukam drugą połowę.
Ludy! Uledz mi musicie!“
W chwili piekielnej radości
Wyście hasło walki dali!
Zadrżał z trwogi i wściekłości,
Że są jeszcze tak zuchwali,
Co mu się sprzeciwić śmieli;
Potoczył okiem po ziemi —
Pękają groby dokoła,
Jak na trąbę archanioła —
I tłumami orężnemi
Wychodzą hufce mścicieli,
A przez podziemia szczeliny
Wymykają się płomienie,
Wieczne dla niego zniszczenie.
Spojrzał w niebieskie wyżyny,
A na niebieskiem sklepieniu,
Przed jego przeklętem okiem,
Słońce zaszło śmierci mrokiem,
I w odwiecznem utwierdzeniu
Gwiazdy się zakołysały...
Oniemiały i struchlały
Na wieszczby ostatniej chwili,
W dół czoło bluźniercze chyli,
A znak święty pomazania,
Piętno Kaima zbrodnicze,
W świeżą się bliznę rozrania —

I krew Abla przez oblicze
Niewstrzymanym nurtem zléwa.

Raduj się, ziemio szczęśliwa!
Ufajcie, o bracia moi!
Zbrodnia dobiega swej mety:
Już ostatniego komety
Groźna rózga nad nią stoi!
Pojrzyjcie, wolności dzieci,
Pojrzyjcie w wieków otchłanie:
Bóg wolności już nam świeci —
Jeden chrzest we krwi Jordanie,
A szczęśliwi, jak anieli,
Posiędziem niebo wolności,
Już nasze, już wiecznie nasze.
Tam, grzmiąc w zwycięskie pałasze,
Wiecznym chórem będziem pieli
Tryumf polskiej wytrwałości!

29. grudnia 1830 r.

ŚWIĘTO TRZECIEGO MAJA.[1]

Z pieśnią słowika, na nowo zaczętą,
Z wiosną, co ziemię na nowo przystraja,
Witamy cię, polskich serc święto!
Witamy cię, trzeci dniu maja!

Biedni, dzikiego ojczyma przemocą
Wygnani z matki ochłostanej domu,
Do ciebie idziem pokryjomu,
Dniu święty, ze skargą sierocą.

Zdarły się kiry lat żałoby wielą,
Tylko kwiat spomnień zakrywa łez plamy —
Więc w kwiatach spomnienia witamy,
Witamy cię, Polski niedzielo!

---

[1]) Wiersz ten napisany był dla kółka przyjaciół, obchodzących rocznicę 3 maja w domu Michała Grabowskiego w Aleksandrówce na Ukrainie. *(P. P.)*

Już to w trzydziestej piątej szat przemianie
Żal naszej nędzy przyroda rozbliźnia,
A ptaków radosne śpiewanie
Milczącej boleści podrzyźnia.

Już to trzydziestym i piątym obchodem
Krążymy przy dniach, które skamieniały
Posągiem nieszczęścia i chwały
Nad wielkim zabitym narodem.
Więc dalej do uczty koła!
Nalejcie kielichy wasze,
Niechaj myśl dziko-wesoła,
Ożywiona tym napojem,
Ojczyznę z trumny wywoła,
Popląsa ze spomnień rojem!
Zagrajmy, o bracia, w czasze!

Serce, jak kielich — ma brzegi swoje,
Serce, jak kielich — zbytku nie zmieści;
Ze szkła pełnego spłyną napoje,
Serce, wezbrane płaczem boleści,
Rozleje łzy — pocieszenia.
Już sytość hańby nad brzeg wystaje,
Przebrana miara cierpienia —
Łza tylko radości zostaje.
Żyj nam, chwilo przesilenia!

Poćwiertowane matki naszej ciało
W któreż się strony nie porozpadało?
Lecz, silne siłą żywota padalczą,
Pocięte członki drgają jednem życiem:
Matczynej piersi uderzają biciem
I walczą z chłodem śmierci — aż go zwalczą,
Niech żyją bracia! Niech żyją,
Którzy jednem sercem biją!

W dziecinnych latach za baśnię się brało
Powiastkę nianiek o cudownej wodzie,
Co sprzęga, żywi rozszarpane ciało.
Kto wielkich przodków ma wzory w narodzie,

Kto pomstę krzywd ich w sercu swojem chowa,
Ten zdoła pojąć, co znaczy baśń owa,
Gdzie zdrój tej błogiej otuchy.
Zemsta za was, przodków duchy!

Teraz, bracia, wasze zdrowie!
Szczęśliwi takich synów ojcowie,
Co, szczupłym swoim likiem niezrażeni,
Świętego ognia udzielając sobie,
Tulą w pamiątkach przyszłe świetne czyny,
Aż je na światło wyniosą z cieni.
Szczęśliwsze jeszcze takich ojców syny!
Niechże Maj Trzeci, miły nam w żałobie,
Lampę smutku zagasiwszy,
Słońce tryumfu w rychle rozpromieni:
Niech żyje Maj Trzeci szczęśliwszy!

Aleksandrówka w 1830 r.

CHMURA.

1.

Pod Dębem, na bagnie,
Moskal, we krwi cały,
Wyje, jak wilk zgłodniały,
Kropli choćby dżdżu pragnie.

2.

Gorączka go spali,
Choć wokoło woda —
Ale nikt jej nie poda,
Nikt go się nie żali.

3.

Płynie chmurka dżdżowa,
Sieje deszcz maleńki:
Słyszy Moskala jęki
I zagrzmi w groźne słowa:

[2]) Wielkie Dęby, wieś pod Miłosną, pamiętna bitwą, stoczoną przy niej w ostatnich dniach marca 1831 r. *(P. P.)*

4.

„Milcz, niegodne plemię!
Z Karpatów ja chmura,
Siwej Wisły ja córa,
Polską orzeźwiam ziemię.

5.

„Lecz wroga polskiego
Deszcz mój nie zasili:
Tyleście łez wypili,
Tyle krwi ludu tego!

6.

„U Newy, u Newy
Szukać wam napoju,
W gorącej juchy zdroju,
Między carskiemi trzewy.“

Warszawa. Kwiecień 1831 r.

PIORUN.[1]

1

W środku Siedlec Moskwa broi,
Nad Siedlcami chmura stoi:
Ni się zwiększa, ni się zmniejsza,
Tylko coraz posępniejsza.

2.

— „Biada — mówi — biada sroga,
Że lud bez bojaźni Boga
Chce piorunami ziemskiemi
Pognębić wszystko na ziemi!“

3.

A chmury i słońca dziécię,
Młody piorun, słuchał skrycie,

[1]) Pieśń, osnuta na wieści zmyślonej, jakoby piorun spadł na działa moskiewskie, stojące na placu w Siedlcach i stopił ich kilkanaście, przyczem miało zginąć trzystu żołnierzy moskiewskich. *(P. P.)*

Skrycie z łona matki spłynął,
I ku ziemi się rozwinął.

4.

Ledwo zagrzmiał, już powrócił.
„Nacoś mi grzmoty ocucił?
Gdzie to byłeś? Coś tam zrobił?“
„Wroga, matko, wrogam pobił.

5.

„Niespodziany, niewidomy,
Spadłem na moskiewskie gromy,
Wpadłem pomiędzy Moskali,
Którzy tam ich pilnowali.

6.

Moskiewską wiarę wybiłem,
Gromy moskiewskie stopiłem:
Patrz, ot, powódź płomienista,
Ot i trupów leży trzysta!“

Warszawa. Kwiecień 1831 r.

ŚPIEW LUDU POLSKIEGO.

1.

Nasłańcy północy srogiej,
Precz, odszczepieńcy, precz, niewolnicy,
Z Polski lubej, z Polski drogiej!
Nie kalajcie nam ziemicy —
Precz sobie ku Sybirowi,
Pókiście żywi i zdrowi!

2.

Jak zasięgną wieści stare,
Wolno tu żyli, wolno konali,
Czcili zawsze prawą wiarę
I zawsze bili Moskali.
Precz sobie, i t. d.

3.

Swoboda od wieków z nami,
A wy, jak Boga, słuchacie pana:
Nie wam wytrwać z Polakami!
Z nami Bóg, z Bogiem wygrana —
Precz sobie, i t. d.

4.

Sosna tylko u nas rośnie —
Ale bagnety nasze liczniejsze,
Niżeli szpilki na sośnie,
Niż szpilki sosny, ostrzejsze.
Precz sobie, i t. d.

5.

Do łba polskie kule bieżą —
Za kark chwytają polskie pałasze,
Bagnety w serce prost mierzą,
Bo wolne są ręce nasze.
Precz sobie, i t. d.

6.

Dość już, rodzie potępiony,
Zwodzić nam dziewki, chleb nam wyżerać
I w królów naszych korony
Swojego cara ubierać!
Precz sobie, i t. d.

7.

Niezadługo z trwogi, z nędzy
Będziecie Boga, płacząc, prosili,
By was wywiódł z Polski prędzéj,
Niśliście do niej pędzili.
Precz sobie ku Sybirowi,
Pókiście żywi i zdrowi!

ŻOŁNIERZ W ROKU 1811.

Witam ciebie, moja droga!
Na chwilę w trąby paszczęce
Ucichła wojenna trwoga —
I wnet lecę, by twe ręce
Ucałować choć na chwilę.

Co za nieba ja widziałem!
Modre, jak twe oko, miła.
Co za kraje obiegałem!
Taka spieka w nich paliła,
Jak twoje pocałowanie.
Lecz, kto, ojczyznę straciwszy,
Za nią tylko przez świat goni —
Lecz, kto, piękną polubiwszy,
Żyje tylko myślą o niej,
Co mu po wszystkiem na świecie?

W dzikiej tęsknocie za tobą,
Za ojczyzną i za chwałą,
Cały-m świat przerzucił sobą;
Sto ludów na drodze stało —
Przez sto ludów się przebiłem.

Aż dobiłem się nagrody:
Chwilka z tobą, moja droga,
Ziomkom wrócone swobody,
Nowa wyprawa na wroga —
Możeż być nagroda milsza?

Lecz oto trąba zagrała!
Idziem znowu trony walić
I stolice królów palić:
Polko moja, bądź mi stała,
Bądź mi wierna, jak ta szabla.

Teraz daj mi całowanie
I obetrzyj oczy sobie:

Łzy się zdadzą na witanie —
Może — kto wie? — na mym grobie.
Żegnam ciebie, żegnam, droga!

CHOLERA.

Sybirskich mroków straszydło
Wisi ponad ziemią sępem,
Najeża zbrojnym zastępem
I prawe i lewe skrzydło,
A w rajskie południa strony
Kieruje myśli i szpony.
Złoto Gangesu, Golkondy słońce,
Brylant z korony Mogoła,
Migają w mrokach zbójczego czoła,
Jak złe anioły kuszące —
A z źrenicy do źrenicy
Przemyka się w błyskawicy:
„Wszystko to moje, wszystko to moje!"
Tymczasem w ciszy tka pajęcze sidła —
A lada chwila — jeden ruch skrzydła,
I spadną na świat zastępy straszydła,
I nowe ludzkość zakrwawią rozboje.

— Aniele czarnego skonu,
Obejdź ludy, jak w dniach cudów!
Daj im naukę przez śmierci słowa,
A biada temu śród ludów,
Który jej w pamięć nie schowa! —
Pod grzmotem słów tych z bożego tronu,
Podniósł się anioł grobowej piękności
Z krain, ku którym zbójca ludzkości
Nakierował swe postrzały —
I skrzydłem niszczącej chwały
Uderzył w carskie szeregi,
I wnet podbiegunne śniegi
Poczerniały tchem zarazy.
Śmierć, potężniejsza, niż carskie ukazy,

Jednym tchem wali miliony,
Milionów targa wnętrzności
I łamie ich kości,
Że aż do Boga wołanie
Wyjącemi poszło tony:
— „O Panie! Za co ta plaga?
Wszak my twe dzieci — zlituj się, Panie!
Niech prawosławnych prośba cię ubłaga!“
— „Na plagę ziemską niebieska plaga“ —
Z gorzkim uśmiechem rzekł anioł zarazy;
Miecz — jego uśmiech, śmierć — jego wyrazy.
— „Wy dzieci Boga, wy prawowierni,
A piekieł spełniacie wolę!
Niech czarną duszą i ciało się czerni,
By was poznano z tej cechy
Tam, gdzie narodów będą sądzić grzechy!“ —
I dalej pomknął niszczące stopy.
I wnet oblicze całej Europy
Powiewy jego skrzydeł obleciały.
— „Za cóż, o Panie, za co ta plaga?“ —
Narody jednym głosem zawołały:
— „Czyż w królach małe dla nas ukaranie?
Pożal się niewinnych, Panie!
Pożal się, niewinność błaga!“ —
— „Kto sam nad sobą litości nie ma,
Ten jej z niebios nie otrzyma“ —
Z gorzkim uśmiechem rzekł anioł zarazy;
Miecz — jego uśmiech, śmierć — jego wyrazy.
— „O trzodo narodów biedna,
Bez rozumu, bez odwagi!
Ginąć dla królów, lub od boskiej plagi —
Czyż to śmierć nie jedna?“ —
I dalej, szerzej ziemię ogarniały
Anielskie skrzydła grobowej chwały;
Wkońcu straszliwa zaraza
W górę lot wzięła i mocarzy sięga.
Zadrżała tronów potęga,
Struchlały serca w piersiach z żelaza,
Z ust wyszły modły, modły obłudy
O co? — O ludy, o trzódy!

W groźnem milczeniu przeszedł anioł skonu.
Dla takiej ziemskich władców obłudy —
Nie mają ucha, ni głosu anieli;
Tam, u podnóża sądowego tronu,
Tam im dopiero odpowiedzą ludy,
Które bratniemi rękami wycięli.

WISŁA I ŚWIĘTY JAKÓB.[1]

Najwspanialsza z polskich rzek
Śród najwyższych polskich gór
Rwie koryto, burzy brzeg,
Prosi lodów, błaga chmur,
W rozpaczy matki Karpaty wzywa:
„O matko, matko, bądź litościwa!

„Oto zbójczy Wołgi ród
Moje łoże zgwałcić chce,
Chce zgnębić miły mi lud;
Otwórz, matko, piersi swe!
Niech nie góruje Wołga szatańska,
Niechaj jej plemię spławię do Gdańska!“

Matka, stara, jako świat,
Słyszy córki płacz i głos,
Wznosi oczy, lodów skład,
Rozpuszcza ze świerków włos,
Z pod mglistych zasłon piersi podnosi
I tak świętego Jakóba prosi:

„O patronie święty mój!
Przyświeć, przygrzej okiem twem!
Stop w mych piersiach skrzepły zdrój,
Córkę Wisłę zasil nim,
Niech plemię Wołgi do Gdańska spławi,
Niech plemię swoje od zbójców zbawi!“ —

[1]) Jest tu mowa o corocznem letniem wzbieraniu Wisły, zwanem Jakubówką, a na które wielu rachowało jako na ważną przeszkodę dla wojska rosyjskiego, gdyby chciało przeprawić się przez Wisłę. *(P. P.)*

Głupia córka, głupia mać
I kochany głupi lud:
Żeby radę wrogom dać,
Trzebaż świętych, albo wód?
Jeżeli powódź obroną całą,
Czyliż krwi zdrajców już wam nie stało?

Warszawa, 1831 r.

ŻOŁNIERZ ŻEBRZĄCY.[1]

—„Zlituj się nad biedakiem,
Jeśli jesteś Polakiem
I chcesz łaskę mieć u nieba!“ —
Tak się Moskal u mnie prosił,
Kiedym szablę nad nim wznosił —
Tak ja dziś proszę o kawałek chleba.

Panem kiedyś ja byłem,
Wielkie skarby liczyłem,
Wielkie skarby: krew i zdrowie.
Żem je stracił — to mi przyzna
Niejedna krwiąca się blizna;
Żem drogo oddał — trup niejeden powie.

Jak wy, byłem ja hojny,
Jak wy, byłem ja strojny,
Choć taka nędza koło mnie;
Co mi słota oszczędziła,
Co krew ruska nie splamiła,
To wkońcu Niemiec odjął wiarołomnie.

Miałem szablę u boku,
Jasną, jak śmiałość w oku —
rzęk jej wygrywał piosenki,
Lecz, kiedy zębami żmii
Dopadła moskiewskiej szyi,
To ledwo mojej usłuchała ręki.

[1]) Autor chciał w tej pieśni przechować pamięć nędzy, w jakiej niedbalstwo władz polskich zostawiło wielu żołnierzy z korpusu Dwernickiego, rozbrojonego, jak wiadomo, w Galicyi. *(P. P.)*

Miałem konia kasztanka —
Kochał mię, jak kochanka:
Skok jeleni, pierś kobieca,
A kiedy z kopyta gwiznął,
To kamień iskrami bryznął,
Puchem pierzchała moskiewska konnica.

Miałem ja jenerała:
Biały wąs, głowa biała,
Zawsze czujny i na czele.
Żyliśmy z nim, jak z kolegą,
Jak duszy strzegli też jego:
Jedną miał wadę — kochał nas za wiele.

Ach, mniej trochę miłości,
A spałyby te kości
Spokojnie na polu chwały;
Nie widziałbym mojej broni
W niegodnego Niemca dłoni —
I śpiewać z głodu nie znałbym zakały.

Czerwiec, 1831 r.

WYJŚCIE Z POLSKI.

Wysoko pod niebem żórawie leciały,
Wysoko leciały, a, lecąc, śpiewały.
Polami, lasami wojacy szli w tłumach,
Bez pieśni, bez grania w milczących szli dumach.
Ich dumy posępne, ich lica w kurzawie.
— „A dokąd, wojacy? — pytają żórawie;
— Wasz pochód, jak pogrzeb; choć bronią błyskacie,
Choć broń wam przygrywa, wy w oczach łzy macie.“ —
— „Choć broń nam przygrywa, nam śpiewać nie sporo,
Bo Niemcy dziś jeszcze, dziś ją nam zabiorą.
My z dłońmi gołemi pójdziemy w świat dalej
I chleba u obcych będziemy żebrali
Gorzkiego, drogiego — i droższej ojczyzny
Będziemy żebrali za sławę i blizny.
Żórawie, co w nasze lecicie krainy,
Zaleććie po drodze do naszej rodziny,

Na skrzydła, na szybkie żołnierskie łzy weźcie
I matkom i żonom i siostrom je nieście:
Niech matki wymodlą, wypłaczą niech żony,
By Bóg nam dał rychło powrócić w te strony.
Napoi was Wisła, krwią naszą opita,
Nakarmi was rola, trupami okryta.
Bo my tu nieprędko pić i jeść będziemy!
Nieprędko, nie wszyscy my tutaj wrócimy...
Hej, ptaki do Polski, a my w świat daleki,
Ażeby ją zrobić szczęśliwą na wieki.

Granica Pruska, 1831 r.

WYPRAWA BRACI WYCHODŹCÓW.

Idźcie, bracia, na świat cały!
Ocuceni ze snu chwały,
Z panów — tułacze i sługi,
Idźcie na świat, jak świat długi!
Narody was zapomniały,
Upowitych w zwodne szczęście
Minął okrzyk naszej sławy —
Nieścież im dzisiaj płacz krwawy,
Kajdanami im zatrzęście!
Niech posłyszą głos proroczy
W kajdanach naszej niewoli,
Niechaj widmo naszej doli
Przerazi senne ich oczy!
Z panów — bez panów dziś sługi,
Idźcie na świat, jak świat długi!
Nie, my nie sługi! Nie, my nie włóczęgi!
Nie zagasł pożar polskiego ogniska:
Choć w nie uderzył grom carskiej potęgi,
Płomień tem silniej słupem iskier pryska.
Bracia, my będziem iskrami swobody!
Bracia, my pójdziem przez wszystkie narody!
Staniem w pośrodku ludów, męczennicy,
Bohaterowie bohaterskich lat,
Z szablą w prawicy, z pętami w lewicy,
I będziem wołać na świat;

— „Przez naszą chwałę, przez nasze przygody,
Biada wam, biada, uśpione narody
Jeśli się klęską nie wzruszycie naszą,
Jeśli was losy nasze nie przestraszą!“ —
I świat proroczą pogróżkę zrozumie
Wzruszą się ludy dotknięte w swej dumie:
— „O bracia, rzekną, Europy chwało!
Wasza niedola jest naszą zakałą,
Wasz wróg jest wrogiem i światła i cnoty;
Idziemy z wami, wolności sieroty,
Zetrzem się z cara rozbójniczą władzą:
Jasne łzy wasze niechaj nas prowadzą,
Aż krzywdę polską, ucisk polskiej braci
Krwią swoich trzewiów hojnie Sybir spłaci!“ —
Idźcie, bracia, na świat cały!
Przy męczeńskiej wytrwałości
Dla ojczyzny i wolności
Wyśni się sen waszej chwały.
A jeśli głupota ludów
Obojętnie będzie patrzeć
Na naszą walkę z losami —
Powstaniemy znowu sami,
Aby nową wojną cudów
Dzisiejszy upadek zatrzeć.
A, gdyby przyszło wyższem rozkazaniem
Raz jeszcze poledz na ojczyzny grobie —
Spokojnie umrzem, bo powiemy sobie:
Giniem — lecz wkrótce ludów chłostaniem
Ciężko pomszczeni zostaniem!

Galicya. Listopad, 1831 r.

KOLENDA POLSKA NA ROK 1832.

Wygnaniec polski, którego skarb cały
Trochę tchu, co go nieproszony poi,
Kilka dni ciemnych, o które nie stoi,
Które dziś odda za iskierkę chwały —

Gasnący roku, żegnam dzisiaj ciebie,
Jak żegna zdziercę odarty z wszystkiego.

Roku wschodzący! Witam cię, jak tego,
Który ostatki chce zabrać potrzebie!

Lecz dziś świat cały jest szczęścia rodziną:
Zewsząd wesołe podnoszą się śpiewy,
Zewsząd dla ciała i ducha posiewy,
Skąd pomyślności wszelkie się rozwiną...

O — i ja także nie próżną mam rękę:
I ja rozdzielę między moje bliźnie
Jedyny spadek, com wziął po ojczyźnie:
Ziarna pogardy i przekleństw piosenkę.

Poczwaro ludów, a dziś moja pani,
Której prawdziwe świat-by słyszał miano
Wówczas dopiero, gdyby ludziom dano
Poszukać w głębiach piekielnej otchłani,

Moskwo — do życzeń podobnych obłowu,
Ty jesteś pierwszą, jak zmarły na stypie —
Tobie więc naprzód pełną garścią sypię
Przekleństwa, wzgardę i przekleństwa znowu.

Za twoim trudem, a boską pomocą
Padnie ten posiew na rodzajną ziemię:
Szarańcza zbrodni strawi twoje plemię,
Pękniesz pod twoich własnych jadów mocą.

Przez całą ziemię pryśnie twój trup krwawy
Na radość ludziom, które dzisiaj gniecie;
Jednej łzy żalu nie znajdziesz na świecie,
A w całych dziejach — jednej chwilki sławy!

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Tam — co za tłuszcza kamieniem się trzyma?
Stoją, jak owcze wobec wilka trzódy...

Ha — to są ludy, niby wolne ludy,
Drzące na widok niewoli olbrzyma!

Patrzą ku Polsce, lecz patrzą ukradkiem;
Szepcą jej w uszy, lecz z niemą obawą:
„Bracia, my mamy do serc waszych prawo,
„My was kochamy, to serce nam świadkiem!

„Mybyśmy były — klniemy się przez nieba...“
Nie kończcie! Wiemy. Z nami-byście były,
Gdyby wam wasze pany przyzwoliły,
Gdyby was Polsce nie było potrzeba.

O, dla was, dla was — nie mamy życzenia —
Dla was najgłębszej pogardy za mało,
Ziarn męstwa szkoda, a, co klątw zostało,
To chętniej rzucę dla carów plemienia!

Mikołajowice w Galicyi,
noc z 31. grudnia 1831 na 1. stycznia 1832.

MOJA PIOSENKA NAJLEPSZA.

„Jakżeś mię zdradził, dobry czy zły duchu,
Duchu niebios poezyjnych!
Otoś był podniósł i oku i uchu
Zasłony stref harmonijnych —
I spuściłeś je dopiero,
Gdy czucie orlim wzbiło się już lotem,
A dusza, rajskim olśniona błyskotem,
Wiecznie z powszednią skłóciła się sferą.

„Jakżeś mię zdradził! Przebaczam ci przecie,
Tylko pobłogosław tyle,
Abym krok zrobił w owym rajskim świecie,
Abym pożył w nim choć chwilę
I choć z jednym wrócił listkiem,
Coby świadectwo późnym czasom złożył,
Żem i ja chwilę w owym świecie pożył;
Zdarz mi to, duchu — zapomnę o wszystkiem!“

Długom tak błagał i błagał daremnie.
Wówczas najstraszliwsze piekło,
Bo piekło ducha, zajęło się we mnie
I swym dymem myśl oblekło.
Zewnątrz świat ludów nieżywy
Otrupiał czucia, żary serca chłodził,
A świat mój wnętrzny, jak grób, larwy płodził
I trwożył ziemię potwornemi dziwy.

Strzaskałem lirę — a bagnet chwyciłem,
Rozwinąłem na śmierć skrzydła
I nad ojczyzny trunę pośpieszyłem
Rozbić grobu jej straszydła.
— „W tę strunę zwichniona ręka
Niech teraz zagra — mówiłem do siebie.
— Wesprzyj mię, duchu, w tej tylko potrzebie:
Będzie to moja ostatnia piosenka!“ —

Godzina siódma zagrała w zegarze,
Wieczór pożarem się skrwawił —
Upatrywałem śmierci mej w pożarze,
A on poezyę mi zjawił.
Z napisu była jej ręka,
Głoski pałały, jak płomienne lonty:
— „Siódma wieczorna, dwudziesty dziewiąty!
Oto najlepsza z twych pieśni piosenka.“ —

O, tak — tej jednej, tej krótkiej piosenki,
Nie oddam za przeszłość całą!
Anielski duchu, dzięki tobie, dzięki!
Przez ciebie grałem ją śmiało.
Mniejsza dziś o wieńce wieszcze,
O światy wieszczów i o ich rozkosze —
O jedno tylko, o jedno cię proszę:
Niechaj raz jeszcze tak zagram, raz jeszcze!

1833.

GĘŚLARZ.

Ojczyzno! Ja twój — i twój ten kraj;
Twój jest wróg, co mnie zagraża;
Dajże mi przytułek, o, daj,
Ocal twojego gęślarza!

Wiesz to dobrze, jak w owych dniach
Zajrzałem wrogowi w oczy,
Że aż mu serce schwycił strach —
Jak w ciągu walki, ochoczy,

I ochrzczony przez jego krew,
Niosłem zawsze twą gęśl śmiało —
Jak śmiało wznosiłem mój śpiew
Nad twoją krzywdą i chwałą.

Dziś znowu kat naszych dusz
Wzmaga się przez nasze zbrodnie,
Ostrzy na nas mszczący się nóż,
Zapala zemsty pochodnię

I tropi z nią wiernych ci ślad
Przez ziemię, poddaną sobie:
Pod jego grozą gnie się świat —
Nie mam przytułku, jak w tobie.

Miejże mię w opiece swej
Do czasu — zaklinam ciebie
Na twoją gęśl, na pieśni jej,
Zaczerpnięte w twojem niebie!

Lada drzewko od kani złej
Liściem swem ptaszka osłoni —
A jażbym nie mógł w ziemi mej
Ujść mściwej wroga pogoni?

Ja, gęślarz, nie dopuszczę rdzie
Zgryść mej gęśli strunkę biedną —

A tyż dopuścisz zniszczyć mnie,
Mnie, com twoją struną jedną?

Czym ja kiedy zagrać się bał
W zgiełku bojów, w grobów głuszy?
Czym ja nie ssał z ojcowskich ciał
Moją duszą twojej duszy?

O, ocal tę gęśl, ocal ją!
Cząstka ciebie w jej żywocie,
Przeszłych w niej plemion duchy są,
Co piastują przyszłych krocie.

Gdy zgaśnie ogień, co tu wre,
Niejedna gwiazdka, stworzona
Dla ciebie, przejdzie niebo twe
Nierozpalona, niepostrzeżona!

Kilka, o, kilka jeszcze dni —
Niechaj na przyszłość wyleję
Co mam ognia w duchu, we krwi —
Potem — mniejsza, że zniszczeję.

Galicya, 1833 r.

BIADA NAM!

Nasze stoły lśnią wytworem,
Drogi w naszych szkłach napitek;
Czy to rano, czy wieczorem
Nasze ciała tuczy zbytek,
A najlepsi w naszym rodzie
Po więzieniach schną o głodzie. .
Biada nam, że dziś tyjemy!
Kiedyś ciężko odpościemy.

Miękka nasza jest łożnica,
Sypialnie nasze ogrzane —
Obok wdzięk świeżego lica,
Sny, pieszczotą przerywane,

A najlepsi w naszym domie
Chłodem więzień drżą na słomie...
Biada nam, że dziś tak śpimy!
Kiedyś w bolach się zbudzimy.

My chodzimy wystrojeni,
Zagraniczną świecim szatą —
Nam brylanty lśnią z pierścieni,
Zima ciepła nam, jak lato,
A najlepsi między nami
Obciążeni kajdanami...
Biada nam, gdy w mody zmianie
I nam ten się strój dostanie!

Dla nas świat dzisiejszy — cacko,
Jęk ojczyzny — czułe rymy;
Nasze życie miłą schadzką,
Gdzie śpiewamy, gdzie tańczymy,
A najlepsi w ręku katów
Mdleją pod razami batów.
Biada nam, gdy pod tem graniem
I my kiedyś w taniec staniem!

My szaleństwem nazywamy
Śmierć na drodze poświęcenia —
My na palcach obliczamy
Wielkich myśli uniesienia,
A najlepsi śród rodzeństwa
Liczą chwile przez męczeństwa.
Biada nam, gdy owe szały
Wioną kiedyś na świat cały!

Październik, 1833 r.

Z WIĘZIENIA.

Ściany kamienne dokoła,
W oknach zapora potrójna,
Przy drzwiach, przy oknach, straż czujna;
Zdaje się, że duch anioła

Przemknąć się do mnie nie zdoła —
A żelaza zimne, srogie
Ujęły pierś, rękę, nogę —
Powstać, ruszyć się nie mogę.

Myśli ducha wierzącego,
Nie o tobież powiedziano:
„Zechciej wiarą niezachwianą,
A góry z miejsca swojego
Wstaną i, gdzie chcesz, pobiegą?“
A więc uderz całą duszą,
A te zamki pęknąć muszą,
A te ściany wnet się skruszą!

Tutaj, w łona głębokości,
Legło takie święte dzieło,
Tak mocno serce ujęło;
Tutaj taki dzień wolności,
Dla mej ziemi taka chwała! —
Uderz wiarą, myśli śmiała,
A zmieni się ziemia cała!

Wraca, jak echo od głazu;
Precz, niedołężna! Przepadnij!
Toż to przebić mury snadniej?
Toż snadniej myślą nakazu
Odjąć zimny hart żelazu,
Jak uczuciami prawemi
Wniknąć w serca polskiej ziemi?
A ja byłem między niemi...

Cóż zyskały wiara, serce?
Serce, wiarę nogą pchnęli,
Trumnę Polski znów zamknęli —
Zdusili, matki morderce,
Jej życie w pierwszej iskierce.
— „Niech jeszcze — były ich głosy —
Kona pod carskiemi ciosy;
Tak chcą rachub nasze losy.“

O barbarzyńscy wróżbici!
Czyliż wasza liczba trupia
Tak już rozum wasz ogłupia,
Tak wam plącze jego nici,
Że wam sumień nie oświéci
Boleść czterech naszych skonów,
Siła polskich milionów
I chwianie się wszystkich tronów!? —

Lecz wy, tkliwi gospodarnie,
Wy jedynie się troszczycie
O krew braci, o ich życie,
O bezpłodne ich męczarnie;
Wy nie chcecie, aby marnie
I przedwcześnie krew kochana,
Krew polska była rozlana:
Litość głupca lub szatana!

Gdy przez silne uderzenie
Skrzepła krew serce osiada —
Waszem zdaniem, nie wypada
Przez jej cząstki upuszczenie
Wrócić pół-martwemu tchnienie:
Skoro krew żył nie obiega,
Ciału czucie nie dolega —
Mniejsza, że ciało zastyga.

Oto wasza mądrość tkliwa!
O, przelitośni mędrkowie,
Czy wiadomo waszej głowie,
Że, jak ludzkość jest krwią żywa,
Tak krwią ze krwi się dobywa
Wszelka myśl, która objawia
Starego świata bezprawia,
Wszelka myśl, co świat odnawia?

A wy w waszych głów obłędzie,
Chcąc rachubami zimnemi
Odwlec dzieło całej ziemi,
Żahamować myśl w jej pędzie,

Wy, poddane jej narzędzie,
Wy sądzicie, że tak snadnie
Tę krew okraść, że przepadnie,
Co się z jej miary odkradnie?

O, w lichwie milionowej
Oddać wy kiedyś musicie,
Jeśli nie swe własne życie,
To dzieci, to wnuków głowy!
Krew ta, dla zbrodni ojcowej,
Zleje kiedyś ich rodziny!
Jak my winnych ojców syny,
Krwią dziś zmywamy ich winy —

Tak na waszych spocznie głowach
Zniweczona Polski sprawa,
Młodszych braci przyszłość krwawa
I dzisiejszy ród w okowach!
Ja, na moich czuciach, słowach
Własnym skonem pieczęć złożę,
A sądy rozstrzygą boże,
Kto był winien w naszym sporze.

Glinna pod Lwowem, 14 października 1833 r.

KRZYŻ-SZUBIENICA.[1]

Krwawa ulewa chmurą zaćmienia
Słońce ludzkości obleka,
Opoka czasu drga chwilą rodzenia,
Pękł na dwoje ród człowieka,
Odkryta światu piekieł ciemnica:
Ludy, dzień się wasz przybliża!
Oto w promieniach świętego krzyża
Nowych wieków poprzednica
Podnosi się Krzyż-Szubienica —

[1]) Poezye patryotyczne z tych lat nie były drukowane za życia poety. W r. 1833 rząd austryacki prześladował emigrantów więzieniem. Zwłaszcza po nieudałej wyprawie Żaliwskiego liczne aresztowania dopełniały miary rozgoryczeń poety.

Na niej rozpięta ludzkość-ofiara
Wychyla kielich cierpienia.
Kilka chwil jeszcze — spełniona czara,
Spełniony czyn odkupienia,
I nowe niebo otworzy wiara.
Na twarz, narody, z pokłonem i śpiewem
Przed powtórnego odkupienia drzewem!
Z jego to szczytu rodzaj człowieczy,
Ukatowany dla świętej wiary,
Zmartwychpowstania rozwinie sztandary.
Nowem zbawieniem świat podobrorzeczy,[1]
Rykną wściekłością mocarze cieni,
Upadną prochem, na proch skruszeni.

Pieńcie się, króle, wściekajcie w obłędzie!
Wyście myśleli, że do boskiej sprawy
Przytknięte kary hańbiącej narzędzie
Zbrudzi ją plamą niesławy,
Piętnem jej zagłady będzie!...

Ośmnaście wieków temu,
Jak przed obliczem Salemu
Wzrosły trzy krzyże w podniebne krainy.
Zbrodniarze, waszych królów poprzednicy,
Winę, podobną do naszej winy,
Chcieli już wówczas wygładzić z ziemicy
I przed świat cały wywiesić zhańbioną.
Dwa więc łotry zawieszono,
A między nimi myśl Boga wcieloną,
Wolność i Równość — Chrystusa przybili.
A że objawienia dzieło
Jeszcze w świętem sercu czuli,
Więc jeszcze serce przekłuli,
Aby do szczętu ze krwią wypłynęło.
I klaskali, i bluźnili,
Jak w zupełnego tryumfu chwili.
A Chrystus, bolejący nad tem zaślepieniem,
Modlił się temi myślami:

[1]) Wyraz staropolski = pobłogosławi.

„Ojcze niebieski! Z serca twej miłości
Wziąłem ja ziarna wolności, równości
I pod mądrości twojej powiewem
Zasiałem w ludzkie umysły.
Już ich korzenie w głębie serc się wcisły,
Wkrótce objawią się drzewem
I dadzą nowe nasiona.
Spełnione moje posłanié.
Dziś, gdyby wszystkie zginęły plemiona,
Jeden, co żywy z ludzi pozostanie,
Byle miał czucie Boga i duszy,
Ten jeden przechowa zaród
Niebieskiego drzewa.
A ten obłąkany naród
Mniema, o Panie, że twój krzew zagłuszy,
Kiedy moją krew przelewa!
Dziś każdy człowiek jest Twoją świątynią —
Odpuść im, Panie! Nie wiedzą, co czynią!"
I krwi stygnącej resztką czarną
Pokropił niebieskie ziarno
I z ostatecznym życia wybuchem,
Gdy ogień oczu gasł w śmierci popiele,
Wstąpił w to ziarno boskim swym duchem
I w niem się zamknął, jak w anielskiem ciele.

Ośmnastu wieków zasłony
Gęsto zbrodniami, ćmami piekielnemi
Kryły niebieskie ziarno synom ziemi:
Odkryć je nasz wiek przeznaczony!
Upadli na wznak mocarze cieni,
Blaskiem świętego krzewu przerażeni.
Oni myśleli, że pierś Chrystusowa,
Zakrzepła śmiercią, wiecznym lodem ziębi
Boskie wolności i równości słowa —
A one, wieki przetrwawszy w serc głębi,
Weszły dziś naraz w całych ludów sercach!
Popłoch prześliznął tylko po mordercach:
Przyszli do zmysłów, a z nimi dni Chrysta.
Pojrzyjcie tylko: jak wielka ziemia,

Wszędzie podobne dawnym męczeństwa,
Prześladowania, piekieł szaleństwa —
Po całej ziemi płynie krew czysta
I w szubienicach boski płód rozplenia.
Bo ziemia święta ziemi grzesznicy
Przyjęła na siebie złóści:
Chrystus jawi się w ludzkości,
A krzyż nowy — w szubienicy.
Bo duch, co wiecznie ku Bogu płynie
I ku niebiosom ród ludzki zbliża,
Po wiekach, jakby po czasów drabinie,
Na szubienicę wstąpił dzisiaj z krzyża
I głosi ziemi wiarę objawioną,
Nową, z szatańskich zasłon zewleczoną.

Nowe nam dzisiaj odkryły się nieba,
Nowi ciemięzce, nowi męczeńce,
Nowe cierpienia, nowe nagród wieńce —
Nowego godła nowej wierze trzeba.
Trwaj ludzkości — męczennico!
Twoja przyszłość — ubóstwienie.
Tryumfuj, o Szubienico!
Przez ciebie świata zbawienie.
Jak krzyż Chrystusa, krwią poświęcony,
Z narzędzia kary wzniósł się nad korony,
Tak ty, obmyta ludów posoką,
Powleczesz trony wieczną pomroką.
O, rozwiń prędzej nad świat odnowiony
Zmartwychpowstania sztandary
I przyjmij ludów pokłony,
Siostro Krzyża nowej wiary!

UCZTA NA OBCZYŹNIE.

1.

Ucztujmy, bracia! Suty podwieczorek!
Mamy chleb, ser, jest i mléko.
Dla ludzi z mięsa wygląda to dziko —
Ale, kiedy pusty worek,

Kiedy się z nami kąskiem swym dzieli,
Kiedy się z nami weseli
Biedna szwajcarska rodzina —
Ser za pieczeń będziem mieli,
Pić będziem mleko na miejscu wina.

2.

Słuch w górę, bracia! Kogut Gallów śpiéwa...
Zapewne świta swoboda!...
Cha, cha! Krew Gallów dla Gallów — nie woda.
Ten śpiew do warsztatów wzywa.
Frank, frank tam dzisiaj sercem i głową...
Zresztą rocznicę Lipcową
Niech oświecą fajerwerkiem —
Mniejsza o Bastylję nową...
Hej, zdrowie Gallów — szwajcarskim serkiem!

3.

Cóż to! Od Niemców i dymy i wrzawa!...
Pewnie królów swych już młócą...
Cha, cha! To Kanty i Hegle się kłócą,
To w najlepsze wre rozprawa,
Który systemat Germanów skupi...
Niechaj bije się, kto głupi!
Z kufla bucha ten wrzask dziarski,
A ten dym z fajek się słupi!...
Zdrowie Germanów! Jedz ser szwajcarski!

1833 r.

MARZENIA WIĘŹNIA. [1]

Więźnia nie dosięgnie oko,
Bo w jego celi głąb cienia,
Skuta potrójnym łańcuchem
Drzewa, żelaza, kamienia;

[1]) Wiersz ten i dalszy „Do uwięzionych“ dotyczy uwięzionych przez policyę austryacką patryotów.

Więźnia nie dosłyszysz uchem,
Bo go podnieśli wysoko
Na rusztowaniu więzienia,
Bo głos jego okowany,
Jak ciało, w nieczułe ściany —
Ale czuciem, ale duchem
Złamiesz ten łańcuch ceglany.
Patrzaj, słuchaj duchem, czuciem:
Oko zapadłe, twarz blada,
Trup, szkielet — brząknął okuciem.
Powstał, przyszedł pod okienko,
Łzą przez kratę się wykrada,
Trzęsie wyciągniętą ręką:
„Wspomnijcie mnie, wspomóżcie mnie!
Źle mi tutaj"— tak mi tu źle,
Że wy tego nie pojmiecie
Na waszym tam białym świecie."
Ubiór zbrodniarza ciało drze,
Robak nędzy dzień i noc żre —
Głód i, gorsza niż głód, strawa,
Katują żołądek próżny...
O! przez męczenników prawa
Błagam was, bracia, jałmużny!
Polak, wszystko ja wytrzymam,
Co Polak wytrwać powinien:
Żadnej prośby do tych nie mam,
Przed któremi jestem winien,
Lecz cierpię — błagam, jak człowiek,
O to, czem mi naród dłużny,
O trochę polskiej jałmużny..."

. . . .

Łza nadziei spadła z powiek,
Ochłodziła pożar krwi.
Wzmógł się nadzieją: on wié,
Że nie własne drobne cele
Męczarnią więźnia płaci.

. . . .

Mało to, a jednak wiele
Dla twoich rodaków — braci.
Ten pan, bracie, zapominasz,

To twej ojczyzny luminarz:
On tak jasny w oczach rządu,
Że niech tylko wsparciem jakiem
Zetknie się z tobą, biedakiem,
A natychmiast plama trądu
Może paść na plemię sławy
I skłócić go z dworem wiecznie.
Niebezpiecznie, niedorzecznie
Mieszać się jasnym w te sprawy:
Zresztą dwuznaczna to sprawa.
Mówią, że to coś zakrawa
Na bunty tłumów włościańskich,
Na zgubę majątków pańskich.
Ten znów ulżył-by twej doli,
Ale przemysł go niewoli
Oszczędzać swojej sakiewki;
Innemu, jak na toż, braknie
Na nakład około roli —
Tamten wciąż pragnie i łaknie —
Temu codzień trzeba dziewki —
Ten zaledwo ma na karty —
Ten znowu na miejscu datku
Hojnie cię opatrzy w żarty
Z egzaltacyi...
A w ostatku
Tak przeklęcie tych turm strzegą,
Że i myśli nie każdego
Aż do ich wnętrza dobiegą.

Więzień, jak czeka, — tak czeka.
A dzień przez firanki drzewa
Ledwie tak mętnie przecieka,
Jak woda z kałuży trzewa —
A ściana wciąż go oziéwa
Zbójczą, niszczącą wilgocią,
Z gadu owego dobrocią,
Który łup swój łzą obmywa,
Kiedy go w sztuki rozrywa.
Nędza rośnie, ciało słabnie —
Nadzieja spółczucia braci

Świeci coraz mnie powabnie —
W coraz wietrzniejszej postaci —
Nie przybywa wsparcie żadne.

Bracia znać nie usłyszeli,
Ale kobiety, anieli,
Polki, tak tkliwe, jak ładne,
Dzielne, istne bohaterki:
Dla ich dusz dosyć iskierki,
Ażeby ogniem buchnęły,
Choćby same w nim spłonęły,
Gdy idzie o szlachetny czyn,
Gdy cierpi prawy Polski syn.

Patrzę, słucham duchem, czuciem —
Więzień się podniósł: twarz blada,
Wzrok zgasły; brząknął okuciem,
Ręce ku oknu rozkłada,
I woła boleśnie z pod krat:
„Polki, siostry, spomnijcie mnie!
Ratujcie mnie! Tak długo mrę!
Za cóż-em tak opuszczony?
Kochanki, matki i żony,
Jam także syn, kochanek, brat —
Rodaczki, a jaż rodak wam!
Co mnie dacie, to może dam
I ja kiedyś waszym drogim.
Błagam was Polaka głosem,
Uratujcie mię przed srogim
Samotnego skonu losem!
Zobaczcie we własnem czuciu
Całą okropność mej doli:
Więdnąć, gnić, niknąć w okuciu
Nieznacznie, skrycie, powoli,
A na końcu zgasnąć z nędzy!
O — sto śmierci jawnych prędzéj!
Lepiej najhaniebniej zginąć,
Byle przed ludem, przed słońcem,
Byle duchem się rozpłynąć
Pomiędzy świadków tysiącem.“ —

I ot — przed łzawe spojrzenie
Wypływa jasne widzenie,
Kobiety-Polki ułuda —
I zaczyna swoje cuda.
Tysiąc ócz błysnęło łzami,
A wszystkie dla więźnia były;
Tysiąc ustek się paliły
Wrzących uczuć płomieniami,
Wszystkie za więźniem mówiły;
Tysiąc wypieszczonych rączek
W żebrzące ręce się mienią,
Mroki więzienia promienią
Deszczem zausznic, obrączek,
Łańcuszków, pereł, brylantów,
Gradem i śniegiem monety,
To kurantów, to wolantów, —
Wszystko to dziełem kobiety
I wszystko dla polepszenia
Losu ofiary więzienia...
. . . .
Przyjdzie, więźniu, kres twej biedy,
Przyjdzie pewno! Kiedyż? Wtedy,
Gdy siostry-Polki zapomną
Kobiecego abecadła,
Gdy zapomną u zwierciadła
Gniewać się na suknię skromną,
Gdy w ich oczach pieniądz złoty
Straci wszystkie swe przymioty,
Gdy tańczyć nie zechcą nogi,
Język w salonie szczebiotać,
A serce i głowa trzpiotać,
Gdy im zbrzydną Polski wrogi,
Aż się im twój cień objawi
Na posiedzeniu samotném
Z przedmiotem serca zalotnym —
Aż krwią twego serca skrwawi
Ich herbaty tańcujące,
Aż przemówi przez jęczące
Dzieci, co im konać będą —
A więc, gdy ciebie samego

Robaki śmierci obsiędą,
Wtedy kres cierpienia twego!
Oneż przecie takie czułe! —
Tak! Gdy mąż zamknie szkatułę
I modnej sukni nie mają —
Ach, a one tak pałają...!
Czem? Do kogo? Na salonie,
Gdy tancerz ściska za dłonie.
Ktoż przecię w ostatniej wojnie
Opatrywał nas tak hojnie
Szarpiami, chorągiewkami,
Galicyjskimi hrabiami
I innemi gałgankami?
Któż, jeżeli nie kobiéty?
Tak, dla chwalącej gazety!
Lekkie było poświęcenie,
Póki narodowa chwała
Na wyścigi im śpiewała,
Dopóki pyszne marzenie:
Ujrzyć na lubych ramionach
Szlify najmniej jenerała,
Topiło w łudzących tonach
Szepty słabości niewieściéj.
Gdzież się ten heroizm podział,
Kiedy los ojczyznę odział,
Jak kirem, dniami boleści,
Grobowej ciszy i strachu —
Kiedy na zwaliskach gmachu,
Gdzie miały w odach pochwalnych
Czarodziejsko jaśnieć kwitki
Na datki, na poświęcenia
Dla owej biednej ojczyzny,
W miejscu łuków tryumfalnych
Stanęły ciemne więzienia,
Szubienice, lub kibitki,
A kochankom tylko blizny?...

One z ogniem! Wielki Boże!
A ta, z ogniem, ledwo może
Objąć tym pożarem łona

(Oprócz siebie, gdzie jest cała
Rzeczywiście zatopiona)
Kochanka, czasami męża,
Rodziców, że część ich ciała —
Dzieci, że im swego dała
Kilku naraz, kiedy małe:
Na rodzinę już wytęża
Resztkę czucia — przez hołd modzie
Kocha się niby w narodzie,
A jeżeli ceni chwałę...

„Ten twój obraz jest ohydny“ —
Rycerze wdzięków zakrzyczą.
„Cóż ci winien ten ród biédny,
Że z takiej żółci goryczą
Pastwisz się, a przez potwarze
Nad tem szlachetnem pogłowiem
Depcesz kwiat Polski — kobiéty!“
Na to nic im nie odpowiem,
Tylko wskażę Karmelity,
Tylko ich więźniów im wskażę.

Bracia, siostry, współziomkowie!
Niech świat obcy, niech świat cały
Wyśpiewuje wam pochwały —
Więzień szyderstwem odpowie.
Mój byt dzisiejszy jest próbą
Na polskie uczucia wasze;
Każde światło ja zagaszę,
Które wam zapłonie chlubą.
Nie brzękiem skarżącej mowy,
Lecz widmem larwy grobowej,
Lecz ofiarą, w szpony kata
Rzuconą przez sąd Piłata,
Wpadnę w aureole wasze!
. . . .
I ziemia oklask swój wstrzyma,
Bo gaśnie przed jej oczyma
Wielkość, gdzie słabości niéma.
Bo nie kupisz jej uczczenia

Za najświetniejsze spomnienia,
Zatarte obecnem, płaskiem.
Ludzkość mądra: nie nazywa
Iskier, które popiół skrywa,
Żyjącego ognia blaskiem!

1833.

DO BRACI POLAKÓW.

Nasze stoły lśnią wytworem,
Drogi w naszych szkłach napitek;
Jak w południe, tak wieczorem,
Nasze ciała tuczy zbytek —
A najlepsi w naszym rodzie
Po więzieniach schną o głodzie.
Biada nam, że dziś tyjemy!
Kiedyś ciężko odpościemy!

Miękka nasza jest łożnica:
Strzegą jej komnaty cisze,
Rozkochanych ócz dziewica
Nieprzerwane sny kołysze —
A najlepsi w naszym domie
Po więzieniach drżą na słomie.
Biada śpiącym na los braci!
Kiedyś wam pościelą kaci!

My chodzimy wystrojeni,
Zagraniczną świecim szatą,
Lśni dyjament od pierścieni...
Nam wygodnie w zimę, w lato —
A najlepsi między nami
Ustrojeni kajdanami.
Biada wam, gdy w mody zmianie
Stryczek zacznie panowanie!

Dla nas świat dzisiejszy cacko,
Jak ojczyzny czułe rymy;
Dla nas życie jest przechadzką,
My się śmiejem, my tańczymy —
A najlepsi za rodziną
Pod knutami jęczą, giną!

Biada wam, gdy pod tem graniem
Kiedyś i my w taniec staniem!
My liczbami rozmierzamy
Młodej ziemi uniesienie, —
My szaleństwem nazywamy
Śmierć, co niszczy poświęcenie —
A najlepsi wśród rodzeństwa
Liczą chwile przez męczeństwa.
Biada wam, gdy owe szały
Wioną kiedyś na świat cały!...

DO UWIĘZIONYCH.

Ilekroć, bracia, dumać o was pocznę,
Tyle się razy całe wnętrze moje
Zmienia w więzienie posępne i mroczne,
A myśl w mar waszych rozradza się roje.

I żyję śród was i cierpię wraz z wami —
I wciąż was widzę, męczeńskie ofiary,
Z waszemi ciała i ducha mękami,
Dzień i noc wobec cesarskiej poczwary.[1]

A larwa wiecznie okiem sowy czuwa,
Sępi szpon ostrzy i wiecznie nim grozi:
Sen płoszy, pokarm jadem swym zatruwa,
W piersiach dech dławi, a w sercu krew mrozi.

Lecz w duszach waszych widzę ja anioła,
Co was zasila śród więzień zgnilizny:
Widzę ja gwiazdkę w ćmach waszego czoła,
Co wam przyświeca — przyszłością ojczyzny.

Strzeżcie jej, strzeżcie — bo dziś na tej ziemi
Pustynia dla was, jak w próżni więzienia,
Jakbyście między tysiącami temi
Nie zostawili nawet i spomnienia!

---

[1]) Aluzya do herbu państwowego ze znakiem orła.

Ockną się czasem wasi krwią pokrewni,
Wasi znajomi i bracia ziomkowie —
Czasem ich wasze spomnienie rozrzewni,
Lecz, jak brzęk słowa — i mija w czczem słowie.

A inni? — Raczą mówić o was częściej,
Nie, żeby duszą ogrzać was braterską,
Ale, jak wszystko, co się nie poszczęści,
Zabić swą klątwą, lub opluć szydersko.

O, stokroć razy lepiejby im było
W nieprzebudzoną zapaść odrętwiałość!
Więc im przebaczcie — i własnych dusz siłą
Piastujcie w sobie męczeńską wytrwałość.

Nie odda przyszłość za całe ich życie,
Za ich rozsądki, za wszystkie ich sławy
Jednej godziny, którą przecierpicie
W polskiem wytrwaniu, dla ojczystej sprawy!

Nie odda przyszłość jednej takiej chwili
Za ich byt cały w swobodzie, w dostatku,
Choćby na wagę żony swe rzucili,
Choćby swe dzieci rzucili w dodatku!

Ta chwila święta polskiego męczeńca,
Gdy w grobie Polski wytrwa za swój naród,
To narodowy klejnot z wieków wieńca,
To wiekowego życia Polski zaród.

Galicya, 1834 r.

DO LUDU MOSKIEWSKIEGO.

Kiedy ludu mego gniew,
Za cierpienia, za męczeństwo,
Za wiekowy płacz, za krew
Szle wam wciąż swoje przekleństwo —
Kiedy głos ludzkości sam
Miota swe obelgi wam,

Lub urąganiem szyderskiem
Spodlenie wasze biczuje,
Mszcząc się za praw swych zniewagę —
Ja, Polak, ja mam odwagę,
Ja, człowiek, powinność czuję
Przemówić słowem braterskiem.

O, przeklęty czarci ród
Waszych panów, waszych carów,
Że zbydlęcił taki lud!
Jakich-że to siłą czarów
Ten zesłaniec piekła mógł,
Gdy mu wrogiem człek i Bóg,
Przetworzyć w ślepe morderce,
W martwy knut dla bliźnich wolnych
Ludzi, wolnymi być zdolnych,
Zmienić w śmiertelnego wroga
Sprawy ludów, sprawy Boga —
Lud, co ma wiarę i serce?
Czemże nagradza was on?
Pokażcie, coście zyskali
Za tylu narodów skon,
Za tyle ofiar z Moskali?
Czy w obecnych dziejach cześć?
Czy z przeszłości chlubną wieść?
Może wasza Moskwa stara
W szczęście większe dziś opływa? —
Na to z podziemia wnętrzności
Męczeńców waszej wolności
Szyderczy głos się odzywa:
— „Zostaliśmy psami cara.“ —

Synu Moskwy, zbudź się, zbudź!
Pókiś ty siepaczem kata —
W prawem sercu krewnych czuć,
W człowieku nie znajdziesz brata;
Na twej skroni larwę miej,
Bo piętno, bo napis jej:
„Pies carski“ — cały świat widzi.
Nie wchodź do uczciwych koła,

Nie podnoś dumnego czoła,
Bo oto lada godzina
Może trysnąć wzgardy ślina
I twą bezczelność zawstydzi.

Nie chlub się ojczyzną twą,
Jej wielkością, bojów chwałą,
Lub poetów twoich czcią:
Pierwszy słuchacz krzyknieć śmiało:
— „Stój, bezczelny chwalco, stój!
Twa ojczyzna — to Car twój!
Wielkość twojego narodu
Jest na miarę carskiej pięty!
Wasze dusze bohatérskie,
To w zaprzęgu psy sybirskie,
Którym pan ich dla zachęty
Kawał ścierwa wiesza z przodu!

— „A poetów waszych duch
Ledwo wzlata tak wysoko,
Jak wysoko carski słuch,
Jak wysoko carskie oko.
Pieśni ich — pochlebstwa dym!
U nóg carskich pełzać im!“ —
Chwalny hymn późnej ludzkości,
Byt duchowy w szczęściu ziomków,
Błogosławieństwo potomków —
To cel wielkiego człowieka,
To szlachetne ludy czeka!
Dla was niema tej przyszłości.

Myśl o was, jak trupią woń,
Będą odganiać potomni;
Spuszczą zapłonioną skroń,
Ile razy was kto spomni:
— „My nie mieli przodków, nie!“ —
Rzekną, kryjąc wstydu łzę.
Jak z serca śmiertelne grzechy,
Wydrą wiek wasz z dziejów ziemi —
Z przekleństwami bluźnierczemi

Zwalą waszych grobów głazy —
Zniszczą je, jak ślad zarazy,
Jak zbrodni, jak hańby cechy.

A gdy wznijdzie wielki dzień
Szczęścia ludów, ich swobody,
Gdy w jeden ludzkości pień
Zwiążą się wszystkie narody,
A kto zechce weń się wpléść,
Musi mieć świadectwa liść,
Jak walczył z powszechnym wrogiem,
By wywalczył szczęście wszystkim —
Wy jedni staniecie z listkiem,
Na którym palec niebieski
Krwią wypiekł: — „To lud moskiewski!
Knut jego wiarą, car Bogiem." —

Zbudź się, synu Moskwy, zbudź!
Piętno siepacza zmyj z czoła,
Barwę kata z duszy zrzuć,
Wejdź do wolnych ludów koła —
Albo rzeknie przyszły czas
Palcem wytykając was:
— „Oto naród — ludów śmiecie!
W swych wiekach żył tylko chwilę —
Na męczeńców swych mogile
Ubóstwił swojego kata —
Jego sława — potrzask bata,
Podła zbrodnia — jego życie." —

Listopad 1834 r.

MARA OJCZYZNY.

Jakże ja czuję tę chwilę!
Ach, ja w tej chwili pół życia przeżyję.
Jak łaskotanie lekkiego całuska,
Jak uścisk, z lekka rzucony na szyję,
Tak lekko, tak lubo, tak mile,
Wieczorny powiew przy ustach się wije,
Włos rozwiewa, czoło muska.

Tu światła wiejskiej biesiadki,
A tam za liściem pełna twarz księżyca,
Jak igrająca ogniami krynica,
Blask swój przelewa i z poza drzew siatki
To perły, to blaszki, to kwiatki
Po ciemnej darni kobiercu rozprasza —
Tu zapala, tu przygasza.

A tu w czarodziejski wieniec
Wiąże się uczta przed myślą spojoną;
Pięknych ócz ogień, świeżych ust rumieniec,
Dobrych serc urok, wdzięk wiejskiej swobody
I nęcą i kwitną i płoną —
Jakże uroczy ten wieczór pogody!
Jak lube to drobne grono!

Światłem, dźwiękiem i kadzidłem
Spłynęły zmysły — już, już z ich powodzi
Rzadki gość serca, anioł szczęścia wschodzi,
I w tejże chwili lodem skrzepły w łonie
I jasność i dźwięki i wonie, —
Anioł poczerniał, skrył się zgasłem skrzydłem
I padł na twarz przed straszydłem.

Ach, to ona! Znów ona, blada,
Z martwą źrenicą, we krwi świeżej blizny!
Szczęście do piersi — ona za niem wpada,
Staje posępna, wznosi groźne pięście —
A uśmiech, a radość, a szczęście
Gasną, czarnieją, jak zmarłe z trucizny!
To duch zabitej ojczyzny!

1834

MUZYKA WOJSKOWA.

Zachodni obłok już słońce ogarnia —
Dnia gasnącego ostatni płomyczek,
Pozaczepiany u Maryi wieżyczek,[1]

[1]) Wieża Maryacka w Krakowie.

Połyska jeszcze, jak morska latarnia,
Jak flaga blasku przed ciemności nawą,
Na której wieczór młodzieńczego maja
Żegluje w przystań Krakowskiego grodu.
Pas topolowy i cienia i chłodu, [1])
Co serce miasta dokoła ogaja,
Roi się ludem, wre swobodną wrzawą;
Słychać przegrywek do pieśni dziękczynnej
Dla wiosny polskiej, dla wiosny rodzinnej,
Że przez jej twórcze, dobroczynne dziwy
Na nowo polskie zmartwychwstają niwy.
I oto naraz zabrzmiała pieśń pełna,
I pod tą polską, wojenną muzyką
Lud się poruszył, jak morskich wód wełna: [2])
Otwarte jego lice zapałało
Życiem pół-polskiem, radością pół-dziką,
I wnet wir tańca porwał rzeszę całą...
Ciesz się, motłochu!
A z boków obrazu,
Jak ogrodowe posągi z głazu,
Stoi tłum inny, tłum w szatach świetnych.
Jego lic radość ludu nie kala:
Niemy, pół-skryty, trzyma się zdala.
To motłoch drugi, motłoch szlachetnych.
Ucichło granie, bębny zawrzały —
I, jakby jedna bojowa dusza
Weszła w tłum cały, pchnęła tłum cały...
Tłum cały krokiem bojowym rusza —

Jak się tu oprzeć tej żywej fali?
Porwany wspomnień i przeczuć szałem,
Sercem i nogą jej się poddałem;
Płynąłem z tłumem duszą i ciałem —
Panowie w miejscu zostali.

Do mnie, tu, bracie kowalu!
Do mnie tu, bracie góralu!

---

[1]) Planty krakowskie.
[2]) Wełna (ros. wołna) = fala.

Do mnie tu, barki żelazne,
Serca wiary, boju pięście,
Oblicza, surowe cnotą,
Biednem odzieniem hołoto,
Przeszła wielkość, przyszłe szczęście!
Do mnie tu, ludu serdeczny!
Ja brat tobie, ja twój wieczny!
Stańmy o, tak, bok przy boku,
Idźmy, o tak, krok do kroku —
Tylko razem, tylko zgodnie,
A, gdzie nam trzeba, zajdziem niezawodnie!
Panowie niech sobie stoją —
Panowie z nami zmięszać się boją;
Oni się wstydzą zmięszać się z nami,
Ich suknie krwawy pot ludu plami.
Ten okrzyk ludu, bijący ku niebu,
Skamieniałemu ich sercu nieluby;
Oni w nim słyszą hasło swojej zguby,
Niby podzwonne swojego pogrzebu.
Chodźmy więc sami, własną mocni siłą!
Cztery lat temu, kilkuset nas było,
Co z taką wiarą, z taką bębna wrzawą
I takim krokiem poszliśmy tak żwawo, —
I wiele, wiele w świecie się zmieniło.
Tylko tłum ludu, tylko tłum dzieci
Leciał za nami, jak dzisiaj leci;
Panowie wówczas, jak w tej oto chwili,
Oczy i kroki od nas odwrócili —
I dzisiaj — stoją, jak wtedy stali.
My — idziemy dalej.

Kraków, 1. Maja 1835 r.

PÓŁNOC KRAKOWSKA.

Swobodnie buja skrzydło nawalnicy,
Swobodnie, jakby po bezludnym stepie,
Śród gmachów, niegdyś stołecznego, grodu.
Powietrze, ciężkie więzami narodu,
Ciężko zaległo w całunowej krepie
Piersi, tak wolnej przez wieki, stolicy.

Zegar Wawelu gra czasu muzyką;
Dźwiękami jego wicher mąci dziko:
Niejeden skona, nim ucha doleci!
Lecz aż do duszy przeniknął dwunasty —
I oto przeszłość powstała i leci
Przed oczy ducha obłokiem zamieci.
Rycerze, króle, niewiasty,
W dziwnych, staroczesnych strojach,
Ze swoją przeszłością całą,
Lodem grobu skamieniałą,
Suną się, roje po rojach:
Rycerze, niewiasty,
Brodacze, dzieci —
Wszystko wirem się toczy
Poprzed ducha oczy.
Tu król koroną zaświeci,
Tam gwizdnie hufiec husarzów skrzydlasty
Tu wpółrozkwitła spłonie twarz dziewicy,
Tu groźne oko iskrzy z pod przyłbicy,
Tu sejmujące koło się przetoczy,
Tu trefniś bije w dzwonki i chychoce,
A każdy groźnie zaglądnie mi w oczy,
Zagwiżdże w uszy to groźnie, to smutno
I rozpłynie się w pomroce
Parą bałamutną.

Zmora przeszłości, zmora to przeszłości
Schwyciła serce, zaległa duszę!...
Tortury strachu, hańby katusze
Na koło bolu wzięły wnętrzności,
Porwały myśli w koło cierpienia —
I udręczone myśli nie wytrwały:
Spotniały krwawo i z ócz się polały
Łzą niepowszednią, trudną, jak z kamienia.
Rzewną, bolącą, jak z głębi sumienia.

Płacz, płacz, duszo!
W kolebce, co przez wieków tyle
Huśtała życie tylu miljonów,

Nad którą czasy Piastów, Jagiellonów,
Jak południowe paliły się chwile;
W dziedzinie ojców, na łonie grodu,
Gdzie blask i szczęście polskiego rodu
Z upodobaniem odpoczywały,
Jako orły na piersiach ulubionej skały;
U ogniska, z którego tyle się roiło
Życia, światła, ruchu, wrzawy —
Wlec dni tak ciemne, jak pod mogiłą,
Dziedzicowi owej sławy,
Owego życia, owej swobody
Kryć się w podziemiach własnej zagrody,
I wszędzie widzieć pęta niewoli,
Patrzeć na tryumf przywłaszczycieli!...

Płacz, duszo moja, bez wstydu, do woli!
Polak we własnej ojczyznie tułaczem!
Płacz, duszo moja, tem rzewniejszym płaczem
Że cały naród los ten ze mną dzieli.

Kraków, 24. Luty 1835 r.

PIEŚŃ WIARY.

Mało nas, bracia — nieliczny nasz chór,
Ale wielka w nas potęga,
Bo myśl ludu olbrzymiego,
Bo olbrzymia dusza jego
Nasze dusze w jedno sprzęga,
Dusze i ciała sprzęga w boży mur.

Mało nas, bracia — nieliczny nasz chór,
A wokoło wrogów matnia —
Ale wola zła z niezgodą
Ich bezładne szyki wiodą —
Ich sztandarem krzywda bratnia:
Skruszą się o nas, jak o twierdzy mur!

Mało nas, bracia — nieliczny nasz chór,
Ale zewsząd brzmią nam głosy:

„Wy jesteście milionami,
Miłość milionów z wami,
Wasz cios milionów ciosy,
Pierś milionów waszym piersiom mur!“

Mało nas, bracia — nieliczny nasz chór,
Ale naszej myśli rano
Dniem, jak świat, ogromnym pała:
Ludzkość cała, przyszłość cała
Naszem się dziedzictwem staną!
Nasz wzór dla wszystkich wieków ziemi wzór!

1839.

CZEŚĆ POŚMIERTNĄ SZYMONOWI KONARSKIEMU. [1])

Aniele Polski — co robisz śród cieni,
Gdy śmierć snu leży na całem już Wilnie?
Co się wpatrujesz tak długo, tak pilnie
W tę krew, co bruki wileńskie czerwieni?
Ból ciężki jasne twoje skrzydła zwinął,
Stopy ku ziemi przytwierdził ołowiem,
Łzą promienistą źrenice zapłynął —
W końcu jęk głuchy rozległ się pustkowiem
Ulic milczących: tu upadł grom cara!
I jeszcze jedna dla Polski ofiara!

Bracie Konarski! Tobie się dostało
Paść tą ofiarą błagalną za braci:
Ciebie swym ciosem dosięgli jej kaci.
Skonałeś za kraj — upadło twe ciało,
Lecz tylko ciało: duch wzbił się nad ziemię —
Aż w świecie wyższym, bliższym Boga, stanie,
Gdzie szlachetniejszej pracy weźmiesz brzemię,
W bardziej niebieskie wejdziesz powołanie,

[1]) Szymon Konarski, schwytany na Litwie śród roboty, przygotowującej nowe powstanie, rozstrzelany był w Wilnie 12 marca 1839 r. Emigranci, znajdujący się w Sztrasburgu, urządzili obchód na cześć rozstrzelanego — obchód ten miał miejsce 2 kwietnia tegoż roku, a autor przyłożył się do niego odczytaniem stosownego wiersza. *(P.P.)*

Skąd będziesz jaśniał w promienistszej szacie
Nad twoją Polską! Cześć, cześć tobie, bracie

Cóż stąd, że mało łez na twoim grobie,
Że zbójczym strzałem mało serc zadrżało?
Cóż ci to szkodzi, że bratnich serc mało
Żegna twą duszę bolesnem: — „Cześć tobie?“
Ty pracowałeś nie na dźwięk przelotny,
Twe serce biło nie tłumnych rąk biciem:
Po ciemnej drodze poszedłeś samotny
I własnem, skromnem nakryłeś się życiem:
Dziś się uśmiechasz nad tych zaślepieniem,
Co cię chcą splamić losów przewinieniem.

Wiecznie warczenie bluźnierstwa wtórzyło
Pieśniom wielbiącym nadziemskie zapały;
Niech bluźnią! — Anioł narodowej chwały
Nie przejdzie niemy nad twoją mogiłą;
Chwilę twej śmierci, jak pomnik, poświęci —
Zawiesi na nim, jak wieniec, te słowa:
„On za lud umarł. Cześć jego pamięci“.
Wdzięczny lud wiecznie w sercu je przechowa
Będą je zdawać swoim wnukom dziady,
A czyste dusze będą iść w twe ślady.

Sztrasburg, 2. Kwietnia 1839 r.

OBCHÓD DOROCZNY 29. LISTOPADA.[1]

Witam was, bracia — a witam boleścią,
Bo cień ojczyzny pośrodek nas wkroczył
I świat grobowy dokoła roztoczył.
Ta cisza jęczy jej cierpień powieścią;

W tym blasku dniowym widzę jasność smętną,
Jak jasność lampy, co oświeca groby;
Na wszystkich duszach widzę kir żałoby,
Na wszystkich czołach męczenników piętno.

[1]) Wiersz pod tym napisem czytany był na zebraniu, którem Towarzystwo Demokratyczne czciło doroczną pamiątką powstanie Listopadowe. *(P. P.)*

A dalej, dalej, jak za bożym światem,
Rodzinna ziemia biedna, opuszczona
Nurza się, tonie w krwi własnego łona,
Drga w każdym członku pod zbestwionym katem

A my, do losu naszego przykuci,
Musimy słuchać i patrzeć bezwładnie,
Aż jęk ostatni z jej piersi wypadnie,
Aż wysileniem ostatniem się rzuci,

Aż pieśń zwycięską jej zbójca zanuci!
Wszystko to widzieć musimy i słyszeć,
I tylko zemstą tak nieczynną dyszeć,
Jak my bezsilni, losem naszym skuci.

Ciężki to smutek — o, nad biady biada,
W obliczu złego tak zostać bez mocy,
Bez żadnej gwiazdy zostać w takiej nocy!
Tu upaść duszy!... A jednak nie pada,

Bo mamy serca, a w nich miłość mamy.
Dopóki tu drga, dopóki tu gore,
Tę śmierć narodu miejmy za snu zmorę,
A te ciemności za dnia jego plamy.

Tu życie nasze. Jak w Boga iskierce
Słońca bez liku żyją, jak w nasieniu, —
Tak leżą w naszej miłości płomieniu
Ziarna przyszłości: żyjem dziś przez serce.

W niem apostolstwo, w niem jest język ludu
Przezeń jest mądrym najmniej umiejętny,
Pojmie go każdy, choć najmniej pojętny,
A słowo serca stanie zamiast cudu.

Tu siła nasza — tu się tylko iści
Tajnia poświęceń — tu tylko czujemy
Radość anielską, kiedy się palemy
I wypalamy dla bliźnich korzyści.

Tu wszystko nasze. Żywmyż w naszem łonie
Te święte iskry, piastujmy je święcie:
Wszystko, co obce, co jest im na wstręcie,
Niech ustawiczną ofiarą w nich płonie —

A żar ten z czasem w płomień się rozmoże,
Zbliżonych piersi zapory odwali,
Serc miliony w jeden stos rozpali,
Powionie przez świat, jako tchnienie boże,

Ognistych deszczów przechyli się czarą,
Zasypie wroga zniszczenia perzyną
I stanie słońcem nad Polski dziedziną!
Żegnam was, bracia, miłością i wiarą.

Paryż 1841 r.

POSŁANIE UKRAINCE.

Ukrainko, wdzięczność tobie,
Wdzięczność dla twojej piosenki!
Jak żebym w kochanym grobie
Znajome posłyszał jęki...

Ale bolesna pieśń twoja:
Jest ona więźnia jęczeniem.
A więc, Ukrainko moja,
Odśpiewam ci pocieszeniem.

Jak to ciężko, kogo pchnięto
Więdnąć między obcą rzeszą,
Komu od serca odjęto
Wszystko, czem się ludzie cieszą!

Jak to miło, komu wiara
Tyle napoju udzieli,
Że ze wspólnego puhara
I bliźniego rozweseli!

Paryż 1839.

ROZPACZ POLKI.

DUMA.

Noc świat odziała, gwiazdy nie świécą
Płynie wiatrami tuman wilgotny,
W polu, przy drodze tkwi krzyż samotny,
Stoi pod krzyżem młodzian z dziewicą.

Konik młodzieńca na bój poryża, [1])
Serce młodzieńca na bój kołacze,
Łzami cichemi dziewczyna płacze,
Cichą boleścią żegna żołniérza:

— „Żegnam cię, luby! Jedź już, jedź sobie.
Ten krzyż, co dzisiaj nas błogosławi,
W każdej mi chwili twój los objawi.
Jeśli ty zginiesz, ja wiem, co zrobię.“ —

I wsteczną drogą znikli oboje —
Tylko krzyż został sam i milczący,
Wznosząc, jak ojciec błogosławiący,
Ściągnięte ku nim ramiona swoje.

Noc świat odziała, gwiazdy nie świecą,
Płynie wiatrami tuman witgotny —
W polu, przy drodze tkwi krzyż samotny,
Widać pod krzyżem postać kobiecą.

— „Droga bezludna, chaty dalekie,
Pustka wokoło, wokoło głusza;
Tak pusta, głucha i moja dusza —
Przyjmij mię, krzyżu, w twoją opiekę.

— „Jam taka sama! — Z owym wieczorem,
Kiedy się życie nasze rozdarło,
Wszystko mi na tym świecie umarło:
Całemu światu jestem upiorem.

---

[1]) Swobodna analogia do „porykiwać“, sformowana z czasownika „rżeć“.

— „Sen mię porzucił, mroczy się głowa,
Dusza, jak puszcza, co granic nie ma:
Nic nie urodzi, nic nie zatrzyma,
Lub, jak do grobu, wszystko pochowa.

— „W próżne me serce czy boleść jęknie,
Czy śmiech wesela zabrzmi uciechą —
Takie im dzikie odpowie echo,
Że swojej pustki samo się zlęknie.

— „Wszystko mię smuci, wszystko mię nuży:
Niebo i ziemia — cichość i wrzawa;
Wszystko i zewsząd mówić się zdawa:
Ty taka sama, a świat tak duży!

— „Równie samotny, równie cierpiący,
Chryste, ty widzisz, jak mój duch boli;
Zlituj się, Chryste, mojej niedoli!
Strumień łez moich taki gorący!“ —

Twarz Boska inne rysy przybrała —
Czarną krew sączy głowa strzaskana,
Czarną krew sączy śród piersi rana —
To twarz i postać lubego cała.

— „To on! — krzyknęła — A więc już zginął!
Dzięki ci, Chryste! Teraz ja zrobię,
Com ślubowała w rozstania dobie!“
Poszła — i ślad jej nocą zapłynął.

Mrocznych wieczorów przeszło niemało, —
Pod krzyż nie idzie nikt pokryjomu;
Dziewica znikła z rodziców domu,
Chrystus wie tylko, co się z nią stało.

Klęska zamknęła Polaków boje,
Polski potęga w świat rozpryskała —
Z ranami w duszy, z ranami ciała
Szli dwaj żołnierze w zagrody swoje.

Noc się spuszczała, gwiazdy nie świecą,
Płynie wiatrami tuman wilgotny —
W polu przy drodze tkwi krzyż samotny,
Pod krzyżem widać postać kobiecą.

Sparła na krzyżu strzaskane ciemię,
Białą sukienkę barwi krew skroni:
Wędrowcy chcieli przemówić do niéj,
Postać pierzchnęła, poszła, jak w ziemię.

Był to duch tylko, szata niebianek —
Ciała jej szukaj na bitwy polu.
Tak Polce kończyć w serdecznym bolu,
Gdy za ojczyznę ginie kochanek.

Rok 1837.

CZARNE NATCHNIENIE.

Spłynęła przecię zgraja natrętna.
Jej gwar — muł wody, co zleciała z tam —
Wirem przepada w głębinach ucha —
Za chwilkę cisza czyści się mętna
I głucho wokrąg, jak przejście ducha;
Przecię sam jestem i spokojność mam.

Teraz mi zaświeć, duchowe słońce:
Gwiazdo natchnienia, czekam ciebie, wznidź!
W przepaściach ducha, na ducha niebie
Rajskich, piekielnych istot tysiące,
Martwe, bezbarwe czekają ciebie,
Ażeby mogły zmartwychwstać i żyć.

Tu, tu niech padnie pierwszy twój promień,
Gdzie trup ojczyzny, gdzie mogiła jej;
Czarny jej całun, a sen głęboki;
Nagrobnej lampy zbudź najprzód płomień,
Rzuć barwę życia na blade zwłoki,
W martwą ojczyznę życie najprzód wlej!

Wszak tyle razy, myśli natchniona,
Zmieniła ziemię iskry twojej moc!

Tam, gdzie się krocie wieków ugięło,
Tobie dość było jednego łona;
Zaświeć, a wieków spełnimy dzieło —
Zaświeć, a pierzchnie ludu mego noc!

Polska powstanie! Otóż i promień,
Otóż i słońca zupełny już krąg!
Z wielkiego grobu zdjął cienia larwę,
W nagrobnej lampie obudził płomień,
W umarłe zwłoki wlał życia barwę,
Poruszył pracą miliony rąk.

Polska żyć będzie! Żyć! — A dokoła
Patrz, jakie larwy otoczyły ją:
Tu pieszczotami dławiące głupstwo,
Tu żmija dumy złotego czoła,
Z trującem sercem tu samolubstwo —
A wszystkie, zjadłe, targają i żrą

Ciała i ducha zdrowe ostatki,
Krokodylemi dobijając łzy.
Precz, precz z mej duszy, czarne natchnienie!
Cofnij twe światło z grobu mej matki;
Piekielne za niem wloką się cienie —
Ty duch zniszczenia — precz, aniele zły!

1834.

ZASŁONA ODDALENIA.

Krąg słońca do snu się toczy;
Ostatni blask jego uroczy,
Jak te pomiędzy strunami
Cichnącemi dźwięcznie echa,
Ubarwionemi chmurkami
Oku świata się uśmiecha.
Rodzina wzgórzów, w półkole
Na wschodnie niebo spuszczona,
Jak wielka wschodu osłona;
Tu wstęgą rozwija pole,
Tu szyby wieśniaczej złotem

Błyska, jak drogim klejnotem —
Tam doły, półcieniem skryte,
Tam ciemniej barwione laski
Rzuca w tysiączne obrazki,
Jak ręką sztuki uszyte;
Gdzieniegdzie na szczycie wzgórza
Samotna gęstwina drzewek,
Których pnie toną dla oczu
W czystej oddali przeźroczu.
Ledwie tło niebios przychmurza —
Jak obłoczek, jak wyziewek
Nocy, gdy się z gór wynurza.
O, czarodziejski widoku!
Żebym mógł skrzydłem ptaszyny
Ulecieć w owe krainy —
Duszączbym się w nich rozpłynął,
Jak blask po wzruszonym stoku,
Jak łza uczucia po oku —
Duszą-bym i ciałem zginął.
O, lepiej zostań z daleka:
Biada, biada tego czeka,
Kto pragnie, kto przymuszony
Drzeć oddalenia zasłony!
Złudzenie podwójnej twarzy
Łatwiej, niśli światło, pryska:
Zdala cudne — niechże z blizka
Oko tknąć się je poważy —
W tejże chwili, jak przed dmuchem,
Uleciało kwiatka puchem
I w swych plecach widzieć dało
Szatańską ohydę całą.
Tegom nie znał: tegom doznał,
Gdym przeszłość w obecnem poznał.
Wyrzucony na brzeg ziemi,
Rozmarzony snem kołyski,
Jakie słałem jej uściski!
Bo przed oczami mojemi
Tak cudnie leżała ona,
Jak ta ze wzgórzów osłona.
Wyspa w czasu oceanie

Świeciła memu spojrzeniu,
Stępionemu dali siłą,
Przez młodzieńczych lat zaranie,
W owej tęczy rozbarwieniu,
Którą na obłokach brudnych
Oko słońca zawiesiło...
  Patrząc na ten smug barw cudnych,
Na ten dziw najmilszej zgody,
Ach, któżby, któżby powiedział,
Że to są łzy niepogody?
I mnie przed myślą młodzieńczą
Zawieszał podobną tęczą
Przyszłe życie czasu przedział!
Rajskie miało być ustronie,
A w niem żywot pełny, cichy
U ogniska własnej chatki —
Wieńczyły je siwe skronie
  Zgrzybiałego ojca, matki —
Rozpromieniały uśmiéchy
Żony, istoty anielskiej,
Pustowało grono dziatek,
Jak rzeka płynął dostatek —
W oczach wdzięk przyrody sielskiej,
W myślach pewność błogiej chwały.
  Jak nad sercem, nad zagrodą,
Jak pierś, jak nieba, leżały
Ludy, szczęśliwe swobodą,
Ziemia, nową duszą wielka:
Wolna Polska-rodzicielka,
Wolna, kwitnąca i wielka.
Gdzież to wszystko? Cóż się stało
Z marzeniami uciech sielskich,
Z widziadłami sfer anielskich,
Z Polską, ludami i chwałą?
Z drogich serc kłębek zgnilizny,
Matka, rodzina w żałobie,
Świat w ucisku, Polska w grobie —
A ja? — Tułacz śród ojczyzny!
Dziś już i złudzeń zjawisko
Nie wiesza zasłon na oku...

Wszystko nagie, wszystko blizko:
Dziś mój żywot — to urwisko,
Woda, ot, tego potoku —
Urwisko jałowe, dzikie,
Wieczna pastwa rwącej fali:
Czy się na niem kwiat zapali,
Czy skromna trawka uczepi,
Brzeg się natychmiast odszczepi
I leci w kipiącą rzekę —
Ta łup chłonie i rwie dalej.

1834.

PRZY SADZENIU RÓŻ.

DO M. S.[1]

Sadźmy, przyjacielu, róże!
Długo jeszcze, długo światu
Szumieć będą śnieżne burze:
Sadźmy je przyszłemu latu!

My, wygnańcy stron rodzinnych,
Może już nie ujrzym kwiatu —
A więc sadźmy je dla innych,
Szczęśliwszemu sadźmy światu!

Jakże los nasz piękny, wzniosły!
Gdzie idziemy — same głogi,
Gdzieśmy przeszli — róże wzrosły;
Więc nie schodźmy z naszej drogi!

Idźmy, szczepmy! Gdy to znuży,
Świat wiecznego wypocznienia
Da nam milszy kwiat od róży:
Łzy wdzięczności i spomnienia.

1831.

[1]) Do Michała Szwejcera. Wiersz napisany w domu Tetmajerów w Mikołajowicach pod Tarnowem, gdzie poeta dłuższy czas bawił po wyemigrowaniu z Królestwa.

PIELGRZYMKA KRZYŻOWA.

Już to lat tyle idę i wlokę
Duszę, krzyżem mym ciężarną —
Przed sobą widzę kaźni opokę,
Na niej — moją śmierć ofiarną.

Każdy spoczynek u mej Golgoty —
Nowe stanowisko męki,
A z duszy wiecznie, jak krwawe poty,
Krwawe się leją piosenki.

Bo, gdzie przechodzę, kupią się zgraje:
Ci mię sądzą godnym krzyża,
Tamten bluźnierczy pokłon oddaje,
Inny litością ubliża.

Znajdę-ż ja kiedy serce łaskawe,
Co mi moją twarz skrwawioną
Obetrze i jej odbicie krwawe
Skryje w kochające łono?

1834.

PROŚBA DO BURZY.

Zimowa burza we wściekłość się sili,
Nieba pomrokiem, jak morzem, zaléwa,
Śniegiem, jak śniegu potopem, w dół spływa,
Olbrzymiem wichrów skrzydłem lasy chyli; —
A ja sam stoję na pustem zamczysku,
Wsparty o drzewo nierodzinne — stoję,
Wlepiam wzrok w burzę i do wichrów pisku
Pośród gałęzi mięszam skargi moje.

Grobowy liści uwiędłych szeleście!
Burzo, co nieba zawiejami mroczysz!
Szumie, co wichry nad lasami toczysz —
Przynieście mojej duszy, o, przynieście
Ten obraz z mojej przeszłości wiosnowej:
Blask coraz tępszy w coraz mglistszem niebie,

Kiedym stał pośród śmilańskiej dąbrowy,
Jak dziś, słuchając — to burzy, to siebie.

Chmura, szumiąca nad głową, jak morze,
Biła w twarz śniegiem, jak morze pianami,
A tuż w gałęziach syczał stu żądłami
Wiatr, co drzewami grzechotał po borze —
A ja wesoły i szczęśliwy stałem,
Że w mroku burzy myśl świeciła mile,
Że w zgiełku burzy ciche serce miałem...
Wróć mi tę chwilę, burzo, wróć na chwilę!

1836.

KROPLA KOCHANKĄ SŁOŃCA.

Pochwycona z wód ojczystych
Okiem słońca miłosnego,
Kropla na skrzydłach promiennych, szklistych
Leci ku słońcu, śpiewa do niego:

— „Słońcu całą siebie niosę,
Rzucę wód rodzinnych gniazdo;
Słońce mi dało tę światłą kosę —
Jego spojrzenie robi mię gwiazdą.

„Wiem, że w mocnym skwarze zginę,
I w dół spadnę rosą skrzepłą:
Przecież ochoczo do słońca płynę,
Bo w słońcu tylko jasno i ciepło.“

„Jak swe wody ta kropelka,
Tak ja rzucam serca bliźnie.
Nic mi po ziemi, jak ziemia wielka —
A tylko dążę ku mej ojczyźnie.

W każdym kroku, z każdą chwilką
Zguba grozi mdłemu ciału —
Ja idę dalej, do tej, co tylko
Skrzydłem i wieńcem mego zapału.

— „Leć, kropelko — leć ku słońcu! —
Słońce z góry zawołało;
Zagaśniesz w sobie, błyśniesz w tysiącu,
Znów będziesz jasna; leć dalej śmiało!“

Październik 1835.

TWÓRCZE CHWILE POETY.

Czy los, złowrogi bez przerwy,
Tak rozstroił umysł młody
Że tylko wiatr niepogody
Zdolny już grać — tylko nerwy?
O, gdy chmura niebo kryje,
Jak zbolały wzrok powieka —
Kiedy samotny wiatr wyje,
Jak jęcząca pieśń daleka,
Dla mnie wtedy pełne życie
I wylewa się obficie.
Potężny nadziemską mocą,
Otoczony zewsząd nocą,
Trzymam wielowładne dłonie
Na świecie roboty własnej:
Serce tam, jak słońce, płonie
W gwiaździe ni ciemnej, ni jasnej,
Jak słońce przez pół w zaćmieniu —
A ja na tle tego blasku
Maluję nowe plemiona,
Obce całemu stworzeniu,
Mego tylko wynalazku...
Może być, że pomysł boży
Coś podobnego gdzieś tworzy,
A ziemia później wykona...

1834.

UNIEWINNIENIE POETY.

O moi bracia! Wam się nie podoba,
Żem wybudował poezyi bożyszczu
Świątynię, w której kapłanem żałoba,

A płomień śmierci na ofiarnem zgliszczu —
Że samą uczuć krwiących się szkaradę,
Jako obiatę, na jej ołtarz kładę?

Szemrzecie na mnie, że po jej sklepieniach
Ustawna burza mroczy się lub błyska;
Że dzikie tylko wiatry brzmią w jej pieniach,
Że w niej okropność i nieład, zwaliska,
Że się w niej roją same grobów larwy,
Że w jej obrazach same czarne barwy?

Bracia, usiądźcie w stuletnich drzew mroku,
Gdy ziemia zamknie dzienne swoje życie
W podwójnym nocy i burzy obłoku;
Posiedźcie chwilę — cóż tam zobaczycie,
Choć ziemia geniusz, geniusz w całej sile,
Co umie tworzyć rozlicznie i mile?

Za całą światłość — z gęstwiny powicia
Błyszczą ci czasem sowy oczy kocie —
A ruch jedyny, jedyny znak życia,
Nietoperz w cichym przewinie się locie,
Albo ciężkiego podskoku ropucha
Głuchym tętentem przerwie nudę ucha.

Rozpalcież słońce, a w tejsamej stronie
Co barw, co kształtów, co dźwięków, co tonów
We mgnieniu oka ozwie się, zapłonie!
O, póki ciemne słońce milionów,
Póty, o bracia, niech mię nikt nie wini,
Że tak ponuro w mych uczuć świątyni...

1834.

POTOK ŻYCIA.

Dowoli jużeś, dowoli,
Burzliwa moich dni rzéko,
Ryczała wichrów muzyką,
Niszczyła kwiaty mej doli —
Stój, potoku mój,
Cichem źródłem stój!

Tu takie lube ustronie,
Tu wieniec uczuć tak rzadki,
Tu lica świeże, jak kwiatki —
Aniołem każdy wzrok płonie —
Stój, potoku mój,
Cichem źródłem stój!

Tam, dalej o krok, o chwilę,
Znów może burza cię spieni,
Znów może krew cię zrumieni,
Tam może znikniesz w mogile —
Stój, potoku mój,
Cichem źródłem stój!

A wkoło braci tysiące
Bez kraju, rodzin, swobody,
Jak kwiaty w puszczach bez wody,
Schylają czoła więdnące! —
Nie czas ciszy chcieć:
Leć, potoku, leć!

1834.

DO DZIECI.

W IMIONNIKU.

Bywają wichry tak straszne czasem,
Że, jak się zerwą, jak pójdą lasem,
Drzewa największe z korzenia zwalą;
Lecz dzieci lasu, drzewiny drobne,
Małe i słabe, do was podobne,
Między staremi co padły z falą,
Rosną w nowy las spokojnie.
Dzieci — wy wiecie o wojnie:
Wojna to burza, przed którą naród,
Jak las, upada; wy lasu zaród,
Wy drobne drzewka — a my, o dzieci,
My, starsi wiekiem, my, co walczemy,
Niech, co chce, będzie, my was skryjemy,
Jak ten bór stary, co od burz leci.
Rośnij, rośnij, drobny rodzie,
W ciszy, szczęściu i swobodzie.

Oby pamiątka czasów dzisiejszych
Przeszła nam kiedyś, jak sen lat mniejszych,
A ja, co dla was te słowa piszę,
Obym mógł chociaż na stare lata
Ścisnąć was z sercem starszego brata
I śmiało wyrzec: „Już mamy ciszę!“

1833.

ŚWIAT NOWY.

WIERSZ, DANY W UPOMINKU EWELINIE CH... [1]

— „To przecie potop nie wszystko schłonął,
To świat nie cały przecie utonął,
I bije życiem zniszczenia łono.“ —
Tak się cieszyła korabiu rodzina,
Gdy jej przyniosła korabiu ptaszyna
Gałązkę, śród fal potopu uszczknioną.

I my potopem klęsk kołatani —
I my też mamy gońców przystani,
Szczęśliwszej wróżby mamy godziny,
Co przypomnieniem, jak tęcza, jaśnieją,
A, oskrzydlone wiarą i nadzieją,
Pędzą nasz korab w zbawienia krainy.
Blizka ta chwila, wszystko nam wróży,
Kiedy świat nowy wypłynie z burzy,
Kiedy zakwitną wieki pogody,
A czas, co dzisiaj tylko się nam wdzięczy
Miłem życzeniem — roztoczy się w tęczy
Wiecznego życia i wiecznej swobody!

1832.

DOBRE POLKI.

Gdy nad nocnym wędrowcem zerwie się szaruga
I widmami obłędu krąży po drożynie,
O, jak wdzięczna ta gwiazda, co we chmur szczelinie
Na zbłąkanego okiem Opatrzności mruga!

---

[1]) Zapewne do Eweliny Chabowskiej z Ukrainy, siostry Zenona, kolegi poety, który również emigrował do Galicyi.

Szlachetne, czyste dusze! Wy, jak gwiazda druga,
Wschodzicie na burzliwej naszych dni dziedzinie
I świecicie pielgrzymom... Lecz ta chwila minie
Tam, w dali! Noc tak chmurna, wędrówka tak długa!

Tam znów nam zgaśnie światło waszego spojrzenia,
I nic nam nie zostanie, nic, oprócz spomnienia,
Co promieniem dusz waszych, jak brzaskiem zachodnim,

Śród nocy naszych przygód będzie wiecznie świtać.
Gdybyż ten blask zachodni spłynął się ze wschodnim
I, jak nas dzisiaj żegna, mógł kiedyś powitać!

1832.

BRZOZA I ŹRÓDŁO.

Brzózko w zielonym zawoju,
Co tam w twoim gra warkoczu?
Zwierciadlany, czysty zdroju,
Co tam patrzy z twoich oczu?
Myślałem, o drzewko krasne,
Że to brzęczy głos miłego —
Myślałem, o źródło jasne,
Że to błyszczy oko jego.
Brzózko w zielonym zawoju,
Wiatr gra ci po warkoczu;
Zwierciadlany, czysty zdroju,
Gwiazda patrzy z twoich oczu.
Nie! To on, to on, daleko,
Wspomniał sobie, że tu miła,
I swoje oczy tą rzeką —
Serce — wiatrem tym przysyła.
Brzózko w zielonym zawoju,
Trzymaj wietrzyk ten w warkoczu!
Zwierciadlany, czysty zdroju,
Nie wypędzaj gwiazdy z oczu!
Bo co noc wiernie i skrycie
Biedna przyjdzie tu dziewczyna
I spyta, a wy powiécie:
„Żyje, żyje i wspomina.“

1832.

DO GRAJĄCEJ.

Graj, nie przestawaj, przez Boga!
Patrz, jak się huśta wiatr na drzew warkoczach,
Jak dzień omdlewa w zachodu przeźroczach
Przy twojem graniu, o droga!

Patrz, jak zorza się wpatruje,
Jak po tej ścianie tańczą jej płomyki!
Graj, graj, o droga! Urok twej muzyki
Ziemię i niebo czaruje —

Cóż dopiero serce moje?
O, gdybyś mogła dojrzeć w łona toni,
Kiedy pod wolą twej uroczej dłoni
Harmonijne trysną zdroje!

Opryskany, odurzony
Powodzią dźwięków, wnet przy pierwszej nucie
Tracę słuch, oczy, wszystkie zmysły, czucie —
Cały rozlewam się w tony,

W dźwięczną zachwycenia łezkę,
Nie widzę świata, nie pojmuję siebie —
Duch się rozprasza w sny, co krążą w niebie —
Myślę przez mary niebieskie.

Żądze, nadzieje, spomnienia,
Zgiełkliwe boje, dumania odludki,
Czyste łzy szczęścia, wyjaśnione smutki,
Proste lat dziecinnych pienia,

W lubych zasłonach przeczucie,
Wonne powietrze rodzinnej krainy,
Pierwszej miłości rozkosze i winy —
Wszystko, wszystko w jednej nucie!

I ty, ty, czarnoksiężnico,
Jak widmo z ognia pośród tych uroków;

Wkrąg ciebie dźwięki, jak kłęby obłoków:
Przelatują błyskawicą,

A ty we słonecznem ciele
Na mojem sercu trzymasz dźwięczną rękę
I wciąż całego roztapiasz w piosenkę!
Graj tak wiecznie, mój aniele!

1834.

POKUSA.

Było to już w północ ciemną:
Tylko o ścianę od kochanki spałem.
Właśnie mnie budzi złe jakieś marzenie,
I wraz słyszę jej westchnienie,
Jakiegom w życiu nie słyszał całem —
A po niem: „Boże, zlituj się nade mną!“

Wypowiedzieć nie mam siły,
Czem były te słów kilka wśród westchnienia.
Najkrwawsza walka śród piersi niewieściej,
Tryumf najsroższej boleści,
Z przepaści serca wybuch cierpienia,
Klątwa rozpaczy, piosnka z pod mogiły,

Na zbronnej rozkoszy ręku
Cnota, mdlejąca pośród szyderstw świata,
Powódź łez krwawych w prośbie niesłuchanej,
Pożar żądzy niezalanej,
Raju dziewicy wieczna utrata —
To wszystko było w tych słowach, w tym jęku.

Czart, zda się, ogniem zadyszał
I myślom błysnął, kiedy to wyrzekła.
Śmiertelnej walki konwulsyjne bole,
Najbrzydszą życia niedolę,
Odmalowane ogniami piekła,
Ujrzałem w chwili, kiedym to usłyszał.

Więc zawołałem goręcej,
Niż kiedykolwiek modlitwą tajemną:

„Ta, co tak cierpieć i przecierpieć zdoła,
Musi mieć czystość anioła!
Lecz ty, Boże, miej litość nade mną,
Bym westchnień takich już nie słyszał więcej!“

1834.

WŁOSY KOCHANKI.

TŁUMACZENIE Z PARNEGO.

Aslego piękna! Czy nad tumany
Zorza podnosi skronie świtania,
Oko me pada na twój włos kochany —
Czy zazdrośnica dnia promiennego,
Noc, nas gwiaździstym rąbkiem osłania —
Usta me na twych włosach, Aslego!

Król mówił do mnie: „Mam ja, Isnelu,
Córę przede mną, dziwo pieszczoty:
Jej strzał do sarny nie chybi celu —
Lira jej miła, a ptasie głosy.
Idź! Ona przyjmie twoje zaloty!...“
Jam pocałował Aslegi włosy.

Widziałem Rismę. Toczona szyja
Promieni bielą w czarnych warkoczach,
Świeżym się pączkiem warga rozwija —
Miłość z jej czoła zadumanego,
Z westchnień przemawia, miłość w jej oczach —
A jam całował twój włos, Aslego!

Raz zadrzemałem. Dziewczę nadobne
Nad mem wezgłowiem schyla oblicze —
Jej tchnienie woni kwiatów podobne:
„To ja, młodzieńcze kraju obcego,
Przynoszę tobie serce dziewicze!...“
Jam pocałował twój włos, Aslego!

1835.

PIEŚŃ NA CZATACH.

(Z PARNEGO).

Gwizdaj, o wietrze, gwizdaj przez tę dziczę,
Trzymaj w czuwaniu me oko strażnicze!

Wilki zgłodniałe, wyjcie w głębi borów,
Mętne potoki, grzmijcie po opokach,
Krajcie powietrze, strzały meteorów,
Hukajcie, sowy, w głuchych nocy mrokach!
Gwizdaj, o wietrze, i t. d.

Noc! A ty sama i tęskna, o droga!
Marząc pieszczoty, czekasz mię, wpół naga,
Na każdy szelest pośpieszasz do proga –
Spocznij, kochanko! Wokrąg noc i flaga.
Gwizdaj, o wietrze, i t. d.

Krople mgły zimnej włos ci uperliły,
Drobny śnieg pruszy: pole nim pobladło!
Spocznij, kochanko! Spocznij, a sen miły
Ześle w twój uścisk kochanka widziadło.
Gwizdaj, o wietrze, gwizdaj przez tę dziczę,
Trzymaj w czuwaniu me oko strażnicze!

1835.

PIEŚŃ GODOWA.

(Z PARNEGO).

Pijcie, śpiewajcie, dzielni Skandynawi!
Zaczem zwycięstwo nowe da bój świeży.
Pijcie, śpiewajcie! Mężny rad się bawi,
Uczta pokrzepia rycerzy.

Darmo winujem bogi o złą wolę,
Darmo się skarżym na daną nam dolę!
Czegoż chce jeszcze miły niebu lud,
Gdy ma żelazo, kochanie i miód?
Pijcie, śpiewajcie, i t. d.

Niech żyją nasze młode kochanice
I ich powaby i ich obietnice,
Lube pieszczoty, nawet dąsy ich
A ich imiona skryjcie w sercach swych!
Pijcie, śpiewajcie, i t. d.

Teraz uczcijmy naszemi czarami
Tych, co polegli pod wrogów ciosami:
Cześć wam i pamięć! U Odyna, tam,
Na wieki mieszkać, biesiadować wam!
Pijcie, śpiewajcie, dzielni Skandynawi!
Zaczem zwycięstwo nowe da bój świeży;
Pijcie, śpiewajcie! Mężny rad się bawi,
Uczta pokrzepia rycerzy.

1835.

DO WYŚNIONEJ KOCHANKI.

Kiedym był jeszcze w latach dziecinnych,
I sny tęsknoty w przeszłość mię gnały,
Wiecznych mi śniegów kraj się uśmiéchał —
Leciałem duszą w podniebne skały;
Ja nie widziałem, żem wzdychał
Do twoich krain rodzinnych.

Kiedym się palił młodości latem,
Burzami serca do snu huśtany,
Marzyłem ciągle jakąś pustynię,
Gdziebym, spieczony, upracowany,
Zamieszkał dziką jaskinię
I żył cicho, jak za światem.

Jakże się prędko te sny sprawdziły!
Tułacz ja dzisiaj, światu nie żyję,
Błądzę po ziemi, jak po jaskini —
Jak sklep ze skały, niebo mię kryje,
I tylko spokój pustyni
Pożądany mnie i miły.

Ale i ową gwiazdeczkę jasną,
Co te sny złotą rąbiła tkanką,
Wyśniłem sobie w zaświatnej dziczy:
Ciebie wyśniłem, moja kochanko!
Świeć-że mi, duchu strażniczy,
Świeć, póki oczy nie zgasną!

1834.

DOBRYDZIEŃ!

Dobry dzień tobie! Już gaj szeleszcze
Tchnieniem poranku — góry się złocą
Ogniem poranku — ptaki szczebiocą
Słońcu dobry dzień! Czy ty śpisz jeszcze?

Dobry dzień tobie! Już ziemia wstała,
Patrz, jaka piękna w szacie porannej;
Jak żeby wyszła z kąpieli szklannej,
Taką świeżością i blaskiem pała!

Dobry dzień tobie! Patrzaj, już oto
Na oknie twojem gore obsłonka,
Jak sieć ognista z promieni słonka —
A ty śpisz jeszcze, moja pieszczoto!

Cóż stąd, że ziemia, że świat się budzi!
Trzebaż dlatego jej sen przerywać?
Ona za wszystkich może spoczywać,
Bo ona czuje za wszystkich ludzi.

1834.

DZIEŃ ROZKOSZY.

Co za dzień, o moja droga —
Chyba w twojem oku piękniej!
Oto klękam — i ty klęknij,
I wychwalmy miłość Boga,
Że nas takim dniem obdarzył,
Że na nowo nas skojarzył!

Gdym cię rzucić miał, gdym rzucił,
Żem umierał, mnie się zdało,
Boś mi duszą, ja twe ciało;
Dziś do życia znowu-m wrócił.
Dzięki Bogu, dzięki tobie,
Było to tylko pół-grobie.

Dzisiaj cały świat piękniejszy,
Mocniej żyje i promieni:
Młoda wiosna przy jesieni,
Przy wczorajszym dzień dzisiejszy;
Tylko nasze serca razem
Są takiego dnia obrazem.

Gdyby Bóg w me usta włożył
Siłę nowych dni tworzenia —
Po dniu siódmym odpocznienia
Dzień rozkoszy jabym stworzył
Na wieczystą pamięć chwili,
Którąśmy dziś tu przeżyli.

1834.

GWIAZDY NIEZAPOMINKI.

Piękny, luby jest ten kwiatek,
Bo go rączęta twoje zerwały;
Drogi dla mnie, bo twój datek,
Ależ nietrwały, ależ nietrwały!
My przysięgli, moja duszo,
Że się będziemy kochać do grobu,
I pamiątki więc być muszą
Trwalsze, niż kwiatek, trwalsze dla obu.
Tam, o luba, tam na niebie
Niezapominków łąka nam gore:
Tam dla siebie i dla ciebie
Wieczny, jak niebo, datek wybiorę:
Te dwie gwiazdy, te jaskrawsze,
Co, jak małżeństwo, ciągle przy sobie,
Dla nas będą, dla nas zawsze:

Jedną ja wezmę, drugą dam tobie.
Nas na ziemi los rozdzieli —
Nic nie rozdzieli gwiazdek na niebie:
Wnich będziemy się widzieli,
Okiem ich będziem patrzeć na siebie.
Takie kwiaty kwitną jasno:
Barwy, co z nieba nigdy nie zbędą,
Kwitną oczom, gdy te zgasną.
Naszym, ach, duszom kwiecić się będą! —
Czuje prawdę słów dziewica,
Chociaż gwiazdeczki zgasły w obłoku.
Gwiazdy zgasły, lecz przyświéca
Całus na ustach, miłość na oku.

1834.

KOCHANKA DUCHA.

Jakiegoż to dziełem cudu
I przez jaką łaskę Boga
Mogła się począć perła tak droga
W tem morzu błota, w tej konsze brudu,
Ten anioł z niebios poety
W wątłych powłokach kobiety?
Co za oko mego ducha!
Jak się tu nie podnieść w dumie!
Szła niewidzialna w śmiertelnym tłumie,
Skryta dla oka, skryta dla ucha —
I przeszłaby ducha krokiem,
A jam ujrzał ją mem okiem.

Zgadłem ją — ona mnie zgadła:
Ledwo płomienny obłoczek
Ofiary serca dosiągł jej oczek —
Zwinęła polot, w duszę mi padła;
Odtąd duszą duszy mojéj,
Odtąd nic nas nie rozdwoi.

1834.

MODLITWA KOCHANKI.

Moja luba gdy ciszę upatrzy dokoła,
To ulgi na kochanie szuka w świętych stronie:
Uklęka przed obrazem, załamuje dłonie,
Podnosi czarne oczy i śpiewem anioła:

„Matko boleści, matko miłości! — zawoła, —
Przez te miecze cierpienia, co tkwią w twoim łonie,
Przez ukochanie syna, co z twoich ócz płonie
Ostudź ten żar, któremu pierś już nie podoła!

Ratuj mię, matko bolu, jak miłości matka...“
Jam nadszedł i dokończył modlitwę przerwaną:
„Zdarz, niech te prośby drugą potrzebą się staną!!!“

— „Jakże tam nasze modły i miłości matka?“ —
Zapytałem niedawno z uśmiechem kochaną.
— „Ach, wysłuchano — rzecze — lecz tylko ostatka!“

1834.

POŻEGNANIE KOCHANKI.

Żegnajmy się, o luba! Sprzeczne wiatry wieją,
Nadchodzi chwila, w której wiecznie się rozstaniem.
Już odtąd dzień tęsknotą, długa noc niespaniem
W zegarze naszych losów będą bić koleją.

Zdziczeją nasze myśli, serca spustoszeją,
Stępią się blaski spojrzeń próżnem wyglądaniem,
Przygasną ust płomienie mary całowaniem,
Pożegnajmy się, luba, z sobą i nadzieją!

Nie! Przestań, przestań płakać! Mam jeszcze sposoby
Z moich słów, z twego łkania piosenkę złożymy.
Skoro zechcesz mię ujrzeć, zanuć płaczu rymy!

Choćbym grobów był więźniem, muszą pęknąć groby.
Co ja gadam, szalony? Marzę, jak z choroby!
Tem lepiej, że się tracąc — i rozum tracimy. 1834.

RĘKOJMIA WIERNOŚCI.

O najmilsza! Nie prorokuj,
Że ciebie kochać kiedyś przestanę;
Mało ci tajnie mych uczuć znane,
Że wpuszczasz w siebie taki niepokój.

Moja miłość nie wyrasta,
Skąd rośnie tyle innych powszednych:
Ona nie żyje z tych pieszczot biednych,
Któremi darzy lada niewiasta,

Ani ową rozkosz zwykłą
Na dnie twych piersi przeczuło serce.
Nie — moje oko w twego iskierce
Ducha poznało, ducha przenikło.

Ja znalazłem w duszy twojej
Połowę własnej, w niebie zgubioną,
Znalazłem całą, tylko z osłoną
Czystszą, piękniejszą, niźli na mojej.

Ja ciebie kocham dlatego,
Że w każdej chwili tak mię rozumiesz,
Że wtedy nawet pojąć mię umiesz,
Kiedym zagadką dla mnie samego.

U mnie jeszcze w sercu radość,
A już jej blaskiem skrzy oko twoje;
Ja jeszcze z troską prowadzę boje,
A tyś już ranna, zdradza cię bladość.

W twórczych chwilach wyobraźni
Jej widma często dla mnie ulecą,
A ty je chwytasz — i z ciebie świecą
Dla mnie samego żywiej, wyraźniej.

Dwie zgodne struny nas dwoje:
Kiedyśmy razem — to gramy pięknie,

W nic pójdzie druga, gdy jedna pęknie.
Wiecznie już, wiecznie być nam we dwoje!

1834.

OBRAZ KOCHANKI.

Ja tak mej lubej obrazem się pieszczę,
Tak dla niej myśli, czucia, wszystko moje,
Że, co tylko mają wieszcze
Barw, dźwięków, ognia, to wszystko przyswoję
I obraz mojej kochanki przystroję.

Potem na szczycie wieków go umieszczę,
A moją miłość, jak ofiarny wianek,
Wokoło niego zawieszę —
I wieczność przetrwam, zawsze, jak kochanek
Najuroczniejszej z pomiędzy ziemianek —

I wiekom będzie ku czci i pociesze
Bożyszcze mego serdecznego wianka:
Przyszłość nie zdoła już wybić
Drugiego wzoru, jak moja niebianka;
Wieki ją będę czcić sercem kochanka.

Pojrzyjcie tylko na mej lubej kibić:
Nie jest to wasza powszednia kobiéta,
Co, choć smukła, wybujała,
Jednakże widać, że się ziemi chwyta:
Moja kochanka, jak płomyk — wykwita,

Moja kochanka, jak słoneczna strzała,
Która się łamie wieczystym odskokiem
Ku swojej gwiazdy koronie —
Zda się za każdym ulatywać krokiem,
Zda się być jasnym, powietrznym obłokiem.

Moja kochanka rumieńcem nie płonie,
Ale jej ciała białość promienią̨ca
Jest tego blasku przeźroczem,

Którymby dusza, z rozkoszy mdlejąca,
Oblokła ciało pokrewne miesiąca.

Moja kochanka tym czarnym warkoczem
I tą źrenicą płomienistą, dużą
Zdradza ziemskie nawałnice,
Które w jej serce biją wnętrzną burzą
I które może wkrótce ją rozburzą.

Chcesz-li to dojrzeć? Wpatrz się w jej źrenice:
Tam to, długiemi zasnuta rzęsami,
Święta cię boleść rozżali,
Boleść, takiemi powleczona łzami,
Jak łzy anioła, któryby żył z nami.

Ale nie zbliżaj ust swych do korali,
Co gaszą białe ząbków promienie —
Bo tam, stamtąd zieją żary.
Ciche, nęcące, niby kwiatów tchnienie,
Palące, wieczne, jako potępienie!

Moja kochanka — do wdzięków bez miary,
Ma jeszcze jeden urok niezrównany:
Pieszczoty miłosnej czary.
Wierzcie mi, komu ten urok jest znany,
Ten wie na ziemi, co to być z niebiany.

1834.

DO DUMNEJ.

Chcesz mię uśmiechem tryumfu dotłoczyć!
Zawcześnie! — Taki uśmiech nie zwycięża.
Długo się jeszcze walka musi toczyć,
Jeżeli pierwsza nie złożysz oręża.

W czemże moc twoja? Pieniądz, przodków rzędy,
Piękność, jej berło nad zgapioną zgrają,
A nadewszystko drobne niewiast względy?
Krocie to mają, więcej, niż ty, mają.

Jednakżeś zbrojna — jam także okryty,
I mnie i tobie zda się trudna klęska:
Lecz z tobą tylko przynęty kobiéty,
Ze mną moc męża, ze mną godność męska.

Mój oręż — razem uzbrojenie moje:
Natrzeć, czy odbić — to on równo sprawi;
W tysiącznem miejscu przełamie twą zbroję,
A twemu cięciu wszędzie się zastawi.

Czemże mię zranisz? Może, wszystkim hojna,
Piękne twe oko zdejmiesz tylko ze mnie?
Skarb to niemały — bądź jednak spokojna,
Na pierwszej drodze mam go — i daremnie.

Podobny zamach łatwo się odeprze:
Wszystko, czemkolwiek drożycie się, panie,
Za tańszą cenę i najczęściej lepsze,
Kto zechce, wszędzie i zawsze dostanie.

Może nadzieją weźmiesz mię w niewolę?
Jeśli się poddam — któż swe szczęście zgadnie —
Może i na mnie w wielbicieli gronie
Miłość i uścisk bożyszcza upadnie?

O, póki piękność do kruszcu się wdzięczy,
Nie zginiem z głodu pieszczoty niewieściéj!
Lecz szczerość, czystość! A któż nam zaręczy
Że taka, jak ty, szczerzej, czyściej pieści,

Niż...? Jeśli wreszcie żyjemy złudzeniem,
Jeśli koniecznie kupić je musiemy —
Nie płaćmyż, przebóg, czasem i cierpieniem!
Dajmy, co warto — znajmy, co bierzemy!

Więc mną pogardzisz! — Ha, pogarda przecie
Zada śmierć dumie! — Nie, bo, komu widno,
Jak mnie, co jedna cześć na waszym świecie,
Ten łatwo zniesie waszą wzgardę szydną.

Tak! Bezskutecznie wyczerpiesz moc swoją.
Uśmiech szyderstwa, gniewu wzrok niechętny,
Nętę przymileń — złamię jedną zbroją,
Będę na wszystko zimny, obojętny

I dumny — ale naówczas dopiero,
Kiedy się zrzeczesz twej broni niewieściej,
Bym z niej miał pomnik, żem mógł prawdą szczerą
Zwalczyć kobietę i przyjść do jej cześci.

1834.

DO...

Kocham ciebie, mój aniele —
I taką mocą kochania,
Że dumne serce temu się nie wzbrania,
Że, jak do cnoty, przyznaje się śmiele!

Ja kocham — i mówię śmiało:
Kocham ciebie, mój aniele!
Ja, co przed laty, przede dni niewiele
Zniszczyłbym serce, gdyby kochać chciało!

Jakże spadła moja pycha!
Jakaż siła w twej pokorze!
Mnie, com niedawno burzył się, jak morze,
Panuje teraz jedna gwiazda cicha!...

Widzę po oczach ukośnych,
Słyszę w pokątnym uśmiéchu,
Jeden drugiemu podaje po cichu:
— „Patrzcie! Szaleniec płomieni miłośnych!“ —

Nie! Mój rozsądek, o miła,
Tak jasny, jak oko twoje,
A w całej duszy tak błogie pokoje,
Jak żeby twemi uśmiechami żyła.

Znikł mi w tobie ród niewieści;
Ty zostałaś przy tułaczu

Świętą kropelką anielskiego płaczu,
Co leczy duszę z czyścowych boleści.

1834.

USTROŃ PIESZCZOTY.

Wietrzyk z miłym szumem płynie,
Kładną się pod wiatrem trawki,
W gęstwie wabią się turkawki,
Słowik wabi ku gęstwinie.

Siądźmy tutaj; tu tak mile!
Odpocznijmy na tej trawce,
Przysłuchajmy się turkawce
I popieśćmy się przez chwilę!

Może ócz się moich wstydzisz?
To powieką je zasłonię,
Oddech nawet wstrzymam w łonie,
Nibym omdlał, ot tak! Widzisz?

Nie broń się od tej zabawki,
Bo nie zawsze, bo nie wszędzie
Czas i miejsce pieszczot będzie,
Świeży wietrzyk, wonne trawki...

Bo nie zawsze, bo nie wszędzie
Znajdzie się takie ustronie —
O, i nie w każdego łonie
Czysty, jak tu, ogień będzie!

1833.

DO TRZYDZIESTOLETNIEJ.

Chodź tu, chodź tu, moja miła,
I twarz w twarz, łono do łona —
Niech żar, niech uścisku siła
Twe usta, twą pierś przekona,
Żeś jeszcze kobieta.

Zaprzecza ten południowi,
Jego spieki i jasności —
Nie zna ten kobiet, kto mówi,
Że twój wiek nie do miłości,
Że nie do pieszczoty.

Każdy wdzięk twojego ciała
To kwiat w zupełnym rozkwicie;
W twojem sercu miłość pała,
Jak na letnich niebios szczycie
Słońce południowe.

Z ciebie rozkosz się wylewa,
Jak pełna w brzegach swych woda;
Twój całunek się rozpływa,
Jako dojrzała jagoda,
Upałem nabrzmiała.

Niech inni, wzięci ponętą
Róży w pączku, niech ją gonią,
A ja wolę rozwiniętą:
Rozwiniętej barwą, wonią
Będę się napawał.

Rzuć więc na twe lata skargę,
Chodź śmiało w moje ramiona —
A żar, co pali mą wargę
Twą wargą, ten cię przekona,
Żeś jeszcze kobieta!

1833.

TĘSKNOTA DZIEWICZA.

Rośnij, mój kwiateczku,
W słońcu, w okieneczku!
Wszak wodą czyściutką
Zlewam cię co ranku...
Rośnijże prędziutko,
Rośnij, mój kochanku!

Ach, już to dni tyle
Patrzę w ciebie mile,
Wyglądam kwitnienia —
I darmo się łudzę!
Kwiatku, czyś z kamienia?
Już się z tobą nudzę.

Wezmę dwie koszulki,
Pójdę do babulki:
Dobra to staruszka,
Bo mamie co lata
Przynosi do łóżka
To siostrę, to brata.

Daruję babulce
Po jednej koszulce
Każdemu wnuczkowi —
Ona mię uprzejmie
Obok usadowi,
Za szyję obejmie.

— Daj mi, babuleńko,
Laleczkę maleńką,
Tylko niech ma nózię
Ażeby biegała,
Tylko niech ma buzię,
Żeby całowała.

Przy kwiatku już nudy,
Z kwiatkiem próżne trudy;
Radam, bardzo rada,
Kiedy rozkwitniony —
Lecz kwiatek opada
I już mi stracony.

Babunia przystanie,
Da mi całowanie,
Da mi całowanie
I laleczkę z ciała,

Żebym na kolanie
Huśtać kogo miała.

Lulu na kolanku!
Lulu, mój kochanku!
Czemuż, gdy cię pieszczę,
Patrzysz, a nie czujesz?
I twe ustka jeszcze
Zimne, gdy całujesz!

Lulu na kolanku!
Póki, mój kochanku,
Źreniczką palącą
Nie popatrzysz we mnie,
Póki mię gorąco
Nie ściśniesz wzajemnie.

Mądre a dziecinne,
Wrzące a niewinne
Tak dziewczę nuciło —
Nagle w sarnim skoku
Spłoniło się, skryło;
Ktoś podsłuchał z boku.

A ludzie mówili,
Że po pewnej chwili
Lalka, jakiej chciała,
Choć nie z jej kolanek,
Mile w nią patrzała.
Był to już kochanek.

1832.

MAZURKA W KŁOPOCIE.

Sosnowy bór szumi, pies wyje u wrótek —
I bór się zasmucił i pies się zasmucił.
Mój chłopiec mię rzucił,
Zostawił mi smutek.

Wziął kosę i poszedł za lasy rodzinne
I, biedny, gdzieś błądzi cudzymi krajami,
Gdzie Niemcy już sami,
Gdzie słońce już inne.

Ksiądz ze mszą wychodzi, ja krzyżem do ziemi:
„O Boże, o Boże! — w głos wołam do Boga —
Gdzie naszych jest droga?
Polecę za niemi!“

Mać, gdy to posłyszy, ofuknie mię z góry:
„Czyś rozum straciła! Iść między lud obcy!
Tam wydrwią cię chłopcy,
Tam już nie Mazury.“

Po śmierci duch, mówią, gdzie zechce, tam lata:
O Boże, o Boże! Uwolnij mię z ciała,
A będę leciała
Za moim wzdłuż świata!

Mać to posłyszała — znów hałas po domu:
„O dziewko, o dziewko! Gdzieś rozum podziała?
Dla ludzi trza ciała,
Co po duszy komu!“

Ja siadam i płaczę — aż mać się zasmuci:
„No, utul się, dziewko! Bóg wesprze nas w biédzie:
Wnet Francuz tu przydzie,
To i twój powróci.“

Mikołajowice r. 1831.

DZIEWCZYNA W STRAPIENIU.

Przelotna chmurka dżdży zwolna,
Kwiat mokry główkę swą skłania,
Po stawie rybka swawolna
Za bąbelkami ugania,

A dziewczę — serdeczną sprzeczką
Uciecha i żałość mącą:

To igra z płochą rybeczką,
To płacze z trawką płaczącą.

Nieboga, to się zasmuci,
Że Jasia pod broń jej wzięli,
To znów pomyśli, że wróci,
I jak rybka się weseli.

Powionął wietrzyk pogody,
Obłok przepasał się tęczą,
Rybka skryła się w głąb wody,
Łzy deszczu kwiatka nie męczą.

A dziewczę nie zna odmiany:
Póki nie wróci się miły,
Radość — smutek — na przemiany
Będą jej serce drażniły.

1831.

SKRZYPEK NA KSIĘŻYCU.

Nie uwierzycie, kochani moi,
Jak ona rada się pieści,
Jak niezrównany jej dowcip niewieści,
Kiedy, chcąc pieszczot, wydać się z tem boi.
Jednego — pomnę — letniego wieczora
Siedzimy sobie tylko we dwoje.
Jakiejś głębokiej zadumy zmora
Spadła na oczy i myśli moje,
I zapomniałem — przyznam się szczerze —
Żem miał kochankę przy boku.
Nad nami księżyc w całym uroku
Jaśniał na czystym szafirze,
Przed nami obszar cudnej okolicy,
Oblany nocy miesięcznej ogniami,
Leżał w tem pierwszem drzemaniu dziewicy,
Które niekiedy drga miłości snami;
Alem ja na nic nie dawał baczenia,
Aż mię jej głosik wyrwał z zamyślenia.

„Śliczna noc! — rzecze moje dziewczątko;
Ale śliczniejszy ten krąg księżycowy.
Ty nie wiesz, luby — on mi jest pamiątką
Ważnej, o, bardzo ważnej rozmowy.
Znałam ja pewną dobrą staruszkę,
Głośną w naszych stronach wróżkę.
Byłyśmy, jak dziś jesteśmy, sami —
Jak dziś goniłam księżyc oczami,
Bo od dzieciństwa mojego
Dziwniem lubiła, nie wiedząc, dlaczego
Patrzeć się w jego obłóczek.
„W co się tak patrzysz, panienko!“
Przemówiła do mnie wróżka.
„W twoich oczkach cała duszka,
Jak żeby przez to nieba okienko
Śmiał się aniołek do twoich oczek.“
„To prawda, matko; ciekawam, co znaczą
Te niby chmurki w księżyca szybce?“
„Różni różnie to tłumaczą,
Ale mędrsi powiadają,
Że to jest człowiek i trzyma skrzypce.“ —
„Grająż te skrzypce?“ — „A jakże, grają.“ —
„Jakbym ja rada słyszeć to granie!“ —
„Ty już je słyszysz, moje kochanie,
Tylko, że jeszcze nie znasz się na niem.
Wszak prawda, lubisz noc taką jasną,
I przebyłabyś całą niespaniem,
Dopóki oczy księżyca nie zgasną?
Tobie się zdaje, że blask promyka,
Że świeżość nocy twą duszę drażni —
A to tych skrzypców muzyka.
Później posłyszysz wyraźniej.“ —
„O matko moja, kiedyż-to będzie?“ —
„Kiedy noc taka, jak, ot, ta nadejdzie,
A ty siądziesz do księżyca,
A przy tobie chłopiec siędzie,
A w chłopczyny tego lica
Ten z księżyca skrzypek wejdzie,
A chłopiec w ogniu, w milczeniu
Wciśnie swe usta między dłonie twoje,

A ty mu głowę oprzesz na ramieniu,
A będzie to poeta — wówczas, dziecię moje,
Zrozumiesz księżyca granie,
Bo skrzypek z księżyca
Będzie — będzie przy tobie tuż!"
Lube dziewicze zmięszanie
Zgłuszyło ostatnie słowa.
„I jakże? — rzekłem — staruszki gadanie
Czy się już sprawdziło?" — „Już..."
Z cicha wyjękła... i kochana głowa
Zwisła na mojem ramieniu...
Jam cały stanął w płomieniu,
Schwycił jej obie dłonie w milczeniu,
Wcisnął w nie usta — i takeśmy daléj
Skrzypców księżyca słuchali.

1836.

MAŁŻEŃSTWO.

O małżeństwie raz myślałem
I takie widzenie miałem:
Ujrzałem kogoś nad sobą,
Czy szatana, czy anioła,
Tego i dziś nie wiem zgoła;
Jaśniał on duchów ozdobą,
Bujał eterów powiewem,
Lecz w blasku, bijącym z niego,
Było coś groźnie chmurnego,
A przemawiał gniewnym śpiewem:

„Jestem aniołem nadziemskiej sławy; —
Widzę cię pod ziemi mocą;
Chcesz się uplątać w związek nieprawy —
Przybywam z wyższą pomocą.

„Kogo do wyższych trudów obarcza
Opatrzność natchnieniem świętem,
Taki sam sobie niechaj wystarcza,
Dla tego żona jest pętem.

„Całej on ziemi ma być małżonkiem;
A w miejscu kapłana, chwała
Święconym w niebie wieków pierścionkiem
Byt jego z czasem skowała.

„Jemu świat cały rodzinną strzechą,
Dziećmi całe pokolenia;
W chwilach niemocy jego pociechą
Pochwalne ludzkości pienia.

„Czy ty wezwanie moje pojmujesz,
Czy pojmujesz byt tak wielki?
Mów, czy ty w sobie dość siły czujesz
Być oceanem z kropelki?"

Tak mi nucił anioł chwały,
Blaskiem eteru oblany,
A eteryczne bałwany
Nad ziemią go kołysały.
Słuchałem go duszą całą:
Rwał mię czasem ducha zapał,
Ale, gdym się w głowę drapał,
Kłopotał, poczułem ciało —
Więc mu rzekłem: „Duchu sławy!
Ty, jak duch, widzisz, czujesz nasze sprawy,
Z wyżyny ducha w nasz padół poglądasz
I w tworach z ciała duchy widzieć żądasz.
Chmury eteru wznoszą cię nad nami:
Ja, gdybym zechciał z ludzkiemi głowami
Nogi me zrównać — do góry nogami
Musiałbym stanąć lub ludzi przewrócić;
I tak i owak musiałbym skłócić
Porządek ludzki! Przebacz mi, aniele!
Lecz ten Bóg, który ciało natchnął duszą,
Zamknąwszy duszę w niedołężnem ciele,
Sprawił, że spólnie postępować muszą
W doczesnych sprawach spólnego istnienia,
Ażeby błogo tak duszy, jak ciału
Przeszło to życie, nim chwila rozdziału
Wskaże im wyższą sferę połączenia;

A do tej chwili — tak przynajmniej sądzę —
Wszystkie, czy ciała, czy też ducha żądze,
Skoro oddzielna korzyść jest ich celem,
Skoro na zgodę wzgląd nie przewodniczy —
Ludzkość pomiędzy szaleństwa policzy,
A będą zbrodnią tam, przed Stworzycielem!
Gdyby to było wolno i podobna
Dobiedz do niebios każdemu z osobna,
Bóg byłby tylko jedną płeć utworzył,
Z jednej płci byłby rodzaj ludzki mnożył.
A że tak nie jest, więc prosty rozsądek
Każe szanować, jaki jest, porządek,
Każe i w żonie widzieć wsparcie boże,
Bo, co mi ciężkie, dwom lżejsze być może.
Tak ja rozumiem. Chyba z czasów zmianą
Ludzie mniej ludźmi, niż są dziś, zostaną.
Nim to nastąpi, z potrzeb człowieczeństwa
I ducha będę wzdychał do małżeństwa —
A jeśli Bóg niem dni mych nie uświęci,
Ha — moja wina — ale nie brak chęci.“

1836.

ZMARTWYCHWSTANIE.

1.

Za latami biegną lata,
Coraz cięższa chłosta klęski:
Rośnie w przemoc wróg zwycięski —
Coraz głębiej w grób nas wgniata;
A świat burzą grzmi dokoła,
Lada chwila hukną gromy,
Wstanie anioł nasz widomy
I w wojenny róg zawoła.

2.

Błyśnie nowe ludów znamię,
Myśli bożej zmartwychwstanie;
Boże ozwie się wezwanie:
„Czuwaj, wszelki duch i ramię!“

A więc wszelkie nienawiści
Na stos, na stos poświęcenia!
W piekło wszelkie przywłaszczenia —
Stańmy z ludem, duszą czyści!

3.

Dumę panów z serca złóżmy,
Żal za winy zmieńmy w czyny,
Z rozprószonej mdłej rodziny
W wielki naród się rozmnóżmy —
Zmieńmy się na jedno plemię,
Tchnące jednym bożym duchem
I zbratanych serc łańcuchem
Zwiążmy całą ojców ziemię!

4.

O, znijdź, znijdź nam, twórcze Słowo,
A powstaniem zmartwychwstali,
Nowi, jak z potopu fali,
Wyszedł świat z postacią nową —
A z dziewięciu wieków cieni
Nad olbrzymem znów Łomnickim
Błyśnie niebo dniem lechickim
I trzy morza opromieni!

Paryż 1839 r.

POEZYA SZATAŃSKA.

Była to chwila straszliwa —
Jeszcze mię jej strach przeszywa!
Nie daj, Boże, do niej wrócić,
Kiedym się w piekło chciał rzucić
Przez jedną chwilę próżności,
Gniewu na świat, niemiłości,
Przez zerwanie z wyższym światem,
A, niby w czystem pragnieniu,
Popędzić świat ku zbawieniu
Chociażby piekielnym batem!

Szczerze opowiem rzecz całą
Dla przestrogi drugich w części,
Bo, co wtedy mnie spotkało,
Zdarza się łatwiej i częściéj,
Niżby się zrazu zdawało.
Gdym raz głębiej, niż zwyczajnie,
Badał człowieczeństwa tajnie
I myślami je przenikał
I zmysłami je dotykał —
Gdy obraz jego widomie
Stanął mi w całym ogromie —
Taką-m zobaczył nikczemność
W duchu i życiu ludzkości,
Taką śmierć i taką ciemność,
A dla śmierci, dla ciemności
Tyle w człowieku miłości,
Tak silny na złe kierunek,
Tak próżny wszelki ratunek
W prawdach, z wysoka podanych,
Odpartych lub mordowanych,
Tak zniszczone czyste czucia
W tej atmosferze zepsucia —
Żem już nie widział sposobu,
Aby na dnie tego grobu
Prawe życie się zbudziło,
Chyba pod nieprawą siłą.
Gdym się w tajnie te zagłębiał
W rosnącym do ludzi wstręcie —
Zły zaduch i mnie oziębiał,
Sam znalazłem się w zamęcie:
Wyszła ze mnie święta siła
Ofiary pokornej, cichej,
A moc nieczysta wstąpiła
Nienawiści, wzgardy, pychy!
Nie można niebem — więc trzeba
Pokonać piekło bez nieba! —
I, tym opętany szałem,
W żółci i dumie wołałem:
— „Duchu zły, czarcie, szatanie,
Słuchaj — stawaj na wezwanie,

Najplugawszy z najplugawszych,
O ty, samych piekieł zmazo!
Klnę ciebie całą obrazą
Słów zelżywych, krzywd najkrwawszych —
Przybywaj, szatanie, czarcie!
Potrzebne mi twoje wsparcie.
Ha, jesteś! Słuchaj, przeklęty!
Ja podzielam twoje wstręty
Do rodzaju człowieczego:
Zbrzydł mi ten ród światła lichy,
Nudzi mię stan jego cichy.
Ja chcę zmięszać spokój jego
Tem, co lubi: biczem pychy!
Ja pragnę zatrząść, ja muszę,
Aż do głębi, wszystkie dusze!
Ale chorągiew ich wiary
To łachman dla nich za stary;
Ich cnoty takie powszednie,
Ich miłości — takie brednie,
Że się nic z tego wszystkiego
Nie zda do zamiaru mego.
Mnie potrzeba tego świata,
Gdzie najnieczystsi szatani
Przez całej przeszłości lata
Znosili sprosność stworzenia,
Jak do plugastwa otchłani:
Tam będę szukał natchnienia!
Tam zaczerpnę i pokażę
Niewidziane dotąd rzeczy;
Bryznę niemi ludziom w twarze,
By się z nich rodzaj człowieczy
Czyścił w wieki najpóźniejsze,
Jak z plam, wypalonych trądem,
Jak z krwi, skażonej nierządem.
Ludzkość do kości obnażę,
Przedrę się aż do jej śpiku —
I, co jest najbezecniejsze
W najnieczystszym jej tajniku,
Tem będę oczy jej mazał,
Aby się taką ujrzała,

Jaką nikt jej nie pokazał,
Aby zawołać musiała:
„Oto poeta, któremu
Równego dotąd nie było
W okropnościach, w bezecnościach
Chwała i przekleństwo jemu!
Chwała w piekieł głębokościach!"
A ty, czarcie, całą siłą
Twojego świata mię wspieraj,
Prowadź mię w twój świat, otwieraj!" —
Otworzył... Ledwom weń wkroczył,
Ledwom wzrok po nim potoczył,
Osłupiałem, skamieniały
I w mem ciele i w mym duchu.
Włosy z trwogi się rozpierzchły,
Drutem się powyprężały,
Oczy zastygły, zamierzchły,
Stanęły w trupim nieruchu —
Wszystkie zmysły ciała prysły,
Zaledwie ten świat dotknęły —
Przerażone ducha zmysły
Ku nicości się cofnęły
Przed tym gniazda larw widokiem —
Wzgarda ludzi, w żal rozlana,
Uszła rzewnych łez potokiem —
Duma padła na kolana.
„Precz, precz, szatanie! — krzyknąłem. —
Weź twój świat z przed mego oka!
Choćby blask wiekowej sławy
Miał nad mojem wieszczem czołem
Tak jasnem zaświecić kołem,
Jak jest czarna twa pomroka —
Precz, świecie sprośny, plugawy!
Nie ja twe skarby posiędę,
Nie ja korzystać z nich będę!"
I znakiem zbawienia świętym
Czarta wraz z jego dziedziną
W znikome dymy rozwiałem —
Na zawsze z światem przeklętym
Związek nieczysty zerwałem,

A z ludzką światła rodziną
Na wiek wieków się zjednałem:
Takiej była okropności
Owa poezya sprosności.
A — niestety — są niektórzy
Ognia wieszczego kapłani,
Co schodzą do tej otchłani,
Czerpią jady z jej kałuży,
Durzą się niemi z rozkoszą,
Między ludzie je roznoszą,
Poklaski za nie kupują —
Dla oklasku sobie, złemu,
Dla ulgi wnętrzu strutemu,
Bez litości braci trują...
O biada, biada takiemu!

1838.

CHWILA ŁZA.

Co za rajska noc, o Boże!
Co tam blasku i uroku!
Niebo bez plamki obłoku,
Jak ciche błękitne morze —
Gwiazd miliony, barw tysiące,
Jak żeby rozbite słońce
Rozsypało się po niebie —
Cała ziemia, śniegiem biała,
Brylantami mrozu pała:
Drugie niebo ziemia cała,
Ściągnęła niebo do siebie.
A co życia, a co ruchu!
Roją się wkrąg tłumy ludzi,
Uciecha uciechę budzi,
Zewsząd śmiechy, śpiew, okrzyki,
Wszędzie wrzawa, niby w uchu,
Pełnem wesołej muzyki —
A tu takie pustki, cisze!
Ciemną izbą ogarnięty,
Mam tylko za towarzysze
Głuche ściany, martwe sprzęty...

Światło nocne oknem wbiegło,
Jakby zabłąkane w drodze —
Wbiegło, zlękło się i legło
Bladym trupem na podłodze.
Zrywam się, wzdłuż domu biegę —
Może gdzie życie postrzegę
I nadmiar mego dam komu?
Darmo — sam ja w całym domu;
Tylko na każdym zakręcie
Bije w twarz chłodne dmuchnięcie
Wiatru, szpiega moich kroków.
Stanę, natężam wkrąg ucho —
Cisza... Tylko w piersi mroków
Pląs zegaru bije głucho.
Darmo, darmo tutaj śledzić
Myślą, uchem i oczyma:
Nikogo, nikogo niéma,
By mu z serca wypowiedzieć,
Co za noc — w czyjebym serce
Obraz tej nocy mógł złożyć,
Aby go kiedyś otworzyć
W odmłodzonych lat iskierce,
Słowem wspomnienia tkliwego!
Jak ten wieczór, tak mi biegą
Najpiękniejsze i wieczory
I poranki życia mego,
Wszystkie dnia i roku pory
Tak się w sercu wypalają,
Tak mi w duszy wymierają
Najdroższe serca wzruszenia,
Najświętsze duszy natchnienia.
Najwdzięczniejsze i najkrwawsze.
Tak się smucę, tak się bawię,
Tak mi we śnie, tak na jawie:
Sam i sam, zawsze i zawsze!
Przyjdą-ż kiedy dni łaskawsze,
By bliznę życia zagoić,
Dług nieszczęścia zaspokoić?
Mnie-ż to, mnie nagrody roić?
Tyle takich strat doznałem,

Że niema, niema sposobu
Nagrodzić ich życiem całem
Na tej stronie mego grobu!
Tam dopiero, dobry Boże,
Gdzie trzeba płaczem sumienia
Dokupywać się zbawienia,
Szaty moje we łzach złożę,
A ty zapłacisz mi za nie.
Być-że mogą przewinienia,
Którychby w obliczu Pana
Odkupić nie była w stanie
Taka chwila, we łzę zlana,
Łza, tak czysta, nieskalana?

Rok 1837.

GWIAZDA DUCHA.

W chwili, gdy powiew przedwiecznego tchnienia,
Wlatując w zaród nowego istnienia,
Ducha nowemu człowiekowi tworzy —
W tej samej chwili z bożego spojrzenia
Wytryska iskra w podobieństwie zorzy,
Zawisa, jasna niegasnącym blaskiem,
Nad ziemską ducha bratniego ciemnicą
I, świecąc jemu gwiazdą przewodnicą,
Prowadzi brata promienistym paskiem
Przez wszystkie jego żywotów koleje,
Póki się w bóstwie w jedno z nim nie zleje.
O zorzo boska! Czy błąd niedowiarstwa
Policza ciebie do marzeń gwiazdarstwa. —
Czy wieść, potworna starych czasów mrokiem,
Daje ci postać geniusza, demona —
Czy cię przystraja wiara objawiona
Skrzydeł i wdzięków anielskich urokiem —
Jakąbądź człowiek ma cię w swem widzeniu,
Nawet, gdy przeczy twojemu istnieniu,
Wiecznie przeczuwał i pragnął on ciebie,
Wiecznie był w światła twojego potrzebie,
I jesteś, jesteś, lecz na ducha niebie.

Cóż stąd, żeś skryta cielesnemu oku,
Że ciebie rozum nie widzi powszedni?
Ale mnie — tutaj, we wnętrza bezedni,
Tyś tak widoma mego ducha oku,
Jak gwiazdy-światy wśród nocnego mroku!
Kiedyś ty w pełni, każdy zmysł duchowy
W całej pełności i żyje i czuje:
Wzrok wnętrzny twoim blaskiem się lubuje,
Słuch wnętrzny dzwoni muzyką twej mowy,
Woń nieba krąży w ducha powonieniu,
Pieszczące ciepło niebios go oblewa,
A w treści zmysłów duchowych, w sumieniu
Swoboda, szczęście, spokojność, pogoda
I ze zmysłami cielesnemi zgoda.
Pamięć, przeczucie, jak dwa słońca, stają
W dwóch końcach czasu i, jako dwa słońca,
Przeszłość i przyszłość wieków rozjaśniają;
Czas mi naówczas bez cieni, bez końca,
A myśl, co ducha wznosi, rozpromienia
Pełne południe wieszczego natchnienia.
Niechże powstanie burza ziemskiej chuci
I wichrem zmysłów ciszę ducha skłóci,
A oko ducha za żądzą namiętną
Ku cielesnemu światu się odwróci —
Ty się natychmiast zmieniasz w światłość smętną,
Wdziewasz żałobnych tumanów zasłonę
I zanurzasz się w nieba omroczone.
Duch, pozbawiony swej gwiazdy przewodnej,
Pada, zamiera pośród nocy chłodnej —
A ja, pomiotło zwierzęcych zapędów,
Gonię złudzenia, brnę z błędów do błędów,
Każdą się chwilą, jak wiecznością, biedzę;
Wewnętrzną walką bez przerwy szarpany,
Wynoszę tylko bolesne z niej rany,
Wiecznego bytu tracę czucie, wiedzę,
Utracam nawet wiedzę, pamięć ciebie —
Aż w końcu, starty przez życia tortury,
Za własnym trupem idę sam, ponury
I w grobie sobie sam zwłoki me grzebię.

O zorzo, boska siostro ducha mego!
Och! Nigdy, nigdy nie gaśnij dla niego.
Znam całą cenę twej błogiej opieki,
Twego zaćmienia znam całą niedolę,
Znam szczęście raju i padołu bole;
Wiodłaś mię z wieków, przeprowadź przez wieki!
Promieniem twego anielskiego oka
Wiąż mię z twym światem, podnoś mię ku sobie,
Bym, zlany z tobą, rozpłynął się w tobie!
Bądź mi tym wozem ognistym proroka,
Co wznosi ducha tam, gdzie jedność nasza,
A rzucę ziemi chętnie płaszcz Eliasza.

1837.

WALKA PORANNA.

ANIOŁ PORANKU.

Dosyć snu, dosyć! Podnoś się, powieko!
Wszystkie się gwiazdy już podopalały,
Już i jutrzenkę zatopił dzień biały.
Noc przed mem tchnieniem uciekła daleko,
Rosa zagasła, słońce już wysoko,
Cały świat powstał — otwieraj się, oko!

OKO.

Nie ściągaj jeszcze ze mnie mej powieki!
Lubo mi pod nią. Gdyby tak na wieki...
Cóż tam zobaczę, kiedy się otworzę?
Ściany ponure, jak mury więzienia,
Oblicza obce, zimne, jak z kamienia,
Ludzie, niebiosa, wszystko — jak nie boże.

ANIOŁ PORANKU.

Duchu, gdzie jesteś? Czas wracać do ciała!
Już w dalszą drogę poszła ziemia cała;
Żegnaj złudzenia, rzucaj światy błogie,
Podnoś twe ciało i dalej z niem w drogę!

DUCH.

Co? Głos poranku znowu sny me płoszy?
Przypatrz się, przypatrz mej wielkiej rozkoszy:

Czy i tych nawet zabawek w nicości,
Czy i mar nawet mój los mi zazdrości?
Wielkaż, bo wielka mych uciech rozpusta:
Przeszłość, spłakana na swym własnym grobie
Przyszłość niepewna, półwidna, w żałobie —
Przeszłość i przyszłość memu szczęściu pusta:
Oto świat, gdzie się pokrzepiam i bawię —
Wolę go jednak, niśli świat na jawie.

JA.

Precz, precz, poranku, od mojej łożnicy!
Nie płosz mi ducha twych skrzydeł szelestem,
Strzałami blasku nie rań mi źrenicy.
Alboż-to nie wiesz, kto jestem, gdzie jestem?
Myślisz, że doli mojej nie dopędzę?
Niech wstanę równo ze słońca zachodem,
Jeszcze prześcignę najrączejszą nędzę,
Jeszcze się spotkam z troskami i głodem,
Napełnię wzgardą mą torbę żebraczą,
Całą tę ziemię obejdę rozpaczą
I dosyć jeszcze nazbieram zasobu,
By znowu usnąć, jak pod głazem grobu.
Rozwal koło mnie tę murów zagrodę,
Roztocz koło mnie rodzinną przyrodę,
Zawieś nade mną moje niebo jasne:
Pierwsze spojrzenie niech padnie na drzewa,
Niechaj chór ptaszy pobudkę zaśpiewa!
Lecz ptastwo, drzewa, niechaj będą własne:
Drzewa z rodzinnym, znajomym powiewem,
Ptastwo z rodzinnym, zrozumianym śpiewem —
A wtedy każdą wstającą jutrzenkę
Będę pozdrawiał przez nową piosenkę.
Będę czujniejszy od gwiazd najczujniejszych,
Po całych nocach nad światłem księżyca
Będę na straży, jak za dni dawniejszych
Nad świętym ogniem kapłanka-dziewica —
A dziś mię zostaw ze snami mojemi!
Ciężko w ich świecie, lecz cięższej na ziemi.

ANIOŁ PORANKU.

Nie bluźnij dniowi i sobie nie bluźnij,
Ażebyś nie był przymuszony późniéj
Sam siebie karać przez własną twą wzgardę.
Ty się uskarżasz na twe losy twarde!
Czyż to już niema nędzniejszych od ciebie?
Czy nikt już nie jest w twej pracy potrzebie?
Czy już spełniłeś twoje powołanie?
Czy więcej zrobić nie jesteś już w stanie?
Czy więcej zrobić nie jesteś powinien?
A może oto tysiące twej braci
Twoje sny gnuśne cierpieniami płaci,
A co odpłacić będziesz kiedyś winien!
Nie służysz bliźnim, a żądasz po niebie,
Aby robiło dla ciebie — za ciebie?
Bez trudu walki chcesz mieć jej korzyście:
Złe rządzi, ciśnie ziemię rzeczywiście;
Czujesz to, widzisz na sobie, dokoła —
A ty co? Zamiast postawić mu czoła,
Chcesz wybrnąć z niego nieruchem, skargami
Kryjesz się przed niem pomiędzy marami —
Chcesz się wyzwolić, dając w jarzmo szyję,
Rzucając oręż, gdy wróg zewsząd bije!
Upominasz się u Boga o dary,
Co są nagrodą tylko szczerej pracy;
Leniwiec, żądasz pracownika płacy —
Twej nieofierze każesz nieść ofiary.
Żądasz miłości, nie dając miłości!
Nic podobnego sam szatan nie rości.
Ocuć się — ocuć przed strasznem ocknieniem,
Ocknieniem wiecznem, gdzie żadnem uśnieniem
Nie złagodzą się praca i zgryzota,
Które nakłada przespanie żywota!

JA.

Dzięki, aniele! Bądź błogosławiony!
Patrz! Ja już wstaję — jam już ocucony
I odtąd marom nie dam się ułudzić.
Twe słowa siłę życia mi wlewają!

Duchu mój, do mnie! Idźmy innych budzić,
Idźmy tych budzić, co śpią, choć czuwają!

1840.

MODLITWA PRZEDSENNA.

Duszo dusz, duszo świata, władco świata, Boże,
Boże, co, zdjąwszy z nieba słońce błogie,
Ubierasz ciemność w promieniące zorze,
Ażeby ziemia widziała swą drogę —
Otocz mój umysł mrokami spokoju,
Niech oschnie na nim pot dziennego znoju,
Niech sił nabierze do nowego trudu,
Do nowej walki dla Twojego ludu:
Ale niech lekkie będzie uśnienie,
Lekkie, jak nocnych świateł promienie!
A na mej straży postaw u łoża
Mary snu jasne, jak nocna zorza!
Niech świecą duszy, niechaj ją ostrzegą,
Gdyby wróg chytry chciał mię podejść zdradnie —
A po ocknieniu pierwsze pomyślenie,
Pierwsze od tego rozpocznę pienie:
— Nie wpadnie w sidła zguby, nie wpadnie,
Kto z Tobą, Panie, żyje i dla ludu Twego! —

1836.

WESTCHNIENIE DO BOGA.

O Boże! Ja w ciebie wierzę,
Ja Ciebie kocham, o Boże!
Jabym tak chciał kochać Ciebie,
Kochać i wierzyć tak szczerze
I z taką siłą, jak tylko ten może,
Komubyś zdarzył być chwilę w Twem niebie.
Od Ciebie tylko w tej chwili
Pełność mej wiary zależna —
Tobie taki dar jest niczem:
Daj mi go! Oto do Twych stóp się chyli
Chęć bezdenna, chęć bezbrzeżna —

Pada przed Tobą pokutnem obliczem:
Dopełnij mojej miłości i wiary!
Jam nigdy nie wchodził w sprzeczkę,
Że, co mam tylko, to są Twoje dary.
Ja zawsze widzę Twoją cząsteczkę:
W każdem uczuciu mego istnienia
Uznaję siłę Twego ramienia —
Za każdą rozkosz sumienia
Wielbię Twą dobroć jedynie —
Czuję Ciebie w każdej cnocie,
W każdym wieszczego natchnienia polocie —
Alebym pragnął jaśniej, wznioślej, szczerzej
Czuć, kochać, wierzyć; pragnąłbym bez miary!...
Dopełnij mojej miłości i wiary!
Podnieś lot mej duszy wyżej,
Postaw mię przy Sobie bliżej,
Zabłyśnij mi choć na chwilę,
Choć jedną iskrą Twoją, Wszechświęty!
A ostatnią moc wysilę,
Choćbym miał zdeptać nogami
Najkosztowniejsze ziemskie ponęty,
Stargać tę wstęgę, co serce wiąże
Z najdroższemi sercami, miejscami —
Choćby natychmiast to ciało
Trupem ze mnie opaść miało —
Pójdę do Ciebie, podążę,
Byle tylko to sumienie,
Które tak Ciebie przeczuwa, zgadywa —
Byle ta dusza, co tak niecierpliwa
Puka ku Tobie w podniebne sklepienie,
Stanęły rychlej przed Twoim tronem,
Ujrzały Ciebie okiem bez plam nocy
I uderzyły wiecznym pokłonem
Twojej, po trzykroć świętej, Wszechmocy.

1836.

NA SCHYŁKU, 1841—1872.

W STRAPIENIU MOJEM...

W strapieniu mojem, w moim upadku
Tobie się, Panie, naprzód spowiadam,
Tobie, najskrytszych mych marzeń świadku,
Tobie mą boleść, łzy moje składam.

Przed Tobą leję łzy sercem całem,
Łzy, jakich dotąd nigdy nie znałem:
Już to nie oko w płaczu się pławi,
Lecz duch, co krwawym potem się krwawi.

Do kogóż, Panie, z mych nędz ogromem,
Do kogóż pójdę w takiem strapieniu?
Oto ten cały świat Twoim domem
I cały w Twojem wszechmocnem tchnieniu.

Cóż tutaj żyje, cobyś nie tworzył?
Co ginie, cobyś Ty nie umorzył?
Złe tu i dobre pod Twym szafunkiem,
Pod Twej potęgi wiecznym kierunkiem.

Ty w każdej chwili możesz mię zwalić —
Tylko Ty jeden podnieść mię możesz,
Tylko Ty jeden możesz ocalić,
Kiedy mię gromem kary przeorzesz.

Stąd się do Ciebie udaję, Panie —
Pokaż nade mną Twe zlitowanie!
Nie sam już człowiek, lecz duch mój boli!
Wyrwij mnie, podnieś z mojej niedoli!

Paryż, 20. listopada 1843.

CISZA POWSZECHNA...

Cisza powszechna, jak po długiej wojnie —
Nakoniec Boga wypędzono z ziemi.
Zło w bezpieczeństwie i włada spokojnie,
Bezbożność igra władzami wszystkiemi.
Ten się na siłach upadłych pokrzepił
I nowych uciech krąg sobie zakreśla,
Tamten aż na śmierć rozpustną się upił
I o słodyczy spoczynku przemyśla.
Cisza — świat cały do snu się ułożył,
Błogiem ocknieniem dusze się ochocą —
Człowiek spokojny, jakby on świat stworzył,
Pewny, jakby on wiódł go swoją mocą.
A Bóg? O, o nim dawno zapomniano!
Kiedyś tam, ktoś tam zasłyszał to imię,
Ale to przeszło, jak mara snu rano,
I ani śladu po nim, jak po dymie.
Z tajemnic wiary drwić już nawet nie chcą:
Są te przedmioty zużyte, bezpłodne,
Nie jątrzą gniewów, do śmiechu nie łechcą —
Zanadto nizkie na dowcipy modne.
Nagle — jak łoskot tysiąca piorunów —
Bóg się objawił! Po światach runęło,
Pękły zasłony piekielnych całunów,
Niebo nad ziemią znów się rozwinęło,
Jasne niebiosa znów ziemię objęły,
A strzały jego przebiły noc powiek!...
Świat się przebudza......... a właśnie,
Jako uspiony w bezpieczeństwie człowiek,
Gdy gwałt pożaru nad uchem mu wrzaśnie,
A pożar wielki, a nieugaszony
I pod nogami i nad głową pała,
I tak na wszystkie otoczył go strony,
Że żadna pomoc na nic się nie zdała.
O, dzień to straszny, ten dzień Pańskiej chwały.
Przyjdzie, jak złodziej — już jest między nami!
Już pożar jego ogarnął świat cały!
Wkrótce świat cały własnemi oczami
Ujrzy się w ogniach bożej błyskawicy.

O, sprawa Pańska zjawi się ze strony,
O której ani myślą przeciwnicy,
W sposób, rozumem żadnym niezgadniony.
Na nic obronne środki najbieglejsze!
Już otoczeni są potęgą Boga,
Jak obóz, wzięty w zasadzki silniejsze:
Gdy w jedną stronę rzucą się na wroga,
Ze stron przeciwnych, z innego ukrycia
Nieprzyjaciele pokażą się nowi,
Że wkońcu trzeba albo pozbyć życia,
Albo w pokorze oddać broń wrogowi.

Paryż, 1843.

TYLE, O BOŻE, TOBIE SIĘ PRZYRZEKŁO...

Tyle, o Boże, Tobie się przyrzekło,
I nie spełniłem, tylkom się zadłużył!
Co pomnę, czego nie zatarło piekło,
Jużem na karę najsroższą zasłużył,
Abyś się całkiem odwrócił ode mnie,
Żem Twej miłości dał zgasnąć nikczemnie.
Kiedy bliźniemu słowa nie dotrzymam,
Kiedy ludzkiemu chybię przeznaczeniu,
Czuję krzyż długu — wypoczynku nie mam,
Obwiniam siebie, kruszę się w cierpieniu,
A cóż to wszystko obok przewinienia
Niespełnionego Bogu przyrzeczenia!

1844.

POŻEGNANIE MARIA-STEIN.

O Matko Boga naszego,
O królowo ludu mego!
Szedłem tu z wiarą — z wiarą odchodzę,
Że mnie wesprzesz w mej potrzebie,
Że wreszcie stanę przez Ciebie
Na bożej życia nowej drodze.

Kiedy się znajdę u celu?
Dzisiaj, czy po latach wielu?

Nie wiem — ale wiem, że się to stanie,
Bo tak stoi w bożej woli,
Bo mój duch tą żądzą boli
I woła: „Stań się wola Twa, Panie!“

Tylko Ty, boska Dziewico,
Wspieraj mnie Twoją prawicą,
Tylko, Maryja, Ty mi towarzysz...
Miejsca Ciebie nie niewolą,
Cały świat Twych cudów rolą,
Miłością Twoją cały świat darzysz.

Nie kościół, co ludzie czynią,
Najmilszą Tobie świątynią,
Ale duch ludzki, twór czysto boży;
Tylko dla brudu człowieka
Niebo z ludzkich serc ucieka,
A z głazów sobie przybytek tworzy.

O, zamieszkaj, jak władczyni,
W moim duchu, jak w świątyni —
Oczyść go, w godny Ciebie dom zamień
Niech za Twojej łaski sprawą
Promieni się bożą sławą
Dla dobra ludzi, jak ten, ot, kamień.

Żegnam cię, święta ustroni!
Moja powinność mnie goni
Do służby bliźnim. Odejść mi trzeba —
Ale odchodzę z żałobą,
Bo duch mój związał się z Tobą
Promieniem łaski, miłością nieba.

Tu on oczyszczonem wnętrzem
Odetchnął powietrzem świętszem,
Odżył rodzinnem życiem — był w niebie.
Odchodzę z żalem dziecięcia,
Jak z lubej matki objęcia,
A biorę miłość i cześć dla ciebie!

Chrześcijanin, dziecię boże,
I przed kamieniem się korzę,
Gdy nad nim promień boski zabłysnął —
I różdżką mojej miłości
Uderzam w głazu wnętrzności,
Byle zdrój życia z niego wytrysnął.

Żegnam cię, zacisze błogie:
Pobłogosław moją drogę,
A to mi w dalszem życiu pomoże
Tak każdego umiłować,
Tak się z każdym w jedność skować,
Przez kogo prawdy przechodzą boże.

MODLITWA W ROCZNICĘ BIESIADY NA GÓRZE ETZEL.

W dniu tym wielkim, w dniu tym świętym,
Kiedyś, Panie, w nowem prawie
Nad starej ziemi zamętem
Wywiódł wodza Twojej sprawie,

Gdyś przez męża tego, Panie,
Dał mu Twoje namaszczenie —
Wznosim do Ciebie wołanie,
Ducha naszego pragnienie:

O Ty, coś w wieków skrytości
Raczył nam wodza wychować,
W tej samej, Panie, miłości
Wojsko Twe na świat wyprowadź!

Niechaj Twój ten hufiec mały
W boży naród się rozmnoży,
I naród niech stanie cały,
Jak mąż jeden, jak mąż boży!

Stopieni w żądzy tej samej,
Jednem czuciem, jednym ruchem

I jednym głosem wołamy:
Owioń, przejmij nas Twym duchem!

Co w nas twarde, niechaj zmięknie,
Niech rozjaśnieje, co ciemne,
Co krępuje, niechaj pęknie,
Niech się wzniesie, co nikczemne,

Niech ożyje, co zamarte,
Niech w ostatniem Twojem kole
Złe nasze będzie przeparte —
Daj nam, daj nam Twoją wolę!

Nasza wolność — wola Twoja;
Twoja wola — nasza droga,
Nasza siła, nasza zbroja,
Nasza jedność w duchu Boga.

Nasza jedność z mężem Twoim
Twojem dzisiaj Słowem-Ciałem —
Dozwól, niech się nią napoim
I człowiekiem weźmiem całym —

I niechaj ją tak jawimy
Naszem życiem, o nasz Boże,
Jak ją przed sobą widzimy
W Twojem Słowie, naszym wzorze.

Niech z głębi ducha wołanie
Wstrząśnie już duchem każdego:
„Otom Twój żołnierz, o Panie!
Prowadź mię na wroga Twego!“ —

Aby wkrótce ziemia cała
Zagrzmiała w zwycięskiem pieniu:
„Nie nam, nie nam, Panie, chwała,
Ale Twojemu Imieniu!“

Bazylea, d. 1 października r. 1847.

CHRYSTUS PAN WZYWA SWEGO ŻOŁNIERZA...

Chrystus Pan wzywa Swego żołnierza,
Sztandar Swej sprawy jemu powierza:
„Czas mój jest blizko, bardzo już blizko,
Kto ze mną, zajmij twe stanowisko!

Z duszą ofiarną, w niebo wzniesioną,
Z chorągwią życia, w ziemię utkwioną,
Wierną mi dziatwę koło niej gromadź
I szyki złego zacznij już łomać!

Niechaj świt wyższej Słowa epoki
Przedrze już globu ziemskiego mroki —
Niechaj już Słowem, w ludziach widomem,
Powstaną z martwych nad mym ogromem!

Krzyżem ofiary mojej orężny,
Spółką braterską niebios potężny,
Idź śmiało, w trwodze tylko przed Bogiem —
Staw miłość moją nawet przed wrogiem!

Nie bój się tłumów brzydkich na oko:
Są one marną piekieł powłoką;
W ich ducha naprzód ciosy wymierzaj —
W ducha, nie w ciało, naprzód uderzaj —

Stawaj tak tylko, ażeby piekło
Przed twoim duchem czystym uciekło,
A wnet za wodzem żołnierze zbiegą,
Za panem piekła ziemski dwór jego.

Pokaż, że odtąd nie ziemska siła
Trony mocarzów będzie waliła,
Upadłe ludy wskrzeszać lub dźwigać
I los wiekowy ziemi rozstrzygać:

Pokaż, co wątłe ciało ma mocy,
Kiedy duch boży jest mu w pomocy —

By wróg zawołał, patrząc na ciebie:
„Jest Bóg na ziemi, jak jest na niebie!“
Bazylea, d. 1 października r. 1847.

SPÓR ANIOŁÓW.

Nie wiem, z jakiego powodu —
Podobno o klucz od ogrodu,
Gdzie pochowano Chrystusa zmarłego,
A gdzie Go ludzie chcą znaleźć żywego —
Powstała walka zaciekła,
I to między znaczniejszemi
Dygnitarzami piekła,
Bo każdy z nich dla głupiej ziemi
Pod tym płaszczykiem pierwszeństwo-by miał.
Sam tylko Arcyszatan z tej kłótni się śmiał.
Spór się ten odbił w niebie najniższem,
A przez to ziemi i piekieł najbliższem.
Niepełne jego anioły —
I anioły i ludzie na poły —
Jedni przez szczerą o ludzi gorliwość,
Inni przez nowin chciwość,
A inni rwani
Wirem ziemskich otchłani,
Więcej ciekawi, co się dzieje
W piekle, jak w niebie —
Sprawą piekła się zajęli
Więcej, niżeli powinni anieli.
Ten utrzymywał stronę Samiela,
Że Belzebuba pokona —
Ci Belzebuba znowu bronili,
Bo ma po sobie Mefistofela —
A inna znowu spierała się strona,
Że się Belzebub omyli,
Bo Mefistofel działa zawsze zdradnie,
I że Asmodej ofiarą padnie.
Zgoła, że w bardzo gorącym sposobie,
Zwłaszcza dla duchów tak wysokich grona,
Za każdym dyabłem znalazła się strona,

I wystąpiły w sporach przeciw sobie
W obronie piekła, jakby bożej sprawy.
A Szatan patrzał na to i w duchu się śmiał.
Szczęściem Jan Święty nadszedł na te wrzawy
I powodu ich dowiedzieć się chciał.
A, jak tylko się dowiedział,
Tak im w miłości powiedział:
„W tej sprawie żaden z was słuszności nié ma:
Widzi się ją tylko bożemi oczyma —
Końca tej walki wiedzieć nie możecie.
Może ich wszystkich Bóg za chwilę zgniecie.
Wszakże to dyabli — wiecie to sami —
Żaden z nich w prawdy obronie nie staje,
Prawda nie może być między dyabłami.
Wam się w tę sprawę mieszać nie przystoi,
Wam się zajmować nie piekłem, lecz wami!
Róbcie tylko dobrze waszą rzecz w niebie,
Postawcie tylko prawdę śród siebie,
Tylko się kochajcie wzajem,
Tylko wy bądźcie zgodni, doskonali.
Ażeby raj wasz został wiecznie rajem,
Ażebyście wy wiecznie w nim zostali,
Tem się troszczcie, tem się bawcie,
A losy dyabłów Bogu zostawcie".
Wkońcu zaś dodał z widocznym smutkiem:
„Otóż to, mili bracia, oto skutkiem,
Że w bożem kole jeszcze wam za ciasno
I z dawnej, grzesznej skłonności
Rzucacie nieraz waszą sferę jasną,
Aby się błąkać w dziedzinach ciemności.
Oto skutek, że dyabłów niebacznie
Pomiędzy siebie puszczacie,
Że się niebacznie z nimi zadajecie
I czasem chętniej, niźli z wybranymi.
Przestańcie tego, moi bracia mili,
Byście raju waszego w piekło nie zmienili;
Walczcie dla własnej wygranej,
A bożej woli zostawcie szatany!"

Nanterre, 1853.

DO DUCHA MEGO.

Duchu mój, wzmóż się! W wielkie imię boże!
Przez twej ojczyzny sprawę i cierpienia,
Przez twoje święte tutaj przeznaczenia,
Przez sprawę twego wiecznego zbawienia,
Wzmóż się, mój duchu! Bóg ci dopomoże!

Twoja bezwładność trwa już nazbyt długo,
Za nazbyt długo zły duch cię krępuje:
Patrz tam, na niego, jak się on raduje!
On pewny, że już z ciebie tryumfuje —
A Bóg twym Panem, czuwa nad swym sługą.

Zaufaj Jemu, udaj się do Niego —
Wszakżeś z Nim nigdy nie zerwał, z twym Panem!
Uderz o ziemię pokornem kolanem,
Zawołaj w niebo sercem zapłakanem —
Bóg ci dłoń poda, wyrwie z sieci złego.

Czas już, byś wrócił do swej dawnej mocy!
Wszystko cię wzywa, wszystko ciebie błaga:
I ta ojczyzna, którą piekło smaga,
I twoja słabość, co się coraz wzmaga,
Ten Bóg nakoniec, gotów ku pomocy.

Ożyj, mój duchu, przeszłem życiem błogiem,
Unieś się, duchu, dawnem uniesieniem —
Rozgorej znowu twym dawnym płomieniem,
Rzuć się ku Bogu starem poświęceniem:
Znajdziesz Go znowu, nie przestał być Bogiem.

Stań mocno w wierze, z nadzieją się ożeń,
Zwierz się miłości, niebios powiernicy,
A ten człowieka Anioł-Stróż trójlicy
Zerwie twe pęta, wywiedzie z ciemnicy:
Bóg mocen wyrwać z najgorszych położeń.

Odrzuć bezsilność, jak straszną bezbożność,
Wszelkim upadkiem człowieka upadnij,

Ale się w gnuśną bezczynność nie kładnij!
Wszelki grzech inny Bóg przebaczy snadniej;
Nigdy krzyż jego nie jest nad twą możność.

Rzuć się co żywo w pokorne błaganie!
Nie wyczerpałeś jeszcze w zdroju owym,
Jeszcześ nie spotniał potem ogrójcowym,
Jeszcześ nie omdlał mdleniem chrystusowem —
Omdlej, jak Chrystus, a twa moc powstanie!

Paryż,

POKÓJ I WOJNA.

Idea tej poezyi: Pokój! Wojna! — Dwa głosy wznoszą się dziś przed tron Boga. Bóg to rozstrzygnie. — „Wojny! Wojny!" — wołają ludy pokrzywdzone.

„Pokoju! Ach, pokoju! Trzeba nam pokoju!" —
Wołają ze wszech stron po dwóch latach boju,
Ze spienionym wściekłością pokoju językiem:
I któż to jest, co wstrząsa świat cały tym krzykiem?
Nie ci, co z poświęceniem wytrwale i zbrojnie
Stawili śród tej walki swoje piersi wojnie —
Nie ci, co, w każdej chwili odkryci wrogowi,
Żyli trudem, krew leli, paść trupem gotowi —
Ale tłuszcza, od trudów, od bojów daleka,
Co po boju odzienie z pobitych ciał zwleka
I, obca walce, tylko ze zwycięstw korzysta:
Oto najnikczemniejszy z nikczemnych bursista,
Barometr, co opada więcej, niż lód stygnie,
Ile się razy chwała narodu podźwignie —
A pędzi, pędzi z górą płyn swojego brudu,
Gdy pod policzkiem wroga spłoni się twarz ludu:
Oto handlarz wielkiego, małego kalibru,
Którego pierwszy pokłon codzienny jest srébru,
Złotu, a nawet miedzi ze stęplem mennicy,
Jako hostyi jego domowej kaplicy —
Któremu kramny stolik jest mszalnym ołtarzem,
Księga jego rachunków — mszałem i brewiarzem,
Chwilą modlitwy — chwila zręcznego oszustwa,
A kasa pełna — arką opatrznego bóstwa.

Oto nieszczęsna dusza, zaklęta w doktrynie,
Szczęśliwa, kiedy cały naród w hańbie zginie,
Radośna własną hańbą przez zemsty swej radość.
Naród zhańbiony? Ale jej zemście jest zadość.
Naród podły, jak ona? Korzyść oczywista!
Oto polityk — partacz, lokaj — żurnalista,
Dla którego jest rajem bankierów kieszenia,
Co z niej patrzy na wszystko, z niej wszystko ocenia!
. . . .

1855.

PIEŚŃ POGROBNA MICKIEWICZOWI.

Na kolana, Polsko cała!
Czoło w proch i na kolana —
I uderzaj pierś twą w skrusze!
Potęga boża zagrzmiała,
Nowy piorun światów Pana
Przeszył nawskróś twoją duszę,
Wziął ci jedno życie ze dna
I w świat ducha uniósł z sobą.
O Polsko nasza, wciąż biedna,
Zgasła znowu z twych gwiazd jedna:
Miejsce po niej pod żałobą
Niebo twoje cieniem plami,
Bo, ot — wieszcz twój nad wieszczami
Nie jest już pomiędzy nami,
Pomiędzy nami żywemi:
Zniknął nam z oblicza ziemi!

* * *

I pod jakim upadł gromem!
Błysku jego nie widziano,
Grzmotu jego nie słyszano —
Przemknął niebem niewidomem
I dopiero się objawił,
Gdy swe posłannictwo sprawił,
Kiedy po nim nie zostało,
Tylko martwe, zimne ciało!

A to ciało przez lat tyle
Był to mąż w proroka sile,
Co w tej sile w bożą chwilę
Wstał nowych czasów świtaniem
Na ciemnej Polski mogile
I, płomienny swem wezwaniem,
Tryskał i światłem i żarem,
I stał się Polski kochaniem
I bożym dla Polski darem;
Że, gdy uderzył w swe tony,
Zrywały się serc miliony,
Jak na pobudkę poranną —
I stawaliśmy się syci
Tą pieśnią, jak Izraelici
Na puszczy niebieską manną.
. . . .
Ale jakakolwiek była
Twoja potęga i siła,
Twój czar ziemski, twoja chwała —
I jakkolwiek nam bolesny
Twój skon, dla ciebie zawczesny —
Lutnia Polski znowu cała:
Struna, niebem nawiązana,
Wierna tonom niebios Pana,
Struna prawdy jej została,
Twoja śmierć jej nie zerwała:
Bo w tej strasznych sądów chwili,
Gdy się całe piekło sili
Duch mego ludu osłabić,
Zbłąkać go i w końcu zabić,
Jej to raczył Bóg powierzyć
Ze wszelkim fałszem się zmierzyć!
Ona bez trwogi wypowie
Fałsz — chociażby narodowi —
I wszelkiemu też fałszowi,
Co chce obłąkać lud boży,
Takie piętno bożą władzą
Na czole jego położy,
Że już go wieki nie zgładzą.

* * *

W strunę prawdy dziś uderzę,
A głos jej dojdzie do ciebie.
W jakiejkolwiek jesteś sferze,
Czy cię ogarnia podniebie,
Czy w cieniach błąkasz się smutnie,
Usłyszysz znaną ci lutnię.
. . . .
Wszak my się od wieków znamy,
Wszak jednego czasu bramy
Na tej ziemi w jednej chwili
Otwarły się dla nas obu;
Z jednego bożego żłobu
Myśmy w tym żywocie żyli –
Na temże polu bojowem,
Pod tymże sztandarem Boga
Łamaliśmy tegoż wroga
Jedną bronią, jednem słowem.
Razem byliśmy w przedsieni
Nowej świątyni ludzkości;
Myśmy wiekami przyszłości
W imię Boga połączeni —
Myśmy razem zwyciężali
I nieraz przegrali razem.
. . . .
A choć dzisiaj między nami
Śmierć granicznym leży głazem,
Lat kilka, kilka dni może —
A i ja ten głaz przekroczę
I przez mogiły zamrocze
Wypłynę na światło boże,
I znów się może znajdziemy
Oko w oko, duch przed duchem,
Pod myśli bożej łańcuchem
I przed Bogiem się sprawiemy
Z spólnego dni tych użytku.
. . . .
Które nam najwyższe sądy
Dały pod spólne zarządy.
Tam prawda na jaw wypłynie —
Niech wypływa w tej godzinie!

Co słowo boże wyrzekło
O twoim losie zagrobnym,
To wie niebo, albo piekło:
Nie nam, nie nam, lichym, drobnym,
Ślepym na koleje własne,
Mieć widzenie tego jasne
W naszym stanie tu powszednim;
Lecz i na naszym padole
Mamy prawo — bożą wolę —
Nieomylne w chrześcijan kole:
Wszyscyśmy pod niem i przed niém,
Według niego żyć powinni.
Według niego się widziemy,
Oceniamy i sądziemy,
Czyśmy winni lub niewinni.

Paryż 1855.

W TOBIE JEDNYM, BOŻE PANIE...

W tobie jednym, Boże Panie,
Składam całe me ufanie,
W tobie całą mą nadzieję:
Ni jej szatan nie zachwieje,

Boś ty moim twórcą, zbawcą,
Nieprzebranym łaskodawcą,
Bo od Ciebie tylko idzie
Zmiana w szczęściu, pomoc w biédzie —

Bo twej woli są poddani
Jak anieli, tak szatani...
W tobie jednym, o mój Panie,
Składam całe me ufanie!

1862.

POSŁANIE DO POLSKI.

I. NIEDOLA POLSKI.

W radości świat chrześcijański:
Świta nad ziemią rok nowy,
A ten rok nowy, rok Pański,
Rok zbawienia — Chrystusowy.

Odblask owego błyśnienia,
Którem się niebo otwarło
W chwili, gdy z bożego tchnienia
W pierś ludzkości obumarłą

Zeszło nowe, boże życie,
Najwyższe ludzkości słowo,
Duch-Zbawiciel, Maryi dziécię
Pod postacią Chrystusową —

Gdy w lichej stajenki żłobie
Zjawił się między bydlęty
Poraz pierwszy na tym globie
Bóg-człowiek, z najświętszych święty.

Nowy rok! Rocznego świtu,
Tej pieśni doroczne echo,
Co zabrzmiała z wieków szczytu
Dla dobrej woli pociechą.

W takiej chwili człowiek patrzy
Nowego od Boga daru:
Drogi swych przeznaczeń gładszéj,
Lżejszego dni swych ciężaru,

Powszedniego prawdy chleba,
Coby go nasycał więcej,
Widzianego bliżej nieba,
By kochać Boga goręcej.

A więc ją wita wesoły:
Świętą radością brzmią dzwony,

Świętym blaskiem lśnią kościoły,
W tryumfie boże miliony,

Oblubienicy poskokiem,
Z weselnym na sercu wieńcem,
Witają się z nowym rokiem,
Jak z żądanym oblubieńcem;

Świat cały rad sobie wzajem —
Życzeniami się obdziela
Człowiek z człowiekiem, kraj z krajem,
Świat cały domem wesela.

Tylko ty, Polsko, ty jedna,
O moja ojczyzno droga,
Stoisz samotna i biedna,
Jak odrzucona od Boga!...

Pozdrowienia tobie niéma
Ni duszy w dłoni podanej:
Kto przejdzie, zmierzy oczyma
Twoje królewskie łachmany

I nagle w ziemię wzrok chowa,
Jak winien złego uczynku --
Zniskąd ci dobrego słowa,
Serdecznego upominku.

Każdy obchodzi cię wkoło,
Stroniąc, jak od trędowatej,
I wstrząsa swej szaty połą,
Gdy dotknęła twojej szaty.

Takeś straszna w nędzy twojej,
Że ten nawet, co ci sprzyja,
Dzisiaj wydać z tem się boi —
Jak nieznaną ciebie mija;

Bo tu ziemię tylko ważą,
A twa ziemia, twa świątynia,

Pod złej mocy dzisiaj strażą,
I ruina i pustynia.

Tu możnych tylko biesiada,
A ty odarta z twych włości,
I ten, co je dziś posiada,
Zaproszony tutaj gości.

I gdy cały świat wesoły,
Gdy mu wszystkie grają dzwony,
Gdy mu otwarte kościoły,
Gdy go święte krzepią tony,

Tobie — zamiast bożych dzwonów
Pobrzękują twe kajdany,
A serca bitych milionów —
To dzisiaj twoje organy!...

A jeśli z twych ziem zalata
Jakiś głos śród gwaru tego,
To skarga pod chłostą kata,
Lub ryk „hurra“ piekielnego.

Świat też od ciebie ucieka
Z życzeniami uprzejmemi:
Twoja przeszłość tak daleka,
Że już niema jej na ziemi —

Twoja przyszłość tak wysoko,
Że jej lada wzrok nie dopnie,
A, co może objąć oko,
To się jawi tak okropnie!...

Bo krążący śród stworzenia
Wóz boży wieków anioła
Za swe wiekowe zboczenia
Strącił cię pod swoje koła:

Odtąd każdy rok po roku
Po twojem ciele przelata

I druzgocze cię w swym toku,
Jak mordercze koło kata.

Pod fatalnym ich przebiegiem
Twój tułów krwawy, zmiażdżony,
Bity, jak cepów szeregiem,
Pryska na wsze świata strony.

Zbryzgana nim ziemia cała —
Padły na wszystkie krainy
Odrywy twojego ciała,
Twoje rozproszone syny —

Popękały twe wiązadła —
Zgruchotane twoje kości,
Pierś na poły się rozpadła,
Rozpłynęły się wnętrzności —

Serce narodu olbrzymie
Prysnęło, jak szkło, i zmierzchło;
Wielkie narodowe imię
W krocie głosek się rozpierzchło,

Poszła w niebo dawna wiara,
Narodowy rozum zgłupiał,
Zgasła polska miłość stara,
Narodowy ogrom strupiał,

I wyłażą ze zgnilizny,
Jak brzydki robak grobowy,
Mnogie, a różne ojczyzny,
Różne wiary, różne mowy —

Rozpada się na plemiona,
Tak jedna niegdyś, rodzina
I śród matczynego łona
Już się bój bratni poczyna,

I każdy członek z osobna
Tryska krwią, lub żółcią zieje...

Ale czyż wydać podobna
W słowach obecne twe dzieje?...

A co klęsk pod nieba stropem,
Co plag w czarze bożej kary —
Wszystkie spływają potopem
Na ziemi twojej obszary:

Powodzie, pogorzeliska,
Smierć głodna, zarazy, mory,
I polsko-bójca, co wciska
W dłoń Polaka swe topory,

By własnych synów rękami
Krwawić pierś matki bolesnej,
A kto sroższy, tego plami
Piętnem swej cześci bezczesnej —

I gorsza od tych plag możność,
Której nazwa w piekłach: Pycha
Zmienna, jak czart — tu: Bezbożność,
Boga z praw Polski wypycha —

Tam, zwierzęco-bałwochwalcza,
Zna Boga tylko w dział paszczy —
To znów, podła i służalcza,
Mocarzom ziemskim się płaszczy.

Tam, bez wiary i sumienia,
Krzyż Chrystusa z serca strąca,
I chorągiew polską mienia
Na chorągiew pół-miesiąca,

Lub wylepia świętokradzko
Z Polski, z jej wiary, mamidła,
I łowi za tą zasadzką
Biedne dusze w swoje sidła.

W kolej harda — i nikczemnik,
Pełzająca — i zuchwalec,

Dumny pan — podły najemnik,
Świętoszek — czarta służalec,

Gdy jedną ręką zabija,
Co nam dni i czci zostawa —
Drugą sztandar swój rozwija
I woła: „Ja Polska prawa!“

I są nieszczęśliwi ciemni,
Co wierzą w owe widziadła,
I nieszczęśliwi nikczemni,
Co lgną na ten lep — dla jadła —

I najnieszczęśliwsi owi,
Co winniejsi, jak opryszki,
Mordować bliźnich gotowi,
Dla przystrojenia swej pyszki.

I taki huf, taki cały,
Ma podnieść między narody
Sztandar dawnej polskiej chwały
I przyszłej polskiej swobody!

Ma wyjść, jako spadkobierca
Starych Polaków wielkości —
Ma pozyskać Polsce serca
Najszlachetniejsze w ludzkości!

Ma jej winną przeszłość zmazać
I nowym, żywym dowodem
Bogu i światu okazać,
Że Polska bożym narodem!

O plago, jak żadna plaga
Między wszystkiemi wszechstworzeń!
Wszelka inna z zewnątrz smaga —
Ta w narodzie ma swój korzeń.

Plaga boża, chłoszcząc ziemię,
Tępi zło, oczyszcza z niego —

Ta — piekielne mnoży plemię,
Gorsze jedno od drugiego.

I gdyby Bóg w swej miłości
Dla tych, co mu zaufali,
Nie zhamował w końcu złości,
Nie zakazał jej iść daléj,

To z owej Polski dwójmorzej
Byłby wielki tułów ścierwi,
A z owej niegdyś półbożej,
Tylko wielkie gniazdo czerwi!...

Nie dziw, że to widowisko,
Jakie światu dziś dajemy,
Obraca nas w pośmiewisko,
A w dobrych budzi żal niemy.

Nie dziw, żeśmy poczytani,
Jako bezbożne narzędzie,
Jak zbywca swej krwi, tak tani,
Że ją, kto zechce, nabędzie.

Nie dziw, że nasz wróg, tak silny,
Z naszych się miotań urąga,
I pomoc ręki przychylnej
Z taką łatwością powściąga —

Że sam Pan Bóg do tej chwili
Ścieśnia coraz nasze pole,
Plany robót naszych myli,
Zwraca przeciw nam swą wolę.

Nie dziw, że i ty, o matko,
Nad wszystko nam ukochana,
Stoisz śród świata zagadką,
Skrwawiona, jak świeża rana,

I nie śmiesz przestąpić progu,
Dzielić ucztę ludów dzietną.

Ach! Jesteś wdową po Bogu,
Masz-że być wdową bezdzietną?

Zmoro straszna! Zagiń oku
Pod zgasłych wieków żałobą!
Zagiń w wiekach, stary roku!
Nie byłeś nam bożą dobą.

II. DUCH POLSKI I WIERNI JEMU.

Duchu niebieski mej ojczystej ziemi,
Co się promienisz i w nas i nad nami
Naszych naddziadów duchami wielkiemi,
Naszej przeszłości wielkiemi chwilami!

Pod jakiemkolwiek licem znamy ciebie,
Czyś myślą bożą, czy aniołem-stróżem,
Czy gwiazdą świętą na Polaka niebie —
Ty duch, któremu my za ciało służym,

Ty z łaski bożej Polski gospodynem,
Matką nadziemską w Polaków rodzinie,
Czystej miłości ogniskiem jedynem,
Zdrojem, skąd życie i światło nam płynie!

Otwórz się, duchu, otwórz się przede mną!
Moją ohydę i moje boleści
Rzuciłem wszystkie w obecność nikczemną,
Rzuciłem złemu, co nas dziś bezcześci,

I oto stoję u twojego proga,
Bym posiał w przyszłość blizką lub daleką,
Co mam w mej duszy z wielkiej łaski Boga!
O duchu Polski, przyjdź mi z twą opieką,

Aby mój naród wziął rychło i łatwo,
Czem pragnę jego dobrej woli służyć.
Zło, które broi między twoją dziatwą,
Nie mogło całkiem twojej władzy zburzyć,

Ani tej świętej nici nie zerwało,
Która ich dusze w związku z tobą trzyma:
Posiada ziemię, posiada ich ciało,
Bożej ich iskry w swojej mocy nié ma.

A choć ty jesteś wzniesion tak wysoko,
A Polska w swoim upadku tak nizka
A taką grubą okryta pomroką —
Wszakże jej sięga żar twego ogniska.

I śród niewiernych masz tych, co ci wierni,
Przy twych promieniach swoje serca grzeją,
Rosną pod niemi śród chwastów i cierni
I — przyjdzie chwila — w boży plon dojrzeją.

W nich, duchu Polski, masz ową rodzinę,
Co żywym polskim łańcuchem
Wiąże z niebieską — ziemską twą dziedzinę,
Twoje ciało — z tobą, duchem.

W ich sercach czystych, zoranych przez bole,
Twych przeszłych wieków świętości
Mają już sprawną, kiełkującą rolę
Rozrosłym plonem przyszłości

W nich masz te pszczółki, co, zbite rojem,
Gdy chór trutniów gra i hula,
One, przy sercu grzejąc się twojem,
Przybierają się do ula —

I, kiedy trutnie przepadną marnie,
Rój ocalony zostanie
I gospodarstwo ula ogarnie
Za wierne przy matce trwanie.

Ten to lud bożej, a nie swojej woli,
Wierzący miłości bożej,
Do niej ucieka we wszelkiej doli
I najsroższą się nie trwoży.

Mądry ofiary kornej podaniem,
Świętą po dziadach spuścizną,
Zna słowo boże, leżące na nim,
Żyje prawdziwą ojczyzną.

Nie bije o nią czołem nikomu,
Krwi swej na oślep nie leje,
Ani się wkrada do swego domu,
Jak się wkradają złodzieje;

Sprawy swej chytrze w obce nie wszywa,
Ani jej obcemi łata:
Ona mu z jednej sztuki i żywa,
Jak była Chrystusa szata.

Wierzy on, że nam wszyscy pomogą,
Gdy się Bóg pokaże z nami,
Ale nie będzie wprzęgał nikogo
W swoje jarzmo podstępami,

Ale się na to nigdy nie zgodzi,
Ażeby nas kłamstwo wzięło,
Bo wie, że w jego robocie chodzi
O samego Boga dzieło.

W tej części dzieła i sam nie kłamie
I oszustów się nie lęka:
Wszystkiem dla niego jest boże ramię,
A zawodna ludzka ręka.

Wierzy on jeszcze, że mimo Boga
Ziemi naszej nie posiędziem,
I że na starcie naszego wroga
My pierwszem bożem narzędziem:

Stąd ma wytkniętą prostą swą drogę
Pośród rozumu manowców,
I stawia na niej bezpieczną nogę,
Nie troszcząc się sidłem łowców.

Pierś jego czysta światu odkryta —
Nagość jej prawda oświeca;
Niechaj w jej głębi cały świat czyta —
A resztę Bogu poleca,

Gotów, gdy chwilę walk dla świętej sprawy
Zegar niebieski wydzwoni,
Rzucić swe wszystko na stos ofiar krwawy,
Bo, co ma, to z Boga dłoni.

Taki jest lud twój, taki chór strażniczy
Żywotnego Polski słowa:
Niebieski ogień z ojców on dziedziczy
I święcie w piersiach go chowa.

Lecz i on dzisiaj śród tej nocy grubej
Złego, co ciśnie w domu i za domem,
Jest wystawiony na tak ciężkie próby,
Że może upaść pod tym zła ogromem,

On, podwalina naszego istnienia!...
Dla tych to braci przed innymi braćmi
Winny być trwogi polskie i życzenia.
O! Niech noc piekła nieba w nich nie zaćmi!

Ta chwila ważna nowych czasów dnienia,
Jak owa chwila krzyżowej ofiary,
Drogę człowieka w dobrą lub złą zmienia,
Może mu przynieść łaski albo kary.

W woli człowieka, w jego wolnej woli
Leży: począć rok boży lub nieboży;
Nie z Boga lata chłosty i niedoli:
Człowiek je sobie własną winą tworzy!

O duchu Polski! Bądź śród twego ludu,
Niech się rozbije groźna dziś pokusa
O jego życie ofiary i trudu,
Jak się rozbiła o mękę Chrystusa.

III. TAJEMNICZOŚĆ SPRAWY POLSKIEJ.

Oto świat w wojny pożarze
Roi się orężną zgrają:
Najwięksi ziemi mocarze
Przeciw sobie się rzucają.

Walka prawie bezprzykładna,
A stoi w miejscu, jak wryta:
Dotąd nie wie strony żadna,
Czy zwycięzka — czy pobita?

Ponad całe bojowisko,
Pośród stron walczących obu,
Podnosi się stanowisko
Tajemnicze, jak noc grobu.

Ono tylko, ono jedno
Panuje temu bojowi:
Najzuchwalsi przed nim bledną,
Raczej złożyć broń gotowi,

Aniżeli się odważyć
Na wzgórza tego zdobycie
I chorągiew swą skojarzyć
Z krzyżem, co na jego szczycie.

Według sumień winnych wiary
Mogłoby to z miejsc pokuty
Wywołać widziadło mary,
Ducha, który, tam zakuty,

Czeka z bożego wyroku
Na chorągiew ludu — brata,
Aby wyjść z otchłani mroku
Z nowym porządkiem dla świata.

Lecz być tym bratem któż pragnie?
Dla jednych jesteś złudzeniem,

Błędnym płomykiem na bagnie —
Dla innych ty ich sumieniem,

Krwią niewinną tak zbroczonem
I splamionem przez krzywd tyle,
Że cię, zdusiwszy swem łonem,
Pogrzebli tam, jak w mogile;

Teraz rozważni morderce
Poruszyć się ciebie boją,
Aby nie pękło im serce,
Mózg nie prysnął pod krwią twoją.

Dla wielu tyś tylko dymem,
Co z węgla kilku serc wzlata —
Dla wielu cieniem olbrzymem
Przedmiotu nie z tego świata —

W innej chwili jesteś trupem,
Którym straszą siebie wrogi,
Póki wzajemnym okupem
Spólnej nie zbędą się trwogi —

A dla wszystkich tyś widziadło,
Co nad dwóch czasów granicą,
We mgłach zaświata usiadło
Straszną jakąś tajemnicą.

Świat patrzy w ciebie ze wstrętem:
— Czem cię nazwać? — Pyta w gniewie —
Czy czemś świętem? Czy przeklętem?
Co z tobą począć? — Sam nie wie.

Darmo cię grzebie i grzebie,
Stoisz mu wciąż przed oczyma;
Darmo woła, że dla ciebie
Miejsca już na ziemi niéma —

Wszakże i w najkrwawszym sporze
Nikt twego miejsca nie bierze;

Nie bierze — i wziąść nie może,
Niebo i piekło go strzeże,

Bo Przedwieczny, co nie zmienia
Planu, który raz zakréśli,
W chwili twojego stworzenia
Natchnął cię jedną z swych myśli

I sam ci na ziemskim planie
Wytknął twojej pracy pole
I strzedz jego nie przestanie,
Aż, przeszedłszy śmierci bole,

Wskrzeszony święty twój zawód
Życiem swojem uwydatni,
Jakim być ma boży naród,
Naród, Chrystusowi bratni.

IV. POLSKA BEZ DUCHA POLSKI.

Duchu Polski, ty wysoko,
Może gdzieś tam u podniebi —
A zło, strojne twą powłoką,
Twą własność dla piekła trzebi.

Kłamanem prawem gospodarz,
W twe imię domem twym władnie,
Przejmuje, co twoim podasz,
I przetwarza albo kradnie.

Serca, wiekami orane,
Narodowych ofiar żniwa
Niszczy, kala — i skalane
Chwastem jałowym zasiéwa.

Twe dziewice, twe młodzieńce
Morzy w samym ich zarodku,
A w ich miejsce masz odmieńce
Jego własnego rozpłodku.

Co nie skalał — to rozpędza,
I w ogień i w wodę miota;
W domu niewola i nędza,
A przed obcymi sromota.

Patrz, jak pędzą, owiec rzeszą,
W zawód do zguby, kto skorszy:
Nieprzyjaciele się cieszą,
A druh smuci się lub gorszy.

Duch to obcy, duch kłamliwy,
Co wziął twe pozory święte,
Wyprawia te wszyskie dziwy!...
A tu dzieło twe napięte!

Ale bez ciebie w twem dziele
Twój syn — naród nic nie sprawi:
Może walczyć, cierpieć wiele,
Wszakże tem się nie wybawi.

Powierzy się wszystkim drogom,
A tylko prawdziwa pusta;
Odda serce wszytkim bogom,
Bogu bogów — ledwo usta.

W kołach narad tylko zwada,
W wykonaniu szał i nierząd,
Bo bez ciebie syn twój spada
W szereg zwierząt — niżej zwierząt.

To też wloką go wypadki,
Jako powróz, niby czynnym,
W rzeczy, jak bydle na jatki,
Na pastwę narodom innym.

Bez ciebie — ziemia mu bóstwem,
Bodźcem — pycha lub rachuba,
Piękny cel — pięknem oszustwem,
A kres ostateczny — zguba.

Widzieliśmy, ach, widzieli
Nieszczęśliwych samozwańców,
Co świętokradzko stanęli
W urzędzie twych pomazańców:

Niepoświęceni twem tchnieniem,
Ufni w ofierze zwierzęcej,
Padli pod świętem brzemieniem,
Padli — by nie powstać więcej.

Bóg pokazał nam w tę porę,
Co widziano w Izraelu,
Gdy ów świętokradzki Kore
Zapadł w ziemię, a z nim wielu.

I nas z Egiptu wyrwano,
I my idziem przez pustynię
Posiąść ziemię obiecaną,
Która nowem życiem płynie.

A ty, aniele ojczysty,
Ty, coś wiódł nas przed wiekami,
I, jak byt nasz wiekuisty,
Tak do końca będziesz z nami —

Ty nam kolumną promienną,
Ty masz być obłokiem chwały,
Co strażą nocną i dzienną
Nad Izraelem czuwały,

By Chrystus, nasz pan nad pany,
Obecny w tobie, jak w niebie,
Tobą, jak szatą, odziany,
Gościł pośród nas przez ciebie.

Wszystkie struny w sercu twojem
Do serc polskich milionów,
Gdy ty zagrasz — polskim strojem
Ozwą się miliony tonów.

Twem jest wszelkie nasze łono:
Byleś tchnął niebem jarzącem,
Wszystkie polskie piersi spłoną,
I naród wybuchnie słońcem

I stawi się jednym mężem
Na polu walk Chrystusowem,
Z niepokonanym orężem,
Z Duchem Bożym, z Bożem Słowem.

Lecz pokąd ty twemu ciału
Jesteś władzą jakby obcą,
Naród jest lampą z kryształu,
Którą niedogarki kopcą;

Naród — jak w letargu człowiek:
Z ust dech się niby wije,
Ale śmierć siedzi u powiek,
I nie umarł — i nie żyje.

A gdy, wolny od pęt ciała
W lotach ducha po swym bycie,
Mniema że żyje, że działa —
Biedny, on tylko śni życie.

W nim tak mało życia, czucia,
Że — choć się ciało już psuje,
I choć woń tego zepsucia
Wszyscy czują — on nie czuje.

V. POSŁANNICTWO POLSKI.

O moja droga ojczyzno!
Bije w ciebie strzałów wiele,
Ale się wszystkie prześlizną,
Jak po duchu — po twem ciele,

Gdy przywdziejesz twoją zbroję,
Którą tobie niebo dało:

Twój duch — uzbrojenie twoje:
Weź je w ciało i na ciało.

Otwórz się duchowi twemu,
Rozpal w sobie jego płomień,
Daj się cała strawić jemu,
Jego blaskiem się opromień,

W jednę całość z nim się zamień:
Jego boskie pochodzenie
Zmieni cię w miłości kamień,
Co skruszy wszystkie kamienie —

Da tobie puklerz ofiarny
Którym wszelki cios odbijesz —
Spadnie z ciebie twój krzyż czarny,
Nieśmiertelnością ożyjesz —

Lecz nie błąkaj się już dłużej,
Jak upiór, między ludami:
Niech twa gwiazda się rozchmurzy
Pomiędzy ludów gwiazdami.

W epoce nowej, co dnieje
Nowego dnia wieków brzaskiem,
Niech i ona zajaśnieje
Nad ludzkości niebios blaskiem.

Na to czeka, tego żąda
Wierne Bogu serce wszelkie,
Na twój sztandar się ogląda,
Widzi w tobie zbawicielkę.

Słyszysz, jak w tym świata gwarze
Wzbija się okrzyk chwilami:
„Podnieś się, polski sztandarze,
A zwycięstwo nad złem z nami!“

W głosie ludów boże głosy —
Serca ich czują, czem bolą;

Twój los rozstrzyga ich losy,
Twoja dola jest ich dolą.

Nie myli się wzrok ich wnętrza:
Z niebios tobie jest podana
Twoja chorągiew najświętsza,
A przy niej pewna wygrana.

Nie dla przeszłych wielkich czynów,
Co już poszły wieków drogą —
Nie dla mocy twoich synów,
Którą większe złamać mogą —

Nie dla twoich praw dziedzicznych
Do pradziadów ziemi nagiej —
Nie dla względów politycznych
Równowagi lub przewagi

Jesteś ty sztandarem owym,
Co wszystkie Bogu ukorzy —
Lecz, że jesteś Chrystusowym
I stoisz na woli bożej.

Polsko — twa sprawa jest sprawą
Chrystusowego dziś dzieła,
I Chrystusa raną krwawą
Na twoim duchu spoczęła.

Twój krzyż biały narodowy,
Na krzyżu światów wszczepiony,
Twą ofiarą Chrystusowy,
Wyda światu niebios plony.

Tyś pierwsza wezwana ożyć
Miłością z bożego rodu,
I pierwsza w sobie utworzyć
Wielkie braterstwo narodu.

Ty się pierwsza masz oczyścić
Z nizkości, z przeszłości brudów;

Pierwsza masz tę przyszłość ziścić
Którą Bóg chowa dla ludów.

Tobie najwyższe wyroki
Dały prawdę, choć nie nową,
Lecz prawdę nowej epoki,
Mnogim wiekom boże Słowo.

Ty masz wyższy zakon boski
Odkryć przed świata obliczem
Nie przez martwe pisma głoski,
Ale życiem ofiarniczem.

Ty masz ogniwem widomem
Błysnąć śród tego łańcucha,
Co z widnym globu ogromem
Łączy wyższe światy ducha,

Byś pierwszą była najszczerszą
Dla ziemi prawd bożych księgą,
By ją Bóg przez ciebie pierwszą
Obdarzał życia potęgą —

Aby nurtem twego łoża
Szły przez wieki, jako rzeka,
Boża wola, łaska boża,
Wolność i szczęście człowieka.

I są, co to odgadują:
Więc serdeczne swe spojrzenia
Ku tobie stale kierują,
Jak ku chorągwi wskrzeszenia,

Jak ku gwiaździe, co ich statki
Zaprowadzi do ostoi,
Jak ku słońcu tej zagadki,
Co dziś ludzkość niepokoi...

O, dlatego sercem całem
I duszą modlę się całą:

Sławo Polski, stań się ciałem!
Duchu Polski, wejdź w twe ciało!

VI. POLSKA WSKRZESZONA.

Polsko, obudź się twym Bogiem,
Obudź Bogiem ciało twoje!
Oto Chrystus Pan za progiem
Puka, jak gość, w twe podwoje...

Przyjmij go otwartem czuciem,
A cała klęsk i plag fala
Zniknie razem ze zepsuciem,
Które ogień ich wypala.

Dom twój stanie oczyszczony
I mocniejszy i piękniejszy,
Nowym chrztem ducha ochrzczony,
Ciebie i Boga godniejszy.

Wierny tobie, twój Zbawiciel
Trzyma nitkę twojej wiary;
Dzisiaj stoi, jak wskrzesiciel,
U otworu twej pieczary.

„Wyjdź, Łazarzu!“ — woła na cię;
O powstań, wynijdź, Łazarzu,
A szmata grobu po szmacie,
Opadną na twym cmentarzu.

Nieczyste obwiązki pękną,
W których złe cię pogrzebało,
Wstaniesz znowu niebem piękną,
Silną ciałem, zmartwychwstałą.

Tylko usłysz to wołanie,
Tylko przyjmij nowe życie,
Tylko przez twe zmartwychwstanie
Przyświadcz Bogu, żeś mu dziécię.

Nie na to byłaś stworzona,
Abyś marnie dziś zginęła:
Co wyszło z bożego łona,
Ma trwałość bożego dzieła.

Powołanie twoje święte
Śród ludzkości czeka ciebie;
Chociaż na ziemi przecięte,
Czeka cię złożone w niebie,

Byś je wzięła na twym grobie
I z nim w obec świata wstała,
Duch boży nad tobą, w tobie —
Przed tobą żywot i chwała.

Przed tobą krzyż powinności,
Życie niebem ziemi dłużne:
Bo, gdy duch nad ziemią gości,
Twe miejsce na ziemi próżne.

Jak zagadka zagrobowa,
Trwoży i mąci umysły,
Jakby od niej, od jej słowa
Losy narodów zawisły.

O matko nasza! O, ożyj
Wyższem życiem, w wyższej krasie!
Powstań w wyższej sile bożej,
Póki czas twój w bożym czasie.

Kto ma ku słuchaniu ucho,
O, ten dosłyszy anioła,
Co przez puszczę świata głuchą
Idzie lat tyle i woła:

„Czasy jedne się spełniły,
A nadchodzą nowe czasy:
Większe dobre i złe siły
Pójdą o ziemię w zapasy.

„Niebo bliższe, miłościwsze,
A z niebem spływa na ziemię
Czystsza miłość, życie żywsze
I ofiary wyższej brzemię.

„Dla ofiar z wyższej miłości
Trzeba serca według nieba,
Dla usłużenia ludzkości —
Ofiarnika-ludu trzeba.

„Na plac walki, gdzie się zmierza
Stary kłamca z prawdą nową,
Potrzeba ludu-żołnierza
Pod chorągwią Chrystusową!

„Polsko! Pod nowem przymierzem
Ty mojem sercem-narodem,
Moim kapłanem-rycerzem,
Ty pierwszym sługą. — Idź przodem!“

Naprzód, Polsko, w imię boże:
Bóg w tym głosie woła ciebie!
Rzuć letargu twego łoże,
Wystąp ku świętej potrzebie.

Wystąp, a boża opieka
Osłoni cię wśród walk burzy;
Bóg i ludzkość na to czeka —
Nie ociągaj się już dłużéj!

Podnieś nad ziemię ciemięstwa,
Przez twe czyny ofiarnicze,
Znak krzyża, godło zwycięstwa —
Odkryj prawe twe oblicze.

Krnąbrne syny twe upokorz,
Rozbitych po ziemskiej kuli
Zgromadź i przytul, jak kokosz
Spłoszone pisklęta tuli.

Przez miłość, z niebios ci daną,
A żywą, ludzką i czerstwą,
Twą rodzinę, w jedność zlaną,
Rozpłódź w powszechne braterstwo,

Aby myśl narodu boża,
Rozżarzona duszą laszą,
Zapałała, jako zorza
Niebieska, nad ziemią naszą,

Aby od końca do końca
Błysła Polska niebios brzaskiem,
Aby do niej, jak do słońca,
Jak za ciepłem, jak za blaskiem,

Zbiegły się w zgodnym nacisku
Pobratnie Słowian gromady
I przy wspólnym już ognisku
Siadły do bratniej biesiady,

Aby z sercami jednemi
Szły już odtąd obok siebie
Jednym narodem na ziemi,
A jednym chórem na niebie!

Daj to, Panie! Gdy dasz, Panie,
Jedno mi tylko pragnienie,
Jedno, o Polsko, zostanie:
Dzielić twoje odkupienie.

VII. MODLITWA WIESZCZA.

Daj to, o Panie, dawco dobra wszelakiego!
Stąd przedewszystkiem sobie, u tronu swojego
To moje narodowe czucie dozwól złożyć
I racz je w swej dobroci poświęcić, rozmnożyć!
Ja, proch z najlichszych prochów — i mój hołd jest niczem
Przed Twojem, nieobjętem niebami, obliczem,
A choćbym, jako naród, oddawał ci chwałę,

Co przed Tobą narody, co są globy całe?
Nie skalą objętości mierzysz Twoje twory,
Lecz ogniem ich miłości, szczerością pokory.
I na tę miarę jam proch tak duchem, jak ciałem,
Alem chciał kochać, ale, jak mogłem, kochałem.
Czując Ciebie najsilniej pod duszą ojczystą,
Jej miłością żarzyłem moją miłość czystą;
Wpijałem się w mą Polskę i ciałem i duchem,
Żyłem jej życiem, drgałem każdym prawym ruchem,
Dzieliłem mej ojczyzny wszelkie przeznaczenia,
Przejmowałem jej wszystkie czucia, krom zwątpienia —
Ale nie odepchnąłem żadnego cierpienia,
Podstawiałem mą duszę pod wszelką jej karę:
Jej łzy, jej krew zlewałem w me serce, jak w czarę,
Wszelki jej jęk męczeński chwytałem w me łono
I wiązałem na duszę strunę wyprężoną,
Gromadziłem do ducha iskry Twojej wiary,
Które z niego krzesały Twe łaski lub kary...
Jam proch, Panie — lecz z duchem, który Ciebie kocha;
Jam proch, lecz z sercem, w którem płacz narodu szlocha;
Jam proch, lecz krwią pokutną przesiąkły, zmiękczony,
Z lutnią w piersiach, na których jęczą miliony,
A jasny nieśmiertelną iskrą Twej miłości,
Jak to wiesz Ty, co widzisz tworów Twej wnętrzności.
To też, Panie, na nicość moją nie uważaj,
Ani się tą ofiarą lichą nie obrażaj,
Lecz jej w swojej wielkości pobłogosław, Panie,
I racz przyjąć to moje a polskie wołanie:
Staw się w tych czasach łaski, staw się, miłosierny,
Ludowi, co Ci przetrwał śród prób tylu wierny,
Rozprósz te chmury fałszów, co go, jak straż, strzegą,
Niech prawda nowych wieków przedrze się do niego
Z tem życiem i z tem światłem, w któreś ją uzbroił,
By się do niej duch ludu co rychlej dostroił,
By zobaczył, by dotknął, że jesteś z nim, Boże,
Bliżej i pewniej, niżli kiedykolwiek może,
By w tej wierze, wrogowi, co go uciemięża,
Pokazał to miłością lub ostrzem oręża.
Zlituj się już nad tymi, co litości godni
I nie chłostaj ich więcej dla tych, co wyrodni,

A i takim bądź raczej łaskawy, niż srogi,
Bo nie wiedzą, co czynią, gdzie wiodą ich drogi.
Wszakże, o Panie, gdyby przez ich złość upartą
Twa prawda na mej ziemi miała być zatartą,
Twoje światło zgaszone, zdmuchnione Twe tchnienie,
I lud cały na wieczne miał pójść zaginienie —
Wtedy, o Panie, prosim — gromu prawa użyj!
Niechaj życie pod śmiercią nie miota się dłużej,
Niech pęknie nad twym ludem dusząca go warstwa
Ze skorup.samolubstwa, z mózgów niedowiarstwa,
Z umysłów, najeżonych żądzą górowania,
Z sumień zeszarzanych, z piersi bez kochania,
Ze sideł przewrotności, ze śmieci służalstwa,
Z czół, dumnych swym bezwstydem, z bożyszcz bałwo-
chwalstwa
Wybaw ducha polskiego, ziemię polską od niej,
Strzaskaj tę warstwę, przeorz choćby Twoim gromem,
Rozmiękcz Twoją miłością, Twem słowem zapłodnij,
I sam już odtąd władaj Twoim polskim domem!
Niech przed Twojem obliczem padną w proch bałwany
Tych władz, co walczą w Polsce o stolicę Twoją;
Niech płomień gniewu Twego spali te łachmany,
Co pozorem sztandarów polskich Polskę dwoją:
Twój tylko sztandar wszystkie przeciwne nam zmoże —
Ten sztandar już nam podnieś nad Polską, o Boże!
Jedna nam władza: Twoja łaska ją stanowi;
Tę władzę postaw, pokaż Twojemu ludowi —
Otwórz oczy ludowi, ażeby zobaczył
Dobro, któreś od wieków obmyślić mu raczył.

O Boże Izraela, coś przez lat czterdzieści
Prowadził go koleją zwycięstw i boleści
Po pustyniach bezdrożnych w obiecaną ziemię,
Coś potem niósł przez wieki krnąbrne jego plemię,
I o świcie dni nowych w poziomej stajence
Zwierzył go na chód dalszy w Chrystusowe ręce,
Oto dzisiaj, Izrael nowego przymierza.
Lud Polski do swej ziemi obiecanej zmierza:
Nie opuszczaj go, Panie, wzmacniaj Twoją łaską,
Wiedź go jeszcze, jak dotąd wiodłeś, Twą opaską,

Aż, pożywszy dane mu słowo życia błogie,
Zdoła w sile młodzieńczej odbywać swą drogę!
Krzep go, ażeby Twoje gwałcone wyroki
Nie zwaliły nań krzyża czarnego epoki,
Jaki spadł na starszego Twego Izraela,
Gdy się zgorszył miłością swego Zbawiciela —
A oto rok ten może być rokiem wesela!
A ja, co dziś te modły ku Tobie podnoszę,
Choćby o chwilę w uczcie mego ludu proszę!

Pójdzie przed nami muzyką bojową
I, jako odgłos niebieskich podwoi,
Będzie nas wiodła ku dziedzinie swojéj
Świętych walk krwawym i zwycięskim szlakiem.
Zaczem wieszcz taki zagra hymnem takim,
Niechaj mi Maryo twa dobroć dozwoli
Podnieść pieśń cichszą — na lirze niedoli.

WYIMKI Z POEMATU:

BOGARODZICA.

Z CZĘŚCI PIERWSZEJ.

(POCZĄTEK.)

Bogarodzico, dziewico,
Przeczysta oblubienico
Boga-ojca stworzyciela,
Matko Boga-zbawiciela!

. . . .

Tem przenajświętszem imieniem
Lud-niemowlę Chrystusowe
Rozwiązywał ust swych mowę —
Tego hymnu świętem pieniem
Polska, Chrystusowe dziécię,
Kołysała swoje życie
Przyszłe, wielkie, narodowe —
Polska-rycerz tych słów dźwiękiem
Odzwaniała walk swych pola.
Długo potem lud-niedola

Spiewał tylko bolów jękiem:
Z duchem Polski, co go rzucił,
I spiew jego uświęcony
Ucichł, jak gdyby powrócił
W natchnienia swojego strony —
A, kiedy echem tułaczem
Na nasz padoł się przybłąkał,
Lud-żebrak chwytał go płaczem
I u progu niebios jąkał:
„Maryo, nadziejo jedyna,
Błagamy cię, usłysz nas!
Uproś u twojego syna,
Niech już nam zeszle swój czas!“
Syn rodzony mego ludu
I przez wspólność pochodzenia,
I przez spólne przeznaczenia,
I przez spólne zawinienia,
I łańcuchem tegoż trudu
Razem z nim oddawna wkuty
Do jarzma ciężkiej pokuty,
Dręczony jego potrzebą,
Razem z nim w ciebie wierzący,
Razem z nim wznosiłem w niebo
O czas boży głos żebrzący.

I otośmy wysłuchani:
Chrystus się ku nam przychyla,
Nowem nas życiem zasila...
Dzięki tobie, nasza pani!
Twojej-to łaski cud świeży,
Nowa-to dla świata chwila,
Nowy-ć od nas hymn należy:
On z ziemi zabrzmi aż w niebie
Na skrzydłach naszych dziękczynień,
Dusze nasze Bogu złoży
Czyste od naszych zawinień,
Uwielbi godnie dar boży
I wzniesie prośbę do ciebie,

Byśmy, twoją łaską wsparci,
Pokazali się go warci,
Przyjęli go w bożej chwili,
W myśl najwyższą w nim ożyli,
Zamienili się weń cali
I Bogu z lichwą oddali.
On uderzy w zegar Pański
Na ów czas — z win się pokajać,
Ująć swój krzyż chrześcijański,
W miłościach się nie rozdwajać,
A Bogu dać serce całe,
Z całych sił go umiłować,
I na wieczną jego chwałę
Wiecznie mu się ofiarować —
W prawdzie życia się pokazać,
A tem przeszłe kłamstwa zmazać,
Stanąć przed Bogiem czystymi,
Jak świecznik ludów olbrzymi,
I słońcem ojczystej myśli
I wielkich ojczystych czynów
Poprowadzić bożych synów
Drogą, którą Bóg im kréśli.

Zaczem Bóg poda słowo takiej pieśni
I wzbudzi wieszcza, co ją ucieleśni,
Co, uzbrojony dźwiękiem arfy Pańskiej,
Stworzy dla całej gromady słowiańskiej
Bogarodzicę, nowym czasem nową,
Bogarodzicę, która jeszcze świętsza,
Epoką wyższa; postawi jej słowo,
Zwiąże niem w Polsce wszystkich Słowian wnętrza,
Pójdzie przed nami muzyką bojową
I, jako odgłos niebieskich podwoi,
Będzie nas wiodła ku dziedzinie swojéj
Świętych walk krwawym i zwycięskim szlakiem.
Zaczem wieszcz taki zagra hymnem takim,
Niechaj mi Maryo twa dobroć dozwoli
Podnieść pieśń cichszą — na lirze niedoli.

Nie przystrojony kapłańskim ornatem,
Nie w twych urzędów przepychu i pysze
Staję, o pani, przed twym majestatem;
Kadzielnicą ci złotą nie kołyszę,
Nie mam brylantów, ni pereł, ni złota
Na dyademy, na szaty, na wota —
Nie chcę cię oćmić woniami kadzideł,
Nie chcę cię olśnić błyskami świecideł,
Nie! Ja upadam przed stopami twémi,
Jak najuboższy między ubogimi,
Bo oto nawet ta przestrzeń tej ziemi,
Na której leżę, nie jest mi ojczystą —
Bo oto nawet to skalane ciało,
Które ci rzucam pod stopę przeczystą,
Ono mi jeszcze nieraz się opiera;
Lecz mam, co mogę złożyć tobie śmiało:
Mam moją miłość: wierna ona, szczera,
A moja własna, właśniejsza, niż dusza,
Bo moje rządy nad nią samowładne,
Bo wyszła ze mną, jak ja, z twórcy łona,
Ona tam, gdzie ja, a ja tam, gdzie ona,
A nikt mię do niej nie pędzi, nie zmusza.
Taką ci miłość na wiek wieków kładnę:
W niej ducha mego i mą duszę biedną,
Bo one, a moja miłość, to jedno.

Tak, matko niebios i matko mnie, procha:
Nie serce tylko, lecz mój duch cię kocha.
Ja ciebie kocham — o, nie w tych obrazach,
Gdzie mistrz poganin pędzlem wyobraźni
W zmysłowej tylko przedstawia cię krasie,
Ani w tych dźwiękach, ani w tych wyrazach,
Którymi sztuka ludzka nerwy drażni
I nizką rozkosz zmysłów niebem pasie:
Ja duchem moim zajrzałem cię w niebie,
Jak żebym kiedyś oczami, ot, temi
Widział cię w twoim przechodzie, po ziemi
Jak żebym kiedyś żył gdzieś blizko ciebie,

Jak żebym widział na ziemskim padole
Twój żywot matki Chrystusa, twe bole:
To też mam zawsze dla twego spomnienia
I cześć — i miłość — i łzy rozrzewnienia.

Pani, co twoim ogromem
Krocie światów obejmujesz,
A potęgą twej miłości
Wnikasz w robaczka wnętrzności —
Pani, ty to dobrze czujesz,
Jasno tobie jest widomem,
Że szczere to moje czucie.
Ty wiesz: we śnie czy na jawie,
W każdej chwili, w każdej sprawie,
Czy to w trudzie, czy w zabawie,
Czy w radości, czy w pokucie,
Wszędzie, zawsze i we wszystkiem,
Duchem, jak powiewnym listkiem,
Przed tobą na klęczki padam,
Tobie moją myśl spowiadam,
A we wszelkiej życia dobie
Na wzmiankę, na myśl o tobie
Otwieram się prędzej do dna,
Niż przed strawą warga głodna —
I łzą pełną, czystą, błogą
Roztapiam się w sercu prędzéj,
Niż z bolu jakiejbądź nędzy,
Niż jaką krzywdą od kogo.
Alboż inaczej być może?
Alboż nie ta wola twoja
Była, o Chryste mój, Boże,
Kiedy-ś, u niebios podwoja
Krzyżem na śmierć już rozpięty,
Ostatniej ofiary wolą
Związał w jeden węzeł święty
Dolę Maryi z Jana dolą?

Zachowałem ja ducha dziecinną pamięcią
I dotąd w duchu strzegę pod wieków pieczęcią
Tę chwilę nieśmiertelną, gdyś Twem słowem,
Panie,
Dał Twojej matce boskiej syna w uczniu Janie.
„Maryo, oto syn twój! Janie, to twa matka“.
Panie! W tych słowach twoich niebieska zagadka,
Którą powinny rozwiązywać wieki,
Od człowieka miłości i cześci synowskiej
Dla Maryi, matki człowieczej i boskiej,
A od Maryi, niebieskiej nad ziemią opieki,
Przez wieki wieków do wieków ostatka.

Moją miłością i moją niedolą,
Dla dobra mego zgadłem tę zagadkę,
I, uprawniony Chrystusową wolą,
Maryo, ja, nędzarz, śmiem znać w tobie matkę,
Bom ja te słowa usłyszał, przechował,
Zwrócił do siebie, przez wieki miłował,
Przez nie w niebieski wszedłem z tobą związek
I w nich mam wieków moich obowiązek.
Tak! Tyś mi matką, a ja tobie synem
I powinienem we wszelkiej potrzebie,
Jako syn matki takiej, bronić ciebie,
Okazać — myślą, słowami i czynem,
Okazać nie już przed obliczem ziemi,
Ale przed piekła siłami wszystkiemi —
Żeś moją matką, a ja twoim synem,
Jako, o Maryo, czas niedawny temu,
Ty okazałaś dziecku niegodnemu,
Kiedyś go twoją miłością wydarła,
Jak owcę wilkom z szatańskiego gardła,
I kiedy znalazł, jak syn marnotrawny,
W objęciu matki łaskę zamiast chłosty.

Przyszedłem na świat wierny drodze prostéj,
Lecz czyhał na mnie wąż ów starodawny:

Trafił na chwilę, gdy byłem sam jeden,
Wśliznął się we mnie, jako niegdyś w Eden,
Zmówił się z moim pierworodnym grzechem,
Jak z Ewą słabą, i podszeptem cichym
Podał mi owoc, długo kosztowany
W moim narodzie, owoc zakazany.
Nie zbroił mię wprost na bożego wroga,
Tylko odwieczną pokusę odświeżył,
Tylko mię nadął i tylko najeżył
Moją swawolę przeciw woli Boga,
Tylko mię z Bogiem na równi postawił
I dał ojczyznę, ażebym ją zbawił.
Więc, jak na tron mój, siadłem na ojczyznę
I na mą rękę począłem jej dzieło,
Nie przypuszczając ani na myśl troski,
Czyby nie dobrze błagać łaski boskiej,
Kiedy się sprawę tak świętą podjęło.
Bóg winien mię był wspierać za pańszczyznę,
Służyć mi, jak chłop panu swojej wioski —
Do tegom zmierzał. Bóg sądził inaczej,
I w końcu wszystko w nic się rozpierzchnęło.
Stłumiłem w sobie wybuchy rozpaczy,
Cisnąłem na świat pogardy spojrzenia,
Rzekłem: „Już nie mam nic tu do czynienia“ —
I miałem wytchnąć po wielu lat nuży,
Rad z siebie, pewien nagrody w wieczności —
Wówczas mój radca znikł w piekieł ciemności
Z szyderskim śmiechem — jam leżał w kałuży.
Poznałem wtedy, w jakim byłem stanie.

Niedługie było moje obłąkanie,
Niewielem zabrnął w piekielną niewolę,
Ale poznałem bezprawia niedolę,
Alem się skalał niższości nierządem;
Co mi zostało z łask i czystej siły,
Nieodjętych mi Przedwiecznego sądem,
Z tego mię ziemia i piekło złupiły,
Tak, że z całego niebieskiego mienia,
Ze szat godowych ojcowskiego domu,

Wyniosłem tylko łachmany odzienia,
A w licu, w sercu — plamę i ból sromu.
Z taką to hańbą i w odzieniu takiem
Wlokłem się, Maryo, ku tobie żebrakiem,
Ze wstydem, z żalem, lecz razem z ufnością,
Że miłość twoja jest niebios miłością,
Że, gdy ufamy miłości zwierzęcej,
Możemyż twojej nie zaufać więcej?
A działo się to w chwili nadzwyczajnej,
W tej chwili, w której z woli bożej tajnej
Zostało ludzkim zwiastowane synom,
Że jest najwyższe przebaczenie winom
Temu, kto wejdzie na drogę poprawy,
Że już więzienie wieków odemknięto,
Że się piekielne rozłamie wnet pęto
Temu, kto westchnie do wolności prawéj,
Że się otwarła bożem rozrządzeniem
Tu i nad ziemią dziedzina ojczysta
Temu, co z chwili łaskawej skorzysta
I stanie czysty twojem poświęceniem.

Posłyszałem to wezwanie
I odpowiedziałem na nie,
Spiesząc i duchem i ciałem
Pod twą szatę rozpostartą;
A choć stawałem obdarto
I z żebraczą tylko lirą,
Lecz z skruchą, z miłością szczérą
Pieśnią żebraka wołałem:
„Przyjmij mię pod twe osłony
Z moją pokutniczą biédą!
Przyjmij mię, bo miliony
Takich, jak ja, ze mną idą!“
Aż zostałem wysłuchany
I znakiem twojej miłości dotknięty.

. . . .
Tak dotknąłem tej prawdy władzami wszystkiemi,
Że wysłuchane w niebie błagalne jęczenia,
Które się od wieków podnosiły z ziemi,
I odkryta dla ludzi droga wybawienia,
Prostsza, jaśniejsza, krótsza, łatwiejsza z jej biedy
Wobec złego mędrszego, gorszego, niż kiedy.
. . . .

Nie z pieczary pustelnika,
Ani z celi zakonnika,
Nie w drzemiącej mniszej nucie
Moje ci wylewam czucie,
Ale z pod walki sztandaru,
Ale z bojowego gwaru,
Wobec przeciwnych szeregów
Niewcielonych i wcielonych,
Z odmętu zdrajców i zbiegów,
To jawnych, to utajonych,
Fałszywych świadków i plwaczy,
Pod ogniem dyablich siepaczy,
Śród szyderstw, obelg potwarzy,
Jakie Lucyfer wymarzy
I swej służbie podać raczy
I które w swojej rozpaczy
Ciska w nas, jak grad kartaczy —
Z zakrwawionego padołu,
Gdzie się złączyły pospołu
Świat i piekło dla zmnożenia
Odwiecznych bożych wyroków —
Z chmury okropniejszych mroków
Od egipskiego zaćmienia —
Wołam całych ludów jękiem,
Co się kupią w jednem łonie,
Kajdan całej ziemi brzękiem
Ku twojemu uchu dzwonię:
„Matko światów zbawiciela,
Usłysz twego Izraela!“

Moi ojce, wojownicy,
Nim się do boju rzucili,
Nim błyskiem swojej szablicy
Wrogom w oczy zaświecili,
Twego w pieśni uroczystej
Naprzód wezwali imienia.
Syn rycerskiego plemienia
I dziedzic walki ojczystej,
Stając dzisiaj walki mężem,
Z pola bitwy pieśń tę wznoszę
I tą pieśnią ciebie proszę:
Uzbrój mię twoim orężem;
Otoczony, oblężony
Wrogami na wszystkie strony,
Odcinany od wszystkiego,
Co jest w mocy świata tego,
Mój duch, me ciało, jam cały,
Jestem ze wszech stron na celu
Ciosów wszystkiego szaleństwa,
Jakie jest w nieprzyjacielu;
Dzień i noc odbieram strzały,
Nie mam chwili bezpieczeństwa,
Chwili wypocznienia nié mam.
Znój żywota bije w ciało,
Na ducha bije pokusa,
Lecz, gdy pomoc twą otrzymam,
Dotrwam na mem miejscu śmiało,
Jak prawy żołnierz Chrystusa!
. . . .

O, nigdy nie pokalana,
I tam, przed wieczności licem,
W twojem życiu wiekuistem,
I tu, na ziemię, zesłana
W ucieleśnieniu kobiécem,
Ni tchnieniem ducha szatana,
Ni dotknięciem ciał nieczystem,
I stąd wolą światów pana
Przed wiekami naznaczona,

Ażeby z twojego łona
Wyszedł zbawiciel człowieka,
By od ciebie się poczęło
Zbawienia ludzkości dzieło —
Ty, coś, jak pączka opieka,
Strzegła kwiat słowa bożego,
Coś potem, jak listek kwiatka,
Otulała ziarnko jego
I wytrwałaś, jako matka
Boga Syna wcielonego —
Ty wiesz, jakich trudów trzeba,
Aby być rolnikiem nieba,
W jakiej potrzeba być horze,
By wychować słowo boże.
Latorostka Chrystusowa,
I ja mam część jego słowa,
I ja przez nią boży chłopek,
I ja mam złożyć mój snopek
W żywotach mojej wieczności:
Pobłogosław mi tę pracę!
Niech przy twej łasce nie stracę
Cierpliwości, wytrwałości,
Niech nie stracę tej miłości,
Z którąm winien pielęgnować
Słowo naszego zbawienia!
O, gospodyni stworzenia,
Ty mię w tej robocie prowadź,
Oczyść nową moją rolę!
Jak czyste jej ziarno boże,
Niechaj w miłości, w pokorze,
W zdaniu się na bożą wolę,
W ducha i człowieka horze
Zeschną, przepadną kąkole,
Zasiane przez ducha nocy
Podczas snu mojej niemocy —
Niechaj raz na zawsze zginą
Wszystkie nieprzyjaźne siły,
Które własną moją winą
Życie ducha zamorzyły!

. . . .

Z CZĘŚCI DRUGIEJ.

O Maryo! My szczęśliwi,
My chlubni z twej świętej pieczy!
Niech się niedowiarek dziwi,
Niech bezbożnik, jak chce, przeczy —
Twoja nad Polską opieka,
Twoja duchowa z nią jednia,
To nie wymysły człowieka,
Nie marne słowo, nie brednia
Pobożności przebujałej,
Nie przechwałka nizkiej chwały:
Świadczy tej prawdzie istota
Wieków polskiego żywota,
Świadczy cały bieg zawodu,
Cały byt polskiego rodu.
Był on od początku swego
Słowa bożego kołyską,
Troskliwym piastunem jego —
I na takie stanowisko
Część twego ducha mu dana,
Piastunko naszego pana.
Gdzie lud, co tak nieskalanie
Przyjął niebieskie posłanie,
Coby zgadł je tak proroczo,
By tak kornie, tak ochoczo
Pod krzyżem ofiary stawał
I tak go innym podawał?
Gdzie tacy męże ze stali
Na polu walki przed wrogiem,
A tacy miękcy, tak mali
Przed miłością i przed Bogiem?
Gdzie łask bożych takie mnóstwo,
A takie w ziemi ubóstwo?
Gdzie jest szereg taki długi
Innym narodom posługi
Tak wysokiej, tak ogromnej,
Że dziś światu niepojęta,
A tak cichej, a tak skromnej,
Że świat już jej nie pamięta?

Gdzie lud, tak uprzejmy zawsze
Temu nawet, co go tłoczy,
I przebaczać tak ochoczy
Swoje krzywdy, by najkrwawsze?
Gdzież, ach, naród, co tak boli,
Przebity mieczami tyla...

Nie takież było i twoje
Życie, matko Chrystusowa,
Kiedyś tu zeszła na znoje
Piastunki bożego słowa?
Tak jest! Lud mój — on jedynie
Najwierniejsze twe odbicie:
Tyś go w narodów rodzinie
Wybrała za bliższe dziécię,
Ożywiła twojem tchnieniem,
Poczęła w miłości takiej
Pod bożym słowa płomieniem,
Że wyszedł z twojego łona
Z rodzinnymi twymi znaki,
Że, jak duch, tak ciało jego
Przybrały święte znamiona,
Święte rysy ducha twego.
Stąd znam tę łaskę najwyższą:
Wieczna tobie wdzięczność za nią,
Że na całą wielką ziemię
Niema, jak me polskie plemię —
Byś mu była bliższą panią,
Byś mu była matką bliższą.

I dziś oto myśl zbrodnicza
Podnosi rękę zbójecką,
By zgładzić z ziemi oblicza
Na wiek wieków niebios dziecko:
Płód, stworzony bożym cudem,
Poczęty twoją miłością,
Wykarmiony twoim trudem,
Płód, co przed całą ludzkością
Przez podobieństwa swę z tobą

Miał tobie służyć za świadka
Twojej nad światem opieki —
Dzisiaj pod szatańską złością
Ma zginąć, zniknąć na wieki!
O, ty osłonisz go sobą,
Ty go ocalisz, jak matka!

Prawda, liczne, ciężkie złości
Leżą na naszej przeszłości,
Ciężkie, jak może niczyje;
Ależ, Maryo, to twe dziécię,
A piekło chce mu wziąć życie,
I, patrz, zaczem je dobije,
Patrz, jak, sroższy od Kaima,
Wróg, krwią jego poczerniały,
Przewłóczy go przez świat cały,
Przez całe wielkie stulecie!...
I niema kraju na świecie,
Kąta na tej ziemi niéma,
Gdzieby szatan, nasz morderca,
Nie przeciągnął, jak bluźnierca,
Doli twego ludu krwawej,
Przed całej ziemi oczyma
Nie odkrył jego niesławy —
Gdzieby cząstki jego serca
Nie rzucił na śmiecia obce,
Na najdalszych krain kopce —
Nie rozciągnął go, jak trupa,
Nie przykuł do hańby słupa
Na bezbożne urąganie,
Na postrach narodom głupim.
Ty słyszysz jego wołanie
Nad tem ciałem, przez pół trupiem:
„Ludy, chodźcie! Patrzcie, ludy,
Patrzcie, co się oto stało
Z ludem, co miał za królowę
Maryę, matkę Chrystusowę,
Co szedł przez ziemię tak śmiało,
Ubezpieczony jej cudy!

Widzicie to nędzne ciało,
Te nędzne jego ostatki?
To potęgi mojej świadki!
Tak jest! Moja własna siła
Cały lud w nic obróciła;
Patrzcie i zadrzyjcie przed nią,
Jak przed straszną przepowiednią!
Władza ziemi w mojej dłoni,
I nic przed nią nie obroni."

Wielkie, wielkie niezawodnie
Nasze winy, nasze zbrodnie
I dotąd nie starte pewno
Ani skruchą taką rzewną,
Ani tak szczerą poprawą,
Ażebyśmy mieli prawo
Ujrzeć cię dla nas łaskawą;
Ależ to jest twoje dziécię,
Ależ to jest dziecię Boga
I ma w sobie boże życie,
I przez duch jego jest droga
Myśli bożej dla ludzkości!...
Możnaż, aby je tak łżono,
By się tak nad niem pastwiono?
Żadnej-że już nam litości?

Gdybyż ta niszcząca siła
Nad tem się tylko pastwiła,
Co w nas ziemskie, co cielesne —
Znosilibyśmy w pokorze,
Jako słuszne sądy boże
Za nieofiarę ofiarnie
Choćby najcięższe męczarnie,
Wszakże chwilowe, doczesne.
Ale co nas boli srożej,
I co nas najwięcej trwoży,
I co skargą z nas wybucha,
To sprawa naszego ducha.

Wróg nasz nie jest zwykłym wrogiem,
Nie jest ciała tylko katem,
On walczy z wyższym w nas światem,
Chce w nas wziąć górę nad Bogiem.
On nam praw boskich zaprzecza,
Robi nas narzędziem swojem;
Grabieżami i rozbojem,
Przemocą kajdan i miecza
Chce nam wydrzeć bożą wolę,
A poddać skinieniu swemu;
Chce nam odjąć boże pole
Danej przez Boga ojczyzny,
Naszej wiekowej pańszczyzny
Chrystusowi i bliźniemu;
W miejscu Zbawcy, niebios pana,
Stawi nam władzę piekielną,
Tak ohydną, jak bezczelną —
Za Boga stawi szatana.

Liczne pokryły nas plamy —
Ale myśl boża, myśl święta,
Którą tutaj spełnić mamy,
Nie była, nie jest z nas zdjęta.

. . . .

O, my pomsty nie wzywamy
Na wroga, co nam tak czyni;
Naszych milionów łzami,
Naszą krwią, która go plami,
O krew jego nie wołamy;
Krzywdą naszą, co go wini,
Nie będziemy go skarzyli
W strasznej sądów bożych chwili:
Mybyśmy sami zostali
Twojej miłości niegodni,
Niegodni litości Boga,
Gdybyśmy zguby żądali
Śmiertelnego nawet wroga.

I on też boskie stworzenie,
I nasze mówi sumienie:
On nie czuje swoich zbrodni,
On nie widzi ich ogromu,
On już nie wie, przeciw komu
Walczy, pastwiąc się nad nami.
Szatan, co spółką przebrzydłą
Odjął mu niewinność duszy,
Tak go zwodzi swemi ćmami,
Tak go schwycił w swoje sidło,
Tak go na głos prawdy głuszy,
Tak mu zamącił pojęcie
O bożem i o niebożem,
Że już nie wie w tym zamęcie,
Jakiem puścił się bezdrożem,
A, pędzony pychą wściekłą
W jarzmie piekła niewolniczem,
Stawia przeciw niebu — piekła,
Jest w szatana ręku biczem...
Niezmierne są nasze bole,
Ustajem pod ich brzemieniém,
Lecz i tak ich nie zamienim
Na wroga naszego dolę.
To też nie o pomstę z niego,
Nie o zgubę, nam zgubnego,
Lecz błagamy cię jedynie:
Zbaw nas od jego obucha
I w tejże łaski godzinie
Ulituj się jego ducha:
Niech się z piekieł snu ocuci,
Niech się jego wzrok otworzy
Na złość własną, na sąd boży,
Niech drogę Kaima rzuci,
Niech się ku niebu nawróci!
Jeśliż według przeznaczenia
Koniecznie mu do zbawienia
Kroczyć jeszcze drogą kary,
Dopełnić win swoich miary,
Niech rychlej u mety stanie,
A może tam, grzesznikowi,

Może i niebo zadnieje,
Więc i jemu zmiłowanie!
Zresztą, Panie, niech się dzieje.
Co twa wola postanowi!

. . . .

W IMIONNIKU MŁODEJ POLKI.

Na ziemi, w życia ziemskiego błędniku
Jest przed człowiekiem dróg, ścieżek bez liku:
Po wierzchu kwiaty, uciechy żywota,
A pod kwiatami czarna otchłań błota,
Gdzie wkońcu toną niebaczni wędrowce:
To bezbożności, to pogan manowce.

A między niemi jedna prosta droga,
Co idzie z Boga i wiedzie do Boga,
Tak wytoczona Chrystusa ofiarą,
Taka ubita śladami Chrystusa,
Że, kto się puści po niej z pełną wiarą,
Z wyższą miłością Boga i bliźniego,
Tego już żadna nie zwiedzie pokusa,
Bo pójdzie przed nim moc ducha bożego,
Co tchem swym wszelką przeciwność rozmiota,
I da w potrzebie męstwo poświęcenia,
I lekkim zrobi krzyż tego żywota —
Wkońcu nagrodzi radością sumienia,
Najwyższą ziemską człowieka nagrodą.
To droga chrześcijan — taką niegdyś drogą
Polskie matrony wiodły przeszłość błogą:
Niechże nas Polki i dzisiaj tak wiodą!

W ALBUMIE.

P. ANNY WOLSKIEJ.

Świat ten to wzburzone morze;
Człowiek się, jak łódka, chwieje.
Uzbrój-że cię, dobry Boże,
W miłość, wiarę i nadzieję.

Gdy cię zwątpienie uchmurzy,
Niech ci gwiazdy wiary świécą;
Gdy los życie twoje wzburzy,
Krzep się nadziei kotwicą.

A blask twej czystej miłości
Zrobi twemu czuciu widnem,
Ile w Prawdzie jest piękności,
A Złe ile jest ohydnem.

Przez nią szlak twego zawodu
Przejdziesz ogniem poświęcenia
Dla dobra twego narodu
I dla własnego zbawienia.

Z temi potęgami trzema,
Gdy je z duchem twoim spoisz,
Klęski w boju życia niema,
Całemu piekłu dostoisz.

Tego ci, polska dziewico,
Życzy brat w Polsce, brat w Bogu,
A z duszy — bo już sam w progu,
Co dwóch światów jest granicą.

Lwów, 16. IV. 1874.

TESTAMENT POETY.

Idę w światy, które znam od dawna, o których wam gadałem, a nie byłem zrozumiany.

Są już między wami, którym śmierć zamknęła uszy na głos mój, których się serce nie poruszy miłością mojego serca, ale mnie posłyszycie, poczujecie miłość moją dla was duchem waszym.

Pracownik przyszłości ma do czynienia nie z tymi tylko, co żyją z nim razem, co mają ciało; jego przyjaciele najlepsi są ci, co się już pozbyli ciała, albo czekają na nie. Biada mu, żeby się podobał tylko żywym! Podobać się umarłym a poczciwym — oto jest, co sprowadza zmarłych zmartwychwstanie.

UZUPEŁNIENIE
„POEZYI LIRYCZNYCH“.

PROROCTWA Ks. MARKA.

NIEDOKOŃCZONE FRAGMENTY.

I. ANIOŁ POŚWIĘCA Ks. MARKA NA PROROKA.

Syny mej ziemi, skłońcie ku mnie uszy,
I moje słowa weźmijcie do duszy,
I do słów moich strójcie wasze czyny:
Dajcie mi ducha, mojej ziemi syny!
W głosie proroka niema obłudy,
Niema ziemskości w proroka duszy;
Ludy mej ziemi, całej ziemi ludy,
Niech was wołanie proroka poruszy!
Mój głos, niebiańskich ognisko promieni,
Nie jest to waszych półmędrków nauka,
Co błędnym ogniem prostaczków oszuka,
A w dym korzyści dla mistrza się zmieni.
Ja głosem ziemskim myśl niebieską śpiewam,
Szczytne, jak niebo w niebiosach poczęte,
Trwałe, jak wieczność, a, jak Bóg sam, święte,
Szczęścia ludzkości tajnie wam odkrywam.

Syny mej ziemi, skłońcie ku mnie uszy
I słowa moje weźmijcie do duszy,
I do słów moich nastrójcie swe czyny,
Syny mej ziemi, całej ziemi syny!

— Cóż to za człowiek — krzyczy świat wron wrzawą —
Że chce pochwycić ster ludzkości losów,
Cóż za nim mówi? Czy sędziwość włosów?
Czy ród, czy imię, czy mądrość, czy prawo?
— Rozum, sędziwość, przodki, blask imienia,
Bogactwo, urząd, niech to was nie łudzi —
Wszystko to może być u zwykłych ludzi

I wszystko zawieść. Patrzcie poświęcenia!
Słuchajcie życia mojego powieści:
Przeszłość to życie, jak iskrę, dziś chowa,
A było piekłem, bom je wlókł w boleści;
Nieliczne jednak mej powieści słowa.

Był czas, że żyłem, nie wiedząc o tem,
Nie wiedząc o tem, żem żył między wami;
Niezbudzonemi uwite zmysłami,
Rozum i dusza leżały, jak w grobie.
Jeden jęk dziki, straszny, konający,
Błyskiem piorunu rozbił me ciemności,
Strzałem piorunu skróś ciała szyjący
Zdał się rwać żyły, gruchotać me kości,
Aż się rozwinął w postawę anioła.
— Obudź się! — krzyknął. — Obudź się i w drogę!
— Co za jęk? — pytam. — Cierpiący świat — woła.
— Czemże ja, lichy, pomódz światu mogę?
— Cierp i nauczaj! Świat za siebie działa.
— I któż ty jesteś? — Anioł proroczych dusz!
Ja tobie szczęście, ja dla ciebie chwała,
Ja twoje życie, ja twój anioł-stróż.

I tu mnie dotknął prawicą anielską.
W mdłościach skonania z ciała wyleciałem.
Pobladłym trupem padło na wznak cielsko,
A dziki anioł stanął nad ciałem.
Wyrwał mi serce przez piersi stłuczone,
Wyrwał mi oczy oprawcy prawicą,
Zażegł to wszystko katafalku świécą
I na mem ciele złożył, zapalone.
Buchnęła słupem fala płomienista,
A gdy zagasła, nie zostało z ciała,
Tylko brudnego popiołu garść mała
I z ludzkim kształtem zasłona przejrzysta.

Wonczas wziął anioł serce brylantowe,
Gdzie słowo „Polska“ wiecznym ogniem płonie,
Zamknął je w ciała przejrzystego łonie,
A z swoich oczu dwie łzy wprawił w głowę.

Potem rozkazał, bym do ciała wrócił,
Potem przemówił: „Niebieski ci pokój,
Anielskie serce i oczy! Prorokuj!"
Anioł-stróż zniknął, a jam się ocucił.

Syny mej ziemi, skłońcie ku mnie uszy,
I słowa moje weźmijcie do duszy,
I do słów moich nastrójcie swe czyny,
Bo mądrość moja z niebieskiej krainy!
Odtąd, jak łzami, na ten świat pojrzałem,
Odtąd, jak twarde serce z dyamentu
Jęło mi świecić śród ziemi zamętu,
A duch się oblókł przepalonem ciałem,
Odtąd, jak oczmi duszy proroczemi
Mogę obecność w szkielecie obzierać,
A przeszłość, przyszłość dowolnie otwierać.
Odtąd już dla mnie niema nic na ziemi.

W pierwszej godzinie nowego istnienia,
W pierwszej godzinie nowego spojrzenia
Wszystko-m wam oddał — sobie wziął życzenia
Waszego szczęścia — sobie wziął cierpienia.
I ja też ludzkie przepędziłem życie
I jam miał młodość i znał ogród wiosny;
Było tam kwiatów i ptaków obficie,
Alem go przebiegł, jak cmentarz żałosny.

Kwiaty rozkoszy nęcącej pstrocizny,
Śpiewy miłości czarownego dźwięku
Konały w uchu, padały z mych ręku,
Bom wszędzie widział grób i cień ojczyzny.

Wszystkiego wreszcie zrzekłem się, wszystkiego,
Co was na ziemi tak dręczy i łudzi;
W sercu goreje tylko miłość ludzi,
A w życiu tylko chęć szczęścia waszego.
Więc mię słuchajcie, całej ziemi syny,
Bo nic nie żądam od waszej krainy!

* * *

Słuchaj i patrzaj! Zagrzmiało
I gniewne skrzydło anioła
Dmuchnęło mi w środek czoła,
I wszystko krwią się oblało,
Jak nawalnym dżdżem potopu.
Błysnęły gwiazdy z niebieskiego stropu,
A niebo, jak pierś, ranami okryta.
Ode wschodu księżyc świta,
A światło jego rozlewa się, zlewa,
Jak fala w krwawem bezkształtnem jeziorze,
Chwieje się blask jego łony,
Jak zdarty gałgan skrwawiony,
Krwią stanęło wszelkie morze,
Wszelka rzeka krwią przepływa,
Krew kapie z każdego listka —
Od nieba do listka
Krwią zaszła przyroda wszystka.

* * *

Duchu proroczy! Tak mocno, tak nagle
Dmuchnąłeś w duszy mej żagle,
Żem w wirze lotu stracił pieśni wątek,
Żem stracił widzeń zakątek;
Czy mam pieśń zakończyć na tem?
„Patrzaj i śpiewaj!“ — z góry zagrzmiało.
Ja śpiewam dalej. Ja wiszę nad światem.
Tam, w głębi, mam ziemię całą
Tak nizko, że doly i góry
Kładną się oku, jak jedna płaszczyzna.
Alem ją poznał: to moja ojczyzna!
Ojczyzna moja bez chmury,
Tylko mgła jakiejś tajni nad nią ciąży,
Tylko wiecznie piosnka krąży:
Dzień strasznej wojny i zemsty przykładnej,
Krew tam, gdzie dotąd nie było żadnej;
Trup tam, gdzie kropla polskiej krwi bryzgnęła.
Potem ujrzałem — a, co ja ujrzałem,
Tego nie znały dotąd ludzkie oczy,
Tego myśl ludzka dotąd nie pojęła.
Jak okiem sięgniesz, w przestworzu całem

Buja milion trójbarwnych warkoczy,
Każdemu sztylet słyży za drzewce,
Każdy utkwiony w zabitego ciało,
Zemsta ludu na każdej płonie chorągiewce.
Pośród nich grono braci mych biegało.
Przelękłe wrogi, jak w śnie prześladowczym:
Ci uciekają ze strachem owczym,
Ci śmierć znajdą gdzie schronienia pragną.
Każde zarośle gromami w nich strzela,
Każde źródełko jadem trzonki trzaska,
Jak wir przeciąga i żre każde bagno.
Czarodziejska zemsty laska
Martwą przyrodę zmieniła w mściciela.
A niebo jasne, jak zwierciadło czyste,
Strojne, jak wzorza, w łony płomieniste
Z dziwnego blasku dziwny dzień tworzy.
Tylko ty czarny, potworny ptaku;
Tylko ty jeszcze z powietrznego ślaku
Cieniem twych skrzydeł plamisz dzień boży.
Ale w tym cieniu chmura się wylęga,
Zagrzmiało — grom leci
Jego wąż słowem: „Zemsta ludu“ świeci,
Już ptaka strzałem dosięga..
Spadłem, karała niebieska potęga.

* * *

Aniele! Duchu straszliwy!
Zesłańcze nieba czy piekła,
Pocóż mnie znowu twoja moc wywlekła?
Pocóż mi czasu rozdzierać zasłony,
Patrzeć na przyszłe klęski i dziwy
I widzieć wiecznie lud mój męczony,
I cierpieć za miliony?
Boże ojcze! Boże wielki!
Czyż już nigdy nie wywoła
Twego mściwego anioła
Krew mej ziemi rodzicielki
Taka święta, czysta, wolna
Archanioły płodzić zdolna?

Skądże ten letarg ziemi zbawiciela?
Ona tak uśnie na wieczne lata.
Ocuć ją, Panie! Pożal się świata,
Jeśli go zgubić nie masz na celu!
Jakaż melodya wplata się w skargi,
Głucha, jęcząca, a pełna słodyczy?
Czy pociechy sen zwodniczy
Przez śpiącej ziemi przemawia wargi?
Westchnienia konających, cierpiących jęczenie,
Przekleństwa zemsty, zemsty uciecha,
Zlewają się w jedno pienie,
Płyną pod nieba sklepienie
I powracają, jak niebiańskie echa.
I w duszę moją wirem się wtłoczyły
A wnet harmonią pełną i śmiałą
Struny duszy uderzyły,
A oko duszy nad świat wyleciało.

II. ŁOMNICA.

Podnieś się, podnieś, Łomnicki szczycie!
Podnieś się wyżej, moja Synai!
Precz nad te morza śmiertelnej zgrai,
Nad to śmiertelne, pełne mgłów, życie.
Podnieś się nad całą ziemię,
Niech mnie zgniecie nieba brzemię,
Niech świat, leżący tam, nizko,
Wyda mi się, jak mrówisko,
Niech go zburzę, jak mrówisko,
I jednym ciosem, za jedną chwilę
Zniszczę i to polskie plemię,
Gdzie cnót, gdzie zbrodni, gdzie cierpień tyle.

Za miłość, za wierność ojczyźnie i Bogu
Żebrzący tułacz przy cudzym progu,
Wyklęty od swego narodu,
Mrący od zimna i głodu —
Śród skał lodowych, śród skalnego lodu
Objęty śmiercią i mgły pomrokiem
Nad nizką ziemią, pod niebem wysokiem

Prorok szczupłej mężnych roty,
Walczącej, ginącej dla swobód i cnoty,
Gdy wszystko martwym spoczywa głazem —
Polsko, ja jestem twoim obrazem.

Biją wichry mgłów zamiecią,
A przepaście i chmur cienie
Otoczyły mię, jak siecią,
Jak mój naród — przeznaczenie.
A przez tumanów zasłonę
Widać oczy roziskrzone,
Sowy, puhacze i sępy
Obsiadły wszystkie przystępy,
Ostrzą szpony, gładzą dzióby,
Radzą wyrok mojej zguby.
Wrogi życia i swobody!
To, Polsko, twoje sąsiednie narody.
Lecz straszniejszy od tej zgrai
Pastwa i ojciec wiecznego głodu,
Ten wąż, co w moich wnętrznościach się czai,
Jak ów ród możnych polskiego narodu.
Wierny zabójców życia sprzymierzeniec,
Chwili wytchnienia nie daje morderca,
Ujął wnętrzności w mrożący wieniec,
Ssące trójżądło zapuścił do serca,
Aż wypije krwi potoki,
Aż ją do kropli wyłowi,
A potem blade, omdlałe zwłoki
Odda na pastwę pierwszemu sępowi.

Podnieś, Łomnico, garby twoich szczytów
Nad te światy wiecznej nędzy
Niech przynajmniej skonam prędzéj
Bliżej niebieskich błękitów
I jakaż korzyść dla Boga, dla ziemi,
Że w pomroce, na opoce
Rwę mękami piekielnemi
Ciało i duszę?
Czy tem poruszę
Króla losów do litości?

Czy tem wymuszę
Szczęście dla ludzkości?
Alboż krótko się łudziłem?
Alboż nie długo cierpiałem?
I cóż wymarzyłem?
I cóż wycierpiałem?
Wstyd mi wieczny, wieczne kary,
Że dla czczej, piekielnej mary
Piekłu-m prowadził ofiary!
Ten lud szlachetny, ten lud nadludzi
Wierzył, jak w słońce, w każde moje słowo,
Biegł, jak na ucztę, na ucztę bojową;
On mówił i mówi jeszcze:

„Jego proroctwo nie łudzi!
Jemu samo zsyła niebo
Święte objawienia wieszcze,
Dla niego Polska taką potrzebą
W tem życiu ziemskiem, jak w drugiem zbawienie".

Oni ode mnie szczęścia wyglądali,
Bom ich tak łudził — a ja im cierpienie,
I coraz większe, im w przyszłość daléj,
Przygotowałem, a wkońcu upadek.
Przebacz mi, Polsko! Śmierć, którą dziś ginę,
Najcięższą starłaby winę.
Gdyby tu jeden przynajmniej świadek,
Jeden obecny mym chwilom ostatnim,
On-by wieść o mnie zaniósł szykom bratnim,
I wstałby okrzyk: „Ha! skonał zdrajca",
A w chmurnych twarzach choćby na chwilę
Uciecha zemsty błysnęła mile,
Że w mękach skonał ludu winowajca.
Ach, sama pewność tej lichej uciechy
Rozjaśniłaby i moje sumienie,
Tak czuję moje przeciwko wam grzechy,
Tak godnem kary moje przewinienie.
Ale, o Boże, cóżem ja winien?
Czyżem inaczej mówić był powinien,
Kiedy mnie przeszłość i przyszłość otwarta

Anioła wdziękiem wołała do siebie,
A we mnie i zewnątrz jaśniało, jak w niebie?
I któż w tych marach byłby poznał czarta?
Krew buchnęła piekłem,
Wicher zawył w duszy,
Mózg się zaburzył, oczy się zaćmiły,
Kość wyszła z stawów, zerwały się żyły.
Bluźnierstwo, bluźnierstwo wyrzekłem!
Dźwięk, jak dzwon grobu, rozsadza uszy...
Zegar śmierci uderza.
Śmierć! Śmierć! Jak cicho kroczy!
Ku światom duszy zawraca oczy,
Na ziemskie dźwięki czucie uśmierza,
Że słyszę, słyszę ciche jej stąpanie,
Że ją widzę w jej powietrznym stanie.
Rozwiązana więc zagadka.
Konam tak bez świadka,
Jak w mem życiu nic nie było,
Coby go dzieliło.
Otóż wyjaśniona
Tajnia tych uczuć dzikich, posępnych,
Co, dmąc ciągle w żagiel łona,
Zagnały mnie w samotność tych skał niedostępnych.

* * *

Pozdrawiam ciebie, pierwsza wieczności godzino,
Pozdrawiam ciebie, jasna wieczności kraino,
Wieczności duchu, pozdrawiam ciebie!
Jak miło zamknąć oczy wiecznym skonem
Zedrzeć ciało o podniebie,
A duszą upaść przed Boga tronem.
I pocóż jeszcze, o Boże, zwlekać,
Poco śród nieba i ziemi nam czekać?
Rozkaż mię wpuścić przed stolicę twoją.
Widma! Czy ja sny roję?
Pierwsze chwile skonania widno snem być muszą.
Długo po świecie duchów człowiek krąży duszą,
Zaczem ją wpuszczą w niebieskie podwoje.
Dziwne sny! Dziwne zjawiska!

Ludzkie postacie w ziemskich okolicach —
Jeszczem pewno na granicach,
Gdzie niebo ziemię przyciska,
Gdzie myśli ziemskie i anielskie w lidze:
Równo tu w niebie i w ziemi widzę.

Te same strony, te same góry,
Nieprzejrzystemi odziane chmury,
Taż skroń Łomnickiego szczytu,
Promienna, wolna od mgłów powodzi,
Jak moja dusza, gdy po niej przechodzi
Gwiazda proroczego bytu.
Ziemia, jak wprzódy, dla oczu
Mgłą północnej ćmy zakryta,
A niebo coraz wyraźniej świta.
Już w światłem jego przeźroczu
Postrzegam migot brylantowych zbroi,
W które pan nieba święte hufce stroi.

Błysnęło silniej — od gmachów Boga
Wyleciał anioł, spuszcza się, przechodzi
W obłoku światła, jak w łodzi.
Jak tęcza z ogniów, gore za nim droga:
To mój anioł-stróż! Krok uroczysty,
Chmury na czole, gromy w spojrzeniu,
Przeszedł koło mnie w groźnem milczeniu.
— „Za mną!“ — zawołał. — Zbliżyłem się drżący.
„Bóg ci przebaczył, duchu wątpiący,
Bluźnierstwa twoje! Śmiertelny nie w sile
Niebieską mądrość znieważyć.
Lecz na pokutę musisz jeszcze zażyć
Ziemskiego żywota chwilę
Dla zasług twego plemienia
I dla jego pokrzepienia“.
Usiadł i skrzydła anielskie rozwinął,
Na mojej głowie położył jedno,
Na mgły poziome drugie ochynął
Wonny wietrzyk myśl opłynął,
Duch mój z ciała się wywinął.
Ujrzałem powłokę biedną,

Leżała, blada omdlenia upadkiem.
Wargi się trzęsły jakichś słów ostatkiem,
A z drugiej strony było mgłów bezedno.
Jasne, szklanne stały one,
Jak powietrze, jak kryształy,
Jak niebiosa nieruchome,
Tylko nigdzie dna nie miały.
Tylko postacie nieodgadnione
Pływały po nich, jak chmurki znikome.
„Oto — rzekł anioł — zwierciadło proroka.
Płyń, póki burze czasu go nie zmącą!"
I popłynąłem w czółenku oka
I zawisłem nad bezdnią, brzegów nie mającą
Nawet dla oczu, dla duszy proroka.

O bezdenny, bezbrzeżny wieków oceanie!
O śnie wieków niepojęty!
Któż kiedykolwiek był w stanie
Obejrzeć wasze widma i odmęty,
Jak ja oglądam w tę chwilę?
Ja tu żyję Boga chlubą,
Boga, co, sam nieznikomy,
Widzi, a sam niewidomy,
W wiecznym obrocie światów ogromy
Jak tu miło, jak tu lubo
Bujać nad życiem i zgubą
I w człowieczeństwa uczuciu
Urągać jego zepsuciu!
I każdą chwilkę, co mylną rachubą
Miliony ofiar do grobu zawodzi,
Widzieć, nim się jeszcze zrodzi,
I śmiało mówić: Przyszłość mnie nie zwodzi.
Któż tu był kiedy, gdzie jestem w tej chwili?
Któż kiedy widział, co mnie się godzi?
Słuchaj, o Polsko, jeśli zmysły twoje,
Jeśli twe władze schwycić, pojąć mogą
Słowa, co z niebios płyną duchów drogą,
Słuchaj, roztrząsaj, Polsko, słowa moje!
Ciskam ci skarby, wykradzione losom,
Spuszczasz dreszcz mądrej, jak czas, nauki

Na twoje wnuki, na twoje prawnuki,
Otwórz twe piersi niebieskim rosom;
Dopełnij niemi mądrości twej zdroje.
O Polsko, życiem, szczęściem ciebie poję!
Cichość w całym świecie,
Nad całą ziemią zasłony grobowe.
Ciężko ją, ciężko potworny garb gniecie,
Garb, najeżony, jak Tatry stugłowe.
Każdy szczyt garbu jest zastygłą lawą,
Każdy się wznosi, jak pomnik olbrzymi,
Każdy jest łuną uwieńczony krwawą
I chmurą ciemną, co się wiecznie dymi,
A wszystkie stoją na jednym wulkanie
I radzą spólnie i mówią do siebie:
„Wieczne, królewskie nasze panowanie:
Wulkan nas żywi, głowa nasza w niebie;
I któż potrafi stłuc te opoki,
W które czas nasze uzbroił boki?
Któż nam potrafi zedrzeć te korony,
W które nas stroi ogień niezgaszony?
A wulkan, większy od oceanu,
Całąby ziemię objął pożarem."
I mówi jeden z płomieni wulkanu:
„Póki się mamy nosić z tym ciężarem,
Co nas w głębiach ziemi tłumi,
Niebieskie światło zasłania,
Lśni naszym blaskiem, naszą zgrozą szumi,
Jeszcze z jakiegoś dmie się panowania?
Wyrzutki, brudy wiecznego płomienia,
Wylęgłe, zrosłe z wieków oczyszczenia,
Niechaj już idą na dno zniszczenia!
Wstyd wam, że własne niepotrzebne śmiecie
Nasz blask tak czysty cieńmi swemi gniecie,
Że je tak długo cierpim tak łagodnie.
Czyliż nie pora buchnąć już swobodnie
Ku ojcu słońcu?" — „Nie pora, nie pora!" —
Inne płomienie mądrze się ozwały, —
„Aż wszelką ciemność z siebie wyrzucimy.
I cóż te gmachy? Lawa i dymy.

Przyjdzie czas, buchniem, pęknie zapora
I na dno pójdą stopione skały".
Ale burzliwca zamiar niezmienny,
Choć sprawy jego ważą sobie mało.
Strzeż się, strzeż jednak, królewska skało,
Co masz za stopnie Alpy i Pireny.
Najprzód zagaśnie twój wianek płomienny.
Próżne przestrogi! Ród. w złościach zacięty,
Na przykład kary najsroższej przeklęty:
Na tej królewskiej górze się wylęga
Czarna od zbrodni przeznaczeń ich księga.
Ich koniec hańba — a rozbój ich życie.
Niebem i ziemią, jawnie i skrycie
Wabią zemstę na swe głowy.
Śmieją się z przestróg, zaczęli łowy.
I ot, pod niebem zawisły
Trzy ptaki, trzy orły, trzy potwory.
Pięć głów na trzech tułowach,
Trzy koron na pięciu głowach.
Twarz trupia, orle szpony, nietoperze skrzydła.
Trzy nietoperze upiory,
Piekielnych pustek straszydła,
Nad śpiącą ziemią zawisły,
Sowiemi oczami błysły
I mówią do siebie:
„Noc na niebie,
Noc i sen na ziemi,
Wszystko sprzyja nam!
Lećmy, ty tu, ja tam,
Każdy nad swojemi
Cicho i wciąż
Lataj i krąż
I sam czasem siły wiąż.
A gdy będzie czas,
Wtedy każdy z nas
Padnie na swój łup.
Wtedy w serca się wpijemy
I póty ssać je będziemy,
Aż z ziemi zostanie trup".
Rzekli, rozpadli się w kraje

I każdy zdobycz okrąża swoją
I czaruje i usypia.
Już piekielną pracę kończą,
Już ku ziemi pędzą rączo,
Już się do swego każdy przyczepia.

Skądże się wzięła w tej dziczy
Ta rozkoszna okolica?
Cóż tu robi kwiat dziewica
Śród tej zgrai rozbójniczej?
Dziewica, wdzięk i cud wszystka,
Kwiatem z pod ziemi wyrasta,
Zapach i barwa — treść każdego listka,
A wszystko jednak niewiasta.
Obok niej leży mąż zbrojny
I kochanka wzrok w niej topi,
Choć kochanek, choć spokojny,
Co westchnie — to grzmotem wojny,
Co łzę upuści — to krwią się skropi.
Dziwna istota rycerza:
Z milionów ludzi jej skład człowieczy,
Milion wyostrzonych mieczy
Rusza się w łuszczkach jego pancerza.
Świeci obojgu słońce osobne;
Z orlich skrzydeł jasność sieje,
A wokrąg słońcu chmury żałobne,
A kwiat dziewica co chwila mdleje,
A naród rycerz co chwila się rzuca
I mieczem grozi i piękność ocuca.
Próżna troskliwość w obronie:
Dziewica i rycerz padną.

Widzisz rodzinę piekieł szkaradną,
Jak owładała dziewicą ładną
I założyła gniazdo w jej łonie?
Snuje się ona w kształtów tysiącu;
Ten rój motylów, co nad nią tańczy,
Co tak bogato błyska w orła słońcu,
Ma na swych skrzydłach napis szarańczy.
Z jednego oka antychrysta pycha,

Z drugiego herb możnych wyziera...
Bogato, strojnie oblatują z cicha,
Czarowny kwiatek się otwiera,
A one z żądłem gotowem z łagodna
Nurzają się w kwiatek, aż do dna,
Ssą do kropelki jego nektary
I pląsają i ucztują
I wkońcu piękne łono osnują
W bezkształtne, bezwładne poczwary.

Jest tu i drugi ród, niemal brzydszy,
Niemal zgubniejszy i jadowitszy,
Dziki grobową pstrocizną,
Kształtem i cnotą blizki pająka.
Ten miody kwiatu na to w siebie wsiąka,
By je wyrzygał trucizną.
Krzyż go wzdłuż grzbietu odznacza
Od wszelkiego poczwar rodu.
Na włoskach ziemię przekracza,
Albo nad nią ulatuje
I w powietrzu się kołysze;
Wtedy zdrajczą sieć gotuje
I na łup niebaczny dysze.
Życie tego rodu składa
Wieczny rozbój, wieczna zdrada.
Coś ty zrobiła, biedna istoto,
Że te poczwary przyjęłaś do siebie,
A one wiecznie w tobie, koło ciebie
Snują sieć zguby, świeżość życia gniotą?
One ciągle morzą ciebie.
Zginiesz, zginiesz ich robotą!
Widne już śmierci twojej przepowiednie:
Oko tępieje, płeć różowa blednie,
Chmura omdlenia blask czoła mroczy,
Ani twój rycerz zbawić cię zdoła.
Brzydkie robactwo osnuło dokoła
Wasze ramiona i wasze oczy.
Ach, wykarmieni krwią waszą,
Tak rozciągnęli swoje zgubne łkanie,

Że wam wkrótce słońce zgaszą,
Że wam powietrza na oddech nie stanie.

O, jak boleśnie, jak rychło
Spełnił się wyrok wdzięcznej kobiety!
Padła, zabita setnemi sztylety,
A wokrąg wszystko zgasło, ucichło.
Gdzież jesteś, słońce, coś jej świeciło?
Gdzież jesteś, orle, coś się nad nią wznosił?
Gdzież jesteś, mężu, coś ją krwią swą rosił?
Same ćmy krążą nad jej mogiłą,
A słońce wstecznym cofa się krokiem,
A w ślady jego orzeł obłokiem,
A w ślady orła mąż krwawą chmurą.
Pójdę za niemi tą pieśnią ponurą,
Co ich z rodzinnej wyprowadza strony;
Trafię za niemi po dźwiękach tej pieśni,
Co gdzieś daleko z pielgrzymstwa ich wita.

Co za ślak nieprzemierzony!
Ziemia to, czy cud? Z chaosu pleśni
Na morzach pleśni kępina wykwita,
Na niej grób Polski — napis w polskiej mowie:
„Cześć pielgrzymowi wolności!
Tułacz starego, poległ dla nowego świata.
Dwóch światów stratą jest jego strata.
Świeć mu wiecznie, łzo ludzkości!"
A więc, Pułaski, aż na tym ostrowie,
Aż na tej obcej, nieznanej ziemi
Twarzą w twarz swoją popieścisz chwałę?
A więc aż tutaj rzucisz ramię śmiałe
Geniusza twego skrzydłami rączemi?
A więc dla ciebie pola bratnie małe?
Pola nie małe, ale serca małe!
Pokój twym smutkom, cześć twojej prawicy!
„Mnie cześć za moje dzieło!"
Z głębi zastygłych piekieł wrzasnęło
Śmiechem mocarza-dyablicy.
„Mnie cześć, od mojej szablicy
Pierzchli ostatni swobód wojownicy!"

Wstrzęsła się ziemia koło nagrobka,
Obwiała kamień obłokiem kadzideł,
Spuścił się z nieba ptak polskiej potęgi,
Strzelił, jak słońce, promieniami skrzydeł.
I ot, w chmurach u nagrobka
Stanęło widmo krakowskiego chłopka;
Rycerska zbroja błyszczy z pod siermięgi,
Z jasnych ócz grozi bohaterska dusza,
W jego lewicy chorągiew półkrwawa;
Chwyta miecz z grobu, północ przekrawa
I śmiech piekielny zagłusza.
Jak w dniach jesiennych półszata,
Jak dzień, gasnący śród burzy,
Tak posępna postać świata,
Tak się wokrąg wszystko chmurzy.
Daleko jeszcze nawalna fala;
Czasami tylko, jak przestrogi goniec,
Zdala błysk dmuchnie, grom zagrzmi zdala;
Kiedyż i jaki tej burzy koniec?
A uwiędły kwiat dziewiczy
Dogorywa w świata dziczy.
Skrwawiona samotna pastwa
Morderczej owadów tłuszczy
I potwornego królewskiego ptastwa
Jęczy o pomoc na puszczy,
Ale wsparcia z żadnej strony.
Już ją zdarto na trzy części,
Już w każdej zbójcze zatopiono szpony,
Już mrok skonania ćmi się coraz gęściej.
Nagle...

W świeżości wdzięków dziewica
Rozkryła się i zachwyca,
Z zimowych sukien odwita.
Dziewiczym wdziękiem ziemia czaruje,
Kwiat się z grobu pączka kłuje,
Wiosenne słońce wykwita,
Słowik hymnami wskrzeszenia go wita.
I mój naród, przebudzony,
Słońcem się nowej chwały upiększa,

Lecz jego jasność tak od dniowej większa,
Jak pienie szczęścia nad słowicze tony.
Oto się mędrców zebrało grono,
Nieśmiertelności promieniąc koroną
I w jednomyślnej umowie
Uradzili, jak bogowie,
Szczęście ludzkiemu plemieniu.
Płyną ich słowa w ognistym strumieniu...
A dobroczynni ziemian anieli:
Miłość bliźniego, miłość ludzkości
Wyczerpali zdrój światłości
I cudną tęczę ulleli.
I, ot — na burzy minionych ucisków
Igra płomieniem siedmiobarwnych błysków
Nowego przymierza wstęga,
Co berło z lemieszem sprzęga.
Uderzyły serc miliony
Na ów znak błogosławiony,
Pieśni, pieśni dziękczynienia!
Lecz śpiewać mocy nie było;
Słowo we łzę się stopiło,
W cichy płacz radości pienia,
A na niebiosach, jak zajrzeć w odległość,
Błyszczą, jak z gwiazdek, z łez promiennych głoski:
„Wolność! Równość! Niepodległość!"
— Wolność — Równość! — Niepodległość! —
Okrzykły grody i wioski.
Odpowiedział mu, jak echo, głos boski:
Wolność! równość! niepodległość! [1]

Ale — niestety — jaki los żałobny
Tej gwiazdy dziejów — tej anielskiej tęczy!
Wszak ona tylko pomnik nagrobny
Niezgasłą koroną uwieńczy,

[1]) Ustęp od słów: „W świeżości wdzięków dziewica..." do tego wiersza włożony tu został z rękopisów dawniejszych z pewnemi zmianami. Kacper Pokrzywnicki w pamiętniku swoim powtórzył go z odpisu, krążącego po Ukrainie przed r. 1830 p. t. „Konstytucya 3 Maja". Podaje go p. Franciszek Rawita Gawroński w „Studyach i szkicach historycznych". Lwów 1903, T. I. str. 296. Drugi wiersz, tam podany, znany jest z wydań jako „Święto 3 Maja".

A ta muzyka tryumfalnych pieni
W ponure się „requiem“ zmieni.
Chwała wam jednak, wybrane plemię,
Żeście w tej burzy wypiastowali
Zorzę, co słońce lepszych lat zapali,
Co kiedyś całą rozkwieci ziemię.
Bądź zdrów tymczasem, orle narodowy,
Odtąd pielgrzymie obcych obłoków!
Rycerzu-chłopku, bywaj nam zdrowy,
  Odtąd więźniu carskich oków!
  A tobie pokój długi i cichy,
  Ojczyzno moja, pokój ci w grobie!
Co zbrodnia królów, co zbrodnia pychy
Mogły dokazać, to w twojej klęsce
Dziś dokazały; pokój więc tobie,
A klątwa śmierci na twoje zwycięzce!

O duszo moja, cóż to widzimy?
Czy dzień straszliwy Zbawiciela skonu?
To ziemia święta! To gród Solimy!
Kościół Solimy, arka zakonu!
  Błyskają fale Cedronu
  I Kalwarya w chmur zamierzchu,
  I trzy krzyże na jej wierzchu...
  Czy dzień Zbawiciela skonu?
  Góra śmierci w burzy cała,
Krzyże poboczne, od wichrów wydarte,
  Rozchyliły się na boki,
Dwoma końcami chwytają opoki,
Jeszcze się na nich kołyszą ciała.
Słupem pożaru średni krzyż pała,
  A stoi bez ramion obu.
Tłumy narodów obstąpiły górę:
Śmiertelne stroje, lica ich ponure,
Jak na dniu męki wskrzeszeńcy grobu.
Góra wre burzą, jak chmura straszliwa;
Rzeka się pieni, ciska, jako żmija,
  Porywa ziemię, skały rozbija,
  A coraz wyżej przybywa.

Czegóż tu czeka to zebranie tłumne?
Pogrzebne pienie słyszeć się dało,
Pogrzebny orszak przeciąga trumnę,
W trumnie spoczywa olbrzyma ciało.
W napisie trumny: „Ośmnaście“ płonie.
Przyszli nad rzekę — fale stanęły —
Rzucili trumnę w rozpęknione tonie,
Fale ryknęły i ciało połknęły.

Fale ryknęły, grzmoty zagrały —
Naraz tysiączne uderzyły gromy.
Dreszcz i jęk głuchy zatrzęsły świat cały,
Świat się kołysze, jak namiot ruchomy,
Ciemność opada, jak dłoń śmierci ciemna,
I znów błysnęło, jak łuno pożaru,
I zewsząd lunął deszcz krwi i żaru.
Podniosła okrzyk stojąca tłuszcza:
„Wulkan zachodu, wulkan zachodu,
Wulkan zachodu się pali!“
A chmura chmurę rozbija
I grom za gromem się zwija,
Aż niebo iskrzy ogniem rozpalonej stali.
Pod bladością błysków trupią
Coraz się tłumniej narody kupią
Do tajemniczego trzech postaci szczytu.
Nagły wiatr uderzył w chmury,
Chmury pierzchły, a z błękitu
Zlała się jasność na trzy figury.
Spłoniła się góra cała,
Jako obłok nad zachodem,
I jako obłok jasna się stała,
I jako obłok ku niebu rosła,
Aż nad ludami chorągwią się wzniosła
I iść zaczęła i szła przed narodem,
A w promieniach wschodu cała.
Poboczne krzyże upadły na boki,
Dwoma końcami chwytają opoki,
Chwieją się na nich winowajców ciała,
A średni krzyż bez ramion i płomieniem pała.

Nad nim chór duchów przegania,
Krąży i nuci pieśń zmartwychwstania.
Wiek nowy, wiek cudu,
Zmartwychwstania wiek nowy.
Strząś, ludu, grobów okowy,
Zlej się w jedno ciało, ludu!
Potrzaskaj złoczyńcom głowy!
Już ci chorągiew rozwiano,
Na prawym krzyżu władza papieska,
Na lewym krzyżu władza królewska,
Pośrednim ogniem ludy niech staną.
To nowego wieku miano.
Wasza chorągiew przed wami!
Uścielcie godnie jej drogi,
Niechaj korony idą pod nogi,
Z tronów ofiarne stawcie ołtarze,
Zapalcie ogień berłami,
A uwieńczeni mocarze
Niech zamiast cielców skonają w ofiarze.
Wiek nowy, wiek cudu:
Narody z martwych powstaną.
Te dwa krzyże na dwie zbrodnie,
We środku słup mocy ludu
Wystrzela w zemsty pochodnie.
Te trzy postacie — to lat naszych miano.
Powstańcie, narody! Ludzkości!
Krąży chorągiew swobody, wolności,
Przyszedł dzień sądu i kary,
On zbrodnie ziemskich mocarzy
I cierpienia ludów zważy.
Wychodźcie, narody,
Do wagi i miary!
I tak przez ziemię idą chorowodem
Z wielkimi hymny o szczęściu człowieczem,
Z zakrwawionym kary mieczem,
A znamię wieku postępuje przodem,
A na trąbę zmartwychwstania
Czas groby wieków odsłania.
Wstają ludów kościotrupy,
Siłą magnesu łączą się w jedno.

Z pleśni grobowych otrząsają szaty,
Drżą odwieczne majestaty,
Mocarze z rozpaczy bledną,
Tłoczą się w przepiórek kupy;
Wołają w niebo: „Pomóż nam, Boże!“
Niebo nie słucha, dawno się ich zrzekło,
Ryją się w ziemię: „Pomóż nam, piekło!“
Ufajcie! Piekło pomoże.
Przyszły czasy piekieł cudu,
Poznacie go w całej mocy.
Tam, gdzie podziemne płomienie ludu
Połknęły skałę przemocy,
Wystąpił wielki duch nocy.
Wzniósł się w słup dymu nad ognia potopy,
Na krawędziach otchłani umocował stopy,
Obwinął się, jak płaszczem, ognistym wybuchem
I zdał się być światła duchem.
Porwał zmartwychwstania znamię
W potężne, olbrzymie ramię
I krzyknął na ziemię całą:
„Ja jestem, ludy, jam ludów chwałą!
Za mną, za mną, narody,
Do szczęścia, do swobody!“
A święte znamię pod nogi cisnął
I tylko jego widziadłem błysnął.
O, ludzkości obłąkana,
Odstąp go, lecisz na zgubę!
Ta świetna postać, to lice lube
To wyziew piekła, to głowa szatana!
Wasze oczy nie dostrzegą,
Że on was wiedzie na rzeź waszych braci,
Że was waszemi gromami traci,
Że się umniejsza lik pocztu waszego.
Ale gdzie taki, o Boże,
Co tobie podołać może?
Nikt twej świętości nie zgwałcił bezkarnie!
Podeptany sztandar święty
Niezgasłą iskrą uchwycił się pięty,
Lawą po żyłach przebieży,
Gromem zawrotu w głowę uderzy,

Zdrajcę narodów śmiercią ogarnie
I pchnie go w piekieł męczarnie.
Patrzcie, patrzcie na szaleńca,
Jak ziemię z ludów potokiem przechodzi!
Mniema, że wlecze za sobą jeńca,
Nie wie, że zginie sam w tej powodzi.
Antychryst będzie słynął cudami,
A wszystkie w korzyść duchów ciemności;
Podniesie ciężką rękę nad królami,
Strąci trony z wysokości,
A na ich miejscu inne postawi.
Umarłe ludy wywoła z mogiły,
Aby żywy świat niszczyły.
Trudno jemu nie wierzyć,
Trudno ludowi chcieć nie żyć,
Trudno w mogile doleżeć,
Kiedy budząca trąba zazgrzyta,
Życie i zemstę obwoła;
Ach, i któż się wtedy pyta,
Czyja to trąba: czarta lub anioła?
O duchu Polski, o Polski synowie!
Któraż kraina poczęła,
Któryż język wypowie
Dzieła, jako wasze dzieła,
Klęski, jako klęski wasze?
Cześć ci i chwała, pielgrzymi zastępie,
Chwała ci trzykroć, zastępie pogrobny!
Niechaj ptak grobu twego żałobny
Trzykroć się skrzydłem opasze,
Trzykroć zakuje w swoje szpony sępie,
Ty mu się wymkniesz ze strzeżonej truny
I ducha swego będziesz siał pioruny.
Ta wielka chwila waszego bytu
Leży, jak obraz, cudem rozjaśniony,
Jak drogi kamień z wszechświata korony,
Na tem zwierciedle mojego zachwytu.
Otwórz bramy, Watykanie!
Wygładź grzbiet swój, oceanie!
Piramido, uchyl głowy,
Gotuj wieniec, świecie nowy,

Niech się Tabor opromienia
Dniem Pańskiego przemienienia,
Niechaj powstanie świat cały
I patrzy oczami wielkiemi!
Od kiedy człowiek na ziemi,
Oczy nie widziały, uszy nie słyszały
W takiej pielgrzymce ludu takiego.
Gotujcie mu wieńce chwały,
Gotujcie groby dla niego!
To być muszą grobów dziwy!
— To trup Rzymu! — krzyczą żaki.
— Rzymu, on żyw nie był taki,
Jakim jest ten lud nieżywy.
Gdzież jest kraina, coby nie dostała
Członka z jego matki ciała,
Gdzieby pieśń jego zemsty nie zabrzmiała?
Na grobie Boga zatknęli swe znaki,
Krew ich zalała Kolumba szlaki,
Trupy ich trwają w egipskim piasku,
Moskwa goreje od ich stali blasku;
Śmierć lub ojczyzna! — śpiewa w ich tonach,
Orzeł i krepa na ich ramionach.
Lecz próżno, próżno, nieszczęsny narodzie,
Padasz w męczeńskim zawodzie,
Próżno na grobie wielkiego ludu
Wyglądasz wskrzeszenia cudu,
Próżno nawiedzasz ziemię obiecaną,
Próżno nad Boga grobowcem,
Próżno za wielkim wędrowcem
Pragniesz odszukać ziemię ukochaną:
Ocean weźmie z twoich szyków łupy,
Strzaska ciebie świat nowy kamienną swą miedzą,
Krokodyle zapłaczą nad twojemi trupy —
Zapłaczą i zjedzą —
A na świętym Boga grobie
Tylko nadzieja zakwitnie tobie.
I, ot, cała ziemia w drżeniu —
I pochylona wywrotem,
Berła monarchów w zaćmieniu,
Odwieczne trony w płomieniu,

Korony kapią krwi potem.
Wszyscy walczycie i wszyscy nie wiecie,
Dla jakiej sprawy walczycie.
Ale sokolim zbliża się lotem
Wielka chwila przesilenia,
Gdzie ziemia w swej mocy stanie
I człowiek — Bóg umęczenia —
Znów rozpocznie panowanie.
Ciesz się, ciesz się, o wolności!
Bóg egipskiemi ciemności
Pomieszał wrogom rozumy.
Stąd królewskie idą tłumy,
Tu się rozparł anioł dumy,
I mordują się śród nocy.
Oni sądzą, że ty giniesz,
A oni wszyscy w twojej są mocy,
A ty zwycięsko z ich krwi wypłyniesz.
— O, mężu pychy, cóż cię tak zaślepia,
Że się panem ziemi mniemasz?
Ty swej woli nawet nie masz.
Ptasznik swój dzwonek tobie przyczepia,
Na oczy wdziewa kapturek
I powiada: „Leć, sokole!
Tam, w polu, stado przepiórek,
Obleć, odzwoń, przestrasz pole,
Abym spłoszonych łatwiej wziął w niewolę!“
O, mężu pychy, tyś sokołem łowca!
Biedni królowie! Skąd ta wściekłość dzika
Na olbrzyma przeciwnika?
— On cud, on dziecię grobowca
Umarłych królewskich czasów,
On szermierz waszych zapasów,
On rozbity zastęp króli
Cieniem swoich skrzydeł tuli.
Ciesz się, ciesz się, o wolności!
Bóg egipskiemi ciemności
Oczy i myśli wrogów ocienia.
Ciesz się, już blizka chwila przesilenia.
Widok okropny, uroczy:
Świat się rozpadł na dwie strony,

Każda połowa, jak potop wzburzony,
Jednym ogromnym wałem się najeża,
Ruszyła z miejsca, na grzmotach się toczy
I morzem w morze uderza.
Zawyły wyciem grobowym,
Jak jedno działo tysiąc dział,
Miliony strzałów — jakby jeden strzał.
Wrzasły miliony, jak jednem słowem,
Miliona ogniów rozlał się wał
Z miliona paszczęk, jak z jednej paszczęki,
A ognie, strzały i jęki —
Trzydniową łoną, wyciem trzydniowem.
Już po was, już po was, mocarze!
W tej bitwie ludów, w tym wieków pożarze
Palec wszechmocny na losów zegarze
Pokazał skonania chwilę
Waszej władzy, waszej sile.
Zawołało słowo boże:
„Wy nie wierzycie — to może,
Może cudom uwierzycie?
Tylko dwa cuda wam stworzę.
Patrzcie na głąb oceanów!
Z łona dalekich bałwanów
Wyrosła skała i duch na jej szczycie.
Czy wy znacie to widziadło,
Z rękami na krzyż i twarzą opadłą?
Siedzi na nagiej opoce,
W kajdanach, w myśli pomroce.
Jego dziś tronem ta wilgotna skała,
Jego koroną ta zgryzot chmura,
Co mu czoło opasała;
Myśl jeno bardziej ponura,
Niżli te dzikie opoki,
Ból jego bardziej głęboki,
Niżli te oceany.
Bo dziś ocean — jego kajdany,
Stolicą — szczyt pustej skały,
Klątwa ludów — pieśnią chwały.
I któż go zwalił? Czy wy, dziś zuchwali?

A jego palec wzniesiony
Zachwiał naraz wszystkie trony,
A pył nóg jego wy wszyscy lizali.
Tu śmierć dosięgła potęgę,
Całej ziemi zagroziła skonem.
A tu cud drugi w ciele pogrzebionem,
Co je śmierć w swoją wpisała już księgę.
Wschodzi zmartwychstanie ludu...
Wstałożby ono bez wolności cudu?
Zdumiewaj się, o ludzkości,
Zanuć Hozanna wolności!"
Ale królowie bezbożni,
Słów boskich pojąć niegodni,
Nowym tryumfem przemożni,
Wrócili do dawnych zbrodni.
Nadaremnie palec boży
Widome cuda im tworzy
I jedną ręką rózgę komet zwiesza,
A drugą zmarłe narody wskrzesza.
— To przestrzega, ich to trwoży:
Zmartwychwstania Polski dzieło
Nową królewską zbrodnią poczęło.
„To upiór ludów! — mówili w sobie —
Co żyje krwią dzieci słońca;
My z nim nie dojdziemy końca,
Póki go nie zaklniem w grobie".
I wykonali, co rzekli morderce!
Zaprosili zmartwychwstałą
Na biesiadę okazałą,
Uprzejmością upowili,
Upojoną z nóg zwalili,
Ucięli głowę, wydarli serce
I wszystkie członki pospołu
Do głębokiego wrzucili dołu.
Przebili łono gwoździem osikowym,
Obsieli ziarnem makowém,
A potem dali ustom śmiertelnym
Pocałowaniem piekielném
Pieczęć z napisem: „Tu królestwo moje!"
Zamknęli trumnę, grób wodą naleli,

Zaparli głazem podwoje,
Z tryumfem w dłonie klasnęli
I poszli weseli.

*

Kraków! To on sam, jak polski lud, stary!
Kołyska polskiej chwały, gniazdo polskiej wiary,
Smentarz polskiego narodu.
Witam cię, miasto błogosławione,
Miasto wieków ulubione
I od wieków wykarmione.
Ty nie umrzesz z chwały głodu.
Tu czas, co ziemię, jak bocian, czyści,
Gniazdo sobie wybudował
I w twojem sercu pochował
Dalekich wypraw korzyści,
Aby wykarmił życiem i potęgą
Pisklęta, które wkrótce się wylęgą.
Szczęśliwy ten dom, błogosławiony,
Który on gniazda koroną opnie,
I ten ród pewien niebieskiej obrony,
Co gniazdo jego ocala roztropnie;
Chwała ci, grodzie, że w tobie cześć taka
Dla świętego czasu ptaka.
A więc nad tobą i opieka boża,
Ciała dusz wielkich leżą bezpiecznie
Ani się psują w twoich świątnicach —
Wieniec dziejów kwitnie wiecznie,
Duch dawnej chwały wieje po ulicach
I błogosławionych zorze
Opromienia twoje wieże.
Słowo podania twoich swobód strzeże
Od dwóch stron świata dwoma mogiłami.
Widzę je — wstało widomie
W mglistych olbrzymów ogromie
I „witaj — mówi — witaj między nami!
Brakło nam straży z tamtej jeszcze strony,
Tam się też skradał wróg przyczajony.“
Jękły pogrzebowe dzwony;

Dźwięk ich żałobny, czysty i głuchy,
Jakby go niosły płaczące duchy,
A, jak eter, przenikliwy,
Płynie daleko, jak jasności fale,
Zagrał sępowi na Karpatów skale,
A sęp żarłoczny sparł się na dziób krzywy
I skrzydła zwiesił do smutnej dumy;
Przeszedł nad morza — a morskie tłumy
Pomyślały, że mórz łono
Jęczy przed blizką burzą szaloną:
Kupią się i bez ruchu ołowiem w głąb toną.
Przeniknął deszczem w lasów tajniki —
Rwą się zjeżone dzikie zwierzęta,
Mniemają słyszeć jęk dziki,
Jakim się proszą leśne szczenięta,
Kiedy nieczuła ręka myśliwska
Obręczem śmierci gardła ich ściska.
A jęk szedł dalej, wokoło,
Jak śmierć, przenikał ziemskie głębiny,
Jak szum, przebiegał wzdłuż Wisły i Dźwiny.
Zlał blaskiem wschodu najwyższych gór czoło
I idzie dalej, coraz głębiej, wyżej,
W górę promieńmi dziennemi,
Dreszczem wulkanu w głąb ziemi,
Dokoła świata skrzydłem chmury chyżej
I coraz dalej, aż całą ziemię,
Aż całe ludzkie obudził plemię.
Gdzie wzrok rzucisz popod słońce,
Zewsząd chorągwie wiejące,
Przepasane krepą czarną,
Zewsząd żałoby męże się garną
Ze wstęgami trójbarwnemi
I z garścią rodzinnej ziemi.
Kogóż to, kogo żegnać ludzkość będzie
W tym niesłychanym obrzędzie?
O święta mojej ziemi stolico!
Jakże pysznie powstajesz przed moją źrenicą
I nad cały świat ciekawy
Wznosisz górę Bronisławy

I prawicą tajemniczą
Otwarszy jej pierś dziewiczą,
Składasz w niej umarłe zwłoki
I wysyłasz pod obłoki
W wieńcu gwiaździstej światłości
Okrzyk: Oto mąż wolności!
Jak woda w paszczę otwartego wiru,
Tak wkoło grobu zlewa się lud miru.
Ze szczyptą ziemi każdego ręka,
We stu językach jedna piosenka:
„Noc wzięła słońce w poddaństwo,
Kościotrup żyjących gnębi —
Budujmy podziemne państwo
W grobów głębi.
Oto męża niezgiętego
Bohaterski trup spoczywa:
On trup, lecz, jak chwała jego,
Myśl w nim żywa.
Teraz ziemi rodzicielki
Rzućcie na tę myśl po szczypcie
I niezgasłej, świętej, wielkiéj
Grób usypcie.
A głęboki, by nasienie
Rozpostarło się tam śmiało
I ujęło w swe korzenie
Ziemię całą.
A niech zbrata się z Karpaty,
Aby wolność zmartwychwstała,
Gór szczytami na dwa światy
Zapałała.“
Po chwili wyrasta
Trzecia strażnica świętego miasta:
Z łez nad mężem wolności cudotwórne dzieło,
Gdzie się wielkiego ludu poczęcie
Ziarnkiem zwłok trupich zamknęło,
Jak Bóg-człowiek w sakramencie.
Arka nadziei, tajemnicza postać
Wielkiej nauki jak narodem zostać,
Jak swobodę wypiastować
I jak ziemię odbudować.

Króle, bezpieczni przemocą,
Czy widzicie te blaski, co w strzałach promyka
Przed źrenicami waszemi migocą
I zbiegają do pomnika?
Te blaski — to ręka boska,
Ten grób — Baltazara głoska!
Gwiazdo świata, żegnam ciebie,
Lampę grobową zapalę sobie,
I w łonie ziemi ducha zagrzebię,
I osiądę w ludu grobie,
Ażebym widział, jaką to siłą
Ziarnko narodu dojrzewa,
Jak się wzmacnia pod mogiłą,
Zaczem wystrzeli olbrzymem drzewa.
— Później — rzekł anioł przytomny.
— Uważaj cuda, nie badaj przyczyny,
Na dziś dość tobie ludzkiej krainy! —
I na widzenia krainy
Położył skrzydło, jak cień ogromny,
Dla rąk i oczu niezłomny.
Na ziemię milczenie opadło
I mrok dwunastej nocnej godziny.
Pomnik narodu stanął, jak widziadło,
A jakaś światłość biła z jego głowy.
W tęczy przyćmionej, jak blask księżycowy,
Milion spojrzeń igra w niej swobodnie,
Jak lekkie roje zachodnie.
Ponuro biją blasku tego łony
O lody północnej strony.
Źrenice larwy, co siedzi za chmurą
Nocy sześciomiesięcznej,
Błyszczą dziko i ponuro
Od światłości grobu wdzięcznej.
I blask ją razi i trwoga ziębi.
Na jasność trzeba jasności;
Zeszła więc do piekieł głębi,
Do trupa ziemi, bierze szpik jej kości
I z niego pochodnię lepi,
Co jednych uśpi, drugich oślepi,

Pochodnię trupiego blasku,
Szatańskiego wynalazku,
Nowych zbrodniarzy przewodnię,
Ale ćmom ludów gorejącą mile.
Tak ulepioną pochodnię
Przy ogniu piekieł rozżarza
I chytrym krokiem nocnego zbrodniarza
Podkrada się ku mogile.
Przy grobie powstał gwar dziki,
Szelest skrzydeł, gwar okrzyków —
Ćmy, nietoperze, sowy, puszczyki
Wysunęły się z tajników
I wieńcem światło objęły ciemnym
I powitały go śpiewem podziemnym:
„Witaj nam, witaj, światło pożądane,
Tyś słońce naszego życia!“
I w dzikich pieśniach pośród skrzydeł bicia
Leciały w ogień, jak obłąkane;
A, co leciało, to w dym zgorzało.
Ale ród nocy, plemię spodlenia,
Wciąż swemu światłu nuci chwalne pienia,
Aż się samo piekło śmiało,
A milczące grobu skronie
Czystą tęczą wciąż pałają,
A w milczącem grobu łonie
Cuda wciąż się poczynają
I świat żywy zaludniają
Widziadeł straszących zgrają.
Ucichła szatańska radość
Na groźne wkrąg tajemnice
Trupiego światła — i trwogi bladość
Szpeci w dwójnasób zbójczej larwy lice.
I w tejże chwili, dziwo nadzwyczajne —
Doszło mych uszu gadanie tajne
W drżeniu podziemnem, z warczeniem głuchem,
Jak przed wulkanu wybuchem.
Zaćmiona Polski połowa
Mówiła w te słowa:
— „Czego śpicie, lasy lube?
Góry lube, czego śpicie?

Tu pracuje wielkie życie,
Tam śmierć wielka trzyma zgubę.
Pomóżmy życiu, pomóżmy!
Radę między sobą złóżmy!"
Na to powiedział las głuchy:
— „Gdy śmierć życiu grozi zgubą,
Trzeba życie, jak w pieluchy,
Obwinąć w zasłonę grubą,
Póki nie dojrzeje skrycie;
Ja dostarczę ćmy obficie."
Cóż na to góry? Góry się ozwały:
— „A góry mają przepaście i skały:
W górach kołyskę zrobimy,
Niemowlę życia schronimy,
Będziem je tulić chmurami,
A kołysać orlętami."
Cóż na to wody? A wody rzekły:
— „Nieraz my krwią życia ciekły.
Za to naszej rosy łono
Będzie zakrapiać dziecinę spragnioną."
Jak wyrzekli, tak się stało.
Ćma drzew na Polskę rozlała się całą.
Stoi kołyska w głębiach opoki,
Skrzydła ją młodych orląt kołyszą,
Nad nią zasłony z gęstych chmur wiszą,
A z wód ustawnie ciągną obłoki
I niemowlęciu kroplami słodkiemi
Cedzą mleko matki ziemi.
Och — i dni idą, w których się objawi
Cud harmonii z natchnień wieszczych zdroju!
Spieszcie, Polacy, z okrzykiem żórawi!
Przybiera kielich rajskiego napoju —
Będziemy pili do snu zachwycenia!
Nieznane dotąd między mym narodem
Dadzą się usłyszeć pienia,
W niemeńskich borów szumie powstaną
I powietrznym korowodem
Okrążą Litwę zaspaną,
Źródeł Dnieprowych bełkot obudzą,
Z każdej fali dźwięk wyłudzą,

Zadzwonią o porohy i dalej popłyną
Nad ziemią grobów, nad Ukrainą.
Stepowych wichrów chód się do nich zbieży,
Popląsa z niemi w rodzinnych równinach
I do Bohowych polecą nadbrzeży.
Ockną się echa na Tatrów wyżynach,
Zagrają społem, hukną, zadzwonią
I z wiosennego powietrza wonią,
Rozpierzchłe po całej ziemi,
Zleją na serca muzyki rosę.
A Rusałki złotowłose
Płyną nurty grającemi.
Dnieprowa Świtezianka wita,
Dnieprowa Świtezianka pyta:
„Cóż to za pieśń w tej czarownej nucie
Nasz krzyształowy skłóciła zaciszek?
Może która z towarzyszek,
Śmiertelne w piersiach rozpaliwszy czucie,
Objawiła po zdradziecku
Tę muzykę ziemi dziecku?
Jak w polskich wodach igramy,
Jeszcze my takich śpiewów nie słyszały.
Siostro, wszak piękne kwiaty chowamy,
Splećmy-że z nich wianek chwały,
Splećmy, siostro Świtezianko,
I miłości wiązanką
Przepaszmy te młodzieńce,
Co nas przeszli w piosence."
A w mogiłach Perepiata
Budzą się męże dawnego świata:
Oczy ich gniewne i dumne,
A podziwienie na spleśniałej twarzy.
— „Plemię młokosów skradło czasów trumnę,
Odkradło dzieje, naszej powierzone straży.
Trzeba pomścić się zniewagi...
Lecz nie, chwała dla odwagi!
Z połysku naszych stalowych zbroi
Koronę chwały ulejmy,
I na tego skronie wdziejmy,

Kto do krwi mężów przyjść się nie boi
I ku czci naszej lepiej gęśl stroi.
Dalej, plemię natchnień, dalej
Ze śpiewami i dźwiękami!
Minioną sławę roztocz nad ziomkami,
Blaskiem przeszłości ojczyznę zalej.
Obudź wieki, otwórz groby,
A zapadłe nasze grody
Wywiną się z gęstwin kniei,
A pieśń pogrobnej żałoby
Ozwie się hymnem nadziei.
Pieśniami zmartwychwstaniem pomiędzy narody!
Kwiatek nie zwiędnie, fala się nie zmąci,
Skoro ich skrzydłem przelotu dotkniecie;
A jak się wszystko rozjaśnia na świecie,
Co promień słońca potrąci,
Tak one będą jaśnieć od wieka do wieka,
A od najdalszej potomność daleka
Pójdzie po waszych śladach z kochanki oczyma
I z całunkiem kochanki przy każdym się wstrzyma.“
Jakiegoż to ptaka pienie
Niebiańskich dźwięków, płomienistej mocy,
Budzi śmiertelne Polski uśnienie?
Precz z mego kraju, o nocy!
Szum radością, Litwo ciemna,
Po dawno ogłuchłych borach!
Graj, wodo, w gwiaździstych wzorach!
Po śpiących Litwy jeziorach
Z iskierek brzasku na falach Niemna
Spływa się okrąg płomienia
I nowem słońcem świat opromienia —
Nowy świat życia, czucia i miłości.
Widzę ja przestrzeń głuchą i bezludną,
Widzę, jak po niej strzały światłości
Śmigają w słowach i dźwiękach,
A pod każdą strzałą cudną,
Jak w świętych proroka rękach,
Obumarcie zmartwychwstaje,
Nieznane rodzą się kraje.
Jako przy dzwoniącym gromie

Trąb anioła wskrzesiciela,
Tak od nich trumna ziemskości się łomie:
Mówią kwiaty, czują bory,
Duch życia z wód zimnych strzela
I stają wokrąg widomie
Ideały światłości i mroku potwory.
Rozjaśnij się, czasie, rozjaśnij,
Że cię tym dzieckiem darzy wieków stadło.
Ty, przyrodo, w dłonie sklaśnij,
Że w świecie duszy masz takie zwierciadło.
Ale się chmurzy piekieł rodzina,
Rzuca się w burzy na wieków syna.
Ogarnia go, chłonie — pognębi?
Nie! On świeci z nawałnicy,
Jak grom, zamknięty w obłoku głębi,
Rzęsnym strzałem błyskawicy
Zakrwawia chmurę, z gniewu poczerniałą.
Cóż tak w tej chmurze zagrzmiało?
Czy to piorun rozdarł chmury?
Piorun, ale z wieszcza ręki.
Duch zemsty wypadł z sępiemi pazury,
Spuścił się, wżarł się w tyrana wnętrzności,
Wpoił się w szpik jego kości —
A ten w konwulsyach męki
Pianę obłąkania miota
I — „Wallenrod! Wallenrod!“ — bełkota.
Graj im, Poeto, graj Samsona struną,
Niechaj usypia tłuszcza rozmarzona,
Aż zatrzęsione siłą Samsona
Własne ich gmachy na głowy im runą,
A wtedy nie żal ponieść śmierć Samsona.
Na gardle Polski zbójcza dłoń przemocy,
Poczwara pustek i nocy,
Jakby na gnieździe, siadła na jej ziemi,
Nakryła całą skrzydłami swojemi
I krwawym dzióbem chwyta łakomie
Życie, ocknione w jakiemkolwiek ciele:
„Jaka posępność w zawalonym domie,
Kędy przed chwilą szumiało wesele!
Taka posępność na całej krainie,

Jedyny pomnik życia, co minęło.
Ludzie, co znikli — jedyne dzieło,
Pomnik zniszczenia — mogiła narodu.“
Wzniosła skroń dziką nad martwą pustynią,
Z krwawego czoła śmiertelnego grodu
Tęcza posępna, jak tęcza księżyca,
Powoli strzelać, zwiększać się poczyna;
Powstaje widmem polska dziewica,
Szeroką zorzę po niebie rozpina
I krwawą łoną pół świata oświéca.
Po niej mglista plamka chmury,
Jak na szczycie Babiej góry
Poprzednik deszczu wydyma obłoki!
Aż się roztoczy w obłok szeroki,
Aż wielką chmurą na mogiłę spadła:
To nie chmura — to widziadła!
Świeci nad wszystkie rycerz dziewoja!
Świetna, odwieczna jej zbroja,
Tylko grobową pleśnią porosła.
Rycerskie znamię lewicą podniosła,
A prawicą szyszak trzyma.
Orężny jeździec stoi z prawej strony,
Po jej lewicy lew rozsrożony —
Nad głową biały orzeł zawieszony.
Rycerz dziewica dała znak oczyma —
I naprzód orzeł klasnął w białe pióra,
Karpaty zagrzmiały: „ura“ —
Zawichrzyła piasków chmura,
Ćma duchów piesza i jezdna
Wytrysnęła z piasków bezdna
I otoczyła dziewicę.
Potem koń zarżał i kopnął w ziemię,
Zastękały trzęsawice,
Zaszumiały czarne puszcze,
Liście wichrem się zwinęły,
Z liści wyszły zbrojne tłuszcze
I przy dziewicy stanęły.
Potem ryknęło ze lwiej gardzieli,
A z traw stepowych topieli,

Zawył głucho wiatr ponury,
Ziewnął obłokiem do góry,
Rozbił go w chmury błyszczące
I spuścił mężów tysiące.
I wszyscy koło dziewicy stanęli.
Rycerz-dziewica obwiodła tłumy
Okiem rozpaczy i dumy
I, jakby mówiła oczami do orszaku,
Podniosła szyszak — krew była w szyszaku.

1833.

W odnalezionym rękopisie fragmentów spisane są szkice pomysłów do poematu:

Wiadomość o księdzu Marku.

Ks. Marek należał do zgromadzenia Karmelitów bosych. Mieszkał w klasztorze Berdyczowskim. — Był jednym z pierwszych, przystępujących do konfederacji Barskiej, za co doznawał wiele prześladowań od rządu moskiewskiego. Uchodził za proroka i świętego. Zostało dotąd proroctwo jego wierszem o przyszłych losach Polski. Robił cuda. Widziano go w czasie mszy, przy podniesieniu hostyi, podniesionego o kilkanaście cali nad stopniami ołtarza. Lud zbiegał się do niego po błogosławieństwo. — Wypadek mojego nauczyciela z ks. Markiem. Więziony od Moskalów, w drodze do Petersburga, wychodził zawsze mimo krat i murów na wolne miejsca i czytał biblię. Na obiedzie u Rzewuskiego, pisarza koronnego w Rozdole (w Galicji), strzelał piorunami na wiwaty. Niektóre o nim szczegóły w historji Rulhière'a o „Bezrządzie polskim".

Notaty do proroctw ks. Marka.

Ksiądz Marek zostaje prorokiem przy trupie o północy. Pierwsze widzenie. Raj — koło proroków starego i nowego zakonu: Mojżesz, Eliasz, Enoch, Izajasz, Jan Ewangelista. Każdy ze stosownemi oznakami. Eljasz pali go ogniem swojego wozu, a duszy zapytuje, którego z pro-

roków chce mieć swoim przewodnikiem. Marek żadnego nie bierze. Wszyscy prorocy udzielają mu swojego ducha, a orzeł Jana odbywa z nim pierwszy lot proroczy. Odtąd w ciągłych jest związkach ze wszystkimi prorokami.

Proroctwo zaczyna się od objawienia się Chrystusa. Ubolewa on nad ziemią, ubolewa, że szatan zatrzymał dzieło jego i tajemniczem hasłem puszcza w dalszy ruch dzieło swoje, a do tego wybiera polski naród i pomazuje go na męczennika.

Trzy epoki męczeństwa Polski. Pierwsza ucisk Polski w osobie Puławskiego, — druga w osobie Kościuszki, — trzecia w osobie Zaliwskiego. Zaliwski, jako bohater rewolucji listopadowej.

Krzyż oddaje panowanie szubienicy. Wzniosłe jej przeznaczenie. Szubienica narodu Polskiego składa się z trzech części: Rosyi, Austryi i Prus.

Anioł ciemności, Interes, jest sprawcą pobudzicielem wszystkich sił, przeciwnych Polsce w jej walce za ludzkość. Na początku poematu Interes rozwija swoje zastępy.

Ich przegląd:

Marek widzi nowe bóstwo 19 wieku, bez nazwiska, jak widmo z cienia i światła, nieruchome, niepojęte. Zdaje się jednak czuwać nad Polską, bo, stosownie do jej przygód, widać w niem zmiany tajemnicze.

Nakoniec anioł każe się obejść księdzu Markowi, ogląda się, widzi, że jest w r. 1833, jak w przepaści, przestrasza się, błaga, żeby się mógł wycofać i na tem kończy proroctwa.

Bożyszcze Polaków z trzema głowami, wyobrażającemi trzy stany.

Marek widzi zachód religii katolickiej, a wschód nowej wiary; przerażenie jego. Chrystus tłumaczy mu to i potrzebę nowej wiary, przy czem pociesza.

Barwa proroctw, republikanizm katolicki.

Między prorokami wielcy ludzie innych narodów. Z Polaków Bolesław Chrobry, Jadwiga etc. Wynalazca drukarni Faust Guttenberg, Jeremjasz z łańcuchem na szyi.

Z Jeremiasza. Wystaw sobie pamiątki, nakładź sobie gromad kamieni, pamiętaj na ten gościniec i na drogę, którąś chodziła, nawróć się, panno Izraelska.

Miejsce to zastosować do tułaczów polskich mogiła Kościuszki ma być wyżyną, usypaną w tym celu, z niej duch Polski ukaże się Polakom, rozproszonym po całym świecie, wzywając ich do ojczyzny.

W dniach rozproszenia widzi Marek anioła, zstępującego na ziemię polską, który rozmierza jej granice, odnawia ślady Chrobrego; potem dzieje się oczyszczenie ziemi z arystokracyi i t p., a wszystko na przyjęcie nowego ludu. Jak na wiosnę dobry gospodarz przed zasianiem roli zgromadza perz i chwast rozliczny na stos i pali go ogniem.

Młodzi pisarze, wprowadzeni pod postacią aniołów, wypuszczających wiatry ze czterech rogów Polski i burzących budowę ciemięzców.

Dla uniknienia spowszedniałych dziś deklamatorskich nazwań, które nadano nieprzyjaciołom ludzkości, jako to: Mikołajowi, despotyzmowi itd. albo wyrzekających przeciwnej im strony, powprowadzać na ich miejsca zbliżone do wyobrażenia rzeczy, nazwiska hebrajskie, wzięte z biblji, jako np. anioł zniszczenia abbadon ma znaczyć i t. d. synowie gromu. — Talitakumi wstań dzieweczko, anioła wskrzesiciela Sephar. Tephilim księga chwał.

* * *

Stan Europy, a w szczególności polskiego ludu za czasów konfederacyi Barskiej. Królowie, arystokraci, księża, jezuityzm, ciemnota i t. d. Potem stanowcze wypadki z dziejów polskich od konfederacyi Barskiej aż do r. 1833. Upadek konfederacyi Barskiej. Tren nad jej upadkiem. Oda na śmierć Kazimierza Pułaskiego. Rzut oka na Amerykę północną. Kościuszko w obłokach oddalenia. Panowanie Stanisława Augusta. Apostrofa do niego. Wzmagająca się przemoc Rosyi. Obraz jej potęgi. Burza, zbierająca się ze wszechstron na Polskę. Pogoda zachodnia. Konstytucya 3-go Maja rzuca na ten dzień blask ostatni. Wojna. Powstanie Krakowskie. Pochowanie Polski w grobie. Legiony Dąbrowskiego, wstające z trupa Polski. Ich dzieje. Napoleon. Upadek jego. Mogiła Kościuszki. Wzmaganie się ducha narodowego. Poezya narodowa. Mickiewicz. Prześladowanie młodzieży. Rewolucja 29 Listopada. Bitwa

pod Grochowem. Wzięcie Warszawy. Apostołowie i prorocy wolności rozsypują się po świecie. Zemsta ludu.

Nowa Jerozolima. Odbudowanie świata i Polski.

Od tego obrazu, łączącego się z obrazem opisanym obozu konfederatów, zwraca się prorok do Pułaskiego; zachęca go do wytrwałości i każe z nowym zapałem uderzyć na wrogów.

Wszystkie uczucia ludzkie odebrać księdzu Markowi, wyrazić je w apostrofach do ludów, do ziemi polskiej, do przedmiotów nieżywych.

Ks. Marek w raju i w piekle. W raju duchy bohaterów wolności. W piekle duchy carów rosyjskich, królów złych, zdrajców ojczyzny i panów egoistów. Osobne z tego poema.

Rewolucja 29 Listopada. Zjawisko olbrzyma 40-letniego, zasiada na stolicy Europy, a pod nim przesuwają się zdarzenia.

Naród polski, człowiek z trzema głowami. Jedna głowa-dusza, lud; druga ręka, ślachta; trzecia brzuch, panowie. Głowa-brzuch powiada, że jest najstarsza i gnębi dwie drugie. Anioł ciemności rzuca jej przysmaki z orderów, pieniędzy i t. d., które on pożera i wciąż rzyga poczwarami rozmaitego rodzaju, które się swoich innych głów czepiają (na miejscu kwiatu-dziewicy).

Rejtan męczennik pieczętuje krwią swoją pierwsze zamordowanie Polski.

Ksiądz Marek wyklina panów polskich.

Poniatowski haniebnem królowaniem pieczętuje władzę królewską w Polsce.

Ks. Marek, obecny obrzędowi anielskiemu, kiedy Bóg poświęca Polskę na męczennika ludów i zbawienie świata od szatana królewskiej władzy.

Skonanie 18. a urodzenie się 19. wieku. Dziedzina czasu. Przygotowują grób dla ośmnastego wieku, a na grobie kołyszą 19-ty; śpiewają mu tajemniczą piosnkę o panowaniu wolności, o upadku królów, arystokracyi.

Fanatyzmu religijnego uderza godzina 12-sta, spada jeden wulkan.

Napoleon, widmo, utworzone z trupa królów, wypielęgnowane w ich grobach, wychodzi, odziane wszelkimi

oznakami bohatera wolności. Szatański jego umysł. Morduje miliony (Dumny, jak ród mocarzy, niszczący, jak robak grobu).

Epoki opiewanych przez ks. Marka zdarzeń zponacza burza, która piorunami tłucze prorocze zwierciadło i wszystkie przedmioty w zamęt wprawia — będzie to także podział pieśni.

1. Zawiera zjawienie się anioła. Rozmowa jego z ks. Markiem. Wyprowadzenie zwierciadła proroczego. Zwierciadło składa się z tysiąca innych, jedne w drugiem, coraz mniejszych, aż do zniknienia. Naprzód ogólny wykład widzeń. I tak drugie widzenie, trzecie, czwarte, etc.

N. Widzenie. Piekło, gdzie ksiądz Marek widzi wszystkie narody z ich korzeniami i wszystkie podziemne roboty tak ludów, jak królów.

N. Widzenie. Raj.

N. Widzenie. Nowa Jerozolima.

Każde widzenie jest oddzielnym poematem.

Polska pokutuje za swoją arystokracyę. Po każdej rewolucyi anioł się pokazuje i mówi: Nieczysta! — a Polska upada. Dopiero zaprowadzona wolność i równość zupełna zjednywają jej tryumf.

Polska cierpi za możnowładztwo. Ludzie, od szatana poduszczeni, podają jej, jako lekarstwo, władzę królewską, osłodzoną później konstytucyą 3-go Maja. Ten krok rozwiązuje los Polski i śmierć jej zadaje. Przytem wyrok, że póty nie powstanie, póki nie pozbędzie myśli o królewskiej władzy.

Korona królewska na głowie orła białego jest znakiem niełaski boskiej. Orzeł tryumfujący ukaże się w wieńcu lub ze słońcem.

Anioł połączenia czyli porozumienia się. Tęcza trójkolorowa występuje nad światem przed godziną jego zbawienia. Ludzie, idący przez świat i spisujący dusze, które są za wolnością, a które przeciwko niej. Liczba dusz dobrych.

* * *

Widzi gwiazdę nowego Zbawiciela ludu, który przychodzi pod postacią 19. wieku. Kształt tej gwiazdy i towarzyszące jej zjawienia są fenomenem.

Do pror. ks. Marka.

Wieki składają się na ogólną europejską rewolucyę. — Noc. Okropność sceny rewolucyjnej i nadzwyczajna jej ciemność. Z tej burzy wypływa Polska, ale oku proroka pokazuje się, jak widziadło niewyraźne.

Pieśni prorocze ks. Marka.

I widziałem — a oto naród zamienił się w ogrom, podobny do góry, i niebo otworzyło się, i wyszli czterej aniołowie i zatrąbili na cztery strony świata, a trąbili słowami: Ludy, patrzajcie, Bóg będzie swój lud obierał; a wtedy podobieństwo góry wzburzyło się, jak morze i, piętrząc fale swoje, podniosło się ku niebu, a w jego głębiach dał się usłyszeć zamęt głosów, niesłychanych na ziemi od jej stworzenia, a było w nich, co tylko w głosie może być najokropniejszego, a na powierzchniach podobieństwa góry ukazały się strumienie krwi, a wokoło jej były błyskawice, jakoby niepoliczonych oręż̇ów i armat, i trwało to długo, a głos niewidzialny powtarzał: czyść się, mój ludu, i po tym...

Tytuły.*)

Przeszłość i przyszłość Polski. — Polska w widzeniu. — Widzenia poety.

* *
*

Duch Polski jest przewodnikiem poety w jego proroczem zachwyceniu.

Poeta przeniesiony jest do świątyni stworzenia. Kościół ten wyobraża w treści całe stworzenie, jakie tylko wzrok proroka obejrzeć może.

Bóstwo napełnia cały kościół. Daje się słyszeć muzyka nadziemska, jakiej żaden człowiek nie słyszał. Skala jej przechodzi rozległości myśli ludzkiej. Są w niej tony najwyższe i najniższe stworzenia.

* *
*

*) Trzy notatki, odtąd poczynając, dopisane są na wolnej kartce rękopisu własną ręką Goszczyńskiego, zapewne w Paryżu po r. 1850. Widocznie próbował wskrzesić dawne widzenia i zużytkować.

Czas nowy. — Poczucie w kościele św. Rocha w Paryżu na nabożeństwie wielkopiątkowem. — Śmierć i pogrzeb Polski w świecie ducha. — Widzenie to będzie początkiem poematu.

DROBIAZGI.

Obraz leniwca.

Chcecie zabawki, więc was zabawię,
Leniwego wam przedstawię,
A przedstawię tak dokładnie,
Że każdy z was i odrazu
Po pierwszym rysie obrazu
Oryginał jego zgadnie...
Albo wiecie... lepiej może
Na później ten trud odłożę!

Zegar i poeci.

— O, mój szanowny zegarze,
A to znowu co się znaczy?
Bijesz dwunastą o trzeciej?
Zegarze, tak robią łgarze!
A zegar na to:
— Tak robią poeci:
Inaczej dzwonią, a idą inaczej.

Najgłupszy.

Głupie jest bydlę, lecz bydlę najgłupsze
Jest człowiek, kiedy być głupim się uprze.

Szumowiny.

(Bajka — niedokończona)

Lekkie, bo próżne z przyrody,
Warczą, huczą szumowiny,
Krążąc po wierzchu kipiącej wody:
— Patrzajcie na te garka kłębiny!
Z mojej to one tak wrą przyczyny,
My to burzymy wodę tego garka —
Klękajcie, narody!

A wtem nadchodzi kucharka,
Na pyszne wrzaski słówkiem nie odpowie,
Tylko po wrzątku przesuwa warzęchę,
Jedne po drugiej szumowiny łowi —
I w pomyje do cebrzyka!
A na ich hańbę, bo nie na pociechę,
Takim morałem całą rzecz zamyka:

. . . .

. . . .

Córka matce w dniu imienin.

W świętym dniu twych imienin, moja matko droga,
Twoja córka swe serce składa ci w ofierze;
A ono tobie powie, jak cię kocham szczerze
I jak szczerze, a co dzień, proszę Pana Boga,
By ci dawał swą łaską życie długie, długie,
Zdrowie, szczęście i radość, tak długie, jak życie.
Takie ci serce, matko, składa twoje dziécię,
A gdybym drugie miała, dałabym i drugie.

Paryż, 1858 (?)

ODMIANY TEKSTU.

Wspomnieliśmy w przedmowie, że Goszczyński zamierzał w latach 1828—30 wydać zbiorek poezyi lirycznych. Projekt ten powstał w Leszczynówce 1827. Podczas podróży do Wiednia 1828 r. poeta kompletował ten zbiorek. W Warszawie dał go w tym roku do przepisania Józefowi Chrząszczewskiemu. Na razie projekt spełzł na niczem. W r. 1830 sprawa stała się znowu aktualna, Goszczyński uzupełnił zbiór jeszcze kilku poematami, ale i wtedy rzecz nie doszła do skutku z powodu wybuchu powstania, a potem emigracyi poety.

Zeszyt ten, przepisany, został w Warszawie w przechowaniu u Stanisława Bogusławskiego i nie wrócił już do autora, aż dopiero w r. 1869 za pośrednictwem p. Zofii Węgierskiej. W tej porze Goszczyński ukończył już korektę ostatniego wydania zbiorowego dzieł swoich, jakie za życia jego wyszło u Brockhausa w Lipsku 1870, i nie mógł w wydaniu tem uwzględnić utworów, w młodzieńczym zeszycie zawartych. Niektóre z nich może miał w odpisach, może zapamiętał i w ten sposób wcielił już poprzednio do wydania lwowskiego 1838, wrocławskiego, lub do „Trzech strun", inne pozostały w zaginionym zeszycie nietknięte. Te dopiero do tego naszego wydania dostały się w całości z zeszytu, odnalezionego w archiwum Rapperswilskiem, gdzie się przechowuje puściznę rękopiśmienną po Goszczyńskim.

Ale zaszła rzecz inna w tym zeszycie. Oto poeta pod koniec życia zapragnął uskutecznić jeszcze zbiorowe wydanie dzieł swoich. W tym celu począł dawne poezye w zeszycie omawianym poprawiać — nawet te, które już były w wydaniach wydrukowane. Uznaliśmy za stosowne w tem najpełniejszem wydaniu naszem te poprawki uwzględnić. Z tego powodu niektóre wiersze, oddawna znane, przedstawiają się w naszem wydaniu w redakcyi nieco odmiennej. Dla ścisłości podajemy poniżej jako odmiany tekstu

utwory dawniej ogłaszane, przynajmniej ważniejsze bardziej zmienione.

Dzieje owego zeszytu poezyi lirycznych opisałem obszernie w „Głosie“, Warszawa 1898, w artykule „Nieznane utwory Goszczyńskiego“. *Z. W.*

POWOŁANIE GENIUSZA.

Str. 3:

Na toż powstają geniusze
W wiecznej bytu zawierusze,
Aby błysnęły kometą
I potem zgasły bez śladu?
Można-ż, aby twórca ładu
Bezcelną zamknął je metą?
Tutaj, gdzie pyłek jest świata ogniwem.
One-ż się tylko marnie zatracą
Z całych wieków pracą,
Z plemion podziwem?
— Chwała światłości i cnocie;
Hańba złemu i ciemnocie! —
Zawoła szkielet mądrości,
Grożny anioł-stróż przeszłości,
Wielki prorok z doświadczenia,
Który nad wieków prochami
Liczy chwile kolejami
Bytu i zniszczenia.
— Kto obecność pojąć pragnie,
Ku przeszłości ducha nagnie.
Ledwo drobny świat człowieka
Zaczął swój obrót w światów kołowrocie,
Dumny, przy swojej lichocie,
Z dróg wytkiętych wnet ucieka
I gaśnie w ciemnocie. —
Przecknęła mądrość w Twórcy osobie
I tchnęła z boskich piersi, i geniusz w tej dobie
Zeszedł na ziemię otwarcie
I śmiertelnym przyniósł wsparcie.
I już odtąd wiek po wieku,
Jak tylko bóstwo przygasa w człowieku,

A ciało duszę ugniata,
Wcielony geniusz ulata,
I zapaśnik ludzkości, ludzkości imieniem
Walczy z nocą i spodleniem,
Aż wrogów duszy obali;
A świat tymczasem pomyka się daléj.
Chwała wam, męże wyższego natchnienia,
Że dusza żyje przez wasze zjawienia,
Jak biciem krwi ciało żyje;
Że przez was śród tego cienia
Zegar mądrości idzie i bije!

BŁĘDY GENIUSZA.

Str. 6:

Czy skrzeczy rozum poziomy,
Czy szydzi zawiść złośliwa,
Ty leć za duchem, który cię porywa,
A ten przeniesie nad bezdna i stromy.
Za prawdą idzie proste sumienie;
Prostemu czuciu zawierzyć trzeba,
Duszy zawierzyć; skoro twoje pienie,
Pienie niestrojne, w jej strunach zadrgało,
To-ś jej zaśpiewał od kolebki nieba,
To w ogniach twego zapału
Rodzinne słońce dla niej zaigrało.
Nie lękliwie! nie pomału!
Zostaw, zostaw, komu błogo
Krążyć bitą ziemską drogą!
Sam obłęd twego zapędu
Rozpromieni wieków krocie,
Kiedy rozumy płaskiego rzędu
Zagasną w pyle i pocie.
Z poddaniem twemu natchnieniu,
Z pełną wiarą jego mocy,
Zawsze po duszy promieniu!
On cię złączy z duszy metą.
Jeszcze krok na twej drodze, a nie będzie nocy!

LUTNIA SURY.

MYŚL Z PODAŃ PERSKICH.

Str. 7:

Pośród przestrzeni, która granic nié ma,
Zasiada Sura w szatach z błyskawicy
Na napowietrznej światów stolicy,
A na łonie lutnię trzyma
I przygrywa.
A pod Sury majestatem,
Czarodziejskiemi dźwiękami budzony,
Waha się ruch nieznużony,
Nurt życia wieczność przepływa.
Anieli światów, anioł za aniołem,
Przetaczają świat za światem
Nieustającem, niezwichnionem kołem,
A ród za rodem i wiek za wiekiem
Harmonijnym płyną ciekiem —
Bo muzyka Sury
Jest życiem natury.
Niechby na chwilę ucichło jej granie,
Natychmiast życie zamarłoby świata,
A noc i śmierć lodowata
Zaległa głuche otchłanie.
Nie ma strun Sury naczynie,
Lecz ile razy nad głowę Sury
Słońce słońc nadpłynie,
Sura podnosi lutnię do góry,
A słońce słońc, jak strunami,
Obciąga ją promieniami.
O, poezyjnych naczyń piastuni,
A których swoim promieniem nie struni
Duchowe słońce wyższego natchnienia!
Trud wasz bezpłodny i bezpłodne pienia.
Martwe i zimne, jak kruszec, są brzmienia,
Któremi struna bezduszna się wzrusza:
Jej łza przepłynie po sercach lodem,
Jej uśmiech przewieje chłodem.
Ani jej smutek rozczuli
Ani pociecha utuli,
Bo duszy świata potrzebuje dusza.

DO NADZIEI.

Str. 8. W innej redakcyi:

Tchnienia twoje bóstwem wieją,
I z modłami ciebie witam,
Ale o niebo cię pytam:
Z raju-ś, czy z piekła, nadziejo?
Zaczarowanych ogrodów tyś pani,
I gdybyś czasem nie złudziła niemi,
Biedni tułacze obiecanej ziemi
Legliby, w spiekłych puszczach zagrzebani.
I moje łzy tam goreją,
I ich ogniem ciebie witam,
Ale wątpię, ale pytam,
Co twojem niebem, nadziejo!
Rozpacz przywrzała do mych ran tysiąca,
Razem się zjawiasz, wdziękiem zdrowia śmiejesz
Już ci ślę dzięki... ty się cofasz, mglejesz,
Aż póki całkiem nie przepadniesz, drwiąca.
I gdyś mi, życia poznanie,
Zdrowia dało czuć słodycze,
Rzucasz mię, widmo zwodnicze!...
Precz, nadziejo, precz, szatanie!
A teraz wszystko a wszystko mię myli:
Miłość i przyjaźń, i rozum i cnoty.
Już oto pełen niszczącej tęsknoty
Pozieram tylko w cień ostatniej chwili.
Aż, strojna łzami żałoby,
Jasna wieczności porankiem,
Przystrojona śmierci wiankiem,
Zjawiasz mi się ponad groby
I, jak obłoczek, co księżyca plami
Na zwierciadlanym blasku twego oka,
Wystąpi wieczność, spokojna, głęboka...
Nadziejo! Bóstwo! Zostań wiecznie z nami!

ROZSTANIE SIĘ Z PRZYJACIÓŁMI.

Str. 12:

Zaszumiał wiatrem wierzch drzewa zielony,
Po cichych wodach błękit się rozlewa;

Już to nie błękit ukochanej strony,
Nie lubych spomnień te kwiaty i drzewa!
Spłynęły one, spłynęły daleko
I bez powrotu przeszłości rzeką.
A w moich czuciach tak pusto, tak ciemno,
A świat tak nagi, tak obcy przede mną,
Że dzikie oko błąka się dokoła,
Jak wzrok pchniętego do piekieł anioła.
Więc już nie ujrzę was po tym rozdziale,
Mojego serca drodzy przyjaciele?
Więc mi już wasze nie zabrzmią godziny,
Ciche uciechy dobranej drużyny?
Gdy ta myśl jedna uderzy do głowy,
Wtedy łza szczęścia, przeszłości sierota,
Nabrzmiała rozpaczą, spłynie,
W obecności jad żółciowy,
I w potwornej mięszaninie
Tak zmąci puhar żywota,
Że, łamiąc ręce, wołam jak Bóstwo, syn ciała,
Gdy mu napój podano śmierci spragnionemu:
— Czemuż mię, o mój ojcze, opuściłeś, czemu? —
Biada mi, że tak wołam! Zasłona wciąż cała,
I słońce wciąż dokucza spojrzeniu mojemu!

TOPIELEC.

Str. 18:

Złowrogich losów szaleje burza,
Żeglarza ziemi w swej topieli nurza,
Tonie, tonie moja łódka,
Serce, cały mój ładunek,
W tym śpiewie cały ratunek:
O, jakże ciężka ta żegluga krótka!

Wybrnę czasami nad gorzkie fale
I brzemię skonu piersiami odwalę,
A wtedy cała pociecha,
Że wciąż ta sama piosenka
Na rozliczne tony stęka,
I w szumie burzy szuka choćby echa

Czasami, widzę, stoją zebrani
Słuchać u brzegu wołanie z otchłani,
Ale mało tam kto słyszy,
Ale jeszcze mniej rozumie,
Śpiew lub za cichy w tym tłumie,
Lub za okropny dla pieszczeńca ciszy.

I oto jednych gromy spłoszyły,
Innych odwodzi tęczy widok miły,
Do uciech pobiegli biedni —
Niewielu z nich pozostało
Słuchać w spółczuciu i śmiało
Moich narzekań, sobie przepowiedni.

Skołatanego serca znajomi,
Mojego śpiewu żaden z nich nie zgromi,
Bo w pomroku takiej doby,
Gdzie czucie słabo przyświéca,
Jak w burzy oko księżyca,
Nikną dobrane, promienne ozdoby.

Smutne ofiary niszczących losów,
O przyjaciele tonącego głosów,
Dla was moja pieśń nie zginie;
Odejdziecie w myśl zamknięci —
Westchniecie po mej pamięci,
A łza topielca i wam z ócz popłynie.

Str. 19: **POŁUDNIE.**

Samo południe! Uroczysta chwila!
I duch na skrzydłach spoczął wyobraźni.
Czasem się listek, jak do snu, przechyla,
I blask barwiony źrenicę podraźni.
A w sinej przeźroczy,
Przez drżącego światła fale,
Słońca spaniałe
Cicho się toczy.

Cicho się toczy ponad ciszą ziemi —
W pobliskich trawach brzęczy trel konika,

Ulotny wietrzyk, nad braćmi śpiącemi,
Przez czujne listki, zlekka się przemyka.
Tu zagrała mucha,
Tam słowicze pienie kona,
A wkoło głucha
Wrzawa zmącona.

Wszystko, ach, wszystko pięknie gra dla duszy,
Ale ją ciągle coś niestrojne kłóci;
Kiedy mgła myśli świat cały oprószy,
Cóż stąd, że słońce blask oka ocuci?
Nacóż te śród nieba,
Te śród ziemi cudów roje,
Gdy komu trzeba
Mieć serce moje?

Ty, coś do wiecznej, harmonijnej zgody
Życia przyrody muzykę nastroił —
Ty, coś żyjące obrazy przyrody
Zgodnemi tęczy barwami napoił,
Objaw mi, o Boże,
Jak jedno dzieło twych ręku
Różnić się może
W tym zgodo-dźwięku!

Str. 20:

MOJA PIOSENKA.

Zegar życia bije,
Lata, jak woda, spływają z cicha;
Świat wesoło żyje,
Tylko mnie pierś wzdycha,
I, kiedy wszystko wszystkim się uśmiécha,
Mnie żałoba wszystko kryje,

Innych przyjaźń pieści,
Śmieją się innym usta kochanek,
Tylko mnie w boleści
Schodzi życia ranek;
Na mojej skroni schnie miłości wianek,
Nikt mię w sercu nie pomieści.

Nie mnie życia kwiaty,
Nie mnie przyświeca dzień złotem czołem;
Smutne grobu szaty
Żywy naciągnąłem.
Niesmaki życia moim są żywiołem,
Moim światem lepsze światy.

PODRÓŻ.

Str. 21 „Podróż jesienna“.

Pod tytułem „Podróż“ wiersz ten wydrukowany w poniższej redakcyi w noworoczniku „Rusałka“ na r. 1841, wydanym przez Aleks. Grozę w Wilnie, str. III.

Noc ciemna, burzliwa,
Ziemię okryły tumany,
Wiatr chłodny powiéwa,
Szumi deszczyk przerywany —
Zimno i ponuro.
Ponad ziemią i tumany,
Otulony chmurą,
Błądzi księżyc zapłakany.
Nie ustawajmy w podróży!
Choć przeziębli, choć zmoczeni,
Przebędziem przykrość jesieni;
Cierpmy krócej, cierpiąc dłużej.
Wiatr świszcze, mgły biją,
Martwe echo las obiega,
Widma burzy wyją,
Fala pluska się u brzega,
Dokoła strach srogi:
Ziemia martwa i świat niemy.
My nie wiemy drogi,
I nie wiemy, i idziemy.
Cóż nam znaczą wszystkie tamy?
Mamy motykę grabarza,
Z nią zajdziemy, gdzie zajść mamy:
Do gospody u cmentarza.
Tuman się przesuwa :

Krzyż w przodzie, księżyc na krzyżu —
Nad czem księżyc czuwa?
Co nam odkrywa w pobliżu?
Odźwierny przyszłości
Kamień grobu nam odsłania:
Stąd meta światłości,
Tu kres nocy panowania.
Pocóż rozpaczać daremnie?
Poco wyrzekać na Boga?
Już to nie najcięższa droga,
Gdy się skończy tak przyjemnie.

Str. 22. ŁZA TAJEMNICZA.

Któż świat człowieka odgadnie?
U mnie łza nie spływa snadnie:
Już mi się nieraz zdarzało
Stać pośród śpiewów żałoby,
Przy trumnie drogiej osoby,
Ze źrenicą skamieniałą.
Ileż to wiecznych rozdziałów,
Ile związków potarganych
O głaz duszy się rozbryzło!
Ileż to losu postrzałów
I boleści chwil spłakanych
Lodem się duszy prześlizło!
Nad niczem płakać nie mogę:
Lecz w cichej, wieczornej porze,
Gdy nadziemski świat otworzę
I myśl puszczę w ducha drogę,
Natychmiast dziwna muzyka
Z bezładnych tonów tysiąca,
Napowietrzna, czarująca,
W pustkach się myśli odmyka,
Rozlewa się w głębiach łona
I, struną serca wtórzona,
Póty się przelewa, mąci,
Póty wabi, póty nęci,
Aż jakimś dźwiękiem je trąci,
A w oku łzą się zakręci.

Jaka ta łza, jakie granie?
Tego-m odgadnąć nie w stanie;
Lecz uczucie od tej łezki —!
Za najpiękniejszy z gwiazd wianek
Nie oddałbym jej promyka:
Musi to Ojciec niebieski
Rosić duszami niebianek
Spiekłe serce śmiertelnika.

SZCZĘŚCIE (CZŁOWIEKA).

Str. 25.

Wyszedłeś na świat dziecięciem;
Matka tuli cię objęciem,
Przyroda w zawód rozkłada dziwy,
Wszystko cię wita wesoło,
Same pieszczoty wokoło,
A ty odpowiadasz płaczem.
Płaczesz, nie wiedząc i czego, i za czem?
Widać, nie będziesz szczęśliwy.

Przebiegasz młodzieńcze lata,
Zrywasz wszystkie kwiaty świata,
Jak wietrzny mędrzec, jak wietrznik tkliwy.
Rozkosz sama cię ugania,
Piękna, jak anioł kochania,
Chce, jak szczęścia, serca twego —
Ty jednak tęsknisz! Za czemże? Do czego?
Widać, nie jesteś szczęśliwy.

Dosiągłeś potęgi męża;
Zgniotłeś namiętności węża,
Ukołysałeś zapał lat burzliwy,
Coś pragnął, wszystko posiadasz,
Wielkiemi skarbami władasz,
W zaszczyty chwała cię stroi.
Ciebie coś jednak smuci, niepokoi,
Jesteś, widać, nieszczęśliwy.

Choroba wieku niemiła
Zgarbiła cię, wywędziła!
W dół spadły oczy i głowa siwa,
Teraz jesteś nieszczęśliwy.
— Nie — rzecze dusza — włos siwy
Jest kwiatkiem innego życia,
Głowa się chyli do ziemi powicia;
Tam spiesz, tam szczęście przebywa! —

ZAGADKA TKLIWEGO.

Str. 26.

Czego zadumany chodzisz
I kładziesz rękę na spieczone łono,
I po bladych gwiazdach wodzisz
Ciche westchnienia, powiekę zroszoną?
Czy chcesz wyczytać na niebie,
Skąd te lecące bez celu westchnienia,
Skąd te płacze bez cierpienia?
Chcesz się odgadnąć? Ja odgadnę ciebie.

Ziemia, jak trumna, spoczywa.
Żałobne pienia nucą jej puhacze;
Noc, jak wieko, ją przykrywa,
Księżyc nad śpiącą, jak nad zmarłą, płacze.
Takiej właśnie trzeba pory,
Aby się twoją zagadkę odgadło;
Weźmiemy tylko zwierciadło
I pójdziem w pola, na góry, nad bory.

Patrzaj, oto obrócone
Ku księżycowi lustro go spotyka;
A teraz spojrzyj na stronę.
Widzisz błyśnienie? Czy widzisz, jak zmyka,
Jak przelatuje skwapliwie
Przez lasy ciemne, przez dzikie urwiska,
Chwilę na wodach połyska,
Chwilę na wonnej wstrzymało się niwie? —

A teraz pojrzyj ku górze.
Jak to światełko pędzi całą siłą!
Ledwo spoczęło na chmurze,
Już przy księżycu, już się z nim złączyło.
Otóż w naszym ziemskim bycie
Tak niespokojnie dla duszy dni biegą,
Otóż zagadka tkliwego:
Księżyc jest bóstwem, tyś jego odbicie.

BURZA.

Str. 28.

Dzień pobladł, powietrze ścichło;
Rosną, postępują chmury,
Jak z nocnych mroków ulane góry.
Coraz i ciszej i ciemniej — nie rychło
Zawył wichrów świst ponury,
I znowu wszystko ucichło.

Mnożą się obłoki w dali.
Po niebie, jak po opoce,
Coraz to głośniej piorun turkoce,
Coraz to jaśniej długi błysk się pali,
Aż dzień utonął w pomroce,
A niebo w nawałnej fali.

I ot nad głową prysnęły
Morza chmur błysku rozświtem;
Gromy po gromach wstrzęsły błękitem,
Zda się, że głębie światów odjęknęły
Dzikim, konwulsyjnym zgrzytem
I bladą trwogą olśnęły.

Zdaje się, że zegar kary
Dźwiękami śmierci wygrywa.
Jakże ta chwila wielka, straszliwa!
Któż ją przetrzyma bez uczucia wiary?
Czyjaż tu krew nie przepływa
Przez żary, lody i żary?

A ty na te gromów łomy,
Na te nieba w błyskawicach —
Zimną spokojność trzymasz w źrenicach,
Chociaż i tobie grozi skon widomy? —
— Kto zrósł w serca nawałnicach,
Temu nie straszne te gromy!

DUCH WIOSNY.

Str. 29. Do Wiosny.

Tajemniczy ogień czuję!
Ten ogień zmysłom wesela,
Sercu miłości udziela;
Ten ogień duszę przejmuje.
Ciebie to, o wiosno, czuję.
O wiosno, twoja to władza
Z głębi niebios go sprowadza.
Z błogosławionym oddechem wietrzyka
W łono ziemi on przenika;
Siedmiobarwi wstęgę tęczy,
Motyle skrzydełko wdzięczy,
Kwiatki koronami wieńczy,
Przemawia w pieniu słowika,
W zawoju świeżej róży się rumieni,
We łzach poranku barwami się pali,
Płomieniem gore na drzymiącej fali,
Gwiazdy zasiewa po marszczkach strumieni. —
Cóż, kiedy, duszę w jej głębiach przejąwszy,
Świat nowszym zmysłom otworzy nowszy;
Gdy w zmartwychwstania uroku
Odsłoni przyrodę oku —
I krew popędzi w uczuć ognistych potoku!
Ach, jakież barwy, jakież odcienia
Wydadzą czary tego płomienia?
Z czemże go zrównam, o wiosno?
Może z rozkoszą miłosną,
Może z tem obłąkaniem, co duszę zachwyca,
Kiedy wdzięku anielskiego,
Kiedy anielskiej pieszczoty dziewica

Wyda się trwożnem spojrzeniem
Ze wzajemnym płomieniem
I uścisk mimowolny przyłączy do tego?
Nie, wiosno! I ja kochałem,
I nie gardzono moim zapałem!
Znam ja miłości rozkosze,
Poznałem twoje — i twoje przenoszę.
W tamtych niepokój i cierpkie żądze,
Tam śród uniesień bojaźń straty czuję,
Trwożny o przyszłość, przeszłości żałuję.
Tam cierpię, używając, unosząc się, błądzę;
Zawsze tam szczęściu czegoś brakuje,
Jak żeby piekło z niebem spojono,
Z rozkoszami anioła potępieńca bole.
Wolę ciebie, wiosno, wolę.
Skoro twoje tchnienia wioną,
I twoją duszę uczuje łono,
Wyższem życiem duch ulata
Do sfer nadziemskiego świata
I, upojony czuciami czystemi,
Nie należy już do ziemi.

WIECZÓR.

Str. 31.

Widok to wielki, rozkosz czarodziejska,
Ta okolica, ta w czasie godzina,
Gdy innem życiem ziemia żyć zaczyna.
Tam, w dali, wrzawa oniemiała wiejska.
Błyszczą mdłe światła w mieszkaniach człowieka,
Jak skry rozpierzchłe niepewnej nadziei,
A oddalony, ponury szum kniei
Żyjącą duszę ostrzega z daleka.
Że tajemnice, zbronne ludzi oku,
Mają się począć w północnym drzew mroku.
Wyszedł i księżyc, smutny syn wieczora,
Ze śmierci cerą, z wejrzeniem upiora;
Migają gwiazdy, po niebie rozsiane,
Niby promyki stworzeń przeznaczenia,
Ukradkiem trwożnej ziemi objawiane.

O, w jakież światy unoszą te dziwy
Ziemi i niebios, jasności i cienia!
O, jakże ciemny, o, jak nieszczęśliwy,
Kto pełnem sercem pojąć ich nie umie!
Jedna to rozkosz w ziemskich uciech tłumie,
Zawsze nam nowa, zawsze w pogotowiu,
A nie zależna całkiem od nikogo:
Kiedy tak wszystko opłacamy drogo
Na spokojności, na szczęściu, na zdrowiu —
Tu dość chwil kilku, i kilku łez czystych.

DO MOJEJ WIERZBY.

Str. 31.

Dobry wieczór, wierzbo, tobie!
Tylko proszę, proszę wcześnie,
Niech liść żaden nie szeleśnie;
Jak drzymał, niech drzymie sobie.
Bo usnęło serce moje,
A zbudzić je tak się boję!
Jak miło w tem uciszeniu!
Żaden powiew nie oddycha,
Po cichem nieba sklepieniu
Senny księżyc stąpa z cicha

Och — i cóż się tobie stało?
Westchnęłaś — a to westchnienie
Przerwało serca uśpienie,
Zbudziło przyrodę całą:
Księżyc chmurami się dąsa,
Wiater liściami potrząsa,
A mar ugłaskanych roje,
Co śród gałązek usnęły,
Spadły znów na piersi moje,
Znowu serce ssać poczęły.

Och, dobranoc, wierzbo, tobie!
Próżne spokoju żądania!
Serce dalej mię pogania.
Ja idę dalej, ty szum, w żałobie —

Jak ja w żałobie odchodzę
Po ciernistej deptać drodze,
Szukać szczęśliwej uboczy,
Gdzie głaz wiecznego uśnienia
To czujne serce przytłoczy,
Gdzie usną same westchnienia.

WIANEK PRZYJAŹNI.

Str. 55.

Chodźmy, Janie, na to wzgórze
I usiądźmy tu, pod brzozą.
Płynie jesień w mglistej chmurze,
Goniec zimy gwiżdże łozą;
A tam, na wierzchołku drzewa
Szkielet wianuszka powiewa. —
Czy pamiętasz ten spoczynek,
Gdy go nasze plotły dłonie
I zawiesiły w tej stronie
Przyjaźni na upominek?
Czy pamiętasz jego farby
Przy letniego słońca blasku?
Jak zmięszane światła skarby
W czarodziejskim tęczy pasku,
Tak płonęły jego farby!
A dziś — ? Patrz, jak trupie lica,
Taka zimna, taka blada,
Niebieska jasność przyświéca,
Na zczerniały wianek pada.
Uważ, uważ co się dzieje
Z pięknym przyjaciół wianuszkiem! —
Kiedy nad śmiertelnem łóżkiem
Światło gromnic zajaśnieje,
Kiedy śmierci anioł niemy
Zamgli źrenicę chorego,
W milczących twarzach niesiemy
Smutki ostatnie — dla niego.
Jak tam wyraźnie czujemy
Po bolesnem serca biciu,
Że ubywa węzła życiu —

Pękają ziemi ogniwa,
Łańcuch bytu się rozrywa.
Czucia ten łańcuch składają:
Gdy się mnożą, rośnie życie —
Psuje się, umniejsza skrycie,
Kiedy czucia przemijają.
Poco tak smutne marzenie?
Rzućmy je — tutaj nasz wzgórek,
Tu nasze zblakłe zielenie!
Niechaj z błędnym lotem chmurek
Po przeszłości myśl ulata!
Niechaj pobuja w swobodzie,
Pamiątką szczęścia bogata,
Jak to skrzydełko motyle,
Ręką wiosny malowane,
Dzisiaj wiatrami tarzane,
Krąży, igra jakąś chwilę
Po tumanach i po chłodzie.
Niechaj igra, a my siądźmy,
Jeszcze łzy szczęścia dobądźmy,
Niechaj łzy szczęścia promieniem
Cień zasępienia umilę.
Kiedy nam losów niestałość
Gotuje w przyszłości żałość,
Posilajmy się wspomnieniem.
Ćmi się brzoza, mgłą obwiana,
Jakby kirową zasłoną;
Jak źrenica zapłakana,
Zimną rosą listki płoną
I z wiatrami złośliwemi
Rozlatują się po ziemi.
W podobnych łzach i żałobie
Widziałem oblubienicę:
Po utracie oblubieńca,
Na niedawnym jego grobie,
Zasiewała okolicę
Listkami ślubnego wieńca.
Jak tam boleśnie po oku
W płacz się rozlał śmiech wesela!
Ja korzystałem z widoku,

A ty —? Słuchaj przyjaciela!
Używajmy chwil, co płyną,
Używajmy, nim przepłyną,
Jutro, w godzinę — w minutę
Może nie być — jak w tej dobie;
Jutro, w godzinę — w minutę,
Zszedłszy się, jak za pokutę,
Możem zimno ścisnąć siebie,
Obojętnie się przywitać;
Możem o siebie nie spytać.
Gdy więc przyjdzie, że dla ciebie,
Dłoń ta będzie bez płomienia,
Bez duszy moje spojrzenia,
Bez spółczucia moje słowa:
Niech się przynajmniej wychowa
Pamięć tego posiedzenia —
Ach, nie niszcz jego spomnienia!

GOŁĄBEK Z POSŁANIEM.

Str. 59.

Z której to lecisz, gołąbku, strony?
Z takim ciężarem, taki znużony?
Czyjeż cię ręce pchnęły tak srogie
W taką przykrą drogę?

— I Pan, co nami rządzi wszechwładnie,
I ot, ten ciężar, co na nas kładnie,
I kraj, skąd lecę, i kraj, gdzie stanę —
Wszystko mi nieznane.

Nie wiem, czy pańskie są w tem igraszki,
Lecz wiem, że z duszy chcę być u ptaszki;
Tęskni kochanka, czeka mię miła,
Smutna, jak mogiła.

Ciężar, co niosę, przykry, jak ciało —
Trudną, jak życie, drogę mam całą,
W słotach zaś, w biedzie, żadnej obrony
Nad ciężar włożony.

Gdyby już prędzej brzemię nad siły
Złożyć na łonie tęskniącej miłéj,
Gdyby już spocząć sobie, gdzie gości
Spokojność wieczności!

PORADA.

Str. 62, (Do...):

Oko twe miłe, jak niebo pokoju:
Jak słońce błyszczy w uciszonym zdroju,
Tak cicho dusza w twych oczach spoczywa.
Po wdziękach lica lękliwie i skromnie
Różową chmurką rumieniec przepływa —
Pojrzałaś na mnie, uśmiechasz się do mnie.

Posłuchaj, piękna, posłuchaj mię chwilę!
Gdyby to oko, patrzące tak mile,
Mojemu oku odpowiedzieć chciało,
Cobyś pragnęła wziąść ode mnie wtedy?
Weź sobie rozum — rozum? To za mało;
Szału miłości będzież on wart kiedy?

Weź sobie rozum, dodam życie jeszcze —
Ja tylko jednym całunkiem popieszczę.
Niech stracę rozum, niechaj sam zaginę,
Dość mię nagrodzi jedno całowanie
Za tę rozumu i życia godzinę! —
Co? Ty się zgadzasz? Pomyśl — a niebianie!?

O, rozkosz ze mną nie ujdzie bezkarnie.
Niech się niewinność do twej piersi garnie,
Bo pokój nieba twoją pierś nasyca,
A w mojej, słyszysz, jakie burze wyją?
Jak rajskie źródło, czysta twa źrenica,
Niechaj anieli rozkosze z niej piją!

Nie bierz mi serca, nie oddawaj swego,
Odwróć się, odwróć od spojrzenia mego,
Póki szanuję niewinnej swobodę,
Póki trwam jeszcze w dzikiej cnoty szale;

A za jedyną mych cierpień nagrodę
Bądź dla mnie srogą, zapomnij mię wcale.

CERKIEW ŚW. ANDRZEJA W KIJOWIE.

Str. 82.

Wstąpię ja tutaj i siądę na górze,
Gdzie się tak śmiało wdarły owe mury.
Po świecie nocne osiadają chmury,
Padół zalega podnóże,
Na przodzie Dniepr, a wkoło Kijów, jar i góry.

Witam cię, witam, czarodziejska ciszo!
Ludzie światową wrzawą ogłuszeni,
W twojej niemocie, pod kirem twych cieni
Nic nie widzą, nic nie słyszą,
Bo ich oczom niebiańskie światło nie promieni.

Noc dla nich grobem, a śmiercią jej dziwa;
A przecież komuś grają te zegary,
Kogoś ten wicher ugania przez jary,
Komuś ten ptak mogił śpiewa,
I tej cerkwi nie same trzęsą się filary.

Przybądź tajemnic odwiecznych ciekawy,
Jeślić sen gnuśny ciężkich ócz nie skleja,
I wieszczych plonów zwabia cię nadzieja,
I ośmiela umysł prawy —
Przybądź skrycie, samotnie, pod cerkiew An-
[drzeja!

Przybądź, ktośkolwiek, niech z tobą podzielę
Wszystko, co ujrzę, wszystko, co mię zdumi—
Zegar uderzył, wicher jarem szumi.
Puszczyk huknął na kościele,
I puszczyk i dzwon ucichł — wicher szum swój
[tłumi —

I duch się podniósł wielkości olbrzyma.
Omglony płaszczem ze śnieżnej zamieci,
Ciemny, jak chmura, jak cień chmury, leci,
Słup żelazny w ręku trzyma —
Jako księżyc na lodach, tak wzrok jego świeci.

Znam, znam mieszkańca nieludzkiej krainy!
To duch Lechitów, strażnik ich granicy;
Słupiec Chrobrego piastuje w prawicy,
Wybrnął z Dnieprowej głębiny,
By mojej narodowej zjawić się tęsknicy.

Przybywa natchnąć narodowe pienia.
Coraz się szybciej wiatrami pogania —
O, pośpiech, duchu, rozwiąż me dumania!
Co? On daje znak milczenia!
Kładzie palec na ustach, śpiewać mi zabrania.

I mróz przestrachu ściął wieszcze zapały —
I duch uleciał skrzydłami powiewu.
Powiedźcież, bracia, powiedźcie bez gniewu:
Czy śpiewy słabe być miały?
Czy my jeszcze niegodni ojczystego śpiewu?